

Hans Hellmut Kirst

Skazani na sukces

Bez przychylności kobiet nie można było wówczas w Monachium zrobić ani kroku naprzód. To one rozdzielały nagrody za zasługi.

Christian Friedrich Daniel Schubart

O Monachium, miasto pełne górskiego powietrza, miasto południowego nieba, filarze i moście między Niemcami i Włochami, miasto piwiarni i kościołów wypełnionych dymem kadzideł, miasto sprzeczności, które zazwyczaj jednoczą się w żywym sercu, barwne, odświętne, wiejskie, lubiące piwo i piękno! Obyś zawsze pozostało ojczyzną tych, którzy do żadnego celu nie dążą tak gorliwie, jak do tego, żeby żyć i przeżywać.

Ricarda Huch

Tu ludzie potrafią się bawić publicznie na ulicach.

W. I. Lenin

Połodowcowa ziemia jest twarda. I jeśli Monachium zdołało na niej powstać i urosnąć, to nie dzięki niej, a wbrew niej.

Alexander von Reitzenstein

Istnieje w Niemczech tylko jedno miasto, któremu Hitler przyrzekł, że uczyni je wielkim, i które mimo to stało się wielkim.

„Der Spiegel” o „tajnej stolicy Niemiec”

Władza nie jest zabawką. A już na pewno nie w czasach, w których jedni krzyczą: „Postawić Brandta pod ścianę!” i „Śmierć zdrajcom!”, a inni uwalniają więźniów, używając bez pardonu broni palnej, i dokonują zamachów bombowych na placówki policji.

Hans-Jochen Vogel

Ta książka jest powieścią. Akcja i osoby są zmyślane. Ewentualne podobieństwo i pozorna zgodność z prawdziwymi wydarzeniami są przypadkowe. Dotyczy to także sposobu przedstawienia osobistości oficjalnych miasta, które służy tu za tło akcji. Są to jedynie symboliczne postacie powieściowe, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Napisałem tę książkę także dlatego, żeby uczcić pamięć mojego pierwszego psa, nowofundlandczyka Antona, i mojego ostatniego psa, pudła Mukła.

Przeżyłem dzięki nim chwile najczystszej radości.

*Domniemana prawda
jest podobna
do niezmordowanie kołyszącej się huśtawki;
decydujące jest to,
w jakim momencie się na niej usiądzie.*

Próba zdruzgotania człowieka nazwiskiem Harald Fein rozpoczęła się pewnego wieczora późnym latem. Wydawało się, że w ciągu niewielu tygodni uda się jej dokonać, co jednak miało się okazać nader niebezpieczną omyłką.

Cały ten proces — i związane z nim rzeczy — nie przedostały się do wiadomości tak zwanej opinii publicznej. Pojawiały się jedynie jakieś pogłoski, spekulacje i przypuszczenia całkowicie, jak się wydawało, sprzeczne ze sobą — i wkrótce zniknęły znowu. Bo wiele ludzi ma pamięć tak krótką, że jest to aż godne pożałowania; i niemało z nich na niej polega.

Nikt jednak nie wiedział, że istnieją o tej sprawie zapiski pewnego funkcjonariusza policji kryminalnej, niejakiego Kellera. I nikt zapewne nie przewidział, co z tego wyniknie.

Bo ten komisarz policji kryminalnej Keller odważył się podjąć próbę wymuszenia sprawiedliwości. I to metodą frapującej konsekwencji i niebezpiecznego zuchwalstwa.

1

Miała zad jak koń. Ma się rozumieć jak koń rasowy: szeroki i okrągły, o gładkiej skórze i tanecznej ruchliwości. A przy tym — jak można było przypuszczać — o ostrym, pociągającym, oszałamiającym zapachu.

A zatem swego rodzaju rasowa klacz, z którą można by wygrać wszelkie możliwe wyścigi — gdyby się ją posiadało! Wydawało się zresztą, że to właśnie można by osiągnąć — przynajmniej na jakiś czas. Oczywiście miała swoją cenę, ale bez względu na wysokość tej ceny — gdyby on, Harald Fein, zechciał, mógłby ją zapłacić. Na razie jeszcze mógł.

Początkowo wydawało się, że pozwala sobie jedynie na to, by w zamyśleniu i badawczo zarazem przyglądać się nonszalanckiej, kuszącej kobiecości. Ale zdarzało się to już po raz trzeci. W ciągu dwóch tygodni. A może po raz czwarty? W ciągu trzech tygodni?

Wyszła, jak zwykle, z baru na rogu ulicy. Szła powoli, ale jakby czujnie, w stronę domu, w którym mieszkała, na spotkanie któregoś ze swoich klientów — przypuszczalnie nawet kilku; kolejno. Ale którego tym razem? Harald Fein znał już paru z nich. A jednego szczególnie dobrze.

Był to jeden z tych wieczorów, jakie zdarzają się tylko w Monachium, po letnim dniu: wypełnione migotliwym błękitem, roztopiającym się w ciemności, a przy tym pozwalającym dostrzec wyraźnie wszystkie kontury: ostro

zarysowane kształty domów; ludzi, podobnych do wyciętych z papieru sylwetek; ulice, powleczone ołowianą szarością.

Ruch był w tym czasie mierny — tylko kilka samochodów, mało ludzi, ani jednego psa. Był to czas kolacji i dziennika telewizyjnego. Większość ludzi chciała delektować się i strawić równocześnie jedno i drugie. Prowadziło to do zakłóceń żołądkowych z nie rozpoznanych przyczyn, co zdarzało się często w czasach, w których roiło się od dziwacznych schorzeń.

Harald Fein siedział w samochodzie, zaparkowanym przy krawężniku. Sprawiał wrażenie czujnego i ubawionego. Uśmiechał się do siebie. Równocześnie obserwował, co się wokół niego dzieje. Wydawało się, że jego cierpliwość jest bezgraniczna.

Harald Fein w kilka dni później, podczas przesłuchania, podczas tzw. „rozmowy wyjaśniającej” w policji kryminalnej:

— „Zatrzymałem się tam, w pobliżu tego domu przy ulicy V, podczas mojej codziennej drogi z biura do domu. Był to czysty przypadek! Zrobiłem to chyba dlatego, że akurat tam było wolne miejsce na parkingu. Byłem zmęczony stereotypową rutyną w firmie, dla której pracuję. Czułem się kiepsko. Nic poza tym. Zgasilem silnik i włączyłem radio, żeby posłuchać wiadomości.

Referent: — Ale ulica V, przy której stoi ten dom, nie znajduje się na pańskiej bezpośredniej drodze do domu.

Fein: — Mam wrażenie, że natrafiłem na jakiś objazd. A może próbowałem wydostać się z korka ulicznego, bo to była godzina szczytu. Nie pamiętam już dobrze, jak to było”.

Paul Plattner, jedyny właściciel poważnej, rentownej i wpływowej wielkiej firmy budowlanej *Plattner* — *Roboty budowlane naziemne i podziemne*, zjawił się w biurze już po oficjalnym zakończeniu dnia pracy. Z rosnącą niechęcią przeglądał leżące przed nim sprawozdanie dzienne. Na jego twarzy, nacechowanej zazwyczaj ojcowskim pobażaniem, malowała się coraz większa irytacja.

— To świństwo! — wykrzyknął. — Budowa numer czter naście od wielu dni nie ma wystarczającej ilości materiału!

Przed nim stał — w należytej, pełnej respektu odległości — goniec Wamsler. Był to wypróbowany, godny zaufania człowiek. Sprawiał takie wrażenie, jakby miał wielką ochotę podzielić cierpienie szefa: jeśli szef nazwał coś „świństwem”, to z pewnością zasługiwało to na takie określenie.

— Poprosić 4° mnie pana Feina! — wykrzyknął szef.

— Pański zięć — zaczął ostrożnie Wamsler — już...

— W mojej firmie nie jest on dla mnie zięciem — skorygował go zdecydowanie Paul Plattner. — Pan Fein jest tu zatrudniony jako dyrektor. Niech pan wreszcie zapamięta tę drobną, ale ważną różnicę!

— Tak jest — zapewnił szefa posłusznie Wamsler.

— Na co pan jeszcze czeka?! Ma tu przyjść dyrektor!

— Ale on już wyszedł z firmy, jak zawsze po pracy. Powiedział, że jedzie do domu.

— To niech pan do niego zatelefonuje. I niech mu pan powie wyraźnie, że ma się natychmiast tutaj zjawić.

Harald Fein oparł się o poduszki swego samochodu. Był to mercedes 280 SL — luksusowy wóz wyższej średniej klasy, który zgodnie z zawsze obowiązującym zdaniem teścia musiał sobie kupić ze względów prestiżowych: ostatecznie był przecież kimś.

Teść stwierdził to przed wieloma miesiącami. Potem słowa poszły w zapomnienie — jak gdyby już nie był kimś! Takie rzeczy działy się szybko — w tym towarzystwie, w świecie interesu. W każdym razie teraz Harald Fein siedział tu, wyciągnąwszy nogi przed siebie, i wydawało się, że jest zajęty wyłącznie patrzeniem na pulchną, oddalającą się tanecznym krokiem, przeciskającą się naprzód istotę.

Za nim, na poduszkach samochodu, siedziało cierpliwie i uważnie nieprawdopodobne stworzenie, karzeł i zarazem zwierzę z bajki: pies, który wabił się Anton. Nie tak wypielęgnowany jak pudel, ale tak dekoracyjnie zdziczały jak pies pasterski. Coś w rodzaju miniaturowego wydania nowofundlandczyka. Zupełnie niemożliwe do określenia,

porywająco wieloznaczna mieszanka, niesłychanie pobudzająca fantazją. Pies, który wabił się Anton, patrzył przed siebie, a w jego oczach lśniły iskierki nadziei.

Wydawało się, że Harald Fein uważa obecność psa za rzecz dobrą i oczywistą. Sądził bowiem, że ten pies jest jedyną istotą na świecie, która niczego od niego nie żąda. Anton zaś pozwalał swemu panu pozostawać w tej wierze i nie przeszkadzał mu nigdy. A już w żadnym razie w takich wypadkach.

— Gdzie ojciec? — zapytała Helga Fein matkę, która patrzyła na nią ze zmartwioną miną. — Mam do niego pilną sprawę.

— Nie ma go tutaj — odpowiedziała matka, Hilda Fein, która siedziała przy toalecie, nakładając na powieki błękitne cienie. Trudno jej było osiągnąć pożądaną odcień, co groziło wprowadzeniem jej w nerwowy nastrój. — Czego od niego chcesz?

— Mam pewien problem — oświadczyła córka, stojąc nadal w progu. Przyglądała się przy tym badawczo matce i starała się ukryć niechęć do ozdabiania twarzy, które kosztowało tyle wysiłku. — Co znowu masz dzisiaj w planie? To, co zawsze? Wielkie przyjęcie? Czy też coś bardziej intymnego, na przykład małe party dla kilkudziesięciu osób?

— Co to za problem? — zapytała matka.

— Taki, którego nie zrozumiesz. Może go zrozumieć tylko ojciec!

— Tylko on? — Matka podniosła oczy. Spojrzała w lustro i zobaczyła w nim siebie, a w głębi córkę. Dwie kobiety: starannie wypielęgnowaną i beztrosko zaniedbaną. — Przeceniasz go, Helgo!

— Pytałam tylko o to, gdzie go mogę znaleźć, a nie o to, co o nim myślisz. Wiem to aż za dobrze.

— Moje dziecko — powiedziała matka — czy nie możemy przynajmniej spróbować...

— Nie — odrzekła Helga miękko, niemal pogodnie. — Dla mnie ojciec jest kimś innym niż dla ciebie.

— Pan dyrektor Fein — poinformował swojego szefa Wamsler — opuścił naszą firmę o zwykłej porze, zaraz po zakończeniu pracy, ale nie ma go jeszcze w domu.

Paul Plattner zmarszczył czoło. — Czy ma pan pojęcie, gdzie się mógł zatrzymać? Jeśli pan wie, niech pan powie otwarcie.

— Kto to może wiedzieć? — powiedział ostrożnie Wamsler.

— A co pan przypuszcza? — nalegał Paul Plattner.

— No cóż, chyba jest w tym jakaś kobieta. Chyba.

— Jaka?

— Nie wiem, jeszcze nie wiem.

— Czy może pan się dowiedzieć? Niech się pan postara! Mogłoby się to panu opłacić. Chyba nie muszę niczego dodawać. A teraz niech pan powie, żeby tu przyszedł Jo-nass. Niech pan go znajdzie, bez względu na to, gdzie jest. To nie szkodzi, że czas pracy się już skończył.

Z dochodzeń policji kryminalnej, dotyczących domu przy ul. V nr 33:

„Właściwie to, co zawsze: lokatorami są przedstawiciele klasy średniej i wyższej klasy średniej. Na parterze mieszka dwóch lekarzy: laryngolog i lekarz chorób skórnych. Następnie wyżsi urzędnicy: trzech ekonomistów, jeden agent ubezpieczeniowy, dwóch prokurentów bankowych. Ponadto emerytowany profesor, wdowa po młodo zmarłym malarzu impresjoniście, para poetów, należących do grupy Tukan.

Ta osoba mieszkała na szóstym piętrze. Z zawodu modelka. Wymiary: obwód biustu 95 cm, talia — 63 cm, biodra — 95 cm. Za kilka dni skończyłaby trzydzieści lat”.

Podobna do klaczy kobieta, którą Harald Fein zobaczył po raz pierwszy przed jakimiś dwoma czy trzema tygodniami, zaczęła coraz bardziej zaprzętać jego myśli. I to nie tylko dlatego, że go kusiła wiele obiecującą możliwością

oddania się, do czego w skrytości ducha tęsknił i o czym marzył.

Miał żywą wyobraźnię także pod tym względem. Przeżył wiele rozczarowań, dręczył go kompleks nie spełnionych pragnień i coraz bardziej przemożne pożądanie. Wydawało mu się, że ta wspaniale prymitywna kobieta może przynieść wybawienie, a przynajmniej złagodzenie. Ale cóż — nie tylko jemu!

Tymczasem zdążył się już dowiedzieć, że miała zwyczaj z pewną regularnością — jak gdyby i ją obowiązywały stałe godziny pracy — wstępować około ósmej wieczorem do baru *El Dorado*, znajdującego się na rogu ulicy.

Tam zjadała — jak gdyby w przerwie między dwoma zmianami — trzy jaja na szynce i wypijała kieliszek szampana. A zatem wzmacniała się, żeby być gotową na przyjęcie swoich dalszych gości.

Pies Anton siedział z otwartymi oczami, z głową na oparciu przedniego siedzenia. Sprawiał wrażenie gotowego do skoku, jakby chciał demonstrować czujność, chociaż, niestety, w danym momencie nie zwracano na niego specjalnej uwagi. Patrzył na drzwi wejściowe do domu mieszkalnego, za którymi, unikając światła, stał jakiś człowiek. Po prostu stał. Długo.

A Harald Fein nastawił radio na cały regulator, aby posłuchać informacji i komentarzy na temat aktualnych wydarzeń i w miarę możliwości rozerwać się trochę.

Spiker informował:

„Prezydent — przypuszczalnie Stanów Zjednoczonych — jest bardzo poważnie zaniepokojony...”

„Prezydent — tym razem prawdopodobnie inny, na przykład któregoś z krajów arabskich lub Afryki Środkowej — oświadczył, że jest zdecydowany bronić praw, honoru i wolności swojego narodu...”

„Prezydent — znowu inny, tym razem jednak zajmujący się sprawami Niemiec Federalnych, specyficznie monachijskimi, mianowicie przedolimpijskimi — stwierdza z naciskiem, że zwiększenie wydatków o czterdzieści osiem

milionów marek nie jest bynajmniej błędnym posunięciem, lecz raczej..."

.....nie można było oczekiwać... aktualna koniunktura... siłą rzeczy..."

— Cóż to za świat! — roześmiał się Harald Fein i zamknął radio. — Bezwstydnie zakłamany i pełen idiotów, którzy nie tylko chętnie wierzą we wszystko, co cieszy ich infan tylne serca, lecz także są gotowi dać się za to zabić! A na wet jeszcze za to płacą.

W ostatnich czasach wciąż przyłapywał się na tym, że mówi głośno do siebie. Czynił to jednak tylko wówczas, gdy miał przy sobie swojego psa. Anton stał się jego słuchaczem. Wydawało się przy tym, że nadstawiał uszu, nasłuchując. Wydawało się, że wszystko rozumie.

— Pieniądze i żądza — powiedział Harald Fein do Antona, spoglądając w górę na szóste piętro. Paliło się tam teraz przyćmione, czerwone światło, rozplywające się miękko w ciemnościach. — Żądza pieniędzy i pieniądze na zaspokojenie żądy. Wir, którego mało kto jest w stanie uniknąć, chociażby nawet nie chciał się dać wciągnąć. Ale ja chcę! Nareszcie chcę. Rozumiesz?

Pies tymczasem położył się znowu na tylnym siedzeniu i kiwał zajadle głową. Ale tylko dlatego, że chciał polizać przednie łapy. Potem zaczął znowu obserwować człowieka stojącego w cieniu za drzwiami.

Paul Plattner przyglądał się nie bez przyjemności stojącemu przed nim Joachimowi Jonassowi, drugiemu dyrektorowi przedsiębiorstwa. — Mój drogi, wygląda pan po prostu atrakcyjnie.

— Dla dobra naszej firmy — zapewnił szefa niemal uroczyście Joachim Jonass. Miał na sobie rdzawy, aksamitny smoking; zaopatrywał się u *Cardina* w Paryżu. — Proszono mnie, żebym towarzyszył pańskiej córce na pewnej imprezie dla wtajemniczonych: *London Pub* obchodzi trzecią rocznicę swojego istnienia.

— Jest to na pewno rzecz godna uwagi — powiedział Paul Plattner pobłaźliwie. — Ale nasza placówka budowlana numer czternaście również zasługuje na uwagę. A tam się wszystko wali! To, co się tam dzieje, mogę nazwać jedynie działaniem na szkodę firmy.

— Którego jednak mnie pan zarzucić nie może.

— A więc komu? Może Feinowi?

— W każdym razie nie mnie; to nie mój resort. Pozwolę sobie zresztą zauważyć, że mnie by się nic takiego nie zdarzyło. Robię, co mogę.

— Także w sprawach dotyczących mojej córki?

— We wszystkich sprawach, panie Plattner.

— No dobrze, od dziś zajmie się pan także placówką numer czternaście. Wszystko inne może poczekać, w tym wypadku także moja córka.

— Przygotowałam martini — powiedziała zapraszająco Hilda Fein do swej przyjaciółki Melanii Weber, którą gościła w swojej willi w Monachium-Harlaching. Extra dry! Lubisz to, prawda?

— Nie tylko to — powiedziała Melania Weber, sadowiąc się wygodnie w fotelu. — Lubię po prostu wszystko, co pasuje do naszego świata. Wszystko, co utwierdza nasze znaczenie. Szkoda Haralda; czy naprawdę spisał go na straty? Zupełnie?

— W gruncie rzeczy wcale nie jest jednym z nas — stwierdziła rzeczowo Hilda Fein. — Sądzę, że zgadzamy się co do tego?

— Definitywnie?

— Czyż nie, Melanio? A może znowu się nim interesujesz?

— W każdym razie, moja droga Hildo, wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego właściwie wyszłaś za niego za mąż?

— To było przed bez mała dwudziestu laty! Mój Boże, Melanio, ile rzeczy zdarzyło się od tego czasu!

— A tak naprawdę: jakich rzeczy?

— Czy musimy o tym mówić? — Hilda wypila łączywie swoje martini. — Dotychczas tego nie robiłyśmy, więc po-

zostańmy przy tym. Wystarczy chyba to, że jesteśmy, i że jest to wszystko, co do nas należy. Wyłącznie do nas.

— Jakąż to prawda, Hildo, gołąbku, kochanie! — Melania Weber ujęła czule dłonie przyjaciółki. — Żaden mężczyzna nie zasługuje na to, żebyśmy się nim bliżej zajmowały. Harald Fein także nie. I Jonass także nie, prawda? A może się mylę?

Człowiek, który stał w cieniu, w korytarzu domu przy ulicy V nr 33, był wysoki i szczupły. Miał bladą twarz, która wydawała się świecić w ciemności. Nie można było rozpoznać jego rysów.

Stał i patrzył na ulicę. Godzinami. Gdy ktoś zbliżał się do domu — cofał się. Gdy ktoś wchodził do domu — znikał w piwnicy. Bezgłośnie, jakby miał buty na gumowych podszewkach.

Gdy był znowu sam — podchodził do drzwi i patrzył na zegarek.

Potem zapisywał coś gorączkowo w swoim notesie — zaledwie dwa, trzy słowa, albo liczby. Albo jakieś nazwisko. A może tylko hasło.

Potem znowu znikał w cieniu.

Nazywał się Penatsch.

Nie ulegało wątpliwości, że ulica V, przy której znajdował się rzeczony budynek nr 33, nie leżała na bezpośredniej drodze Haralda Feina do domu.

Poza tym nie było tam żadnego nieuniknionego rozgałęzienia ulic ani też żadnego objazdu. Dom jego bowiem, a mówiąc ściślej: willa jego żony leżała na trasie do dzielnicy Grunwald. A jego biuro, czyli — znowu gwoli ścisłości — biuro firmy budowlanej *Plattner*, zatem biuro jego teścia, znajdowało się przy Marienplatz, dokładnie naprzeciwko ratusza; osiem pomieszczeń na trzecim piętrze.

Jednakże to było Monachium: uznane za światowe miasto z sercem, najdroższe miasto drogiej Republiki Federalnej, „tajna stolica Niemiec”, „miasto, w którym zaczynają się Bałkany”, miasto browarów, piwiarni i festynów październikowych, miasto, które stać było na Schwabing, na imperium

koncernu *Wienerwald*, na dworskie intrygi w ogródkach kawiarnianych, na bunty studenckie i teatry kameralne plus eksperymentalny teatr przestrzenny.

Sumując: niesłychanie eleganckie miasto. Dosyć tu miejsca — także dla superkapitalistów i kryminalistów z towarzystwa; dosyć miejsca na demonstrowanie podbrzusza, nazywanego sztuką filmową, i na wszelkiego rodzaju oszalamianie się: pięknym Konsulem, luksusową speluną grubego Alexa, łagodną Iris i aksamitnym Abim... W tym mieście uważano za światowca pewnego Jamesa, zwanego także „sir James”. Było to równocześnie miasto, w którym Sigi Sommer pisał swoje zjadliwe humoreski, w którym powstawały uszczypliwe, zdumiewająco trafne rysunki Ernsta Marii Langa, w którym napominał ludzi cicho, lecz wytrwale Erich Kastner, w którym uśmiechał się mądrze i tajemniczo Heinz Ruhmann, w którym Therese Giehse spoglądała z coraz większą wściekłością i w którym rozbrzmiewał głośny i niski śmiech Hannę Wieder.

Było to także miasto, w którym buntowała się część młodzieży, znikoma część, ale na szczęście buntowała się głośno. Bez widocznej wytrwałości, ale zawsze z radością. Aby następnie — na to przynajmniej wyglądało — poświęcić się innym uciechom: zapamiętałej paplaninie w swych studenckich „chatkach” i wdychaniu słodkiego zapachu chorego świata — haszyszu.

W ciągu jednego roku policja zarekwirowała w tym mieście i jego najbliższej okolicy pięć cetnarów narkotyków. Jeden ze speców policji kryminalnej oświadczył, że jest to „prawdopodobnie znikomy procent tego towaru, jaki znajduje się na tutejszym rynku”. Nawet dzieci szkolne zaczęły wdychać haszysz, i to także w osiedlach, położonych na najdalszych peryferiach miasta. Ten nałóg włączył je wreszcie do miejskiej wspólnoty.

To, że ten kocioł czarownic nie wykypiał, ani też po prostu nie eksplodował, można było zawdzięczać — jak się wydaje — jednemu jedyemu człowiekowi: burmistrzowi tego miasta. Jednakże opisywana tu afera przysporzyła i jemu poważnych kłopotów. Przy czym z całą pewnością można założyć, że jego przeciwnicy polityczni i inni modlili

się właśnie o coś takiego. W tym mieście było zawsze pod dostatkiem kościołów.

Inspektor policji kryminalnej Feldmann, w wiele dni później, podczas jednego z pierwszych oficjalnych przesłuchań:

„— Panie Fein, ile czasu zużywa pan na drogę z domu do biura lub odwrotnie?

Harald Fein: — Jakiś kwadrans. Ale tylko podczas normalnego ruchu. W tak zwanych godzinach szczytu (a może właśnie ruch w tym czasie należałoby nazwać normalnym) potrzeba mi pół godziny albo i więcej.

Inspektor: — Pracę w biurze rozpoczyna pan koło dziewiątej rano. Kiedy pan ją kończy?

Harald Fein: — To zależy. Oficjalnie około piątej po południu. Ale często się to bardzo przeciąga. Zdarza się czasem, że przychodzę do domu dopiero koło północy.

Inspektor: — Czy także wówczas, gdy wychodzi pan z biura już przed osiemnastą?

Harald Fein: — A dlaczegoż by nie? Ostatecznie mogę chyba dowolnie rozporządzać swoim czasem. Czyżbym się mylił?

Inspektor: — Oczywiście, na ogół tak. To zależy!

Harald Fein: — Od czego, jeśli mi wolno zapytać?

Inspektor: — No cóż, od tego, na co pan poświęca ten czas".

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera, pierwsza notatka w tej sprawie:

„Dni, które mam jeszcze do przeżycia, wydają się monotonne i podobne do siebie jak zwłoki, z którymi — jako funkcjonariusz komisji kryminalnej — mam stale do czynienia.

Zwłoki we wszystkich możliwych pozycjach: wyprostowane, skurczone, siedzące, wiszące, leżące na brzuchu.

Zwłoki we wszystkich możliwych miejscach: na łóżku, obok łóżka, pod łóżkiem, na oknie, na klatce schodowej, w toalecie, w aucie, na środku ulicy, pływające w rzece. Zwłoki, którym zadano wszelkie możliwe rany lub które okaleczono na różne sposoby: odcięte członki, głowy, rozprute brzuchy i tak dalej, i tym podobnie. Wszystko to jest dla nas rzeczą zwyczajną. Rutyną. Takie sprawy załatwiamy w oparciu o precyzyjnie wykoncypowane formularze. Wypełniamy ich około tysiąca, albo i więcej, w roku.

Mimo to, niekiedy zdarza się coś, co wydaje się przełamywać tę nużącą praktykę. Na przykład wówczas, gdy kolega Braun obwieścił głośno i z nadzieją: ((Nareszcie złowiłem naprawdę grubą rybę!))

Mówiąc te słowa miał na myśli niejakiego Haralda Fe-ma .

Stwierdzenia, oświadczenia, przypuszczenia Wamslera, pracownika firmy „Plattner — Roboty budowlane naziemne i podziemne”, wyrażone w poufnej rozmowie z pewnym funkcjonariuszem policji kryminalnej:

„— Pamiętam bardzo dobrze, co się działo piętnastego września w głównym biurze firmy przy Marienplatz. Dlaczego? No cóż: moja kochana, dobra żona, która ledwie może podnieść tę swoją tłustą dupę i ma brzuch jak japoński zapaśnik, obchodziła w tym dniu urodziny. Nie chciało mi się wracać do domu. Tym bardziej że czekałem na starego, czyli na szefa, na pana Plattnera. Od wielu już lat pełnię u niego funkcję kogoś w rodzaju męża zaufania. On wie, na kim może polegać — pod każdym względem, ale to pod każdym. Wielu mi tego zazdrości. W każdym razie tego wieczoru była grubsza draka. Plattner przyszedł z miasta dopiero po zakończeniu pracy — gdy wszyscy już zwiali. Z wyjątkiem mnie. Zaczęło się od tego Feina. Jak tylko nie było starego, czyli szefa, to jego zięć wychodził z biura punktualnie co do sekundy. A reszta w parę minut później. Plattner, który poza tym jest bardzo spokojny, aż kipiał ze złości! Kazał mi szukać Feina — ale nie mogłem

go znaleźć! Musiał więc przylecieć Jonass. Stary wymyślił mu robotę, i to jaką! Potem chciał widzieć Wagnersberger, pierwszą sekretarkę. Była gdzieś w kinie. A pięknej Uschi, jej zastępczyni — pod każdym względem — też nigdzie nie było. Ale stary szalał! Potem pytał o wnuczkę Helgę. Ma do niej specjalną słabość. Ale i ona gdzieś latała. «To się musi zmienić!» krzyczał i walił ręką w stół. A ma siłę, wciąż jeszcze. Jak byk. Eleganckiemu człowiekowi nie powinno się robić takich kawałów. A wszystkiemu był winien Fein. Ale to był dopiero początek. Zakończenie poznaliśmy wkrótce!"

— On postępuje zupełnie nieodpowiedzialnie — powiedziała Hilda Fein, odkładając słuchawkę. Miała na myśli męża. Była zmartwiona. — Włóczy się nie wiadomo gdzie, a Jonass musi za niego pracować.

— No to wreszcie mamy czas dla nas — powiedziała, przeciągając się, Melania Weber. — A to zdarzało się ostatnio bardzo rzadko, Hildo, mój gołąbku. Mam na myśli ostatnie miesiące, jeśli nie lata!

Siedziały tuż przy sobie w salonie willi rodziny Fein, w Monachium-Harlaching. Piły już trzeci kieliszek martini, extra dry. Ich kunsztownie umalowane twarze zaczynały się błyszczeć.

— Co zrobimy, skoro Jonass nie może przyjść? — W tym momencie było to największe zmartwienie Hildy.

— Gdybyś koniecznie chciała, mogłybyśmy pójść i bez niego na jubileusz *London Pub*. Ale, o ile cię znam, nie zechcesz, ze względu na ojca. Jego zdaniem wszystko należy traktować jak najbardziej serio. Każdą bzdurę!

— Bo on wie, czego chce. A ja chcę tego samego, co on. Jestem przecież jego córką.

— Ale także żoną Haralda! — Melania popatrzyła badawczo na swoją najbliższą przyjaciółkę. — Czy naprawdę nie można pogodzić interesów ojca z interesami twojego męża? Wciąż jeszcze nie?

— Coraz mniej — wyznała Hilda. — A dzisiaj sama już nie wiem, jak w ogóle mogło do tego dojść. Dziewczęca lekko-myślność. .. być może. Pierwsza bezsensowna namiętność...

być może. Był wówczas taki natarczywy! Wydawało mi się to wówczas głosem natury...

— Czując go nad sobą zapomniałaś o mnie! — Styl Melanii dowodził, że nieobca jest jej kultura lansowana przez tygodnik *Jaśmin*.

— Wyjechałaś na dłuższy czas, Melanio, i czułam się samotna. On to wykorzystał. Zaczęło się w jakiejś kawiarni na Feilitzschplatz; piliśmy dość ordynarne trunki. Podniecał mnie systematycznie, potem zaciągnął do swojej nory, i stało się. A potem spodziewałam się dziecka.

Z reportażu pewnego reportera, piszącego na łamach „Morgenzeitung”, w skrócie „MZ”, o życiu wyższych sfer, podpisującego się „Argus”. Człowiek ten ma na imię Udo. Udo Argus o Hildzie Fein:

„Dama z naszego najlepszego towarzystwa. Jej krawiec: firma *LeTrange* w Paryżu. Jej fryzjer — również w Paryżu — *Robert*. Dodatki z Londynu, Carnaby Street, *John Mc'John*. Czasem także od *Bessie Becker* z Monachium.

Bierze całym sercem udział w każdej najnowszej atrakcji naszego miasta! Tak było, na przykład, podczas otwarcia baru *Atlantyk*, gdzie za kryształami kłębiły się prawdziwe rekiny; tak było także w termach rzymskich, gdzie kamienie posadzki, sprowadzone z południowych Włoch, były zwilżane prawdziwą wodą z Tybru, a w toaletach wisi papier przetykany złotem; tak było wreszcie w luksusowej spelunie *Alexa*, gdzie prawdziwą szkocką whisky serwuje się wyłącznie z prawdziwą wodą ze Szkocji — jak to zresztą ma także miejsce u sir Jamesa.

Jako się rzekło: światowa dama! Jednakże w ostatnich czasach bardzo rzadko towarzyszy jej mąż, prawie zawsze natomiast — *Melania Weber*. Ostatnio także *Joachim Jo-nass*, bliski współpracownik jej męża.

Krótko mówiąc: jest to kobieta, której nie można nie zauważyć. Podobno nawet *Sybilla*, która jest nie tylko publicystką *Sterna*, lecz także należy do możliwych świata prasy w tym mieście, uśmiechnęła się do niej nader wymownie

podczas pewnej bardzo ważnej imprezy, mianowicie podczas uroczystości z okazji zdobycia niemieckiego pucharu przez jedną z monachijskich drużyn piłki nożnej.

Ale — jak zaznaczyłem — ostatnio otacza ją powiew melancholii".

Po pogrążonej w nocy ulicy V zataczał się jakiś człowiek: mała, zgarbiona postać, otulona w obszerną pelerynę. Zatrzymał się w pobliżu mercedesa, w którym siedział Harald Fein. Wydawało się, że otepiąłem wzrokiem patrzy na rynnę.

Dał się słyszeć plusk.

— Przecież nie musi pan tego robić koniecznie tutaj! — zawołał Harald Fein przez otwarte okno samochodu. — Czy nie może pan się wysuszać gdzie indziej, prosiaku!

— Sam jesteś świnia! — wykrzyknął człowiek, wycofując się gorączkowo. — Pan pewnie chciał się przyjrzeć, jak to robię, co? A to pan z takich!

Anton zaczął wściekle ujadać. Czynił to chętnie, gdy siedział za plecami swojego pana. W ten sposób z radością demonstrował odwagę — ostatecznie nie był głupim psem. O tym, że faktycznie był małym, niesłychanie dzielnym stworzeniem, sam jeszcze nie wiedział. Wkrótce jednak miało się to okazać.

— Jeśli o mnie chodzi — zapewnił świntucha ze śmiechem Fein — może pan sobie ulżyć zawsze, gdzie i kiedy przyjdzie panu na to ochota, tylko niekoniecznie na mój samochód, jeśli mogę o to prosić.

Fragment rozmowy wyjaśniającej, przeprowadzonej tym razem między komisarzem policji kryminalnej Braunem a niejakim Franzem Baumholderem, w celu przygotowania dalszych przesłuchań:

„Komisarz policji kryminalnej Braun: — A więc, Franz, strzelaj, tylko nie Panu Bogu w okno. Wiesz przecież, że byle gadanina nie wystarczy. Znamy się dobrze.

Baumholder: — Co chce pan wiedzieć, panie komisarzu?

Komisarz Braun: — Późnym wieczorem piętnastego września zatrzymał cię patrol policyjny na ulicy V. Co tam robiłeś? Czy chciałeś znowu trafić przez omyłkę do jakiegoś samochodu, tym razem do mercedesa?

Baumholder: — Ja się bardzo zmieniłem, panie komisarzu! Kradzieże mnie nie bawią. Teraz, że się tak wyrażę, trudnię się protestowaniem. W konstytucji jest przecież napisane, co wolno. Niektórzy nawet za to płacą, za noszenie plakatów i tym podobne rzeczy. Bo poglądy zaczynają się opłacać! Raz przeciw, a raz za! Skoro każdy ma prawo do wyrażania swoich poglądów... W każdym razie zeszłej soboty rano nosiłem po mieście transparent z napisem: «Pamiętajcie o Wietnamie!». A wieczorem: «Chodźcie do Feminy.»

Komisarz Braun: — Przestań pleść trzy po trzy, Baumholder! Powiedz mi: co to było niedawno z tym mercedesem?

Baumholder: — No cóż, obsiusiałem go. To też był rodzaj protestu. To znaczy: nie nasiusiałem bezpośrednio na niego, tylko przed nim. Żeby sprowokować tego faceta, co siedział w środku. Bo to był łajdak.

Komisarz Braun: — Kto taki?

Baumholder: — Łajdak. Świnia. Jeden z tych, co się kryją w ciemności i czyhają. Także na siusiąjących ludzi, ale najczęściej na całujące się pary. To ich podnieca!

Komisarz Braun: — O tym, Baumholder, porozmawiamy trochę dłużej".

Z notatek komisarza policji kryminalnej Kellera, w tej samej sprawie:

„Siedzę w jednym pokoju z kolegą Braunem i z pięcioma innymi. Ale nie ze względu na ścisłą współpracę, lecz z braku miejsca. Każdy więzień ma do dyspozycji więcej miejsca niż funkcjonariusz policji kryminalnej.

Wszyscy pracujemy w zespole do spraw ciężkich przestępstw kryminalnych, nazywanym potocznie referatem morderstw. W samym tylko naszym prezydium, położonym między Stachusem a Marienplatzem, można by w każdej chwili zorganizować osiem takich referatów. Jednym

z nich kieruje Braun. Ja nie należę do żadnego z nich — już od paru lat. Jestem, jak już powiedziałem, zatrudniony jako funkcjonariusz do ustalania przyczyn zgonu w wypadkach śmiertelnych.

Praktycznie oznacza to, że z jednym lub z dwoma pomocnikami mam się zawsze pojawiać tam, gdzie ktoś znajdzie jakieś zwłoki: takie, które przypłynęły z prądem, ludzi otrutych gazem, zabitych podczas bijatyki i wszelkich innych, którzy stracili życie w jeden z tych codziennych okropnych sposobów. Na dłuższą metę jest to męczące i nudne.

Bo «ustalenie przyczyn zgonu» jest czymś w rodzaju sporządzenia ekspertyzy. Oglądamy wszystkie zwłoki, w wypadku których mogłoby zaistnieć podejrzenie, że nie zostały one wyprodukowane w «normalny» sposób — czyli na skutek chorób lub przez lekarzy. Wówczas stwierdzamy: wypadek, samobójstwo, normalna śmierć, albo — możliwość zabójstwa, jeśli nie morderstwa. W tym ostatnim wypadku sprawę przejmuje jeden z naszych zespołów; o tym, który — decyduje odnośny naczelnik wydziału, albo ustala się to na podstawie planu organizacyjnego. My zaś jedziemy do następnych zwłok.

Zawsze korzystam chętnie z każdej okazji, żeby oderwać się od tej głupiej roboty. Zwłaszcza gdy jakąś sprawę prowadzi mój kolega Braun. Jest on niesłychanie ruchliwy, cechuje go niepohamowana żądza przeżyć. Jest zdania, że każda sprawa, którą się akurat zajmuje, musi mieć w sobie «coś». Właśnie dlatego, że on się nią zajmuje.

Mogą z tego wyniknąć rzeczy nader godne uwagi. Bo Braun umie się posługiwać w efektowny sposób czarno--białymi farbami. Tak się dzieje również w sprawie Haralda Feina".

Stenogram informacji udzielonych przez nadkomisarza policji kryminalnej Dürrenmeiera dziennikarzowi z gazety „München am Mittag”, w skrócie „MAM”:

„Nasi funkcjonariusze są ciężko pracującymi ludźmi. Są przeciążeni i za mało im się płaci. Przeważnie pracują nad

sześcioma sprawami równocześnie. Dlatego nikt nie powinien się dziwić, jeśli czasem zdarzają się wypadki — są one zresztą stosunkowo rzadkie.

Co zaś się tyczy naszego komisarza policji kryminalnej Kellera — bo to zdaje się pana szczególnie interesować — to ten bardzo przez nas ceniony kolega, fachowiec 0 niesłuchanie wysokich kwalifikacjach, był przez wiele lat kierownikiem referatu specjalnego i referatu morderstw. I odnosił wielkie sukcesy.

Wciąż jeszcze jest naszym najlepszym pracownikiem — a przynajmniej jednym z najlepszych. Mamy wielu znakomitych pracowników. Musimy ich wykorzystywać efektywnie. A pan Keller wyspecjalizował się w ustalaniu przyczyn śmierci. W tej dziedzinie nic nie ujdzie jego uwagi! Pod względem fachowym przewyższa wielu lekarzy sądowych.

Wiadomo mi naturalnie, że mówi się czasem, iż kolega Keller, kiedy był jeszcze kierownikiem zespołu do spraw morderstw, wykraczał, że się tak wyrażę, poza ramy swoich kompetencji. Na przykład wtedy, gdy podejrzewał jednego z ministrów bawarskich o udział w czynach kryminalnych. Oczywiście, to się może także zdarzyć; trzeba jednak mieć na to niezbite dowody. Wówczas ma się prawo do takich podejrzeń, prawda?

Ale zapewniam: Keller nie jest bynajmniej od niczego odsunięty czy wręcz wyłączony! Został jedynie zatrudniony zgodnie ze swymi kwalifikacjami. I siłą rzeczy ktoś musiał po nim objąć kierownictwo zespołu do spraw morderstw. Objął je komisarz Braun".

Harald Fein, siedząc w swoim mercedesie, palił papierosa. Był to pięćdziesiąty trzeci papieros tego dnia. Fein przyznawał sobie prawo tylko do czterdziestu — a i to było o wiele za dużo w stosunku do tego, na co mu pozwalał jego lekarz.

Jego lekarz, który był równocześnie lekarzem jego żony! Zupełnie możliwe, że przepisywał to, co Hilda, jego żona, uważała za słuszne: świadomą abstynencję pod każdym względem: mało palić, chudo jeść, ani kropli alkoholu!

A zatem lekarz, który wiedział, czego od niego oczekiwano. Opiekował się nie tylko Haraldem Feinem, jego żoną i dziećmi, lecz także teściem, panem Plattnerem. I ten ostatni wypłacał mu honoraria, przypuszczalnie bardzo hojne.

Pojawiał się zawsze, gdy zakaszało któreś z dzieci, gdy Hilda czuła się niedobrze i skarżyła się na bóle głowy, gdy Plattner zapragnął zastrzyków hormonalnych, gdy Harald leżał pijany gdzieś w kącie, a święto rodzinne nie mogło się bez niego obejść!

A pewnego dnia zjawił się i powiedział: „Panie Fein, grozi panu niebezpieczeństwo!”

Mój Boże, i komu to mówił!

Informacje inżyniera Alfreda Roseneggera na temat firmy „Plattner”, Harald Feina i innych szczegółów, związanych z budową nr 14:

„— Budowa oznaczona zgodnie z rutyną numerem czternastym znajdowała się nieco poza obrębem Monachium. Był to nowy most na Izarze, o szczególnie pięknej konstrukcji. Zaprojektował go Harald Fein. Byłem kierownikiem tej budowy. Jak zawsze w wypadku takich obiektów, centralne biuro firmy sprawowało nadzór techniczny, decydowało o sprawach personalnych i dostarczało materiału. Ale tym razem kompetencje w widoczny sposób krzyżowały się ze sobą. Harald Fein był odpowiedzialny za budowę, ale decydował przeważnie Jonass. Komplikacje były niemal nieuniknione. Jednak tym razem przekroczyły wszelką miarę. Personel, który przydzielił mi Jonass, był co najwyżej drugorzędny. Było tam sporo awanturników i notorycznych pijaków. A odpowiedzialny za naszą budowę magazyn firmy Plattner «Zachód» nie dostarczał materiałów wystarczająco szybko, a jeśli ich już dostarczał, to niezupełnie zgodnie z zamówieniami. Możliwe, że odpowiedzialność za to ponosi Pollock, portier tego magazynu, który był równocześnie upoważniony do wydawania poleceń; do niego napływały wszystkie zamówienia i on przekazywał je dalej. Nasze zamówienia przekazywał z wyraźnym opóźnieniem.

Wiemy przy tym, że wyszukał go i zatrudnił Jonass — lub podległe mu biuro. Nie było to wymierzone przeciwko Fe-inowi — w każdym razie nie rzucano się to wyraźnie w oczy. Ale w efekcie tak się wydawało. I jestem pewien: Fein się nawet tego nie domyślał. Pracował nad swymi projektami. Moim zdaniem były znakomite. Ale wyglądało na to, że w firmie rozpoczęło się coś w rodzaju nagonki na niego. Można to było zauważyć nawet z perspektywy budowy numer czternaście. Niektórzy nazywali biuro centralne areną walki hien! A Fein był kimś w rodzaju owieczki — może właśnie kozłem ofiarnym".

... tak powiedziała Hilda Fein, lat 38, do swojej przyjaciółki, również 38-letniej, Melanii Weber, w poufnej rozmowie:

— ...systematycznie mnie wyzyskiwał. Zrozumiałam to nagle. Należało więc chyba wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. Miarka się przebrała, i ty, Melanio, wiesz o tym najlepiej.

Melania Weber do Hildy Fein: — ...współczuję wam obojgu! A przy tym, przynajmniej przez pewien czas, żyliśmy we trójkę bardzo zgodnie. Ale skoro, jak przypuszczam, chcesz mnie zmusić do podjęcia decyzji, to się nie będę uchylać, chociaż mi przykro. Bo cię kocham, wciąż jeszcze, mój gołąbku!

Hilda Fein: — Był jednak czas, kiedy Harald się wahał, kiedy się nie mógł zdecydować, czy wybrać ciebie, czy mnie.

Melania Weber: — I wybrał ciebie. Pozwoliłaś mu na to, żeby ci zrobił dziecko. W ten sposób zakończyły się zawody. Aż do momentu powstania tej sytuacji.

Uwagi Ferdiego Brockmanna, właściciela salonu mody „Ona” w pasażu przy Odeonplatz, o Melanii Weber:

„Czy znam tę pocziwą Melanię, pardon: panią Weber? Od przeszło dwudziestu lat! Była wówczas u mnie model-

ką. Miała zadziwiająco szczupłą, prawie chłopięcą figurę. Najbardziej lubi suknie projektowane przez mnie specjalnie dla niej. Sportowe i niedbałe na dzień, powiewne, jednobarwne, w najwyższym stopniu wyrafinowane na wieczór. Ona jest zawsze bardzo powściągliwa. Mówiąc ściśle: stale się kontroluje, przynajmniej w miejscach publicznych. Pochodzi z dobrej, ale niebogatej monachijskiej rodziny — jej ojciec był, jeśli dobrze pamiętam, profesorem uniwersytetu albo kimś podobnym. Nigdy nie chciała nic innego jak tylko żyć — ale możliwie dobrze. Wyszła za mąż bardzo wcześnie — miała niewiele ponad dwadzieścia lat — za człowieka starszego od niej o ponad trzydzieści lat. Ale co to był za człowiek! To jeden z dwóch braci Weberów. Jeden z nich jest bankierem, a drugi handlarzem dzieł sztuki i wielkim akcjonariuszem. Ten drugi został jej mężem. Urodziła mu syna. Wkrótce Weber ciężko zachorował. Przypuszczano, że to daleko posunięta cukrzyca. Bardzo rzadko pokazuje się publicznie. Ale pocziwa Melania, pardon, madame Weber, pełni za niego obowiązek reprezentacji. I mogę pana zapewnić, że umie to robić".

Harald Fein wpatrywał się wciąż jeszcze w płonące łagodną czerwienią okna na szóstym piętrze domu przy ulicy V nr 33. Wydawało się, że zadaje sobie pytanie: Co też może ona teraz robić?

Ta kobieta, myślał Harald Fein, poruszająca się z wdziękiem klaczy, musi być inna niż kobiety, które znał dotychczas. Przypuszczalnie jest gorącokrwista, ciepła i wilgotna, nalegająca i pełna oddania, pewnie otwiera się szeroko i jęczy...

Anton zaczął warczeć.

— Pan zaparkował w niewłaściwym miejscu — odezwał się ktoś tuż obok Haralda Feina jasnym, bardzo silnym głosem.

Był to policjant o twarzy okrągłej jak księżyc w pełni, gładkiej, jak gdyby była zrobiona z gumy, niemal pozbawionej konturów. Człowiek jak balon. — Czy mogę prosić o pańskie prawo jazdy — ciągnął dalej — i o pańskie papiery?

— Ja nie zaparkowałem tu wozu — powiedział Harald Fein. — Zatrzymałem się tu tylko na chwilę.

— Proszę pana, czy pan przypadkiem nie chce mieć przykrości? — zapytał policjant z nie udawanym zdziwieniem. — Bo jeśli pan koniecznie chce, to może je pan mieć!

Harald Fein wskazał z wyszukaną grzecznością na rząd samochodów, które stały przed nim, na skraju jezdni, przed domem przy ulicy V nr 33. Były tam dwa volkswageny, jeden ford, trzy ople, dwa inne mercedesy, ale zaledwie średniej klasy, oraz srebrnoszary czy też stalowobłękitny jaguar. — A co będzie z tymi tutaj?

— Wszystko po kolei. Niech pan to łaskawie pozostawi mnie. Na razie chodzi o pana. Proszę o papiery!

Notatka posterunkowego Gustawa Penzolda w stale prowadzonym przez niego notatniku:

„Fein, Harald, urodzony 15 marca 1925 r. w Heiligenblut pod Rosenheimem. Zamieszkały w Monachium-Harlaching.

Prawo jazdy: numer, data wystawienia, władza, która go wydała. To samo odnośnie karty pojazdu. Kara.

Wydawało mi się, że należy udzielić Feinowi ostrzeżenia w formie mandatu w wysokości 10 marek. Kara ta została wymierzona na miejscu. Ostrzeżony ją zaakceptował. Wymienioną kwotę pobrano za pokwitowaniem”.

Tego samego dnia na jakąś godzinę przed północą Melania Weber spoglądała ze zmartwieniem na swojego męża.

— Wszystko stało się takie skomplikowane, takie problematyczne! Hilda robi wrażenie zdecydowanej na najgorsze, czułam to niemal fizycznie. Doprowadziła się do takiego stanu, że na nic nie reaguje nawet w połowie normalnie. A może to wyrachowanie? Co chce w ten sposób osiągnąć?

— Trzymaj się z daleka — poradził jej mąż. Leżał w łóżku, na plecach, sztywno wyciągnięty, z rękami przycisnię-

tymi do ciała, z głową opartą na wielkich poduszkach. Oddychał z trudem. Mimo to próbował się uśmiechać. — Zawsze pragnąłem tylko tego, żebyś była szczęśliwa — powiedział z wysiłkiem, ale i z czułością — i właściwie było mi wszystko jedno, dlaczego będziesz szczęśliwa, na skutek czego i przez kogo. Życzę ci wszystkiego, co ci daje radość.

— Dziękuję — powiedziała Melania, nachylając się nad nim i muskając go ustami.

Leżał w jedwabiach. Jedwabieście połyskiwały tapety w sypialni, chiński dywan, pokrycie mebli. Przez szeroko otwarte drzwi widać było łazienkę: kararyjski marmur, weneckie lustra, krany ze złota — dostarczone przez firmę *Obermaier*. W tych dwóch pomieszczeniach spędzał niemal dwadzieścia trzy godziny na dobę.

— Jubileusz *London Pub* był podobno niesłychanie nastrojowy — opowiadała Melania. — James wygłosił jedno z tych swoich pociesznych przemówień, Marianna przeprowadziła wywiad z Kingiem Clerkiem, tym, który nosi najelegantsze garnitury, a Alex zademonstrował nowy taniec. Wszystko to działo się już wczesnym wieczorem. Udo poinformował nas o tym telefonicznie. Hilda była strasznie rozczarowana, że nie mogła w tym uczestniczyć, i ja zresztą także. Wszystko dlatego, że Harald...

— Melanio — powiedział jej mąż, przymykając oczy — możesz sobie robić z Hildą, co chcesz. A także z Haraldem, jeśli z nim można w ogóle coś robić. Ale licz się z Pauliem Plattnerem! Za chęć wkroczenia na jego teren płaci się tak drogo, że chyba nawet nas na to nie stać.

Informacje reportera „MZ”, „Argusa”, o Paulu Plattnerze:

„Plattner to człowiek wielkiej klasy — pod każdym względem. Należy do czołowej setki, a zatem do tych paru dziesiątków ludzi, o których mówi się, że naprawdę rządzą stolicą Bawarii i połową tego kraju. Są to bankierzy, wielcy przedsiębiorcy budowlani, właściciele firm importowo-eksportowych, od nafty i paliw płynnych, właściciele bro-

warów, domów towarowych, sieci sklepów i im podobni. Każdy z nich ma co najmniej trzydzieści milionów prywatnego kapitału.

Do tego Plattnera, który niedawno przekroczył sześćdziesiątkę, należą trzy wielkie przedsiębiorstwa budowlane w naszym mieście: *Plattner* — *Roboty budowlane naziemne i podziemne*, firma *Duhr i Synowie* oraz firma *Moll*. Specjalnością Plattnera są ulice, mosty, tunele. W tej dziedzinie jest absolutnie bezkonkurencyjny. Czasem buduje także wieżowce.

Nie uczestniczy jednak w budowach poniżej Stachusa i Karlsplatzu. Nie wiadomo dlaczego. Przypuszczalnie położono jakąś tamę jego ekspansji w kierunku ratusza. Właściwie miał w tym wypadku szczęście, bo na skutek tego nie można go winić za to, że budowy podziemne w okolicy Stachusa kosztowały tak straszliwie dużo, prawie czterdzieści milionów więcej, niż normalnie kosztować powinny. I wielu dobrze poinformowanych ludzi jest zdania, że gdyby brał w tym udział Plattner, to koszty nie wzrosłyby do tego stopnia, a w każdym razie byłyby znacznie niższe.

Naprawdę szlachetny człowiek! Urodził się w Monachium. Jest synem budowniczego. Już w młodych latach pracował w budownictwie, i to tego. W roku 1945 objął firmę, ponieważ ojciec był członkiem NSDAP. Niesłychanie skutecznie wykorzystał rosnącą koniunkturę.

Plattner należy obecnie do naszych najbardziej szanowanych obywateli: stara się z godnością reprezentować, gardząc wszelką przesadną popularnością. Ale nie brak go na żadnych prawdziwie monachijskich uroczystościach, jak na przykład degustacja mocnego piwa, święto październikowe, karnawał; był honorowym członkiem *Narhalh*, związku kuszników i zrzeszenia *Stara Ojczyzna*. I tak dalej.

Jeden z *przedstawicieli* władz *nazwał* go z okazji jakiejś uroczystości ozdobą naszego kochanego miasta i naszego pięknego kraju".

— A może byśmy spróbowali, mój mały? — zapytał jakiś przesłodzony, sztucznie łagodny głos. — Podobasz mi się!

— Zdaje się, że pani mnie myli z wozem, w którym siedzę; to może wprowadzić w błąd! — Harald Fein przyjrzał się uważnie i bez ciekawości dziewczynie, która go zagadnęła. Anton zawarczał cicho.

Było to lekkie podniecenie, które szybko minęło. Twarz bowiem, która majaczyła w mroku przed Haraldem Feinem, miała ostre, sępie kontury: nawet przy skąpym oświetleniu widać było głębokie bruzdy koło ust, a wymalowane jaskrawą, pomadką usta wyglądały bardzo ordynarnie. Napierające na niego piersi przypominały napęczniałe do ostatecznych granic gąbki, których używa się do mycia karoserii.

Mimo to zapytał uprzejmie, wskazując na dom przy ulicy V nr 33: — Czy pani także tam mieszka?

— Niestety, nie mogę sobie na to pozwolić — odparła z żalem dziewczyna. — Tyle nie zarabiam! Za dobrze pracuję! Jestem zbyt dokładna. Czy chcesz się przekonać?

Harald Fein potrząsnął przecząco głową. Spostrzegł jednak, że nie zauważyła tego. Oświadczył więc uprzejmie: — Nie twierdzę, że jestem w pełni zaspokojony, ale nie chciałbym sobie tego tak bardzo upraszczać.

— Och, mogę ci się postarać o komplikacje — powie działa obiecująco prostytutka. — Musisz mi tylko powiedzieć, co najbardziej lubisz.

Harald Fein rozejrzał się naokoło. Zapadała noc, rozświetlona miastem. Niebo było wciąż jeszcze intensywnie szafirowe. Powietrze wydawało się jeszcze bardziej przejrzyste. Ochłodziło się. Musiało już być około dziewiątej.

— Ja się naprawdę staram dogodzić klientom — powiedziała dziewczyna, stojąc wciąż jeszcze przy jego wozie. W jej głosie dźwięczała prośba, uległość i troska. Zrobiło mu się jej żal. — Powinieneś spróbować, zawsze dotrzymuję słowa, gdy coś przyrzekam.

— Może kiedy indziej.

Harald Fein sięgnął do lewej kieszeni marynarki, wyjął plik banknotów i wręczył jej jeden z nich. — Niech pani to weźmie, powiedzmy jako zaliczkę. Muszę mieć trochę czasu. Ale chyba niewiele.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Dziś — 15 września — był spokojny dzień. Znalaziono tylko trzy trupy. W dwóch wypadkach trzeba było po prostu stwierdzić zgon. W trzecim — było to przypuszczalnie morderstwo, a może zabójstwo w afekcie — powołano mnie jedynie dlatego, że nie można było nigdzie znaleźć żadnego lekarza sądowego.

Bo wykrywanie i ocenianie śladów krwi to jedna z moich specjalności. Znam je wszystkie na pamięć: ślady spowodowane broceniem krwi, jej nagłym wytryskiem, upływem i sączeniem się, a także ślady zatarte. Znam też różne rodzaje zabarwienia krwi, która nie zawsze jest jasnoczerwona. Może mieć także odcień szarawy, zielonkawy, niebieskawy. W zależności od tła wydarzeń, temperatury, narzędzia mordu, czasu, który upłynął od chwili popełnienia zbrodni i poprzedzających ją okoliczności.

To także rutyna. Wezwano mnie, ponieważ właśnie byłem pod ręką. Wziąłem walizeczkę, z którą zawsze udaję się na miejsce wypadku, i pojechałem na ulicę V nr 33, szóste piętro. Ciało było jeszcze ciepłe. Mogłem więc od razu wypróbować najnowszy termometr do mierzenia temperatury zwłok. Jego skala sięga od 0° do 50° Celsjusza. Wskazuje temperaturę z dokładnością od 0,1° do 0,5°. Działa bez zarzutu.

Ale zanotujmy wszystko chronologicznie.

Zwłoki pierwsze: chłopiec, który się utopił w basenie. Był z ojcem, który pracował w ogrodzie pewnej willi. Właściciela nie było w domu. Zauważono, że chłopca nie ma, szukano go i znaleziono na dnie zanieczyszczonego basenu. Próby przywrócenia go do życia nie dały rezultatu. Niezwłocznie zawiadomiono policję. Wypadek.

Zwłoki drugie: kobieta, lat 41. Mieszkała u siostry. Śmierć nastąpiła rzekomo na skutek ataku serca. Lekarz to potwierdził. Po oględzinach nie stwierdzono żadnych obrażeń zewnętrznych. Jednakże po podniesieniu górnej połowy ciała wypłynął z ust i nosa śluz o silnej woni. Prawdopodobnie otrucie. Przypuszczalnie samobójstwo.

Zwłoki trzecie: kobieta około trzydziestki, prawdopodobnie prostytutka należąca do luksusowej klasy średniej W załączeniu szczególnie z kartoteki zabezpieczania śladów, zebranych po większej części przeze mnie".

Melania Weber zapisała tej nocy w swoim pamiętniku:

.... Hilda, moją kochaną przyjaciółką, powiedziała mi:

— Nawet nie wiesz, Melanio, ile się nacierpiałam! Chłopiec przyszedł na świat wkrótce po naszym ślubie, dziewczynka w dwa lata później. A potem umarło wszystko, co nas łączyło. Nie rozumiał mnie — wcale się nie starał mnie zrozumieć. Zajmował się jedynie tym, co go interesowało. Mój świat był mu zupełnie obojętny — i dawał mi to wyraźnie odczuć. Nie miał poczucia piękna ani zmysłu estetycznego, nie miał kultury. Premiery operowe nudziły go, na koncertach zasypiał, przyjęcia go drażniły, jak mówił. A mówił to nie tylko do mnie. Był zawsze wulgarny. Używał nieprawdopodobnych wyrazów. Upijał się — czasami już wczesnym popołudniem. Ogólnie szanowane damy z naszego towarzystwa traktował czasami jak potencjalne prostytutki. Przez pewien czas był prawdziwym alkoholikiem. Mimo to nie chciałam od niego odejść! Ze względu na dzieci — żeby nie zburzyć rodziny. A także ze względu na ojca, który zainwestował w nas wiele: miłość, nadzieję, a nawet interesy. Te ostatnie dlatego, że miał do mnie pełne zaufanie. A więc mieliśmy wobec niego poważne zobowiązania!".

Melania: — A jak często zdradzałaś Haralda?

Hilda: — Jak możesz o to pytać?

Melania: — Ponieważ myślę, że cię znam.

Hilda: — Wiem, że mnie dobrze znasz, lepiej niż ktokolwiek inny. Ale w małżeństwie, Melanio, ma się obowiązki. Zobowiązania! Zwłaszcza wobec mojego ojca...

Melania: — I nie miałaś pokus? Mam na myśli mężczyzn. Czasami trudno ich uniknąć... w pewnych sytuacjach.

Hilda: — No cóż, tak! Miałam pewne pokusy. Ale nie uległam żadnej z nich, jeśli abstrahować od mojej przyjaźni dla ciebie. To zresztą całkiem inna sprawa.

Szczegóły dotyczące „przypadku przy ulicy V nr 33” — zarejestrowane w kartotece śladów — które później znalazły się w zapyiskach komisarza policji kryminalnej Kellera:

„A. Położenie zwłok: w poprzek łóżka — leżące na plecach — nogi zwrócone w kierunku okna — ramiona i dłonie podniesione, jakby w obronie, na wysokość piersi. Strój: czarny szlafrok z jedwabiu — rozpięty, wyłogi i rękawy częściowo uszkodzone.

B. obrażenia zwłok: cios w tył głowy na skutek uderzenia o lewy, zewnętrzny, dolny kant łóżka. Brak śladów krwi, jedynie później nastąpił jej upływ. Rana ciężka, ale nie śmiertelna; możliwe ogłuszenie. Zasadnicza przyczyna śmierci: uduszenie. Wyraźne ślady ucisku w okolicy tętnicy szyjnej, mniej wyraźne w okolicy krtani.

C. Ślady na zwłokach i wokół zwłok: sperma, pot, ślina. Przypuszczalnie sprawca pluł na swoją ofiarę — stwierdzono i zabezpieczono ślady. Ponadto ślady moczu — prawdopodobnie sprawca oddał mocz po popełnieniu zbrodni, co nie należy do rzadkości.

Wszystko to dostarczyło mnóstwa możliwości dowodowych — badano je przez wiele dni w kilku laboratoriach.

Doszło do tego wiele innych śladów, nadających się do zbadania w laboratorium chemicznym i fizycznym. Technicy kryminalni pracowali w miejscu ich powstania.

Decydujące znaczenie będą miały jednak ślady spermy, potu i śliny — jeśli się uda, mimo ich wielkiej liczby, przejrzeć je uporządkować, powiązać z jakimś sprawcą i w ten sposób umożliwić jego identyfikację. Należy przy tym pamiętać, że w wypadku tak zwanych «osób wydzielających» — a należy do nich większość ludzi — można dokładnie ustalić grupę krwi na podstawie spermy, potu i śliny. A mocz może stać się materiałem dowodowym niemal jak odciski palców.

Harald Fein zapalił następnego papierosa — od poprzedniego. Zapalek używał coraz mniej. Bądź co bądź nie brał ostatnio do ust ani kropli alkoholu.

I to już od osiemnastu miesięcy. Nie chciał, nie było mu wolno — pogodził się z tym. Często jednak miał wielką ochotę — na przykład na podwójny koniak, podczas rozmów ze swoim teściem, albo, jak znowu teraz, gdy patrzył na czerwone oświetlone okna tej sypialni, na kieliszek szampana.

Sięgnął do prawej kieszeni marynarki, wyjął pudełeczko z pigułkami i pomknął dwie z nich. Były zupełnie bez smaku, ale otrząsnął się, jakby ogarnęło go obrzydzenie. I siedzący za nim pies otrząsnął się także.

Ruch na ulicy V zamarł niemal zupełnie. Za większością oświetlonych okien, w głębi mieszkań, widać było włączone telewizory: niemieckie społeczeństwo konsumpcyjne patrzyło prawdopodobnie w swoje telewizory marki *Big Wim*, najbardziej obecnie rozpowszechnione mamuty. Byli to ludzie obrośnięci mieszczańskim sadłem, trwający w tępych milczeniu, świadomi tego, że cieszą się powszechną aprobatą. Jeśli przedłużano czas emisji, ludzie ci trawili nadawany program z przyjemnością.

A niebo nad Monachium było wciąż jeszcze rozrzutnie niebieskie — chociaż już się czuło, że wkrótce ten błękit rozplynie się w bladej bezbarwności. Wydawało się, że krzykiem protestu przeciwko temu jest ów elektroniczny hałas, dobywający się z ponad stu płytotek, urzędujących na cały regulator przy ulicy Goethego, na Schwabingu, wokół *Hofbräuhaus*.

Harald przyjrzał się swojej twarzy w lusterku samochodowym. Zobaczył czoło pobrużdżone nie wieloma wprawdzie, ale bardzo głębokimi fałdami; jedna z nich biegła pionowo — jak wykrzyknik — aż do nasady nosa.

Jego szaroniebieskie oczy uśmiechały się smutno. Nos był wydatny. Na ustach, o ładnie zarysowanej górnej wardze, błąkał się cień uśmiechu.

Ten stereotypowy uśmiech stawał się wyraźniejszy, w miarę jak się sobie przyglądał. Uznał, że ta pożałowania godna twarz nie jest pozbawiona komizmu, którego źródłem była pewna bezradność. Właśnie zrozumienie tego faktu umożliwiało wesołość. Pogardzał sobą — nie pasował

do tego świata! Były chwile, w których tego żałował, I równocześnie żałował, że żałuje.

Harald Fein włączył silnik i pojechał do domu.

Anton, pies siedzący za nim, zwinął się w kłębek, aby sobie polizać genitalia. Robił to z pewnym zapalem. Psy mogą sobie na to pozwolić.

Z pierwszych notatek roboczych komisarza policji kryminalnej Brauna na temat Haralda Feina, w związku ze sprawą przy ulicy V nr 33:

„Mercedes 280 SL — postój w pobliżu domu przez jakieś dwie do trzech godzin — sprawdzono znaki rejestracyjne: właściciel pojazdu — Fein Harald.

Pierwsze informacje na temat Haralda Feina: żonaty z Hildą Fein, z domu Plattner; teść: właściciel firmy *Plattner* — *Roboty budowlane naziemne i podziemne*. Dwoje dzieci: chłopiec lat 18, dziewczynka lat 16, uchodzą za źle wychowane. Fein pracuje na kierowniczym stanowisku w firmie *Plattner*; jego miesięczne pobory wynoszą około czterech tysięcy marek — oficjalnie i bez dodatków. Człowiek słabego charakteru; był przez pewien czas alkoholikiem”.

Opinie o komisarzu Braunie — zebrane później przez adwokata Henriego Messera. Wśród nich:

Po pierwsze: wypowiedź niejkiej Herminy Kohl, właścicielki baru „Zum guten Tropfen” przy Elisabethenplatz:

„— Znam dobrze pana Brauna, jeszcze z Berlina, gdzie podczas wojny pracował w obyczajówce. Jego zadaniem było ustalanie naszych dochodów. Bo naziści chcieli nas opodatkować! Wykrył, że wiele z nas, przynajmniej średniej klasy, zarabia do dwustu marek dziennie. A on zarabiał wtedy około pięciuset marek — miesięcznie. Proszę pana, to musi człowieka zdenerwować!”

Po drugie: wypowiedź Siegfrieda Wolfa, niegdyś lekarza, obecnie naukowca, jednego z owych niewielu Żydów, jacy mieszkają jeszcze w Republice Federalnej:

„— Tak, poznałem tego Brauna w 1938 roku. Pojawiał się zawsze, kiedy zanosilo się na aresztowania. Prawie z reguły przychodził dzień przedtem. Ostrzegał nas — pośrednio. Właśnie dlatego żyją jeszcze ludzie, którzy mogą to poświadczyć. Kto nie wziął pod uwagę tego ostrzeżenia, był następnego dnia aresztowany — przeważnie przez oddział mieszany, złożony z gestapo i policji. Braun należał do kierownictwa takiego oddziału. Wykonywał rozkazy, nic poza tym. Jestem tego pewien. I chociaż wiedział zapewne, jaki charakter miały te rozkazy — wykonywał je ze zdumiewającą konsekwencją”.

Po trzecio: wypowiedź Valentina Fischera, byłego głównego komisarza policji kryminalnej na okręg: Berlin-Wiesbaden-Monachium, specjalisty od odcisków palców i dłoni, znawcy wszystkich najważniejszych systemów, obecnie na emeryturze:

„— Gdy słyszę nazwisko Braun, myślę zaraz o jego córce Eryce. Na wiosnę 1945 roku opuściła Brauna żona. Dziecko miało wtedy pięć lat. Zostawiła je u ojca. Troszczył się o nie, jak tylko mógł. Eryka chowała się u niego i u jego matki. Babka zmarła w roku 1957. Gdy Eryka miała blisko dwadzieścia lat, zaczęła się obracać w tak zwanych wyższych sferach. Miała do nich specjalny pociąg. Eryka zaszła w ciążę i poddała się zabiegowi. Potem zniknęła. Nie wiadomo, gdzie się podziała. Podobno widziano ją w Hamburgu i w Rzymie. Mam czasem nieodparte wrażenie, że Braun, mimo nawału pracy, wciąż jej szuka”.

Stwierdzenie policji kryminalnej w aktach dotyczących „zwłok kobiety z ulicy V nr 33, 15 września”:

„Można z niejaką pewnością ustalić czas zgonu wspomnianej osoby: śmierć nastąpiła około godz. 22.00. Może pół godziny wcześniej lub później.

Etatowi pracownicy prezydium policji zajmujący się wykrywaniem przyczyn zgonów dokonali odpowiednich ustaleń za pomocą nowego termometru do mierzenia temperatury zwłok (firmy *Gnäddli and Co* w Zurychu), uwzględniając przy tym plamy na zwłokach, stężenie pośmiertne i ocenę śladów krwi. Wszystkiego tego dokonano w normalnie ogrzanym pomieszczeniu, przy temperaturze 20°C.

Ustalenia te spisane zostały zgodnie z procedurą na formularzach urzędowych, a następnie w pełni potwierdzone przez eksperta z dziedziny medycyny sądowej".

— Gdzie byłeś? — zapytała ostro Hilda Fein wchodzącego do jej domu męża. — A właściwie trzeba by zapytać: gdzie się włóczyłeś?

— Nazywaj to, jak chcesz — powiedział Harald Fein, zagłębiając się w fotelu. Anton wskoczył natychmiast na drugi fotel i rozsiadł się tam w najlepsze. — Gdzie są dzieci?

— Tutaj ich nie ma — odparła Hilda Fein kłótliwie. — Czy to bydlę musi się tu tak pokładać?

— Wolno mu, jeśli chce! Pytałem o dzieci.

— Są zupełnie podobne do ojca: zawsze w drodze! Twój syn płodzi prawdopodobnie rewolucyjne hasła u swoich wątpliwej wartości towarzyszy. A twoja pozbawiona charakteru córka włóczy się z jakąś równie wątpliwej wartości bandą. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby kiedyś przywieziono ją do domu nieprzytomną od narkotyków.

— Och, Hildo — powiedział Harald Fein, patrząc na żonę zmęczonym wzrokiem — po co komu te sztuczne komplikacje? Co się z nami stało?

— Cokolwiek się stało — powiedziała Hilda tonem oskarżenia — to przecież nie z mojej winy.

— Czy naprawdę jesteś tego pewna?

— Absolutnie! Ale w tej chwili interesuje mnie tylko jedno: wyszedłeś z biura parę minut po piątej, a od tej pory minęło już przeszło pięć godzin.

— Czyżbyś mnie śledziła? — zapytał Harald Fein ostrożnie, niemal ze zrozumieniem. — Przypuszczam, że nie od dzisiaj. Co chcesz przez to osiągnąć?

— Chciałeś być w domu na kolacji, kazałam ją przygotować. Po kolacji byłam umówiona z Melanią. Chciałyśmy iść na pewne przyjęcie. Ale nie przyszedłeś i musiałyśmy wszystko odwołać. Gdzie byłeś?

— Melania? — zapytał Fein. — Czy wciąż jeszcze powodzi jej się tak świetnie? Czy można na dłuższą metę znieść taki styl życia, jaki ona uprawia, i się nie udusić?

— Haraldzie — powiedziała Hilda — nie możesz się ze mną tak obchodzić. Nie pozwolę, żebyś mnie traktował jak część swojej własności. Ostatecznie jestem twoją żoną! Jeszcze nią jestem!

— I córką swego ojca, prawda?

— Tak!

— Te nader intymne więzi zawsze mnie interesowały, odkąd poznałem was naprawdę. — Harald Feina znowu coś podkusiło, i uległ tej pokusie. — Bardzo to dziwna sprawa, jedna z tych tajemniczych możliwości ludzkich, które uważam za groteskowe!

— Bądź uprzejmy nie mówić o tym — powiedziała bardzo ostro Hilda. — Nie mieszaj się do spraw, których wcale nie rozumiesz. Zajmij się lepiej swoim psem, ślini mi poduszki!

— Nie rób uników! W wiadomych chwilach wyznałaś mi różne rzeczy. Już jako małe dziecko, ale także jako podłotek lazałaś mu do łóżka, przynajmniej raz na tydzień, w niedzielę przed południem. Przypuszczalnie robiłaś to także później. Tu w Monachium, a także w jego willi nad Tegernsee. Jak długo to właściwie trwało?

— Haraldzie — powiedziała zimno Hilda — nie prowokuj mnie! Nie próbuj przypisywać mi rzeczy, które mogą ewentualnie dotyczyć także mojego ojca. To mogłoby się źle skończyć. Dla ciebie.

— Co może być gorszego niż to, co jest w naszym wypadku?

— Tym razem — rzekła twardo, podnosząc się i patrząc na niego z pogardą — posunąłeś się za daleko. To cię będzie drogo kosztowało!

2

Rozmowa podczas jednej ze zwykłych narad, jakie odbywają się codziennie o godzinie dziewiątej rano w prezydium policji.

Wydział: Ciężkie przestępstwa kryminalne.

Przewodniczący narady: obecny naczelnik wydziału, nadkomisarz policji kryminalnej Dürrenmaier.

Dadkomisarz Dürrenmaier: — A więc nic szczególnego? Komisarz Braun (dobrodusznie): — W każdym razie ja o niczym nie wiem. Nadkomisarz Dürrenmaier: — Czy także w sprawie przy ulicy V trzydzieści trzy?

Braun: — Tam także nie ma żadnych komplikacji! Dürrenmaier (z wyraźną ulgą, ale i z wielką nieufnością, co ostatecznie należy do zawodu): — Naprawdę nie?

Braun: — Wszystko przebiega zupełnie normalnie! Przy- najmniej dotychczas.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Była to normalna w naszym urzędzie impreza poranna. Nadkomisarz z uporem próbował się zabezpieczyć — do czego z pewnością ma prawo. Może było to nawet konieczne — przynajmniej wobec Brauna.

Bo wtajemniczeni znali poglądy i metody Brauna. Był stanowczo za moralnością i porządkiem, za uregulowanymi

stosunkami i jasnymi rozgraniczeniami. Był przeciwko każdemu i wszystkiemu, co wydawało się stawiać pod znakiem zapytania jego pojęcie ładu.

Namiętnie wprost nienawidził płochych dziewcząt lekkich obyczajów i pozbawionych skrupułów ludzi, zarabiających masę pieniędzy. Nie miał zrozumienia dla homoseksualistów i handlarzy narkotyków, dla ludzi przyczyniających się do rozluźnienia obyczajów i dla «apostołów podbrzusza»). Gdyby to od niego zależało, prawdopodobnie zamknąłby z przyjemnością przede wszystkim całą pseudoelitę, której znaczenie sztucznie rozdmuchiwały na łamach gazet niektóre gryzpiórki, a na dodatek zamknąłby tych gryzpiórków — żeby mogli dalej pisać na użytek wewnętrzny.

Na biurku Brauna leżała — zawsze pod ręką — biała kartka z zasłyszaną przez niego kiedyś wypowiedzią byłego szefa Federalnego Urzędu Policji Kryminalnej. Miał on ponoć powiedzieć w kręgu zaufanych osób: «Z naszymi kilkuset tysiącami kryminalistów jakoś sobie poradzimy. Prawdziwy kłopot natomiast sprawia nam ten niecały tysiąc tak zwanych intelektualistów, którzy chcą innym ludziom narzucić swoje chorobliwe kryteria jako wiążącą normę».

Takie rzeczy podobały się Braunowi. Nawiasem mówiąc, mnie także. Chociaż wyciągałem z nich zupełnie inne wnioski.

W każdym razie: teraz on miał głos. Przewidujący i ostrożny Dürrenmaier przydzielił mu inspektora nazwiskiem Feldmann. Był to bardzo trzeźwy praktyk, pozbawiony wszelkich niebezpiecznych ambicji. Człowiek podobny do segregatora na akta. Uznawał tylko to, co można było dokładnie zarejestrować. Moja szkoła!"

Nadkomisarz: — Czy ofiara z ulicy V numer trzydzieści trzy była prostytutką?

Braun: — Tak, chociaż nie była zarejestrowana. Przypuszczalnie wyższa klasa średnia, może nawet niższa warstwa wyższej klasy. Bez mała luksus. Na pół profesjonalistka.

Nadkomisarz: — Czy należała do tych, które działają w szerszych kręgach? Mogłyby z tego wynikać komplikacje, jeśli nie będzie się zrećcznie postępować.

Braun: — Nic na to nie wskazuje.

Nadkomisarz: — Gdyby jednak coś na to wskazywało, proszę mnie natychmiast poinformować. To nie zalecenie, to rozkaz! Unikajmy za wszelką cenę rzucania na żer opinii publicznej pewnych ludzkich czy męskich słabości.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„... .nadstawiłem uszu! Braun bowiem udawał zbyt wielkiego poczciwca. To uderzyło także nadkomisarza, chociaż nie dał po sobie poznać, na ile przejrzał Brauna. W każdym razie Braun bagatelizował wszystkie szczegóły, zapewne dlatego, żeby nie wzbudzać przedwcześnie zainteresowania swojego zwierzchnika. Gdyby groziły komplikacje, nadkomisarz odebrałby mu tę sprawę i powierzyłby ją komu innemu.

Właśnie tego Braun chciał chyba uniknąć. Widocznie zwietrzył coś, co znakomicie pasowało do jego generalnej koncepcji.

Zanosilo się na to, że sprawa ta sprawi nam w urzędzie wiele przyjemności.

Zaciekało mnie to naprawdę”.

Z — wciąż jeszcze wstępnych — dochodzeń policji kryminalnej:

„Było tam wiele odcisków palców. W mieszkaniu odwiedzanym przez tylu gości można się było tego spodziewać. Odciski te wykrył i zabezpieczył inspektor Feldmann. Lubił on specjalnie posługiwać się systemem «Magna Brush», przy którego stosowaniu używało się różnych rodzajów proszków: sadzy, dwutlenku manganu, argenteratu, grafitu.

Ale inspektor Feldmann znał także wszystkie inne systemy: folię Rubnera, plaster rowkowany, zwany także ((folią hamburską» oraz wynalezioną przez wiedźczyka

Schneidera czarną kleistą masę do zabezpieczania odcisków palców.

Okazało się przy tym, że ktoś wytarł dokładnie ślady, począwszy od drzwi wejściowych, w korytarzu i w pokoju sypialnym.

Siłą rzeczy nasuwał się wniosek, że sprawca miał pewną praktykę kryminalną albo był człowiekiem z wyobraźnią".

— Niech pan wstanie — powiedziała do Haralda Feina rzeško, z naleganiem w głosie, służąca jego żony.

— Nie chcę — wymamrotał głucho, przyciskając twarz do poduszki. Potem przewrócił się z trudem na drugi bok, odwracając się do dziewczyny plecami. Usłyszał jej śmiech. To go rozweseliło, chociaż leżący pod jego łóżkiem pies Anton zawarczał nieprzyjemnie.

Zasłony w oknach były szeroko rozsunięte. Jaskrawe światło porannego słońca oślepiło go. Zasłonił twarz dłońmi. — Czy naprawdę muszę wstać? — zapytał niechętnie.

— Czy pan się źle czuje? — Służąca, Maria Trübner, ob serwowała go, głównie zresztą jego plecy, z zainteresowaniem. — Czy mam pana obudzić?

Harald Fein usiadł na łóżku. Popatrzył na nią tak, jakby ją widział po raz pierwszy. Było to stworzenie przypominające krowę; biło od niej ciepło obory i zapach mleka. Uśmiechała się do niego. Stała w rozkroku; jej łydki wyglądały jak dwa gładkie tory prowadzące do celu.

— Chce mnie pani obudzić? Pani?

— Dlaczego nie? — zapytała Maria, pochylając się nad nim. — Trzeba mi tylko dać możliwość. Bo musi pan wiedzieć, że jestem bardzo pracowita. Pańska żona jest tego samego zdania.

Niejaki Peter Palitschek, obecny przyjaciel Marii Trübner, powiedział do niej:

— ...wiesz, że cię kocham. Ale ostatecznie miłość cielesna, która nam zresztą świetnie wychodzi, nie jest wszy-

stkim! Ważne są sprawy duchowe, Mario, jakaś wyższa harmonia, do której należą także pieniądze. Tak to jest, dziewczyno. Bo bez forsy nie da rady. Chcę przecież, żebyś miała miły, przytulny dom! Wiesz dobrze, że jestem pracowity, ale też niestety bardzo biedny! Płacą mi za mało. Zresztą nie tylko mnie, wielu innym idzie podobnie na tym zasranym świecie! Po prostu sytuacja jest podła; ale trzeba dawać sobie jakoś radę! Trzeba sobie pomagać! Każdy na swój sposób, rozumiesz? Jeszcze nie rozumiesz? Ależ, Mario, nie udawaj głupszej, niż jesteś! Sprawa jest prosta: my mamy za mało, a inni za dużo. Jak na przykład ci Feinowie! Trzeba to wyrównać, nie sądzisz? No, pokręć trochę głową! Już mówiłem, sprawy cielesne...

— Czy koniecznie chce mnie pani zobaczyć w nocnej koszuli?
— zapytał wreszcie nieco rozbudzony Harald Fein służącą Marię.

— Pan jest wciąż jeszcze bardzo postawny — zapewniła go Maria. Pies Anton wyciągnął daleko przed siebie przednie łapy i zaczął się przeciągać.

— Niech pani sobie za wiele po tym nie obiecuje — powiedział rozbawiony Harald Fein. Wstał i sięgnął po szlafrok. Maria pomogła mu go włożyć. — Pani się widać niczego nie boi, prawda?

— Z panem nie.

— Mojej żony też nie?

— Nie w tej chwili. Wyjechała. Powiedziała tylko, że mam pana obudzić. O zwykłej porze. I że mam zapytać, czy ma pan jakieś życzenia. Ma pan?

— Mówi pani, że moja żona wyjechała?

— Samochodem. Zabrała walizkę i dwa futra.

— Dokąd?

— Skąd mam wiedzieć? Nic nie mówiła. Była w bardzo złym humorze. Może pan wie dlaczego?

— Niech pani wypuści Antona do ogrodu — powiedział Harald Fein. — On musi natychmiast wyjść.

...komisarz Braun tak pouczał przydzielonego mu inspektora Feldmanna:

— Niech pan zawsze pamięta, że naszym zadaniem jest wykrywanie przestępstw kryminalnych! Ewentualną definitywną opinię wyrazi sąd. Z medycznego punktu widzenia, jeśli to będzie konieczne, ocenią sprawę lekarze. My nie powinniśmy się zajmować żadną z tych rzeczy. Praktycznie oznacza to, że my, nędźnie wynagradzani etatowi szperacze, nie powinniśmy nawet brać pod uwagę ewentualnych różnic, na przykład między kryminalistami a chorymi. My tu kulisi sprawiedliwości; zajmujemy się jedynie merytoryczną stroną kryminalistyki. A więc bez względu na to, kto się dostanie w zakres naszych dochodzeń, trzeba go natychmiast obsłużyć! W każdym razie nie wolno mieć żadnych względów dla żadnej osoby czy też dla tak zwanej osobistości. Bo wobec prawa wszyscy ludzie są równi, prawda? A wobec policji kryminalnej są jeszcze bardziej równi! A zatem — trzeba jedynie tropić kryminalistów!

— Rozumiem cię — zapewniła ojca Helga, córka Haralda Feina, niemal błagalnym głosem, podnosząc równocześnie z podłogi Antona i tuląc go do siebie. — Zawsze cię rozumiałam.

— Naprawdę? — zapytał Harald Fein. — Ale, proszę, puść tego psa! Anton z trudem znosi tyle miłości, jest indywidualistą i lubi, żeby się z nim obchodzono delikatnie. W każdym razie dziękuję za gotowość zrozumienia mnie. Czym sobie zasłużyłem na tyle zainteresowania?

— Jesteś taki szlachetny! — zawołała córka z głębokim przekonaniem.

Przyjemnie zdziwiony Harald Fein popatrzył na siadającą do śniadania Helgę. W ostatnich czasach rzadko odczuwał coś podobnego. Tym intensywniejsze było więc to uczucie.

Anton tymczasem z rozkoszą przewracał się po dywanie. Właśnie leżał na plecach, wyciągając w górę wszystkie cztery łapy.

Helga Fein miała szesnaście lat. Było to pełne wdzięku stworzenie o niesłychanie długich nogach. Usta miała lekko uchylone, dzięki czemu widać było jej wspaniałe zęby. Chociaż wydawała się nieco zaniedbana, promieniowała łagodnym pięknem. Harald Fein jednak nie pozwolił sobie na odczuwanie z tego powodu niepohamowanej radości. Miał bowiem uczucie, że córka wygląda tak, jak musiała wyglądać jej matka, gdy miała szesnaście lat.

— Jaki jestem, Helgo? Szlachetny? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Za szkoda cię dla niej!

— Dla kogo?

— Dla twojej żony!

— Słuchaj, jeśli dobrze rozumiem/mówisz o swojej matce!

— Która cię nie kocha!

Wyjątki z pamiętnika Helgi Fein:

„...matka mówi «nie». Zawsze mówi «nie». Nawet w nocy. Kiedyś nie mogłam spać, bo oglądałam film w telewizji. Pokazywano tam grób, który miał dla mnie magiczną siłę przyciągania. I wtedy usłyszałam jej stłumiony okrzyk: «Nie!»

Albo:

...kiedy siedzimy przed telewizorem, ojciec nagle nie patrzy na ekran, lecz wyłącznie na nią, na matkę. I ma takie smutne oczy. To mnie boli”.

— Miarkuj się nieco, Helgo, miarkuj się — poradził córce ostrożnie Harald Fein. — Nikt nie jest doskonały, moje dziecko, a już na pewno nie w oczach innych. I sądzę, że nie ma na świecie rodziny, która jest rajem. Chodzi tylko o to, że musimy ze sobą żyć, co praktycznie znaczy: liczyć się ze sobą, brać się nawzajem pod uwagę.

— Ale ona tego nie robiła nigdy, nigdy wobec ciebie. Jesteś za dobry dla nas, a dla niej na pewno!

— Moje drogie dziecko — powiedział Harald Fein nieco wzruszony, ale i trochę zmartwiony. — Spróbuj patrzeć na ten świat w inny, a nie w tak bardzo uproszczony sposób. Wierz mi: twoja matka nie jest zła, a ja nie jestem dobry! Wszystko jest względne, a wina leży niemal zawsze po obu stronach!

— Ojczy, ależ ty jesteś tolerancyjny!

— Może ze słabości, może z wyrachowania, któż to wie na pewno? — uśmiechnął się Harald Fein. — Ostatecznie nikt nie żyje wyłącznie dla siebie, choćby sam sobie wydawał się bardzo samotny. Bo nawet najbardziej samotny człowiek może coś zrobić albo czegoś nie zrobić i tym samym bardzo jakiegoś innego człowieka zranić. Albo rozdeptać ślimaka, zagłodzić psa czy też przycynić się do tego, że posną ryby... Każdy z nas jest jak nitka wpleciona mocno w ogromny dywan.

— Dlaczego matka cię nie rozumie?

— Ach, Helgo, dziecko moje, któż naprawdę rozumie innego człowieka? Ale mimo to musimy żyć ze sobą!

Plattner, Paul, przedsiębiorca budowlany, o swoim zięciu Haraldzie Feinie — zebrane fragmenty różnych rozmów, które są przeważnie monologami:

„— ...mam zasady po to, aby działać zgodnie z nimi. Opierają się one na doświadczeniu, wiadomościach fachowych i, jak zawsze mówię, są oczywistym warunkiem, jeśli człowiek chce do czegoś dojść. A więc: pracowitość, ofiarność, dążenie do celu, energia! Zawsze mówię, że trzeba każdemu dać szansę — o ile wydaje się, że się to opłaca.

Tak było i z Haraldem Feinem.

...początkowo byłem zmartwiony — przyznaję otwarcie — gdy pewnego, z pewnością niezbyt pięknego dnia moja córka Hilda przedstawiła mi człowieka, z którym nieco zbyt pośpiesznie zaczęła się zadawać. Chętnie przyznaję, że na pierwszy rzut oka sprawiał sympatyczne wrażenie, chociaż nie wyglądał na zbyt energicznego.

Ostatecznie zdecydowały stworzone przez nich oboje «fakty dokonane». Bo naturalnie ani przez chwilę nie pomyślałem o tym, żeby pozbyć się tego dziecka. A przecież miałem odpowiednie środki i możliwości. Ale przy moich surowych poglądach religijnych...

...powiedziałem sobie, że spróbujemy, co się da z tego zrobić dobrego. Przecież chodziło mi wyłącznie o moje ukochane dziecko.

...i w tym wypadku okazało się, że na dłuższą metę szczęście sprzyja tylko ludziom dzielnym. Z badań, które przezornie kazałem przeprowadzić, wynikało, że mój ewentualny zięć, Harald Fein, ma wyższe wykształcenie i jest inżynierem architektem.

W tym czasie pracował w jakimś trzeciorzędym biurze budowlanym jako kreślarz. I ani przez chwilę nie pomyślałem wtedy — zapewniam — że Harald Fein mógł spowodować ciążę mojej ukochanej córki tylko dlatego, że była ona jedynym dzieckiem wielkiego przedsiębiorcy budowlanego...

...ponieważ jestem z natury optymistą — optymistą, ale nie człowiekiem lekkomyślnym — starałem się raczej i w tym dostrzec pozytywne strony. Jedną z nich, i to wcale nie tą najsłabszą, był jedyny i, jak się wydawało, bardzo dobry przyjaciel Haralda Feina, niejaki Hermann Abend-roth. Pracował w wydziale urbanistycznym zarządu miejskiego, uchodził tam za człowieka przyszłości. Chociaż był bardzo młody, popierał go sam burmistrz.

Dlatego nie zwlekałem dłużej z tym, żeby dać szansę także Haraldowi Feinowi — u boku mojej córki, w moim rozwijającym się przedsiębiorstwie. Muszę wyznać jednak, że miałem pewne obiekcje".

Fragmenty jednej z pierwszych rozmów między Feldmannem i Braunem, zapisanej w aktach:

„Feldmann: — Rozpoczęły się badania kryminalno-techniczne, prowadzone na podstawie zaznajomienia się z faktycznym stanem rzeczy. Zgodnie z pańskim zarządzeniem

poprosiłem, żeby je przyspieszono. Pierwszych rezultatów możemy się spodziewać za parę dni. Tymczasem trwają zwykle wywiady, normalne śledztwo, seryjne przesłuchania. Prowadzę je ja wraz z sześcioma innymi funkcjonariuszami, przy wzorowej współpracy policji mundurowej tego rejonu.

Braun: — Niech pan sobie oszczędzi tych urzędowych hymnów pochwalnych, to przecież oczywiste, że należy tak postępować. Czy są już jakieś uchwytne poszlaki?

Feldmann: — Jasne to one nie są. Ale można by wymienić trzy nikłe ślady. Po pierwsze: denatka miała tak zwanego opiekuna. Był to niejaki Kordes, którego obecne miejsce pobytu jest jeszcze nie znane; wszczęto poszukiwania. Po drugie: pewien mężczyzna, nazwiskiem Stenzenbach, zamieszkały w tym samym domu, podczas praktykowanego zazwyczaj w takich wypadkach przesłuchania wyraził głośno swe oburzenie z powodu «tej zwyrodniałej osoby na szóstym piętrze». Na to stojąca obok kobieta powiedziała — cytując: «Przecież ty do niej także chodziłeś — co chyba wcale nie było takie tanie. Dlatego do tej pory nie mam futra».

Braun: — No pięknie! Co jeszcze?

Feldmann: — No i, po trzecie, ten Harald Fein, na którego pan mi zwrócił uwagę. Wygląda na to, że w momencie zgonu na pewno przebywał w pobliżu miejsca zbrodni. Ale nie można udowodnić, że był na miejscu zbrodni. A może ...jeszcze nie można.

Braun: — Ten Fein pasuje mi do mojej koncepcji: zarabia masę pieniędzy, ma chwiejny charakter, był alkoholikiem, zresztą co znaczy: był? A więc człowiek predestynowany do naruszania moralności. Po takich typach można się wszystkiego spodziewać! Oczywiście, nie chcę od razu powiedzieć, żeby się pan skoncentrował wyłącznie na nim. Na razie chodzi tylko o to, żeby go nie tracić z oczu!"

— Nie mam nic przeciwko tobie, przeciwko tobie osobiście — zapewnił ojca Heinz Fein, siadając do śniadania. — Ty się starasz, muszę ci to przyznać.

— To ładnie z twojej strony — powiedział Harald Fein.

— To znaczy, że ostatnio trenujesz się w wyrozumiałości, nawet wobec mnie. To wygląda niemal na wspaniałomyślność!

Heinz nie patrzył na ojca, a swojej siostry Helgi w ogóle nie dostrzegał. Zajął się jedynie — na krótko, ale intensywnie — psem Antonem, który zwinął się w kłębek na środku pokrytej skórą kanapy. Podrapał go po grzbiecie, a Anton wyprężył się z Wdzięcznością.

— No co, ty zadziwiający potworze! Ty nie masz problemów, prawda? Jak okiem sięgnąć, jesteś jedynym stworzeniem, które nie ma innego wyboru. Musi po prostu żyć chwilą. I to przypadło w udziale właśnie tobie, ty błaznie!

Po tej wypowiedzi Heinz popatrzył z bezierną obojętnością na wszystko, co stało na stole: jajko na surowej szynce westfalskiej, norymberskie kielbaski z rusztu, konserwy mięsne z Turynii, włoskie oliwki, holenderski ser, francuski pasztet z gęsich wątróbek.

— Cóż to za widok! — wykrzyknął. — Kompletny zbiór najwytworniejszego zarcia! Czy słyszeliście już kiedyś o tym, że przeszło połowa ludzkości głoduje? Że w Indiach są setki tysięcy niedożywionych ludzi? Że Murzyni w Ameryce...

— Nie zapominaj o Biafrze — powiedział Harald Fein, bez najłżejszego uśmiechu — o Pakistanie, Palestyńczykach i Ameryce Południowej i tak dalej, i tym podobnie.

— Wiesz o tym wszystkim, a mimo to dobrze się tu czujesz! — Heinz rozejrzał się po mieszkaniu: urządzenie było utrzymane w „nowoczesnym eleganckim” stylu: lakier, szkło, chrom, meble kanciaste i gładkie; obicia z ciemnego aksamitu i półjedwabne; skóra i plastik; wełna z setki owiec pokrywała podłogę. — Prawdopodobnie myślisz, że piekło jest piekłem, bez względu na to, czy jest pełne przepychu, czy też tonie w błocie.

— Nie dręcz ojca — przywołała go do porządku Helga — urządzenie tego domu wyszukał osobiście dziadek, i za płacił za nie. Za prowadzenie domu odpowiedzialna jest matka. A jeśli chodzi o śniadanie, to sam pożerasz całe masy jedzenia!

- Ponieważ ja także jestem cofnięty w rozwoju.
- Pod względem intelektualnym na pewno!
- No cóż, jestem przecież synem moich kochanych rodziców!
- Heinz — powiedział ostrożnie Harald Fein — ty wiesz...
- Wiem, wiem! Jesteś tak niesłychanie wyrozumiały, okazujesz tak wiele zrozumienia, masz wybitne poczucie tolerancji! Obecnie najulubiejsza melodia! A gdyby tu była nasza kochana mama, to prawdopodobnie zaczęłaby teraz łagodzić: «Heinz, synku, nie masz dla nas żadnych względów, nie ma w tobie wcale poczucia odpowiedzialności, ty jeszcze ściągniesz na nas złe języki!» Ja!
- A któż by poza tym? — zawołała Helga Fein z oburzeniem.
- Zapytaj ojca — powiedział syn z nonszalancką agresywnością, rzucając Antonowi plaster westfalskiej szynki.

...komisarz Braun oświadczył inspektorowi Feldmannowi, co następuje:

— ...naszym obowiązkiem jest wyłącznie zarejestrować to, co się tu faktycznie stało: mianowicie, że popełniono morderstwo. W skrócie M. Zamordowano osobę płci żeńskiej, a zatem K, co oznacza kobietę. Następnie: V 33, co oznacza ulicę V plus numer domu. Dalej: RTCz — czyli rozbitcie tylnej części czaszki. Wreszcie — ślady uduszenia na szyi i krtani, czyli SSzK. A zatem kryptonim, którego należy używać dla oznaczenia tego przypadku, będzie brzmiał: MK/V33/RTCz/SSzK.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„W policji kryminalnej i w sądownictwie panuje zwyczaj nadawania nazwy każdej sprawie, np.: Mariotti, Röhrbach, Brühne. Ale siłą rzeczy musi to prowadzić do pewnych budzących wątpliwości sugestii. Sądzę, że byłem pierw-

szym człowiekiem, który próbował wprowadzić w naszej dziedzinie neutralny system kryptonimów — oczywiście w czasach, gdy byłem jeszcze kierownikiem zespołu do spraw morderstw.

Braun, mój zastępca, przejął i rozszerzył zasady tej metody. Mam wrażenie, że zrobił to nie po to, żeby uniknąć drażliwych skojarzeń z nazwiskami, lecz po to, żeby troskliwym przełożonym — jak na przykład nadkomisarz Dürrenmaier — nie ułatwiać zbyt dużego udziału w prowadzonych przez niego dochodzeniach.

Nieprzypadkowo nazywano Brauna w biurze «lisem». Nawet ja nigdy nie wiedziałem na pewno, na jaką zwierzynę właśnie poluje. Nie lękał się żadnych, nawet najbardziej skomplikowanych, okrężnych dróg i ścieżek. Jednego tylko można było być pewnym: że nie dopuści do tego, żeby jakaś zdobycz wymknęła mu się z rąk".

...dalszy ciąg rozmowy między komisarzem Braunem a inspektorem Feldmannem:

Braun: — Oczywiście nie sugeruje się pan tym, że denatka była prostytutką?

Feldmann: — Nie.

Braun: — Nie sugeruje się pan także tym, że ten Harald Fein należy do tak zwanych wyższych sfer, do tej garści ludzi, którzy srają na marmury? Czy to na pana ma jakiś wpływ?

Feldmann: — Nie. Abstrahując od tego, że dotychczas nie ma żadnych poważniejszych poszlak, które wskazywałyby na to...

Braun: — Pan powinien pracować szybciej i bardziej konsekwentnie! I powinien pan także bardziej intensywnie myśleć, Feldmann. Podobno ten elegant siedział godzinami we wściekle wytworknym wozie, i co? I nic więcej? Człowieku, już samo to jest w pewnym sensie perwersją.

Feldmann: — Może chciał się tylko odprężyć, to jest także możliwe. Po prostu się pogapić! On może sobie na to pozwolić!

Braun: — Takie typy pozwalają sobie także na całkiem inne rzeczy! Oni myślą, że za swoje śmierzące pieniądze mogą sobie kupić wszystko: rzekomo godną szacunku panią domu, młodą mieszczańkę, która pozwoli się uwieść, wszystkie rodzaje kurew! Ale to nie może trwać wiecznie!

Feldmann: — Ale jak już mówiłem, dotychczasowe wyniki śledztwa...

Braun: — ...są czystą bzdurą! Ale wracając raz jeszcze do tego Feina: kto tak siedzi godzinami w wozie? Mogło się przecież zdarzyć, że w tym czasie zachciało mu się siusiać, wypić piwko albo mieć akurat stosunek z jakąś kurwą! Niech pan o tym pamięta podczas swoich dochodzeń!

— Czy mogę zapytać, mój chłopcze — powiedział uprzejmie Harald Fein — co miała znaczyć ta twoja aluzja do złej opinii?

— Czemu pytasz mnie? Zapytaj matki! Zdaje mi się, że jest o wiele bardziej kompetentna w tej sprawie! Przynajmniej dziś.

— Dziś jej nie ma!

— Właśnie! — wykrzyknął kłótliwie syn. — Chyba to mówi wszystko! Matka spakowała walizkę i wędrowała do niej całą biżuterię. A na rękę niosła futro z nurków. Wszystko to świadczy o tym, że w rodzinie panuje doskonała harmonia!

— Ależ ty jesteś bezwzględny! — zawołała Helga. — Powinieneś się wstydzić!

— Co ty opowiadasz! — zawołał z oburzeniem Heinz. — Widzę, co jest! Ale widzę przy tym, jak ludzie w żałośnie podeszłym wieku, czterdziestolatki, starzejące się szkapy zaprzęgnięte do dorożki dobrobytu, które stały się cyrkowymi końmi kapitalizmu, próbują stanąć na głowie tylko po to, żeby pokazać, jakie to są jeszcze żywotne!

— A zatem twoim zdaniem — powiedział Harald Fein, kryjąc uśmiech — my, którzy ledwo przekroczyliśmy czterdziestkę, jesteśmy już tylko nędznymi psami, obskurnymi osłami albo chciwymi szczurami, czy tak?

— Mniej więcej — stwierdził Heinz. — Ale nie chciałbym, mam tu na myśli cytowane przez ciebie psy, w żaden sposób ubliżyć Antonowi, bo on ma prawdziwie ludzką duszę! — Po czym dorzucił: — Ale dlaczego tak jest? Dlaczego odnosi się takie wrażenie?

— To ohydne, Heinz! — zawołała jego siostra.

— Przede wszystkim — powiedział bardzo cicho Harald Fein — to jest szczerze.

— I niewątpliwie uzasadnione! — Heinz powiedział to bez cienia triumfu, ale i bez żalu, w taki sposób, jak gdyby odczytał stan barometru.

— Ach ty! — zawołała Helga ze smutkiem i zarazem agresywnie. — *Czy ty wiesz, za co cię uważam?*

— Za niewdzięcznika — pomógł jej ochoczo Heinz.

Helga spojrzała na ojca, prosząc o przebaczenie dla brata. Było to spojrzenie pełne miłości i bezmiernej żulości. Ale Harald Fein unikał wzroku swoich dzieci.

Informacje udzielone przez niejakiego Sebastiana Bernera, figurującego w rejestrze studentów medycyny w Monachium — już od sześciu lat:

„— O kogo pan pyta? O niejaką Helgę? Ach tak, Helga, tak, znam ją. Zakompleksione stworzenie. W gruncie rzeczy do niczego. Przypominała mi szczeniaka, który jeszcze nie wie, gdzie chce lub gdzie mu wolno siusiać. A ona na dodatek miała jeszcze brata! Nie tylko, że nas nazywał żalonymi świniami, ale jeszcze się z nami bił. Mówił: «Po-staram się o to, żeby nie dostała się między świniel!» To było w pewnym lokalu na Schwabingu, gdzie traktuje się młodzież dość wspaniałomyślnie i pozwala się jej tam czuć swobodnie. Ten lokal nazywa się *Goldfinger*. Heinz wywlókł stamtąd swoją siostrę Helgę, ciągnąc ją za sobą. A ona wyglądała na uszczęśliwioną”.

Harald Fein popatrzył najpierw na Antona — który leżał absolutnie obojętny na wszystko, co działało kojąco

— a potem wyrzał przez okno. Był piękny dzień, jak to tu prawie zawsze bywa na przełomie lata i jesieni. To miało wtedy naprawdę jaśniej! Było ono jak gdyby przez siąknięte kryształową jasnością; łagodne słońce udawało, że grzeje, nie było widać trujących wyziewów, a niebo wydawało się nieskończenie wysokie i dalekie — wielki namiot, zapewniający przytulność. Zbliżało się święto październikowe.

— Opanowały cię subtelne myśli? — zapytał ojca z niepokojem Heinz Fein. — Śliczne schronienie tych, którzy lubią uważać Boga za dobrego człowieka. Jest to nic innego jak sentymentalnie zakłamana taktyka uspokajania, stosowana przez sympatycznych duszpasterzy radiowych; miły świat, małe szczęście, dobry brat człowiek. Jak mnie to wszystko mierzi.

— Nie mów tak! — zawołała wzburzona Helga. — Nie do naszego ojca! On na to nie zasługuje! On nie!

— Mogę zrozumieć Heinza — powiedział Harald Fein.

— Heinzowi się zdaje, że wiecznie ktoś czegoś od niego żąda, na przykład ty, Helgo, ja, wszyscy razem i każdy z osobna. Bo on sądzi, że tu, w tym domu, przedstawia mu się stale swego rodzaju rachunek do zapłaty, na przykład za miłość, którą go obdarzono! Albo za dawanie mu przez te osiemnaście lat wyżywienia, mieszkania i ubrania. Za zabawki, za opłaty szkolne i honoraria lekarskie. Jednym słowem: za wszystko, co tylko można wyrazić w cyfrach.

— To prawda! — stwierdził Heinz, niezmiennie gotów do kłótni. Starał się przy tym nie patrzeć na siostrę.

— Zgadłeś, drogi ojcze! Istotnie, jest to dla mnie decydująca sprawa. Wciąż zadawałem sobie pytanie: czym my właściwie jesteśmy? Czy swego rodzaju domem opieki, opierającym się na wymianie opłat i świadczeń, czy rodziną, ale taką, w której nie może być mowy o wspólnej odpowiedzialności za jej egzystencję. A więc jak to właściwie jest?

— Jesteśmy ludźmi — powiedział Harald Fein po prostu i bezradnie.

Fragmety rozmowy dziennikarza z człowiekiem mającym obecnie decydujący głos w sprawach planowania miasta: Hermannem Abendrothem. Rozmowę tę prowadzono na „kolacji prasowej”; jedynym zapowiedzianym tematem była sprawa przygotowań do olimpiady. Wkrótce jednak padło nazwisko Haralda Feina, w związku z firmą „Plattner — Roboty budowlane naziemne i podziemne”. Szczególne zainteresowanie wzbudziła przy tym sprawa dróg dojazdowych do terenów olimpijskich.

„Abendroth: — Ależ tak, znam pana Haralda Feina jeszcze z młodych lat. Studiowaliśmy razem.

Pytanie (dziennikarza z *Bildu*): — Czy pan sądzi, że zna go pan dokładnie?

Abendroth: — W zasadzie tak. Ale ktoś zna dokładnie drugiego człowieka?

Następne pytanie: — Czy to ma znaczyć, że pan, panie Abendroth, chce się odciąć od Haralda Feina? Co zresztą byłoby zupełnie zrozumiałe... po tym wszystkim, co ponoć ostatnio zaszło.

Abendroth: — A cóż to ma za związek z przeszłością?

Pytanie (dziennikarza z *Bildu*): — Czy to prawda, że wasza młodzięcza przyjaźń datuje się jeszcze z tych czasów, gdy miał pan już bardzo wiele do powiedzenia w sprawach związanych z planowaniem naszego miasta?

Abendroth: — Zakładam, że nie ma pan zamiaru insynuować nam, że ta przyjaźń zawiązała się w tamtych latach w ściśle określonym celu! Czy jesteśmy co do tego zgodni? To dobrze. Możemy zatem pomówić na ten temat zupełnie szczerze. A więc: Harald Fein był niesłychanie miłym człowiekiem. Był zawsze pogodny, zawsze uprzejmy, niezbyt skomplikowany. Miał wielkie uzdolnienia artystyczne. Potrafił już w latach młodzięczych projektować takie domy jak na przykład Whrite w Kalifornii czy Ponti w Tessinie. Ale nasza przyjaźń, niegdyś tak serdeczna, powoli wygasła. Od kilku lat widzimy się już tylko od czasu do czasu, na przykład na państwowych lub miejskich przyjęciach, z okazji oddania do użytku jakiegoś zaprojektowanego przez

niego mostu, albo na jakiejś innej uroczystości. Witamy się, ściskamy sobie rękę, ale potem się rozstajemy. Tak się jakoś dzieje".

Firma *Plattner* przy Marienplatz, w której Harald Fein musiał codziennie przebywać, oficjalnie od dziewiątej do siedemnastej, wciąż go irytowała.

Przede wszystkim dlatego, że wszystko było tam celowe i funkcjonalne — nic poza tym. Żadnych kwiatów ani ozdób; zamiast obrazów wisiały na ścianach wykazy statystyczne, plany pracy, plany budów. Tak było w trzech z siedmiu pomieszczeń biurowych zarządu głównego i w hali maszyn.

W obu biurach centralnych: oficjalnego wicedyrektora Feina i kierownika wydziału organizacyjnego Jonassa, podlegających bezpośrednio Plattnerowi, były dywany w stylu neorientalnym, o rozmiarach trzy na cztery metry. W każdym z tych biur wisiał także olejny obraz: w jednym bawarskie jezioro, w drugim bawarskie góry. Meble były utrzymane w stylu wybitnie wiejskim.

Dokładnie między tymi biurami znajdował się sekretariat generalny, urządzone w stylu starowiedeńskim, mały Schönbrunn, ale z podkreśleniem pewnej celowości. Siedziała tam panna Wagnersberger, nazywana niekiedy „sercem firmy”, a czasami „podbrzuszem firmy”. Jej absolutna niezawodność znana była w firmie i poza nią.

Panna Wagnersberger, która pracowała owocnie w przedsiębiorstwie od bez mała dwudziestu lat, była wciąż jeszcze bardzo atrakcyjna. Zawsze modnie ubrana, zawsze pachnąca — czasem odrobinę za mocno — dobrymi perfumami, świetnie zdająca sobie sprawę z własnej wartości.

— Czy zdarzyło się coś szczególnego? — zapytał Harald Fein.

— To zależy od tego, jak się na to patrzy — odpowiedziała Ewa-Maria. — Zdaje się, że pan Plattner nie jest w zbyt dobrym humorze.

— Jakaś awaria w przedsiębiorstwie?

— To możliwe, ale chyba mało prawdopodobne. Bo w takim wypadku pan Jonass, który zawsze o wszystkim pamięta, poinformowałby mnie o tym we właściwym czasie. — Tu panna Wagnersberger zademonstrowała miły uśmiech głównej sekretarki dyrektora. — Przypuszczam więc, że chodzi przede wszystkim o jakieś sprawy prywatne. Pan z pewnością wie o co?

— Bez względu na to, o co chodzi — powiedział z rezygnacją, jakby* do siebie, Harald Fein — muszę znowu tam iść.

Dr Barthel, prokurator, który bezpośrednio po tych wydarzeniach został prokuratorem okręgowym, a wkrótce potem awansował na podsekretarza stanu w bawarskim ministerstwie sprawiedliwości, tak poinformował — na użytek wewnętrzny — o zasadniczych wynikach śledztwa:

„— Nie mam bynajmniej zamiaru krytykować czy wręcz kwestionować faktycznej sytuacji, jaka obecnie istnieje w społeczeństwie Republiki Federalnej czy w świecie zachodnim. ..

...Musimy jednak zastanowić się nad różnymi istotnymi powiązaniem. Bo żyjemy w czasach pozbawionych spokojnego i uspokajającego zarazem złotego środka. Z jednej skrajności popadliśmy w drugą: niegdyś obowiązywała karność i porządek — obecnie wolność, rozwój osobowości i skrajny indywidualizm.

Świadczy o tym wyraźnie upadek moralności w tym niegdyś tak swojskim, przyjaznym mieście. Wyraźne zepsucie, wielka demoralizacja — wszystkie grzechy tego świata znajdują się tu, można powiedzieć, na wolnym rynku! I na dodatek wcale nierzadko nazywa się wydarzeniem towarzyskim to, że prostytutki są uważane za damy z towarzystwa, sutenerzy za ekspertów od rozrywek, a demoralizatorzy za playboyów.

Są to fakty pozornie całkiem zwyczajne! Prawo nie może ich uchwycić. Ostatecznie istnieje tak zwane prawo do własnego ciała, każdemu wolno się zrujnować, gwarantuje się

rozwój osobowości aż do ostatnich granic perwersji! Dopóki jednak takie rzeczy dzieją się w predestynowanych do tego kręgach, nie jest to w gruncie rzeczy specjalnie niebezpieczne.

Zazwyczaj bowiem istnieją tam niepisane wprawdzie, ale obowiązujące wewnętrznie reguły gry. Można ich nie dostrzegać — albo przyjąć za fakt. Komplikacje, a nawet niebezpieczeństwo zaczyna zagrażać wówczas, gdy ktoś wyłamuje się z danego kręgu, a zatem przeciwstawia się własnej warstwie społecznej i nawet świadomie ją prowokuje.

I tak doszedłem do Haralda Feina".

Harald Fein udał się do Paula Plattnera, do tak zwanego „sanktuarium”, czyli prywatnego biura szefa firmy, swego teścia, jedynowładcy kilkunastu wielkich budów i pięciu do siedmiu tysięcy robotników.

— A więc wreszcie jesteś! — zawołał na jego widok Paul Plattner. — Spóźniłeś się blisko godzinę! Nie jest to wcale wzór do naśladowania dla naszych pracowników. Już od pewnego czasu nie świecisz im przykładem! Mimo całej mojej dobrej woli, Haraldzie, mimo całego zrozumienia i wspaniałomyślności tak dalej być nie może!

— Jestem tego samego zdania — oświadczył Harald Fein.

— Twoje całkowite fiasko na budowie numer czternaście kosztuje moją firmę parę ładnych tysięcy marek!

— A cóż mnie obchodzi budowa numer czternaście, skoro zatruto mi całą przyjemność, jaką mi dawała praca na niej?

— Harald, mój chłopcze — powiedział Plattner ostrzegawczo — nie jesteśmy tu po to, żeby sprawiać komukolwiek przyjemność, lecz po to, żeby robić interesy. I to nie takie interesy, które przynoszą straty. Na tej budowie spóźniano się z dostawą materiałów, ludzie siedzieli beczynnienie i chyba nie będzie można dotrzymać terminu. Co masz do powiedzenia w tej sprawie?

— Nic.

— Twoja lekkomyślność nie ma granic! — zawołał Plattner z oburzeniem. — Wypraszam sobie takie odpowiedzi, żądam wyjaśnienia!

— No dobrze — powiedział z całym spokojem Harald Fein. — Na budowie numer czternaście odpowiadam wyłącznie za konstrukcję i kalkulację. Nadzorowałem też początkową fazę budowy. Reszta należy do wydziału organizacyjnego, a zatem wcale mnie nie dotyczy. Powinieneś to zbadać.

— Zrobię to! A jeśli się okaże, że jesteś winien, to każę cię aresztować.

— To wszystko?

Paul Plattner — wartość jego przedsiębiorstwa oceniano na sto pięćdziesiąt milionów marek — sprawiał wrażenie człowieka niskiego, ale bynajmniej nie wątłego. Miał irytująco duże ręce, które zawsze starał się chować: wkładał je do kieszeni, trzymał za plecami, ukrywał — jak na przykład w tej chwili — pod biurkiem.

Dwie wypowiedzi o Paulu Plattnerze: Brygadzysta Huber, lat 61, wciąż jeszcze pracujący „na budowie”:

„— Znam go już blisko czterdzieści lat i nie dam o nim powiedzieć złego słowa! Ten człowiek ma jeszcze serce dla prostego robotnika. Podczas każdego jubileuszu zjawiał się osobiście, a wraz z nim zawsze coś dla nas. Parę butelek wódki albo skrzynka piwa. A potem osobiście trącał się ze mną kieliszkiem. Wspaniały chłop! Człowieku, ten ma siłę! I korzysta z niej. Zjawia się na przykład w pierwszorzędnym ubraniu na budowie i podnosi w górę stukilowy worek cementu. Trudno uwierzyć, co?”

Thea Samtner, lat 24, była zastępczyni głównej sekretarki, zatrudniona w firmie przez trzy miesiące:

„— Co to był za mężczyzna! I to w jego wieku! Przekonałam się o tym po zaledwie dwóch tygodniach pracy w firmie. Ale potem bardzo szybko wyszłam za mąż. Proszę mnie źle nie zrozumieć: oczywiście, przed moim małżeństwem nie

zdarzyło się nic niezwykłego, nic niestosownego. Tyle tylko, że zaczęłam cenić i podziwiać mojego byłego szefa, i to jeszcze jak!"

— Harald — powiedział Plattner, podnosząc w górę wielkie dłonie — co ty wyprawiasz! Tym razem nie mam na myśli budowy numer czternaście. Tę sprawę jeszcze zbadamy. O wiele bardziej niepokoi mnie twój osobisty stosunek do osób, które są bliskie mojemu sercu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mój drogi — powiedział Paul Plattner — mógłbym spróbować nawiązać z tobą dyskusję, na przykład na temat możliwości, jakimi dysponuje rodzina. Nasza rodzina! Wiem jednak, że byłaby to czysta strata czasu. Ale zakładam, że sam zauważyłeś, że zainwestowałem w ciebie masę zaufania, nadziei, że chętnie idę na wiele ustępstw! Ostatecznie wszystko to ma swoją cenę.

— Prawdopodobnie chcesz przez to powiedzieć, że nie jestem rentownym przedsięwzięciem, że przyniosłem ci straty.

Paul Plattner zaprzeczył wspaniałomyślnie gestem. Wyjrzał przez okno — a to okno znajdowało się dokładnie naprzeciwko zegarów na ratuszu miasta Monachium.

A to Monachium było w ciągu półwiecza kolejno: królestwem z bożej łaski, ale królestwem dobrodusznym, potem demokracją mieszczaństwa pijącego piwo po ogródkach kawiarnianych, potem przez parę dni republiką rad, potem przez krótki czas „zarażonym” przez Rewolucję Październikową siedliskiem buntu, a wkrótce potem miastem ruchu narodowosocjalistycznego: *Biirgerbrau*, *Osteria*, herbaciarnia w *Carltonie*. A do tego pamiątki na dawnym placu Królewskim: Dom tak zwanej Sztuki Niemieckiej: macierzysty okręg wyborczy Hitlera- Potem wreszcie, bardziej potajemnie, miastem opozycji- I tak dalej!

— Tutaj — powiedział w zamyśleniu Paul Plattner — wszystko jest możliwe. Nie ma nic takiego, co by tu było niemożliwością! Ty, Haraldzie, jesteś tylko ziarnkiem psianki w tym wszystkim, niczym więcej, ale nie pozwolę, że byś się dostał między moje tryby! Moja firma, w której

wspaniałomyślnie pozwoliłem ci mieć udział, jest jedną z najlepszych, najbardziej rentownych w tym kraju. Ale mogłaby być najlepszą ze wszystkich, mogłaby odnosić największe sukcesy, gdyby...

— Gdybym robił bez zastrzeżeń wszystko, czego ode mnie żądałeś, oczekiwałeś, czego się spodziewałeś...

Wszczęcie śledztwa przez inspektora Feldmanna i jego podzespół w sprawie morderstwa przy ulicy V nr 33. Pierwsze rezultaty dochodzenia na temat ewentualnych podejrzanych:

„A. Kordes — długoletni opiekun zamordowanej. Opuścił rzekomo Monachium parę dni przedtem. Nie wiadomo, dokąd się udał. Przypuszczalnie nie wchodzi w rachubę jako sprawca. Ale jest już poszukiwany — także przez Interpol.

B. Stenzenbach — mieszkaniec tego samego domu. Obwinia go własna żona. Jednakże ten wieczór spędził z kolegami w kręgielni w Herrschingu nad Ammersee. Sprawdza się alibi; wydaje się, że jest prawdziwe.

C. Fein — brak jeszcze dalszych wyraźnych dowodów obciążających. Równocześnie brak także dowodów odciążających.

Śledztwo w toku".

— Zostawmy to, Haraldzie. Na razie — Plattner uchylił się od dalszej rozmowy na ten temat. — Niestety, nie chodzi tu o mrzonki, lecz o fakty. A one, mój drogi, świadczą po prostu o tym, że bez przerwy sprawiałeś mi zawód. Przynajmniej w ostatnim czasie.

— Może nawet robiłem to chętnie — wtrącił Harald Fein.

— Właśnie tego nie mam zamiaru dłużej znosić. Jestem zdecydowany uwzględnić teraz tylko taką alternatywę: albo będziesz odtąd przestrzegał właściwej linii, albo cię splewię. I weź pod uwagę, że jedno i drugie ma być, i będzie, zrealizowane w stu procentach! Jestem to winien

zarówno mojej firmie, jak i mojej córce, a twojej żonie. To moje ostatnie ostrzeżenie.

— A co to znaczy praktycznie w tej chwili?

— Przepraszam moją córkę, a swoją żonę, za swoje zachowanie! I to możliwie przekonywająco i skutecznie. Bo nie mogę patrzeć, jak ona cierpi. A już w ogóle nie mogę znieść tego, że cierpi z twojego powodu!

— I do dalej?

— Od dziś masz się zajmować o wiele bardziej intensywnie niż dotychczas swoją rodziną, a tym samym i naszą firmą. Proszę tylko: żadnych więcej odchyłeń od linii, żadnego włączenia się, żadnego schodzenia na manowce. Czyli: wreszcie całkowicie uregulowane stosunki. Mają one obejmować także twoich naprawdę dobrych przyjaciół, jak na przykład Abendrotha.

— A jeśli nie? Jeśli ja tego nie zechcę?

— Wówczas — zapewnił go z uśmiechem Paul Plattner — wówczas cię załatwię. A na dodatek załatwię także twojego najukochańszego przyjaciela, chyba jedyne, jakiego kiedykolwiek miałeś! Ja to mogę zrobić. Czy chcesz, żeby do tego doszło?

— To jest — powiedział przed wielu laty urbanista Hermann Abendroth — najlepsza i najbardziej ponętna oferta, jaką kiedykolwiek otrzymałem. Chyba nigdy nie dostanę nic podobnego. Projekty budowli olimpijskich, plus drogi dojazdowe!

— Cieszę się, że się cieszysz — powiedział jego przyjaciel Harald Fein. Siedzieli w gabinecie Abendrotha w jego domku, jednym z tych typowych domków, jakich całe szeregi stoją w Monachium-Nymphenburgu. Pili aromatyczne palatyńskie wino, gawędzili, snuli plany i cieszyli się swoją fantazją. — Jaką masz koncepcję?

— Jest to jedyne możliwe rozwiązanie! — Abendroth sięgnął po leżący obok plan miasta i tłustym ołówkiem nakreślił na nim granicę dzielnicy Oberwiesefeld. — Tu, Haraldzie, znajdują się tereny olimpijskie. Można na nich wszystko świetnie pomieścić.

—
—
—
—
—
—

— A drogi dojazdowe?

— Mają być zaplanowane z nie mniejszym rozmachem! — Abendroth wprawił ponownie w ruch swój gruby ołówek. Najpierw narysował małe koło. — To jest centrum miasta! — Następnie narysował dwa dalsze koła. — To jest krąg wewnętrzny, a to środkowy. — Potem dwoma grubymi kreskami wyrąbał w miejskim lesie przesiekę. — A to będzie główna droga dojazdowa. Jest to najlepsze, najbardziej funkcjonalne i na dodatek najprostsze rozwiązanie.

— Wszystkie rzeczy genialne są proste — powiedział Harald Fein. — Twoja koncepcja przekonuje mnie całkowicie.

Harald Fein podświadomie zapamiętał dokładnie tę koncepcję. Mógłby ją — podobnie jak wszyscy obdarzeni pamięcią wzrokową architekci — zrekonstruować ze wszystkimi szczegółami. Co się zresztą potem stało.

Dalsza rozmowa między komisarzem Braunem a inspektorem Feldmannem — na temat toczącego się śledztwa:

Feldmann: — Nadeszły pierwsze sprawozdania z wydziału techniki kryminalnej. Dotychczasowe rezultaty: ślina, sperma i mocz na ciele zmarłej mają takie same cechy; grupa krwi A z tendencją raczej do mocnego A1; słabe A2 nie wchodzi prawdopodobnie w rachubę.

Braun: — Jest to, bądź co bądź, jeszcze jeden punkt zaczepienia. Co jeszcze?

Feldmann: — Sutenera Kordesa widziano w Zurychu na dwa dni przed morderstwem. Poszukujemy go w dalszym ciągu. Alibi Stenzenbacha zgadza się. A zatem on odpada. Dochodzi za to człowiek nazwiskiem Lenbach. Jest fabrykantem papieru, głównie papieru toaletowego.

Braun: — A co on ma z tym wspólnego?

Feldmann: — Lenbach należał do najgorliwszych klientów zmarłej, ale też prawdopodobnie do tych najbardziej niewygodnych. Mieszka w Offenburgu, ale gdy przyjeżdżał do Monachium, zachowywał się na ulicy V tak, jakby miał wyłączne prawo własności. I to zachowywał się dość głośno. Tak było i piętnastego września.

Braun: — Niech pan weźmie tę świnię w obroty! A co z Haraldem Feinem?

Feldmann: — Bada się bardzo dokładnie każdy związany z nim szczegół. Włóczęga Baumholder, policjant Penzold i pewna prostytutka, która dostała za darmo pięćdziesiąt marek, potwierdzili swoje zeznania. Trzeba przyznać, że to wszystko jest w jakiś sposób podejrzanę; ale nic nie może służyć za dowód.

Braun: — Stąd wniosek, że już chyba czas, abym ja się włączył.

W tym dniu otwarto sklep „Paris modern” w jednym z pasaży na Theatinerstrasse. I znów brało w tym udział „całe Monachium”. Oto szczegóły na ten temat, wyjęte ze sprawozdania Uda Argusa, które ukazało się w „MZ”:

„Günther — jako gospodarz — wystąpił w biadolila ubraniu podobnym do smokinga. Materiał utkano w Lyonie na specjalne zamówienie. Hetty w szacie z jedwabiu o barwie kości słoniowej, w stylu staroklasycznym. Hannelore, niegdyś piosenkarka, obecnie zajmująca się malowaniem talerzy, a przy tym baronowa, miała na sobie jaskrawozielone obcisłe spodnium; jego barwa świetnie kontrastowała z jej wypielęgowanymi, spadającymi na ramiona złotymi włosami.

Była także obecna Soraya, niegdyś cesarzowa, obecnie «miła, prosta dziewczyna», cała w dyskretnej czerni — prawdopodobnie od *Balmaina* — i lekko zachrypnięta”.

„Przeziębła się przebywając nocą w ogrodzie swojej rzymskiej willi przy via Appia”, domniemywał „Argus”.

„Ponadto byli obecni wszyscy, którzy automatycznie zaliczają się do wybitnych osobistości monachijskich: słodka Uschi — tym razem z Bobem, a nie z Frankiem; łagodna Marianna; wesoła Petra i Anneliese, wygłaszająca oklepane frazesy w lokalnych audycjach telewizyjnych, nadawanych wczesnym wieczorem. Następnie Robert «Kto to jest», Gwidon «Kto powie prawdę?» i Eryk «Nic albo podwójną».

Koktajle serwowano od czwartej; zimny bufet — tym razem nie od *Kafera*, lecz od *Dallmayra* — około piątej. Do tego ciastka od *Kreutzkamma*, najlepsze słodyczne z *Resi-denzcafe*, napoje, wielkie ilości, z nymphenburskich piwnic szampana.

Rewia mody rozpoczęła się o piątej piętnaście. Pokazano przy tym wszystko, czego potrzebuje kobieta, żeby miała się w czym pokazać. Koszty na poziomie nieco ponad trzy tysiące marek — miesięcznie. Prawie za darmo!"

Komentarz „Argusa”: „Udany, bardzo oklaskiwany nowoczesny pokaz elegancji”.

Rozegrała się przy tym pewna scena, która zasługiwałaby na uwagę. Ale wszyscy uznali ją za zabawną i stwierdzili, że ożywiła wieczór.

Mianowicie: Joachim Jonass, towarzyszący córce Plattne-ra i Melanii Weber, wylał pełny kielich szampana marki *Fürst Ferdinand* na twarz Johannes-Edwarda, najmłodszego z synów Duhra, który jest właścicielem najgroźniejszej dla Plattnera firmy konkurencyjnej. Johannes-Edward wyglądał przy tym dość bezradnie.

Jonass dorzucił: — Nie tolerujemy nędznych podejrzeń, jasne?

Dalszy ciąg rozmów wyjaśniających w prezydium policji: komisarz Braun i inspektor Feldmann:

Feldmann: — Zająłem się już bliżej Lenbachem, tym fabrykantem papieru z Offenburga.

Braun: — No i?

— Feldmann: — Ten Lenbach odnosi ogromne sukcesy jako handlowiec. Wymyślił tak zwaną „wielką rolkę Lenbacha”. Chodzi oczywiście o papier toaletowy. Zarobił na tym miliony. Kupił sobie nawet Rembrandta, ale fałszywego.

Braun: — Co też takiemu podcieraczowi tyłków całkowicie wystarczy! Proszę o pańskie notatki z przesłuchiwania go!

Notatka z przesłuchania fabrykanta Lenbacha na okoliczność morderstwa przy ulicy V nr 33:

„Pan Lenbach, zamieszkały w hotelu *Bayerischer Hof*, udzielił szczerych informacji. Wynikało z nich, że odwiedził rzeczoną osobę wieczorem 15 września około godz. 21.00, co wydaje się być zgodne z prawdą, bowiem około godz. 22.00 Lenbach jechał z pewnym handlowcem kolację u *Humplmayra*. Przebywał tam prawie do północy.

W odpowiedzi na dociekliwe pytania pan Lenbach oświadczył, że tym razem nie doszło do stosunku płciowego z rzeczoną osobą. Raczej — cytuję dosłownie — «rąbnął ją w pysk», ponieważ zażądała wyższej ceny niż ostatnim razem”.

Komentarz Brauna: — A kto rąbnie w pysk tego świntucha? A może nie podniósł on ostatnio cen?

Feldmann: — O trzydzieści do czterdziestu procent w ciągu pięciu lat.

Braun: — Spodziewam się, że go pan tak łatwo nie wypuścił?

Feldmann: — Przesłuchiwałem go przez co najmniej pół godziny. Zapytałem go także, jaką ma grupę krwi. Była podana w dowodzie, dołączonym do prawa jazdy: grupa 0. A zatem Lenbach odpada.

Braun: — Wobec tego pozostaje, jak na razie, tylko ten Harald Fein! Cieszę się wręcz na spotkanie z nim! A więc, Feldmann, jutro rano chciałbym ucieszyć oczy jego widokiem. Kapujesz?

— Mam cię przeprosić — powiedział Harald Fein do swojej żony Hildy, która wróciła do niego na polecenie Plattnera. I chociaż nie bardzo wiem za co, to chciałbym się dowiedzieć, jak mam to zrobić, żeby wypadło jak najlepiej?

— Nie cierpię cię! — zawołała impulsywnie jego żona.

— Mogę to zrozumieć — powiedział pobłaźliwie Harald Fein, spuszczając głowę. — Ja się też sobie nie podobam!

Siwieją mi włosy, za często się uśmiecham, a czasem nawet płacę po cichu, po prostu się starzeję.

— I niczego się nie nauczyłeś!

— Uczę się codziennie — zapewnił ją Harald Fein. — Z każdym dniem, który mam jeszcze przeżyć, wzrasta moje zainteresowanie przyrodą, moja miłość do zwierząt, moje zrozumienie dla ludzi. Nawet dla ciebie!

— Oszczędź mi, proszę, tej twojej psiej filozofii — powiedziała ostro. — Nie jestem Antonem!

— To prawda — powiedział.

— Jestem twoją żoną! — krzyknęła. — Ale nie mogę cię już znieść!

— A jednak wróciłaś.

— Ponieważ ojciec mi kazał! Przyrzekł mi, że to już ostatni raz... Dopóki znowu nie popełnisz jakiegoś błędu, nawet tylko jednego jedyne. A na to z pewnością nie trzeba będzie zbyt długo czekać.

Siedzieli w wielkim salonie willi Feinów, w odległości paru metrów od siebie. Dzieci, Heinza i Helgi, nie było w domu, służąca poszła po zakupy, a Anton biegał po ogrodzie. A więc mogli mówić bez żenady, wyraźnie i głośno, zwłaszcza Hilda.

Wprawdzie próbowała ostatnio robić się na „słodką madonnę”: powłóczyła szaty, przeważnie niebieskie; bardzo umalowane, również na niebiesko, oczy, łagodnie sfalowane włosy, upięte z tyłu w hiszpański kok, koloru — od niedawna — dojrzałej pszenicy, dyskretnie lśniące. Próbowała też mówić — ale nie teraz — stłumionym, słodko-zmysłowym głosem.

— Wydaje się, że twój ojciec pragnie jedynie tego, abyśmy zachowali piękną fasadę.

— Przynajmniej tego może chyba od ciebie oczekiwać. Jako szanowany i zasłużony obywatel musi dbać o swoją opinię.

— Chciałaś chyba powiedzieć: jako dobrze zarabiający obywatel.

— W przyszłości powinieneś zrezygnować z tego rodzaju aluzji, nawet w najściślejszym gronie. To jeden z warunków, jakie stawia ci ojciec. Jest bardzo zmartwiony.

Powiedział mi, że ostatnio panuje nie tylko zastój w interesach, ale że idą one coraz gorzej. Obwinia o to ciebie. Jeżeli będziesz robił tak dalej, zaszkodziś jego opinii.

— A cóż ja robię? Nic!

— Właśnie! Jesteś hamulcem! Nikt nie ma z ciebie pożytku, a zatem wyrządzasz szkodę! I jeśli się to szybko nie zmieni...

— Wiem, co wówczas nastąpi — powiedział ze znużeniem Harald Fein. — Twój kochany ojciec sprecyzował wystarczająco dokładnie swoje groźby.

— I wprowadzi je w czyn.

— Będzie próbował, to pewne. Ale ostatecznie jesteś moją żoną, i mamy dzieci! I nasz syn mógłby kiedyś zostać następcą twojego ojca. Jest na to wystarczająco psychicznie silny. Jestem niemal pewien, że twój ojciec już o tym myśli.

— Ależ ty się przeceniasz! — zawołała Hilda. — Heinz jest moim synem. Ja go urodziłam, ty jesteś tylko jego przypadkowym ojcem. A człowiekiem, który tu decyduje, jest mój ojciec! Jestem i będę jego córką; nie można mnie wymienić, jak na przykład ciebie. Bo z łatwością można znaleźć kogoś, kto cię zastąpi, pod każdym względem!

— Pod każdym względem?

— Ostatecznie są inni, odpowiedni dla mnie, którzy mnie rozumieją, którzy spełniają moje życzenia i którzy mogliby się także podobać mojemu ojcu!

— Kogo masz na myśli? — zapytał niemal ubawiony Harald Fein. — Na kogo stawiasz? Chyba nie na Jonassa?

— A dlaczego by nie?

— Proszę cię, Hildo, to przecież ja sprowadziłem go do firmy. On pracuje dla mnie, jest moim przyjacielem!

— A cóż to ma za znaczenie? To przecież nic nie znaczy, poza tym żalonym faktem, że jesteś całkowicie pozbawiony poczucia rzeczywistości.

— Chcę panu coś wyznać — powiedział Jonass późnym wieczorem do Plattnera, przebywającego w swoim biurze

— niestety, nie można z tym zwlekać.

— Słucham — powiedział Plattner, siedząc za swoim ogromnym biurkiem, na którym, obok dokumentów dotyczących budowy numer 14, leżał, przykryty innymi papierami, magazyn pornograficzny.

— Zdarzyła się nieprzyjemna historia, panie Plattner, za którą jednak ponoszę odpowiedzialność, także w interesie naszej firmy... Krótko mówiąc: chlusnąłem kieliszkiem szampana w twarz najmłodszego z synów Duhra, tego aroganckiego Johannes-Edwarda.

— Dlaczego?

— Ten chłystek ośmielił się, w obecności powszechnie szanowanych osób, robić pogardliwe uwagi na temat transakcji zawieranych przez naszą firmę. Wyszedł wkrótce potem z przyjęcia, a więc nie wdawał się w dalsze polemiki. Inaczej zbiłbym go bez skrupułów. Można więc się spodziewać, że pan Duhr, senior, zgłosi się do pana...

— Już się to stało — powiedział spokojnie Paul Plattner — przed paroma minutami telefonował do mnie.

— I co?

— Duhr i ja — wyjaśnił Plattner — konkurujemy ze sobą, i to, jeśli już nie da się tego uniknąć, dość ostro. Czasami, jeśli tak wypadnie, jesteśmy partnerami. Najważniejsza reguła gry powiada, że wszelkie rozbieżności załatwiamy między sobą. Nigdy nie wyciągamy ich na widok publiczny. Duhr junior pogwałcił tę zasadę. Jego ojciec przeprosił mnie za to.

— To mnie uspokaja — powiedział Jonass z widoczną ulgą. — To znaczy, że postąpiłem dobrze, a przynajmniej, że nie popełniłem błędu!

— Pan się wyrabia! — zapewnił go z ożywieniem Paul Plattner. — Tylko tak dalej.

Dalsze szczegóły z rozmów urbanisty Abendrotha z dziennikarzami, przeprowadzonych podczas tak zwanej „kolacji prasowej”:

Abendroth: — Tak, to prawda, znam także pana Jonassa. Przed kilkoma laty pracował przez cztery czy pięć miesięcy

w zarządzie miasta, w naszym wydziale. To świetny człowiek, zdolny organizator, nie pozbawiony ambicji zawodowych, o ile sobie przypominam.

Pytanie: — Ale potem przeszedł do gospodarki prywatnej. Dlaczego?

Abendroth: — Prawdopodobnie dlatego, że gospodarka prywatna może więcej zapłacić. Ostatecznie pan Jonass nie był urzędnikiem. Wykorzystał pomyślną okazję.

Pytanie: — Czy pan go do tego zachęcił?

Abendroth: — Do czego?

Dziennikarz: — Pan Jonass przeszedł do firmy budowlanej *Plattner*. Czy to był czysty przypadek? Czy też może miał pan w tym jakiś udział?

Abendroth: — W żadnym razie nie wpłynąłem na niego bezpośrednio! Wiedziałem jedynie, że pan Jonass chce zmienić pracę, a równocześnie pan Fein szuka pilnie zdolnego współpracownika, który mógłby go w poważnym stopniu odciążać. Wówczas powiedziałem o tym obu panom. Wydawało mi się to rzeczą zupełnie oczywistą. Nie należy nikomu odbierać szansy, prawda?

Pytanie: — Czy pan Jonass uczestniczył bezpośrednio we wstępnym planowaniu budowli olimpijskich i dróg dojazdowych do nich?

Abendroth: — Nie.

Pytanie: — Czy mógł mieć dostęp do planów, dokumentów, protokołów?

Abendroth (z lekkim ociąganiem): — Nie.

— Czy chcesz mi wmówić — zapytał żonę wciąż jeszcze ubawiony Harald Fein — że spałaś z Jonassem?

— Bez względu na to, z kim spałam, to cię nic nie obchodzi. Harald Fein usiadł wygodnie w swoim dekoracyjnym fotelu i zapytał: — I ty chcesz mi wmówić coś takiego?

— Dlaczego miałabym uważać, że jestem zobowiązana do całkowitej szczerości, i to akurat wobec ciebie? Czy naprawdę byłaś moim mężem? Mam na myśli to wszystko, co to określenie oznacza. Zdaje się, że to się skończyło przed wielu laty!

— Ale co będzie, jeśli twój ojciec dowie się o tych rzekomych skokach w bok?

— Od kogo? Ode mnie się nie dowie! Od Jonassa także nie. A gdybyś ty spróbował powiedzieć mu coś takiego, to oświadczę, że to wstrętne, podle oszczerstwo. A wiesz przecież, komu z nas dwojga ojciec wierzy?

— No pięknie, mów sobie, co chcesz — powiedział z rozgoryczeniem Harald Fein. — Żyjmy tak dalej. Ale jak długo jeszcze?

Urbanista Abendroth u swojego bezpośredniego przełożonego, naczelnika wydziału urbanistycznego. Rozmowa została zapisana i przekazana do akt. Odbyła się wczesnym przedpołudniem następnego dnia:

Abendroth: — Muszę wyznać, że martwią mnie pewne wyraźnie zarysowujące się tendencje.

Naczelnik wydziału urbanistycznego: — Każdego z nas to chyba martwi, jeśli zważy się doniosłość spraw, z którymi mamy tu do czynienia. Czasem odnoszę fatalne wrażenie, że niemal każdy tydzień, jaki nas zbliża do olimpiady, kosztuje nas dodatkowo ponad milion marek.

Abendroth: — Obawiam się, że właśnie dlatego będzie się próbowało znaleźć winnych lub odpowiedzialnych. Na przykład, jak się to przede wszystkim nasuwa, mnie. Bezpośrednio potem, jak przypuszczam, pana. A potem nawet burmistrza. Bo jest to swego rodzaju polowanie z nagonką. Ale kto je organizuje?

Wypowiedź w tej sprawie radia bawarskiego w audycji „Komentarze gospodarcze”:

.....sprawa rozbudowy kolei podziemnej wydaje się po ważne zagrożona”.

„Zagraża niebezpieczeństwo znacznego podwyższenia kosztów budowy sieci komunikacji ulicznej”.

....koszty budowy stadionu olimpijskiego wzrosły w ciągu roku prawie dwukrotnie, jeśli nie trzykrotnie!"

„...początkowo o trzydzieści milionów, potem o pięćdziesiąt milionów, wreszcie o siedemdziesiąt do osiemdziesięciu milionów. I tak dalej...”

„...w rezultacie — szacując ostrożnie — o jakiś miliard marek więcej, niż początkowo zaplanowano. Ale: kto jest za to odpowiedzialny?”

Dalsze szczegóły poufnej rozmowy między naczelnikiem wydziału urbanistycznego a jego najważniejszym chyba pracownikiem, Abendrothem. Ważne także dlatego, że Abend-roth cieszył się nieograniczonym zaufaniem burmistrza.

Naczelnik wydziału urbanistycznego: — Czego się pan naprawdę obawia? Czy może pan to sprecyzować możliwie dokładnie?

Abendroth: — No cóż, próby udowodnienia nam ewentualnego udziału w budzących wątpliwości spekulacjach. Nam, a zatem wydziałowi urbanistycznemu, wydaje się, że ktoś bardzo się stara skonstruować bezpośrednie powiązania na przykład między planowaniem a manipulacjami różnych przedsiębiorstw budowlanych. Przede wszystkim manipulacjami firmy *Plattner*.

Naczelnik wydziału urbanistycznego: — To nie byłoby dobrze. Muszę o tym natychmiast powiadomić pana burmistrza.

— Przyszedł jakiś człowiek, i jeszcze jeden — poinformowała zaniepokojona Maria Trübner, służąca w domu Feinów. — Chcą mówić z panem Feinem.

Hilda Fein podeszła do drzwi wejściowych i ujrzała niskiego, kłocowatego człowieka o sympatycznej twarzy w kształcie gruszki. A za nim podobne do myszy szare stworzenie: wcielenie komornika.

— Czy pani Fein?

Hilda przytaknęła.

— A gdzie jest pani mąż?

— Jeszcze śpi.

— Chcielibyśmy z nim porozmawiać — powiedział człowiek z twarzą kształtu gruszki. — Pozwoli pani, nazywam się Feldmann. Jestem inspektorem policji kryminalnej. Czy możemy wejść?

— Czy ma pan do tego prawo? — zapytała przezornie Hilda Fein.

— Jeśli pani nam pozwoli, to tak. — Feldmann uśmiechnął się, mając nadzieję, że będzie przez to wyglądał bardziej sympatycznie. — Ale pani nie musi! Może pani nas także wyrzucić, gdyby pani uznała to za słuszne. Ale nie radzę!

— Czego pan chce od mojego męża?

— Zaprosić go na rozmowę... do prezydium policji. Powiedzmy: tylko na taką pro forma! Nie mamy zamiaru stosować żadnego przymusu. Prosimy jedynie o współpracę, chociaż prosimy z pewnym naciskiem.

Naczelnik wydziału urbanistycznego u burmistrza. Najpierw ogólna, wyczerpująca informacja o dalszych ewentualnych komplikacjach, przede wszystkim o zwiększaniu się kosztów budów olimpijskich; potem zaś wyrażenie szczególnych obaw w związku z Plattnerem, Feinem, Jonassem i Abendrothem:

Naczelnik wydziału urbanistycznego: — Panie burmistrzu, wydaje mi się to w najwyższym stopniu niepokojące. Co robić? Jakie jest pańskie zdanie?

Burmistrz: — W żadnym wypadku nie stosować uników! Nie podejmować najmniejszej próby zatuszowania czegokolwiek. Tylko w ten sposób można naprawdę coś osiągnąć.

Naczelnik wydziału urbanistycznego: — Przepraszam pana, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy spróbowali zrobić unik, żeby zapobiec ewentualnemu skandalowi...

Burmistrz: — Nie! Jeśli jedna czy więcej osób widzi w tym czerwoną płachtę i chce odgrywać rolę rozwścieczonego byka, to my się postaramy o toreadora! Wiążę z tym pewne nadzieje; ostatecznie ja też chcę się zabawić.

3

Komisarz Braun przyjął wprost serdecznie doprowadzonego mu przez inspektora Feldmanna gościa — Haralda Feina. — Nareszcie pan jest! — zawołał.

— A po co tu jestem?

— Powiedzmy: żeby nam pomóc.

— W czym, proszę pana?

— W wyjaśnieniu sprawy pewnego morderstwa! — Braun uśmiechnął się ujmująco. Poprosił Feina, żeby usiadł; podsunął mu nawet krzesło.

— Dlaczego — zapytał Fein z całkowitym spokojem — kazał mnie pan tu przyholować?

— Przyholować? Co też panu przychodzi do głowy? Ja pana poprosiłem, żeby pan zechciał przyjść!

— A co by się stało, gdybym nie skorzystał z pańskiego zaproszenia?

— Wówczas, panie Fein, mógłbym naturalnie panu w tym dopomóc! Policja ma prawo doprowadzić każdego obywatela na przesłuchanie albo w celu pobrania krwi, zdjęcia odcisków palców czy sporządzenia fotografii. Nawet siłą, jeśli zajdzie potrzeba. Czy pan o tym nie wiedział?

— Nie. Obawiam się, że muszę się jeszcze wielu rzeczy nauczyć.

— Niech pan to zrobi! — zalecił mu komisarz z hałaśliwą uprzejmością. — Chętnie panu w tym pomogę!

Hilda Fein powiedziała do swego ojca, Paula Plattnera:

— Co to ma znaczyć? Zabrała go policja kryminalna! Chyba musiało się coś stać? Przypuszczam, że chodzi o jakąś brudną historię. Przecież nie możesz się tak po prostu z tym pogodzić. A może myślisz inaczej?

Paul Plattner do swojej córki, Hildy Fein: — Proszę cię, drogie dziecko, nie dramatyzuj wszystkiego, co się tylko zdarzy. Prosiłem cię o jak największe opanowanie, o lojalną współpracę. A więc nie próbuj się znowu buntować. Bo i cóż to znaczy: policja kryminalna! Może twój mąż przesłuchują z powodu jakiegoś wypadku drogowego albo jest potrzebny jako ekspert. Możliwe też, że poproszono go o pomoc.

Hilda Fein: — A jeśli jednak się okaże, że zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo, to co wtedy?

Plattner: — Nie próbuj wywierać na mnie nacisku! Jesteś mi droga i wiesz, jak cię cenię. Robię dla ciebie wiele i życzę ci wszystkiego, czego chcesz, nawet Joachima Jonassa!

Hilda Fein: — Ty o tym wiesz?

Plattner: — Już rok temu poinformowano mnie o twoim stosunku z Jonassem.

Hilda Fein: — Ja go kocham!

Plattner: — Nieważne, jak to nazwiesz. Wiem, że natura ma swoje prawa. Ale, mimo różnych odchyłeń, żyjemy w bardzo katolickim mieście. Stale musimy o tym pamiętać, chociaż to niewygodne.

Hilda Fein: — Ale Jonass, którego kocham, byłby najlepszym następcą, także dla twojej firmy. Jest przecież bardzo zdolny, prawda?

Plattner: — Tak mi się wydaje. Stara się, a nawet ryzykuje co nieco, aby zdobyć moją przychylność. Próbuje udowodnić, że dysponuje konieczną w naszym interesie odpornością. Wystarczy, żebym sobie tylko pomyślał o tym zajściu na budowie numer czternaście. Ale nie jest ani twoim mężem, ani moim zięciem, ani też wicedyrektorem. Tym jest nadal Harald Fein.

Hilda Fein: — Jak długo jeszcze?

Komisarz Braun, wciąż jeszcze z uśmiechem na twarzy, wyjął zdjęcie z leżącej przed nim teczki i podsunął je Haraldowi Feinowi. — Czy zna pan tę osobę? A może mam powiedzieć: „panią”? Jak pan sobie życzy?

Harald Fein, oglądając zdjęcie, skinął głową. Na fotografii widniało stworzenie o pełnych kształtach, ta superblondynka o wydętych wargach, demonstrująca zmysłowość w stylu pism ilustrowanych; jej pełne piersi wybiegały na spotkanie kamera.

— Znam tę panią — potwierdził Harald Fein. — Ścisłej mówiąc: widziałem ją parę razy. Ale z nią nie rozmawiałem.

— Ta osoba — powiedział Braun — wygląda teraz zupełnie inaczej.

— Jak to inaczej?

— Pan o tym nie wie? A ja myślałem, że będzie pan mógł udzielić informacji na ten temat.

— Skąd miałbym je wziąć?

— No dobrze, wobec tego notuję, że pan twierdzi, iż nie wie pan nic o obecnym stanie tej osoby.

— O jakim stanie?

— No cóż, rozbito jej doszczętnie tył głowy; na jej szyi widnieją wyraźne ślady uduszenia. Nie żyje! Jest teraz tylko obiektem rozpoznania, leżącym w kostnicy.

Harald Fein popatrzył na komisarza. — Bardzo mi przykro — powiedział.

— Z jakiego powodu — zapytał Braun, patrząc na swego gościa z zainteresowaniem i nadzieją — jest panu przykro? Z powodu czynu czy ofiary?

— Nie rozumiem, panie komisarzu.

Po czym nastąpiła cisza.

— Czy pan przypuszcza — zapytał nagle Fein — że mam coś wspólnego z tymi wydarzeniami...

— Nic nie przypuszczam! Odzwyczailem się od przypuszczania. W każdej formie. Próbuję jedynie dociec, jak się sprawy mają.

— A jak się, pańskim zdaniem, mają?

— Po pańskich oczach widzę, panie Fein, że jest pan

niespokojny. Nie patrzy pan na ranie, unika pan mojego spojrzenia. Pan chce coś ukryć, jestem tego pewien! Ale... co?

Z notatek komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Śledzili się nawzajem. Zdawało się, że grają w swoistego pokera. I jak mi się zdawało, obydwaj — także ten Fein — znali sporo trików. Co mnie naprawdę zaskoczyło, i Brauna również. W każdym razie odniosłem wrażenie, że ci dwaj narobią jeszcze masę kłopotów.

Przypadkowo byłem obecny przy pierwszym ich spotkaniu. Siedziałem przy trzecim biurku, w najdalszym kącie, przy jednym z dwóch okien. Widok na środkowe podwórce wewnętrzne: ciasno stłoczone pojazdy policyjne; wiele z nich nadawało się niemal na złom. Oficjalnie byłem zajęty wyjaśnianiem bieżących wypadków zgonu.

Bieżący wypadek numer jeden: zwłoki niemowlęcia — zgon nastąpił przed trzema tygodniami. Najpierw uduszenie, potem rozbicie czaszki o drzewo. Uderzono głową niemowlęcia czterokrotnie, a potem wrzucono je do rzeki. Przyczyna śmierci: utonięcie. Sprawa należy do kompetencji prokuratora.

Bieżący wypadek numer dwa: dziewczynka, która wypadła z okna trzeciego piętra. Lat 13, w szóstym miesiącu ciąży. Śmierć nastąpiła przypuszczalnie nie bez pomocy matki, której drugi mąż wchodzi w rachubę jako ojciec dziecka pasierbicy. Przekazano zespołowi do spraw morderstw.

Bieżący wypadek numer trzy: «stojące zwłoki» — niesłychanie interesujący przypadek z naszej dzielnicy. Prawie wszystkie zwłoki leżą, niektóre wiszą, ale rzadko zdarza się, żeby stały. Te jednak, znalezione w pewnym baraku na przedmieściu, były wtłoczone między regał a szafę. Śmierć nastąpiła po nadmiernej dawce alkoholu. Stwierdzono ciężką cukrzycę. Zwłoki wydano rodzinie.

Śmierć — we wszystkich możliwych wariantach — dawno już się stała dla mnie sprawą powszednią. Wiele czasu upłynęło, zanim się do tego przyzwyczaiłem. Ale, na

szczęście, ciągle jeszcze trudno mi jest przyzwyczać się do metod stosowanych przez mojego kolegę Brauna.

Byłem niemal pewien, że tym razem, w związku z tym Haraldem Feinem, spotka go jeszcze niejedna niespodzianka.

Chociaż zwrot «widzę to po pańskich oczach» był jedynie użytecznym trikiem zawodowym, to i we mnie — choć nie miałem bezpośrednio nic wspólnego z tą sprawą — odezwał się sam zawodowy instynkt, co w Braunie.

Ja też odniosłem wrażenie, że Fein wie coś, czego nie chce powiedzieć".

— A więc zna pan tę osobę, panie Fein; przynajmniej do tego się pan przyznaje.

— Do niczego się nie przyznaję; ja panu tylko mówię, co wiem. — Harald Fein był nadal uprzejmy. — Bo nie sądzę, że pan chce mi zaaranżować przesłuchanie.

— A co pan wobec tego sądzi?

— Że chce mnie pan prosić o pewne informacje.

— Pięknie, niech pan to nazwie, jak pan chce! — Braun cofnął się o parę kroków, stanął w rogu pokoju, gdzie znajdował się wypełniony po brzegi regał z aktami. Bezpośrednio przed nim znajdował się teraz Keller, nazywany w biurze również „trupiarnią"*. Pochylony był nad swoimi tabelami. Ale zachowywał się tak, jak gdyby go wcale nie było.

— A zatem — stwierdził Braun — widział pan tę osobę. Nawet wiele razy. Ale twierdzi pan, że pan z nią nigdy nie rozmawiał. Wie pan jednak, gdzie mieszka, czy raczej gdzie mieszkała. Czy pan to przyznaje?

— Ja nic nie przyznałem, panie komisarzu, proszę, niech pan o tym pamięta! Jeśli ma pan zamiar snuć jakieś podejrzenia w związku z tą sprawą i z moją osobą, nie powiem więcej ani słowa.

— Pan mnie nie docenia — zamruczał Braun niechętnie.

— I jak mi się zdaje, nie docenia pan swojej sytuacji.

* Nieprzetłumaczalna gra słów: Keller oznacza piwnicę; Leichenkeller — kostnicę, trupiarnię.

— Pan się myli, panie komisarzu. Zatrzymałem się na tej ulicy w moim wozie. Nie opuszczałem go. Wypaliłem sporą ilość papierosów i słuchałem audycji radiowych. Czy jest to w jakiś sposób podejrzanе lub wręcz karalne?

— Samo w sobie nie — potwierdził Braun niechętnie, starając się skupić uwagę. Ten Fein go drażnił.

— No to mogę chyba odejść. Zwłaszcza że ktoś na mnie z niecierpliwością czeka.

— Kto to taki?

— Mój pies, wabi się Anton. Siedzi w moim wozie, a niechętnie zostawiam go samego.

— Pies? — zapytał z niedowierzaniem Braun.

— I to co za pies!

— Pies może poczekać!

— Ten nie — oświadczył Harald Fein, przy czym po raz pierwszy zauważył siedzącego w kącie pod oknem Kellera, który uśmiechnął się do niego z całkowitym zrozumieniem. Fein, który skupił uwagę na Braunie, uznał to za pomyłkę. — W każdym razie w pobliżu tego domu siedziałem w samochodzie razem z Antonem, moim psem.

— Chce go pan może podać za świadka?

— Są inni, na przykład pewien włóczęga, pewna prostytutka, a nawet policjant.

— Wiemy o tym, zawołał komisarz, jak gdyby ucinając rozmowę na ten temat. — Wszystko jest u nas zanotowane. Ale skąd panu przyszło do głowy, że te trzy osoby będą świadczyć za panem, a nie przeciwko panu?

— Niech pan nie posuwa się za daleko! — zalecił Braunowi Harald Fein, pozornie wciąż jeszcze spokojny. — Nie jestem obiektem, który może stać się łatwą zdobyczą. Nie dla pana. I dla nikogo.

Peter Palitschek, obecnie pomocniczy agent ubezpieczeniowy, do Marii Trübner, swojej obecnej przyjaciółki, pracownicy w domu Feinów:

— A więc, dziewczyno, nie pozostaje nic innego jak tylko dobrać się do tej szperki! Jeśli coś się smaży, nie wolno

dopuszczać do tego, żeby się przypaliło. Najpierw ustalmy: ta świnia Harald Fein zbliżył się do ciebie w niemoralny sposób. I to nie jeden raz. Powiedzmy: przy każdej nadarzającej się okazji. Na przykład na korytarzu, w łazience, w swojej sypialni, gdzie podawałaś mu śniadanie. Zwłaszcza wtedy, gdy był w domu sam, tylko z tobą. Bo wobec swojej żony udawał poczciwca. Czasem też łątał cię w jej obecności, mówiąc: „głupia gęś” albo „idiotka”. Nie robił tego? *No cóż, niech będzie i tak! A więc początkowo patrzył na ciebie pożądliwie. A potem zaczął cię chwytać za rękę, a później kładł rękę na piersi i między nogi. Tak było?

Maria Trübner: — To za ładne, żeby było prawdziwe!

Peter Palitschek, nie zbity z tropu: — Tak było! I to wcale nie było ładne, rozumiesz? Czułaś wstręt, to było dla ciebie obrzydliwe! Na takie rzeczy ludzie nabierają się zawsze: stary jurny kozioł i prześladowana niewinność, honor kobiecy i tak dalej. No i twoja dobra posada: kochana pani Fein, miłe dzieci. Nie chciałaś im sprawić zawodu. Broniałaś się, i to mocno! Wtedy zaproponował ci pieniądze.

Maria Trübner: — Ile pieniędzy? Tysiąc marek?

Peter Palitschek: — Tyle nie jesteś warta. Mam na myśli: dla takich typów jak Fein. Ci łajdacy są skłonni do każdego rodzaju świństw, ale znają powszechnie obowiązujące ceny. Powiedzmy więc: dwieście marek! Albo trzysta, jeśli wolisz. W każdym razie odrzuciłaś tę ofertę, i to z wielką pogardą! W odpowiedzi na to podwyższył od razu cenę, i to dwukrotnie. Doszło do pięciu tysięcy marek. Ale nie zdołał cię za to kupić. Byłaś oburzona i przerażona, i powiedziałaś o wszystkim mnie, twojemu przyjacielowi. A resztę ja już załatwię!

— Mój drogi chłopcze — powiedział ze smutkiem Plat-tner do zięcia — w co my wpadliśmy?

Wskazał Haraldowi Feinowi hotel stojący bezpośrednio przed jego biurkiem, prawdziwego — pod gwarancją — Ludwika, z okresu między panowaniem czternastego a szesnastego króla tego imienia.

Plattner przyjmował tu przedstawicieli miasta, deputowanych do Landtagu i Bundestagu, planistów terenów olimpijskich, ekspertów budowlanych i wyższych urzędników ministerialnych, ale nigdy — jak dotąd — swego zięcia. Traktował go bowiem tak jak wszystkich pracowników firmy. Jedynym wyjątkiem była panna Wagnersberger, główna sekretarka, która jedna zaledwie dostąpiła zaszczytu przestąpienia progu tego pokoju.

Teraz jednak Plattner okazywał serdeczne zainteresowanie. — Czyżbyś naprawdę miał jakieś trudności, mój chłopcze? Z policją kryminalną?

— Jakie trudności?

Plattner stanął za Feinem i gestem właściciela położył mu na ramieniu swoje niezdarne, muskularne ręce. Poufnym tonem powiedział: — Poinformowano mnie, że byłeś przesłuchiwany w prezydium policji, i to w sprawie morderstwa! Haraldzie, nie mogę w to uwierzyć!

— To nie wierz! — odrzekł spokojnie zięć.

— Przepraszam, ostatecznie jesteś mężem mojej córki. Wszystko, co mogłoby ci ewentualnie sprawić jakieś trudności, może i musi mnie obchodzić. A więc o co chodzi?

— Czy nalegasz?

— Jestem człowiekiem, który chce znać prawdę. Powinieneś o tym wiedzieć!

Rozmowa między komisarzem Braunem a inspektorem Feldmannem:

Feldmann: — Jeśli wolno zapytać: czy po rozmowie z Haraldem Feinem uważa go pan za wolnego od podejrzeń?

Braun: — Człowieku, cóż to za pomysł! Czy panu się podoba ten facet? Ma przecież wyraźnie patologiczne rysy; on jest nienormalny, typowy zбочeniec!

Feldmann: — Może próbuje żyć własnym życiem?

Braun: — Niech pan mi nawet o tym nie mówi. Niech się pan trzyma faktów! Na przykład należącego do zamordowanej spisu telefonów. Co się z nim dzieje?

Feldmann: — Bada go dwóch specjalistów służby śledczej. Zadanie jest trudne, bo numery telefonów często się zmieniają. Na dodatek zamordowana nie należała do osób, które potrafią coś dokładnie zanotować. Zapisane przez nią liczby są często niezupełnie czytelne: nieraz trudno odgadnąć, czy to ma być jedyńka, trójka czy piątka.

Braun: — Jednakże, o ile dobrze zrozumiałem, znalazł pan tam pewien konkretny numer?

Feldmann: — Tak. Firmy, w której pracuje Harald Fein. Jeśli liczby dokładnie zostały odczytane. Ale gdyby nawet, to w firmie pracuje pięć do siedmiu tysięcy urzędników i robotników. Czy mamy sprawdzać ich wszystkich?

Braun: — Feldmann! Nie powinien mi pan stawiać takiego głupiego pytania! Co to znaczy: pięć do siedmiu tysięcy! Tylko bardzo niewielu z nich może sobie pozwolić na tak drogie prostytutki, powiedzmy dziesięć czy trochę ponad dwadzieścia osób. Na przykład dyrektorzy, inżynierowie, kierownicy budów, albo też właśnie zastępca naczelnego dyrektora. Niech pan rozpocznie swoje badania dokładnie od tego punktu!

— No dobrze, bez względu na to, co za rodzaj prawdy masz na myśli. — Harald Fein popatrzył uważnie na swego teścia. — Zatrzymałem się w określonym czasie w pobliżu miejsca pewnego przestępstwa, ale nie miałem z tym przestępstwem nic wspólnego.

Plattner, zaalarmowany, wlepił oczy w twarz swego zięcia. — Co to było za przestępstwo?

— Prawdopodobnie morderstwo, a co najmniej zabójstwo pewnej kobiety. Przypadkowo byłem w pobliżu; ale inni także. Adres: ulica V numer trzydzieści trzy, szóste piętro, na prawo. Czy ci to coś mówi?

— Ty... tam! — wykrztusił Plattner. I po dłuższej przerwie zapytał z ostrzeżeniem w głosie: — Czyżbyś znowu zaczął pić, mój chłopcze?

— To pytanie mogłeś sobie darować, a już całkiem na pewno w tym kontekście. Bo w tym wypadku na nic się zda

szukanie argumentów w moim ewentualnym alkoholizmie i wynikającym stąd braku zdolności do obserwacji oraz słabej pamięci. Wiesz dobrze także i to, że gdybym znowu zaczął pić, to moja żona, a twoja córka, poinformowałyby cię o tym dokładnie we właściwym czasie. Przecież tylko na to czeka!

— Proszę cię, Haraldzie, nie mów takich rzeczy! Nie doceniasz Hildy, i nie doceniasz mnie. Czy nie dowiodłem ci raz jeszcze, że jestem ci niezmiernie życzliwy?

— Po to, żeby mi przypomnieć, że powinienem ci się zrewanżować, tobie i twojej firmie.

Przed paru laty, podczas pewnej nocnej rozmowy w willi Feinów, Paul Plattner zapytał swojego zięcia: — Czy Abendroth naprawdę wie, czego chce? Czy to zadanie: zaplanowanie terenów olimpijskich, nie będzie ponad jego siły?

— Ponad siły każdego innego tak, ale nie jego! — zapewnił go Harald Fein.

Paul Plattner sączył wodę mineralną, podczas gdy Harald pił już drugą butelkę szampana.

— Dzielnica Oberwiesefeld, przewidziana na tereny olimpijskie, jest idealnym obiektem dla zrealizowania tego rodzaju planów; ten teren stanowi zamkniętą całość i należy niemal wyłącznie do miasta Monachium i do Bawarii. Ale jak będzie z drogami dojazdowymi?

— Trzeba znaleźć jakieś śmiałe rozwiązanie, możliwie wolne od wszelkiej małostkowości. Hermann jest także tego zdania.

— Ach tak? — Plattner udał sceptycyzm. — To byłoby coś zupełnie nowego. Jakże on chce sobie poradzić w tej dżungli niejasnych kompetencji, różnych spekulacji, chaotycznych stosunków własnościowych?

— Jego plan — powiedział Harald Fein, ponownie nalewając sobie szampana — jest równie genialny, co prosty. — Sięgnął po podsunięty mu przez Plattnera plan miasta i po jego ołówek. — Żadnego systemu ulic objazdowych ani próby rozszerzenia ulic okólnych, lecz radykalne, bez-

pośrednie rozwiązanie. — Fein kreślił, mówiąc równocześnie: — Tu jest śródmieście, tu krąg wewnętrzny, tam zaś główna droga dojazdowa, która bierze swój początek bezpośrednio w centrum miasta. Przecina ona teren wystawowy, tereny nie zabudowane, dwa boiska sportowe i osiedle emerytów, zwane Lisim Ogonem. A więc raczej nie ma żadnych wyraźnych komplikacji.

— Tak by się wydawało — orzekł Paul Plattner, przyciągając niezwłocznie plan miasta do siebie. — Z tym można już będzie coś zrobić! Jestem ci bardzo wdzięczny, mój drogi zięciu.

— Ty mnie źle zrozumiałeś!

— Nazwij to, jak chcesz. W każdym razie po raz pierwszy naprawdę zasłużyłeś się dla mojej firmy, i nie zapomnę o tym tak łatwo.

— Nie mogę już oddychać w tym wielkokapitalistycznym bagnie — oświadczył teściowi Harald Fein.

— Proszę cię, oszczędź mi tego rodzaju bzdur ze słownika walki klasowej! Zostaw to swojemu synowi. Jest jeszcze na tyle młody, że może sobie pozwalać na takie głupstwa! Ale ty pracujesz już od blisko dwudziestu lat, i w pewnym ważnym momencie pracowałeś nawet świetnie, chętnie to potwierdzę. Ale potem, całkiem nagle, znacznie się opuściłeś, co w końcu graniczyło już z działaniem na szkodę firmy. A teraz, zdaje mi się, jesteś gotów mnie skompromitować. Dlaczego, Haraldzie? Z czystej chęci zemsty? To przecież niemożliwe! Bo przede wszystkim musisz wiedzieć, Haraldzie, że gdybyś chciał na przykład wywołać jakiś skandal, to naraziłbyś swoją egzystencję.

— A cóż jest ona warta? Nic! A więc nie mam nic do stracenia.

Paul Plattner podniósł się. Sprawiał wrażenie wzburzonego. Twarz mu się niebezpiecznie zaczerwieniła. Próbował się oprzeć o poręcz fotela. Oddychał ciężko. I prawie krztusząc się powiedział: — Możesz gardzić mną, swoją żoną i na dodatek samym sobą! Prawdopodobnie to jest

w twoim stylu. Ale powinieneś zrozumieć, że w moich oczach zawiodłeś w najbardziej oplakany sposób, z wyjątkiem jednego: spłodziłeś syna, naszego Heinza! I jego właśnie przewidziałem na mojego następcę. Jestem pewien, że przy swojej energii będzie dobrym następcą, gdy tylko straci te rewolucyjne rogi, które, jak uczy doświadczenie, nigdy nie trwają długo. Czy chcesz definitywnie odebrać swojemu synowi szansę na przyszłość?

— Czy to ma być cena? — zapytał Harald Fein — za którą odtąd mam się godzić na wszystko, co się wydarzy? Czy to jest ta cena?

— Będziesz musiał zmienić sposób życia — powiedział Paul Plattner. — Jeśli naprawdę kochasz swego syna, a kochasz go, ponieważ jesteś pewien, że jesteś jego ojcem. Czy jesteś tego pewien?

Z notatek komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Ten Harald Fein zaczął mnie interesować, a potem nawet bardzo interesować. Cechowała go osobliwie smutna wesołość. Zdawało się, że uśmiecha się niemal z powodu każdej rzeczy — ale się tym nie bawi. Miał dziwnie smutne spojrzenie. Jego oczy rozjaśniały się tylko wówczas, gdy mówił o swoim psie Antonie. Co sprawiło, że zacząłem być niesłychanie ciekaw tego Antona”.

— Czy mówię z panem Feinem? — zapytał człowiek, który odszukał Haralda w głównym biurze firmy *Plattner* — *Roboty budowlane naziemne i podziemne*. Był to krępy człowiek, średniego wzrostu, o chytrym spojrzeniu. — Nazywam się Palitschek.

— Proszę, niech pan siada — powiedział Harald Fein. — Zdaje się, że już słyszałem pańskie nazwisko... w związku z panną Marią Trübner, która obecnie prowadzi nasze gospodarstwo domowe. Zgadza się?

— Niestety tak — potwierdził Peter Palitschek. — Panna Maria jest ze mną zaręczona.

Na to pies Anton podniósł się z owczej skóry, jak gdyby usłyszał jakiś sygnał, zbliżył się do Palitschka i obwąchał go krótko. Potem jednak szybko wycofał się rakiem i zaczął się trząść na całym ciele — począwszy od głowy, poprzez grzbiet i tylną część ciała, aż do końca ogona. Potem położył się znowu na owczej skórze.

— Co to takiego? — zapytał trochę speszony Palitschek.

— Mój pies, niech pan się nie niepokoi. Mówił pan o panie Trübner.

— Ona jest bardzo dzielna! — zapewnił Feina Peter Palitschek.

— Tak, to prawda. Tego zdania jest także moja żona.

— Ale nie pod każdym względem. Bo Maria, czego się tak od razu nie widzi, jest bardzo subtelna. Ma swoje pojęcie honoru, piękną duszę i nie można jej kupić! A może pan jest innego zdania?

— Dlaczego miałbym być innego zdania? I do czego pan zmierza?

— No cóż, ja jestem prostym, solidnym, porządnym człowiekiem. I moja narzeczona także. Chcemy jedynie prowadzić proste, solidne, porządne życie. Ale chcemy, żeby nam się to opłacało. A przy tym nie mamy nic do podarowania.

— Pan chyba nie chce mnie szantażować? — zapytał ubawiony Harald Fein.

Peter Palitschek podniósł obie ręce obronnym gestem. — Tego wcale nie powiedziałem!

— A co pan sobie myślał?

— Na przykład to: pan jest szlachetnym, wspaniałomyślnym i tolerancyjnym człowiekiem. Tak jak i ja. Ale ostatecznie każdy z nas robi błędy. Chodzi tylko o to, że człowiek musi być gotów je naprawić!

— W jaki sposób, pańskim zdaniem?

— No cóż, panie Fein, w duchu sprawiedliwego wyrównania! Niech pan raz popatrzy na to w taki sposób: zachęcał pan moją Marię do różnych świadczeń specjalnych. To zrozumiałe. Ale dotychczas nie otrzymała za to odpowiedniego, specjalnego wynagrodzenia. Swego rodzaju odszkodowania...

— Widzi pan, panie Palitschek, trafił pan pod fałszywy adres. Bo, bo pierwsze, nie żądałem od Marii żadnych świadectw specjalnych. Po drugie: gdyby do nich doszło, nie mógłbym za nie zapłacić. Widzi pan, na dobrą sprawę nie mam nic. Mieszkam wprawdzie w wielkim domu, ale ten dom jest własnością mojej żony, czy raczej jej ojca. Firma *Plattner* płaci mi około trzech tysięcy marek miesięcznie. Opłacam z tego utrzymanie mojej rodziny, cztery osoby plus Anton: jedzenie, ubranie, opał, telefon, elektryczność, wywóz śmieci, opłaty szkolne, honoraria lekarskie, podatki i utrzymanie samochodu: reperacje, ubezpieczenie, podatki, benzyna. I tak dalej. Sądzi pan, że jeszcze coś zostaje dla mnie, czy raczej dla pana?

— Ale mimo to nie jest pan zmęczony życiem, panie Fein?

— Zdaje się, że ostatnio jestem właśnie zmęczony życiem. Co zresztą może być bardzo zabawnym uczuciem! Bo kiedy człowiek zrozumie, że wkrótce nie będzie miał prawdopodobnie nic do stracenia, czuje się wyzwolony. W każdym razie trafił pan pod fałszywy adres.

— Wobec tego — zagroził Peter Palitschek — będę musiał zwrócić się pod inny adres.

— Niech pan spróbuje — poradził mu Harald Fein, niemal ubawiony. — Jeśli pan koniecznie chce, niech się pan spokojnie zwróci do pana Plattnera. Ciekaw jestem, co pan u niego wydebi.

Wszystkie wielkie gazety stolicy Bawarii odnotowały zbrodnię przy ulicy V nr 33 z zaledwie dwudniowym opóźnieniem. Gazeta „Allgemeine”, wybitnie poważna, starając się zachować obiektywne stanowisko polityczne, opublikowała na siódmej stronie, w lewym dolnym rogu, w rubryce „kronika policyjna”, informację, w której można było między innymi przeczytać, co następuje:

....znaleziono martwą kobietę w jej mieszkaniu. Dotychczas nie stwierdzono jeszcze definitywnie przyczyny śmierci. Policja prowadzi śledztwo”.

„Münchner Nachrichten”, pismo równie poważne, ale w znacznie bardziej jednoznaczny sposób zaangażowanie politycznie, zaadresowane do dobrego obywatela Bawarii, opublikowało następującą wiadomość w ramach informacji z miasta, na stronie trzeciej:

„...znaleziono kobietę wiadomej profesji martwą i skąpo odzianą w jej mieszkaniu. Odniosła ciężkie rany. Były też ślady uduszenia. Wydaje się, że było to niewątpliwie morderstwo. Sprawca jest jeszcze nie znany. Policja informuje, że toczy się intensywne, rokujące nadzieje na sukces śledztwo, i sądzi, że w najbliższym czasie zostaną osiągnięte konkretne rezultaty...”

Gazeta „Morgenzeitung”, w skrócie „MZ”, zadowolona z życia i zdająca sobie sprawę z tego, że jest wolna, wahająca się między beatem a piwem, informowała na pierwszej stronie, pod imponującym tytułem:

„Zabita i uduszona: zwłoki w luksusowym apartamencie. Znalaziono wiele adresów wypłacalnych klientów z najlepszych sfer. Zaczynają się skandale, które zataczają coraz szersze kręgi”.

„MAM” — co jest skrótem tytułu gazety „München am Mittag” — wybitnie lekka i bliska ludowi, informowała, również na pierwszej stronie:

„Strasne morderstwo luksusowej prostytutki. Czy dusiciel jest jeszcze na wolności?”

*Policja kryminalna na razie jeszcze bezradna. Wielu podejrzanych. Społeczeństwo niepokoi się coraz bardziej, domagając się podjęcia wreszcie decydujących kroków. Do kompetentnego nadkomisarza policji kryminalnej zwrócono się z pytaniem: «Czy żyjemy tutaj już jak w Chi-cago?» Jego obszerna wypowiedź, komentarz i dalsze szczegółowe informacje na stronie trzeciej, pod tytułem: *Czy jesteśmy zdani na łaskę losu?*”*

I wreszcie „Bild”, jednoznaczny i wyraźny jak zawsze. CzuJNI. Pytający ze szczególnym naciskiem, kto może być za to odpowiedzialny. Należy go pociągnąć do odpowiedzialności! Bez względu na to, kim jest!

— Czy pan czytał to wszystko? — zapytał komisarz Braun inspektora Feldmanna. — I co pan o tym sądzi?

— A co mam sądzić? — powiedział Feldmann. — Ostatecznie, żyjemy w państwie, które gwarantuje wolność poglądów, co ma swoje dobre strony, także dla nas. Bądź co bądź żadna z tych informacji nie jest dosłownym kłamstwem.

— Ale też żadna nie jest naprawdę ścisła!

— Bo i jakże mogłaby być? Oni nie wiedzą tego, co my wiemy, albo co się nam zdaje, że wiemy. — Feldmann popatrzył w kierunku komisarza Kellera, który siedział w kącie pod oknem i przeglądał książkę o psach. — Co pan ma przeciwko tym informacjom?

— Nie mam nic — powiedział komisarz Braun — przeciwko naszym lekkomyślnym chłopcom z prasy. W pewnych warunkach mogą być dla nas pożyteczni. Wspólne ściganie przestępców zostało już nieraz uwieńczone wielkim sukcesem.

— Czy drażni pana na przykład uwaga: „Policja kryminalna na razie jeszcze bezradna”?

Braun roześmiał się. — Ależ skąd? Nie boję się takich rzeczy! Przeciwnie, koniec końców uważam, że to wszystko ma swoje dobre strony! Bo podczas gdy kiedyś trzy gazety podzieliły między siebie rynek w sposób niemal harmonijny, to obecnie, gdy zabrakło wpływowego, zręcznego Wernera Friedmanna, w pięciu wychodzących obecnie gazetach myśli się kategoriami konkurencji, i to ostrej konkurencji.

— A dlaczego ma to być dla nas korzystne?

— To przecież proste. Ostatecznie, pięć gazet nie może zawsze głosić tych samych poglądów. A więc przynajmniej jedna będzie zawsze przeciwko, wszystko jedno przeciw-

ko czemu. Druga będzie za, a trzecia zachowa z całą pewnością neutralność. Dla nas jest to sytuacja idealna. Możemy robić, co chcemy, zawsze nas ktoś poprze!

Sprawozdanie inspektora Feldmanna dla komisarza Brauna:

„Dotychczasowe notatki i śledztwo — bez definitywnego rezultatu. Około trzystu poszlak w domu przy ulicy V nr 33 oraz w najbliższym otoczeniu.

Uwzględniono przy tym także restauracje, sklepy, fryzjera, lekarza, właściciela baru, właściciela apteki, właściciela sklepu z delikatesami, gdzie sprzedaje się także szampana, bo zamordowana kupowała najchętniej — widocznie dla określonych klientów — szampana marki *Veuve Cliquot Ponsardin*. Zamordowana była znana wszędzie. Jednakże otrzymaliśmy jedynie zwykłe, nie nadające się do wykorzystania informacje.

Następnie: znaleziony u zamordowanej spis telefonów. Trudność: wielu cyfr nie można odczytać. Ale można przypuszczać, że do stałych klientów zamordowanej należało, między wielu innymi, pięciu posłów — trzech do Landtagu, dwóch do Bundestagu; byli oni członkami różnych partii. Dalej: podsekretarz stanu, aktor, gwiazdor telewizji, dwóch wielkich przemysłowców. Ponadto, jak się zdaje, trzech prawników: adwokat i prokurator — obaj z Monachium, oraz sędzia federalny z Karlsruhe”.

Uwaga komisarza Brauna: „Świetnie, Feldmann, świetnie! Z tym można wiele zrobić. Ale na razie naszym obiektem numer jeden pozostaje wciąż jeszcze podejrzany Harald Fein. A więc dokładnie to, czego się spodziewałem”.

Na drugi dzień ukazał się w „MAM” komentarz prawniczy „Fokusa”:

„...nikt — nawet nasza policja — nie ma prawa ingerować w prywatną sferę życia naszych współobywateli...”

i ewentualnie wyciągać na forum publicum szczegółów natury osobistej...

...nie ma to nic wspólnego z prowadzeniem śledztwa w sprawie ewentualnego przestępstwa kryminalnego... ponieważ pragniemy, żeby każde przestępstwo równie energicznie, co i bezwzględnie... ale na przykład przedwczesne wymienianie nazwisk osób, które mają z tym tylko pośredni związek, niesłusznie podejrzanych, niewinnych ludzi...

Tym razem Feldmann zapytał Brauna: — Czy można wiedzieć, co pan o tym myśli, panie komisarzu?

— Myślę różne rzeczy — powiedział ucieszony Braun. — Ale przypuszczam, mój drogi, że jesteście na właściwym tropie!

— Pan sądzi, że ten artykuł nie jest przypadkowy?

— Jest zapłacony, zamówiony, albo powstał na skutek czyjejś inspiracji! Bo przecież to jest jasne, że wchodzą tu w grę grupy interesów, pokrewieństwo poglądów, przynależność do jednej i tej samej partii, stosunki w miejscu pracy... a także i walka konkurencyjna. Nie zdziwiłbym się, gdyby strona przeciwna udzieliła nam dziś czy jutro energicznego poparcia.

...Melania Weber, przyjaciółka Hildy Fein, do swojej obecnej najlepszej przyjaciółki, którą wyszukała sobie przy współudziale swego męża, a zatem przez niego zaakceptowanej. Nazwisko tej młodej damy nie ma tu nic do rzeczy; zarabiała w ten sposób pieniądze na studia. Chciała zostać aktorką. Melania powiedziała do niej:

— Jakie straszne może być jednak życie, moja mała, mój gołąbku! Jakie nieobliczalne, jakie bezlitosne! Wystarczy, że pomyślę tylko o mojej kochanej przyjaciółce Hildzie Fein! Była tak oddana, po prostu zapomniała o sobie, i to dla mężczyzny, który w ogóle nie ma charakteru! A jeszcze uganiał się za mną! Ale nigdy mu nie uległam; wiem jeszcze, co to wierność. Może dlatego popadł na pewien czas w alkoholizm. Potem był to już wrak. A były momenty,

w których mówiłam sobie: może go tylko nikt nie rozumiał? Może nie dał mu prawdziwej radości, siły, oparcia? Może zawsze szukał człowieka, który by go równocześnie rozumiał i kochał? I nieraz jeszcze myślę: to by mogło być piękne zadanie dla kobiety! Proszę, przysuń się bliżej, jeszcze bliżej. Nie rozpraszaaj się. Na wszystko przyjdzie czas.

Późniejsze wyjaśnienia inspektora — obecnie starszego inspektora — Feldmanna na temat pierwszych rezultatów badania poszlaki nr 38 w sprawie morderstwa przy ulicy V nr 33, a mianowicie na temat Penatscha:

„Zespół komisarza Brauna pracował wówczas nad pięcioma sprawami równocześnie. W jednym przypadku zagrażało utknięcie w miejscu. Drugi przebiegał zgodnie z rutyną. Pozostałe trzy były następujące:

Przypadek 1: zwłoki dyplomaty boliwijskiego znalezione w hotelu *Ederer i Syn*. Prawdopodobnie morderstwo z przyczyn politycznych. Śledztwem kierował inspektor Za-ngelberner.

Przypadek 2: *Sklep kuśnierski Plauscher*. Zamordowane małżeństwo. Kradzież towarów. Włączył się wydział do spraw włamań. Przypuszczalny sprawca: syn zamordowanych, który zbiegł razem ze sprzedawczynią. Zwykłymi w takich wypadkach pracami kierował starszy inspektor Brasch II. Brasch I, również starszy inspektor, opracowywał w prezydium policji ciężkie wypadki samochodowe, połączone z ucieczką kierowcy.

Przypadek 3: Ulica V nr 33. Morderstwo prostytutki. Komisarz Braun osobiście gromadził i porządkował napływający materiał, udzielał wskazówek, ustalał najważniejsze punkty, rozbudowywał lub zmniejszał poszczególne podzespoły. Jest to niesłychanie żmudna praca koordynacyjna. Powinniśmy mieć co najmniej trzy razy więcej ludzi.

Mój raport: Penatsch jest człowiekiem bardzo cichym, bardzo grzecznym. Niesłychanie powściągliwy. Zaleca się oględne traktowanie. Pierwsze rozmowy nie dały rezultatu.

Penatsch — dozorca domu przy ulicy V nr 33 — udzielił wszelkich żądanych informacji bardzo chętnie, ale całkowicie nie wiążąco. Zaznaczyć trzeba przy tym, że ma dobrą pamięć, był świetnie zorientowany, znał wiele szczegółów.

Dopiero podczas trzeciej rozmowy wymienił pewne nazwisko. Stwierdził, że człowieka, którego nazwisko wymienił, widział w ostatnich tygodniach wiele razy — w pobliżu domu przy ulicy V nr 33, jak również w tymże domu.

Braun: — Harald Fein! — Potwierdziło się zatem jego przypuszczenie. — Wobec tego sam przesłucham Penatscha. Niech pan tymczasem dowie się o nim wszystkiego, co tylko można".

Hilda Fein, obecna na otwarciu lokalu „Kolo 2000”, najnowszej atrakcji stolicy Bawarii. Lokal ten cechowała mieszanina sztuki pop i pornografii; był on połączeniem beato-wej stodoły i knajpy z Soho, utrzymanej w stylu Harlemu. Ceny: podwójna whisky — 22 marki; była to cena z rabatem dla gości zaproszonych na uroczystość otwarcia.

Hilda Fein (siedząc przy wyłożonym hebanem barze, do towarzyszącego jej Joachima Jonassa): — Jestem bardzo niespokojna!

Joachim Jonass: — To po tobie widać. Ale dlaczego? Po nieważ nie ma tu twojej przyciółki Melanii? A może z po wodu Haralda? Nie martw się, proszę, wszystko się dobrze skończy!

Jak zawsze przy takich okazjach było tu obecne niemal całe tak zwane najlepsze towarzystwo Monachium. Ponadto: co najmniej sześć dziewcząt w topless, były księżę karnawału, dwóch dyktatorów mody, trzech młodych filmowców (którzy przeszli do handlu) wraz z damami, pięciu właścicieli sklepów z modną konfekcją i galanterią, pięciu pracowników telewizji; ponadto kilku synów właścicieli wielkich firm — od odzieży sportowej do optyki; spikerka,

aktorka kabaretowa, aktor kabaretowy oraz plastyk, tworzący dzieła z przedmiotów znalezionych na śmietniku.

Wszystkich ich obserwowano, wszystkich ich zanotowano. Uczynili to dziennikarze piszący o życiu towarzyskim: „Argus”, „Hunter”, Susanne”. Filmowano ich i przeprowadzano z nimi wywiady na temat transmisji wieczornej — tym razem z Lotti, a nie z Anneliese. Petra, bez której nie obeszła się żadna impreza, była tu wyłącznie prywatnie.

Joachim Jonass: — Przecież wszystko jest, jak zawsze, bardzo zabawne. Dlaczego więc się nie bawisz?

Hilda Fein: — Myślę o ojcu, o tym, co go będzie teraz czekało z powodu Haralda. Potrzeba mu teraz wszelkiej możliwej pomocy!

Joachim Jonass: — Może ją mieć, jeśli o mnie chodzi. Wszystko dla ciebie! Możesz mu to powiedzieć.

— Dziękuję panu, panie komisarzu, że się pan zjawił! — powiedział przedsiębiorca budowlany Plattner z wyszukaną grzecznością. — Co panu podać? Szampana, firmy *Peri-gnon*, z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, jako aperitif?

Nadkomisarz policji kryminalnej Dürrenmaier, naczelnik wydziału, któremu podlegał referat morderstw, grzecznie odmówił. — Może piwo albo wodę mineralną?

Dürrenmaier nie czuł się dobrze w swojej skórze. Jak niemal zawsze, odkąd awansował na kierownicze stanowisko w policji kryminalnej. A już całkiem na pewno w tej chwili.

Pewien znany deputowany do Landtagu — z komisji gospodarczej, zajmującej się także sprawą planów budowlanych, zaprzyjaźniony z Plattnerem i z *obecny*m, premierem Bawarii — poprosił go równie grzecznie, co z naciskiem, żeby nie odmawiał wzięcia udziału w tej poufnej naradzie. „Mogłoby to przynieść korzyść także pańskiemu urzędowi”.

Mimo to Dürrenmaier zwlekał i na wszelki wypadek poinformował prefekta policji. W odpowiedzi na to ten ostatni

zauważył tylko: „Nigdy nie można uniknąć pewnych kontaktów z wpływowymi obywatelami miasta. W pewnych warunkach może to być zresztą ze wszech miar pożądane. Powtarzam — w pewnych warunkach”.

Dürrenmaier wciąż jeszcze zwlekał, aż zatelefonował do niego urbanista dr Abendroth. A z dr. Abendrothem — jak wiedzieli wtajemniczeni — liczył się powszechnie podziwiany, a przynajmniej przez wszystkich szanowany burmistrz.

Abendroth powiedział Dürrenmaierowi w rozmowie telefonicznej:

„— Nie chcę bynajmniej, panie komisarzu, wywierać na pana żadnego nacisku. Jeśli jednak nie waham się włączyć w sprawę, to tylko po to, aby pomóc mojemu długoletniemu przyjacielowi z młodości, panu Haraldowi Feinowi, na co on z pewnością zasługuje. To znaczy: proszę pana jedynie, żeby pan zechciał bardzo wnikliwie przemyśleć wszelkie ewentualne posunięcia”.

I tak doszło do tego, że się spotkali w restauracji *Schwarzwalder*, należącej już wprawdzie do imperium koncernu *Wienerwald*, ale bardzo popularnej, rentownej i wcale nie zastraszająco drogiej, położonej między luksusowym hotelem *Bayerischer Hofa* dekoracyjnym kościołem Matki Boskiej: nadkomisarz policji kryminalnej i przedsiębiorca budowlany. Uśmiechali się do siebie uprzejmie.

Wokół nich siedzieli pogrążeni w przyciszonych rozmowach niektórzy wpływowi ludzie, ale nie należący do wybitnych osobistości tego miasta: Fabian, przedstawiciel banków *Fabian i Co*; Merker z firmy *Standard* — rafinerie paliw płynnych; Biermann z wielkiej firmy transportowej *Biermann* oraz ludzie reprezentujący giełdę, nieruchomości, sieć sklepów, fabryki samochodów, wydziały badawcze u *Siemensa* i *Bólkowa*.

Każdy tu znał niemal każdego. Ale pozdrawiano się rzadko. W każdym razie mrugano do siebie porozumiewawczo. Poza tym każdy stół sprawiał wrażenie wyspy albo przeniesionego tutaj poufnego biura.

— Przyjemny lokal — starał się zażartować nadkomisarz.

— W żadnej kantynie tak dobrze nie gotują.

Plattner skinął głową: — A poza tym jest się tutaj niemal tak bezpiecznym, jak we własnych czterech ścianach. Nie przeszkadza tu żaden reporter, specjalista od skandali. Tu bowiem mógłby się natknąć na wydawcę swojej gazety, a o nich nie można plotkować.

Ale dopiero przy sarniej pieczeni, a więc po upływie długiego czasu od wędzonego łososia, zaczęli się do siebie przyzwyczajając i swobodniej gawędzić — Plattner o niesłychanie zagrożonym systemie społecznym, Dürrenmaier o źle pojmowanej wolności. A przy strudli z jabłkami, po wiedeńsku, czyli przed kawą, przedsiębiorca budowlany zaczął mówić wyraźniej.

— Panie naczelniku — zapewnił nadkomisarza Plattner — nie chcę pana zdręzczać ani wywierać na pana nacisku, a już w żadnym razie nakłaniać pana do popełnienia jakiejś niedyskrecji. Proszę pana jedynie o poufną informację. Bo o ile się nie mylę, to mój zięć, Harald Fein, zaplątał się w jakieś śledztwo, prowadzone przez policję kryminalną.

— To prawda, panie Plattner — powiedział ostrożnie nadkomisarz. — To nie jest tajemnica służbowa. Prawdopodobnie wie pan, że moi urzędnicy prosili pana Feina o różne informacje. Ale oczywiście nie mogę panu powiedzieć nic konkretnego o bieżącym stanie śledztwa.

— Ależ, proszę pana, panie naczelniku! Jakże bym mógł czegoś podobnego oczekiwać!

— To bardzo dobrze, panie Plattner. Pan nie wie, jak mnie to cieszy, żeby nie powiedzieć: jaką mi to przynosi ulgę. Mogę więc przyjąć, że chce mi pan udzielić pewnych informacji czy wskazówek, które mogłyby odciążyć pana Feina. Chętnie bym z tego skorzystał! Ostatecznie odciążanie niewinnych należy także do zadań policji kryminalnej, prawda?

— To świetnie, panie komisarzu — zawołał Plattner, podnosząc w górę kieliszek koniaku (teraz lubił pić łagodny koniak *Otard*).

— Ale wcale nie do tego zmierzam.

— Nie? — Nadkomisarz Dürrenmaier, który właśnie pił kawę, sprawiał wrażenie nieco bezradnego. — Czegóż więc pan oczekuje ode mnie?

Plattner popatrzył przed siebie. — Widzi pan, nigdy nie żądałbym od pana, żeby pan wziął czyjaś stronę, ani moją, ani kogokolwiek innego. Chcę tylko wiedzieć, co się naprawdę dzieje. A zatem: czy mojego zięcia się o coś obwinia, czy nie? Czy jest podejrzany, czy nie? Czy policja kryminalna będzie musiała ingerować w jego sprawy, czy nie? Staram się tylko przygotować do tego, co mogłoby się zdarzyć.

— No cóż — powiedział Dürrenmaier z ociąganiem — pozwoli pan, że odpowiem na pańskie pytania w następujący sposób: śledztwa w tej sprawie nie można w żadnym razie uważać za zakończone. Nie ma jeszcze wyraźnych rezultatów. Co się jednak tyczy wymienionej przez pana osoby, to mogę panu powiedzieć rzecz następującą: osoba ta nie wydaje się tak zupełnie niewinna, a w każdym razie budzi pewne podejrzenia. Nie można więc z absolutną pewnością wykluczyć potrzeby ingerencji policji kryminalnej.

— To wystarczy! — stwierdził Plattner z głębokim westchnieniem ulgi. — I to całkowicie.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Oglądanie zwłok na dłuższą metę nudzi. Gdy człowiek w ciągu roku zajmuje się setkami trupów — potrzebuje odmiany i rekompensaty. Nieprzypadkowo funkcjonariusze zajmujący się ustalaniem przyczyn śmierci są przeważnie namiętymi palaczami.

Ale ja nie palę. Prawie też nie piję alkoholu. Czasem sobie pozwalam tylko na piwo, mniej więcej na jeden kufel tygodniowo. Do tego wypijam podwójną wódkę, zbożową lub owocową. Aby nie czuć smrodu zwłok, używam japońskich maseczek na nos i usta. Dodatkowo — w tych najgorszych przypadkach — posługuję się maską przeciwigazową. Jeszcze z czasów ostatniej wojny. To zajęcie niszczy przede wszystkim nerwy węchowe.

Mojego poprzednika można było — na szczęście dla niego — posłać wcześniej na emeryturę, ponieważ byłem ja.

Na pewien okres wylądował w zakładzie dla obłąkanych, a potem przeniesiono go do służby zagranicznej, do miejscowości położonej w lesistej okolicy.

Ze swej strony sędzę, że znalazłem inne wyjście: interesuję się ludźmi, którzy jeszcze żyją, a ściślej mówiąc: żywymi ludźmi, którzy w danej chwili jeszcze żyją. Okresem między ich życiem a śmiercią. A więc także Haraldem Feinem.

Dlatego obok protokołów, sporządzanych po ustaleniu przyczyn śmierci, założyłem sobie poufne akta w sprawie Haralda Feina, «wyłącznie na użytek prywatny». Zrobiłem to zresztą nie po raz pierwszy.

W coraz bardziej magiczny sposób pociąga mnie to, co w moim środowisku nazywam «wiktimologią», czyli nauką, o której ostatnio wiele się mówi, a przynajmniej często się na nią powołuje, ale która wciąż jeszcze jest w poważnym stopniu nie zbadana, a zajmuje się tajemnymi związkami między sprawcą i ofiarą.

Wocze wprost narzucają się wilkom! Bezbronny kusi brutala, czasem go prowokuje. Jak wiadomo, w pewnych wypadkach winnym lub współwinnym może być nie tylko morderca, lecz także zamordowany.

Wydawało mi się, że takim przypadkiem jest sytuacja powstała wokół Haralda Feina. Tak mi się wydawało, kiedy jeszcze niewiele o nim wiedziałem".

— Poprosiłem was tutaj — oświadczył Harald Fein rodzinie, zebranej przy śniadaniu — ponieważ chciałbym was o czymś poinformować.

— O czym to tym razem? — zapytał Haralda Feina jego syn, Heinz. — Przecież przeżyliśmy już wszystko!

Helga, córka Haralda, popatrzyła ostrzegawczo na brata i ze smutkiem na matkę. Ale do ojca uśmiechnęła się czule, zachęcająco, z nadzieją.

— Co się znowu stało? — zapytała Hilda. — Jakaś nowa nieprzyjemność?

— Tak mi się wydaje — potwierdził Harald. — Tym razem próbowano mnie szantażować. Podobno, tak twierdzono,

wykorzystałem Marią, naszą pomocnicą domową. Pod względem seksualnym!

— Fe! — zawołała z oburzeniem Helga. — Któż się na to odważył? Kto był taki bezczelny?

— A dlaczego nie miałyby to być prawda! — powiedział Heinz i roześmiał się. — Wydaje mi się, że Maria uważa, iż to należy do jej obowiązków służbowych. Sam mogę to potwierdzić.

Wszyscy wlepili w niego oczy. Siostra z niedowierzaniem, matka z przerażeniem, ojciec z lekko zdziwionym uśmiechem. — Ty i Maria?

— A dlaczego niby nie ja? Zaoferowała mi się, jako aperitif. I skorzystałem z tego, bo program telewizyjny był akurat strasznie nudny. O ile sobie przypominam.

— I to w moim domu! — zawołała Hilda Fein oskarżycielskim tonem.

— A gdzie by? — zapytał Heinz wesolutko. — To jest przecież dom, w którym muszę żyć. To twój dom, droga mamó. Ty oddałaś go ojcu do dyspozycji. I to ty zaangażowałaś Marię. To twoja zasługa, że ona właśnie tutaj rozkłada nogi.

— Wstydz się! — krzyknęła siostra.

— Dlaczego? Maria nie jest warta tych pieniędzy, które bierze. Co, mam nadzieję, ojciec może potwierdzić. Więc po co ta cała irytacja?

Z protokołu przesłuchań Marii Trübner w parę dni później:

„— ...zostałam uwiedziona. Przy każdej nadarzającej się okazji. Najpierw przez syna... Pewnego razu przed południem przyniosłam mu do łóżka ziółka, ponieważ był rzekomo przeziębiony. A on włożył mi rękę między nogi. Zniosłam to cierpliwie, tylko dlatego, żeby nie rozlać ziółek. I tak zostałam wykorzystana... potem próbował mnie także pan Fein. W tym wypadku broniłam się o wiele mocniej, ponieważ nie miałam w ręku filizanki z ziólkami. Krzyczałam, co jednak nie miało sensu, ponieważ byliśmy sami

w domu. Pokonał mnie i zerwał ze mnie bieliznę. Próbował mi za to wypłacić odszkodowanie — kilkaset marek — co jednak zdecydowanie odrzuciłam. A był to dopiero początek".

Wszystko to są bezwstydną kłamstwa — oświadczył Harald Fein — w celu szantażu!

— Oczywiście — zapewniła go córka — wierzę ci całkowicie!

— A ja nie! — stwierdził ubawiony Heinz. — Ostatecznie takie rzeczy dzieją się podobno w najlepszych rodzinach, dlaczego więc nie miałyby się zdarzyć w złej rodzinie? Nasza Maria ma swoje za uszami, tymi nie domytmymi uszami. Przecież próbowała mi zabrać całe kieszonkowe, które i tak jest za małe! Ale gdy zacząłem nalegać, żeby mi zapłaciła za moje świadczenia, wpadła w złość.

— O tym — powiedział Harald Fein — powinien się dowiedzieć twój ukochany dziadunio. On potrafi docenić takie rzeczy!

— Żadnych dygresji! — zawołała surowo Hilda Fein. — Jeśli ta osoba miała rzeczywiście stosunek z tobą, Heinz, to ubolewam nad tym głęboko. I uważam to za wstrętne! Jeśli zaś zdarzyło się to także mojemu mężowi, czego niestety nie mogę wykluczyć, to jest to niesłychane i całkiem po prostu niewybaczalne!

— Cóż to ma znaczyć?! — zawołał Harald Fein. — To ja się staram porozmawiać z moją rodziną zupełnie szczerze, poprosić ją o pełne zrozumienia rady, i spodziewam się, że wspólnymi siłami znajdziemy jakieś rozwiązanie, a tymczasem co się dzieje? Po prostu posądza się mnie o to wszystko!

— Ja nie, ojczu! — zawołała Helga.

— Ty nie, drogie dziecko. Nie ciebie też miałem na myśli.

— Ale mnie! — zawołała Hilda Fein. — Przede wszystkim mnie! Oskarżasz, żebyś się nie musiał usprawiedliwiać!

— I to nie bez racji — powiedział pogodnie Heinz.

W przedpokoju zaczął ujadać pozostawiony samotnie Anton, i chyba próbował otworzyć drzwi głową, czego w danym momencie nikt nie zauważył.

— Bez względu na to, jak się sprawa przedstawia — powiedział Harald Fein — to jeszcze nie wszystko, czym się próbuje mnie obciążyć. Uważa się mnie widocznie za zdolnego do jeszcze gorszych rzeczy. Krótko mówiąc: przypuszcza się nawet, że byłbym zdolny popełnić morderstwo.

— Nie, nie! — zawołała wzburzona do najwyższego stopnia Helga — to nie może być prawda!

— Rzeczywiście? — zapytał Heinz, nadstawiając uszu. — A to dopiero! Ja w każdym razie nigdy bym cię o to nie posądził. I któż to wpadł na ten pomysł? Ktoś z konkurencji?

— Policja kryminalna.

— A więc jeszcze i to! — powiedziała Hilda Fein. — Tego po prostu już za wiele! Trzeba o tym powiedzieć ojcu! Natychmiast!

Następnego dnia zabrał w „MZ” głos Mathias Engelmacher, dziennikarz zajmujący się sprawami kryminalnymi, przedstawiciel Ligi Praw Człowieka. Artykuł zapowiedziano na stronie pierwszej, a opublikowano na stronie trzeciej, pod tytułem: „Czy ma pan odwagę, panie prefekcie?”

.... faszystowski władcy w naszym kraju utrzymywali niegdyś, że prawem jest to, co przynosi korzyść narodowi! Jednakże prawem jest to, co chroni ludzi, co strzeże i gwarantuje im wolność.

Tolerancja kończy się tam, gdzie zaczynają się interesy nietolerancji.

Należy się spodziewać, że nasza policja kryminalna wie o tym. Nie może ona uniknąć wypełniania swoich obowiązków. Także wtedy, gdy w grę wchodzi bardzo poważni obywatele...

...dlatego pytamy pana prefekta policji: Czy ma pan odwagę?

Jeśli tak — to niech pan w końcu wymieni nazwiska!"

— Właśnie tego nam brakowało — powiedział pokrzepiony na duchu Braun. — A więc spróbujemy!

— Czego, proszę pana, spróbujemy? — zapytał Feldmann, wskazując na leżącą przed nim gazetę. — Czego, pańskim zdaniem, żąda się od nas lub też czego się oczekuje?

— Że weźmiemy udział w tradycyjnej grze towarzyskiej.

— Zadowolony, Braun kołysał się na krześle, które trzeszczało we wszystkich swych spojeniach. — Powinniśmy przekonywająco udawać, że jesteśmy głupi, żeby potem móc wziąć się do dzieła jako tako inteligentnie i żeby może liwie nikt nam nie przeszkadzał. Musimy rzucić coś, to zna czy kogoś, na żer tym hienom urabiającym tak zwaną opinię publiczną, zanim nas zdąży ugryźć w tyłek!

— Czy chce pan złożyć w ofierze na przykład Haralda Feina? Przed czym ja z naciskiem...

— Uważa mnie pan za durnia? — zawołał Braun niemal ze skargą w głosie. — Czy posądza mnie pan o to, że rzucę natychmiast na arenę mój najtłustszy kąsek? Nie, mój drogi, trzeba zawsze postępować z rozważą i stosować możliwie najmniejsze dawki. Niech pan to wytłumaczy prasie!

-Ja?

— Muszą się tego nauczyć! Niech pan zacznie przyjmować jednego po drugim spośród tych szakali zza biurka. Niech pan pozwoli im zajrzeć do naszej kartoteki poszlak. Przy tym na razie niech pan nic nie mówi o Penatschu, nic, co dałoby się wykorzystać. Muszę go najpierw sam przesłuchać.

— A Harald Fein?

— Tego nazwiska pan nie wymieni. Jeśli wymieni je któryś z pańskich rozmówców, zrobi pan unik, nie powie pan ani tak, ani nie, zostawi pan sprawę w zawieszeniu.

— Panie komisarzu — powiedział Feldmann — ostatnio pracowałem w laboratorium; jestem specjalistą od odcisków palców, czy nie mógłbym tam wrócić? Czuję się tam o wiele lepiej.

— Teraz jest pan tutaj — powiedział lapidarnie Braun.

— I tu pan zostanie! Gdyby jednak sprawił mi pan zawód,

to całkowicie możliwe będzie przeniesienie pana do policji mundurowej. Mógłby pan potem regulować na Stachusie ruch. Czy naprawdę ma pan na to ochotę?

— Czy czegoś szukasz? — zapytała Hilda Fein córkę, która weszła do garderoby matki. — Pożyczyłam sobie jedną z twoich szminek, tę jasnoczerwoną z lekko niebieskawym odcieniem.

— Ten kolor — powiedziała Helga — nadaje się tylko dla młodych osób.

Hilda Fein uśmiechnęła się z lekkim przymusem.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że uważasz mnie za starą?

— Nie o to chodzi! Ojciec jest jeszcze starszy od ciebie, a nie można z nim porównać żadnego ze znanych mi młodych ludzi. On jest zupełnie inny: spokojniejszy, godniej-szy... bardziej godny uwielbienia.

— Czy przyszedł tu po to, żeby mi to powiedzieć? Moje drogie dziecko, właściwie jesteś już dorosła. Powinnaś wreszcie spróbować powściągnąć te swoje różoworoman-tyczne napady, zwłaszcza w odniesieniu do ojca.

— Ja go kocham! — zawołała Helga.

— Dobrze, już dobrze! — powiedziała Hilda Fein. Była umówiona i bała się spóźnić. — Coś jeszcze?

— Są rzeczy, których ojciec nigdy by nie zrobił!

— Na przykład?

— Na przykład... nie poszedłby na otwarcie tego najnowszego lokalu rozrywkowego, o którym właśnie czytałam w gazecie. Ojciec brzydzi się takimi rzeczami! I ja także. Ta śmieszna, powierzchowna, zarozumiała banda...

— Posłuchaj, Helgo, ci ludzie to są ludzie z towarzystwa, bez względu na to, czy się ich lubi, czy nie. Nie można ich po prostu pominąć. Trzeba więc, chcesz czy nie chcesz, liczyć się z nimi. I ktoś z nas musi to robić... dla dobra rodziny, dla dobra firmy. W tym wypadku ja.

— Razem z tym Jonassem! — zawołała nagle córka, tracąc panowanie nad sobą. — Z tą malowaną małpą!

Matka zamknęła na chwilę oczy i upuściła szminkę. Jak

gdymby nie chciała widzieć swojego odbicia w wielkim lustrze. Z chłodną niechęcią rzekła: — Na tego rodzaju imprezy kobieta nie może chodzić sama. Twój ojciec mi nie towarzyszy, a nasza przyjaciółka, pani Weber, była umówiona gdzie indziej. Pan Jonass zaś jest pracownikiem firmy i cieszy się zaufaniem twojego dziadka.

— Mamo — powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem Helga — czy chcesz nas opuścić?

— Co ty mówisz?! Jak wpadłaś na taki pomysł?

— A więc to prawda.

— To nonsens, Helgo. Nie mam zamiaru nikogo opuszczać. A już na pewno nie opuszczę moich dzieci! Mój Boże, spróbuj nareszcie myśleć trochę bardziej realistycznie. Także o swoim ukochanym ojcu. Czy nie było takich dni, tygodni, miesięcy, kiedy wyglądało na to, że nas definitywnie opuścił, nas wszystkich, a więc i ciebie?!

— Był wtedy chory!

— A czy teraz jest wyleczony? Czy kiedyś będzie zupełnie zdrowy? I pytam cię, moje dziecko, czy okazał ci kiedyś choćby w połowie tyle miłości, ile ty jemu? Pomyśl wreszcie nad tym!

— Jakie to wszystko męczące! — zawołała Helga i wybiegła z garderoby, zatrząskując za sobą drzwi.

— To jest pan Penatsch, dozorca domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy — przedstawił przybyłego inspektor Feldmann.

— Niech pan siada — powiedział komisarz Braun i przyjrzał się blademu, chudemu człowiekowi o stroskanej twarzy. Ten widok wydawał się go drażnić. — Sprawia pan takie wrażenie, jakby się można było po panu niejednego spodziewać.

— Chętnie pomagam — zapewnił go cicho Penatsch. — To leży w moim charakterze.

Feldmann uzupełnił: — Pan Penatsch jest nie tylko człowiekiem skłonny do udzielania pomocy, ale także bardzo zręcznym. W domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy naprawia prawie wszystko, co trzeba. Jeśli ktoś sobie tego

życzy, opiekuje się także dziećmi. A w wolnych chwilach buduje aktualnie kościół Matki Boskiej. Z zapalek. Dotychczas przepracował już przy tym tysiąc godzin.

— Tysiąc dwieście dwadzieścia — skorygował go łagodnie Penatsch.

— To godne uwagi — mruknął Braun. — Jest więc pan cierpliwy i dokładny. Udzielił pan naszemu pracownikowi kilku użytecznych wskazówek. Między innymi powiedział pan kilka słów o Haraldzie Feinie. Skąd pan zna to nazwisko?

— Ostatnio widywałem go często w pobliżu naszego domu — poinformował go Penatsch. — Przeważnie siedział w samochodzie. Widywałem tego pana podczas wieczornego kontrolnego obchodu domu. Bo czasem drzwi są nie zamknięte, a po kątach stoją różne rzeczy, albo ktoś zgubi coś wartościowego...

— Pana komisarza — włączył się do rozmowy Feldmann — interesuje przede wszystkim to, skąd pan wie, że czło-
wiek, o którym pan mówił, nazywa się Harald Fein.

— On mi w pewnym sensie podpadł. A poza tym wydał mi się znajomy. Zastanowiłem się skąd? A potem sobie przypomniałem. Widziałem go na fotografii w MZ z okazji otwarcia mostu na Izarze. Stał obok burmistrza. Podano je go nazwisko: Harald Fein, architekt.

Braun popatrzył z namysłem najpierw na Penatscha, a potem na Feldmanna, po czym powiedział wolno:

— A zatem, panie Penatsch, widział pan najpierw tego człowieka... przypuszczalnie w półmroku. Po czym przy-
pomnił pan sobie o pewnym zdjęciu i na tej podstawie doszedł pan do wniosku, że jest to niejaki Harald Fein. Czy to nie budzi trochę wątpliwości?

— Nie roszczę sobie prawa do wydawania sądów na ten temat — powiedział Penatsch cicho i grzecznie.

Wówczas znowu włączył się Feldmann, nakłoniony do tego rozkazującym wzrokiem Brauna: — Trzeba tu dodać, że pan Penatsch, jak sam mówił, widział pana Feina co najmniej dwa razy w pełnym świetle. Raz bezpośrednio pod latarnią uliczną, a drugi raz w domu przy świetle lampy korytarzowej. Do tego dochodzi jeszcze jeden szczegół,

swojego rodzaju cecha szczególna pana Feina. Tak pan się przecież wyraził, prawda, panie Penatsch?

— Ależ tak! — potwierdził dozorca. Na jego bladej twarzy zaczęły się pojawiać w pobliżu kości policzkowych czerwone plamy. — Tam było mianowicie to zwierzę, jego pies, natrętne, zaniedbane bydło. Próbował nawet zanieczyścić wejście do naszego domu, ale nie pozwoliłem na to.

— Psy — powiedział niechętnie Braun — trudno jest wykorzystać w charakterze materiałów dowodowych.

— Ale to zwierzę — oświadczył Penatsch — można poznać wśród tysiąca innych. Widziałem to bydło nie tylko na ulicy V, lecz także na zdjęciu z otwarcia mostu. Stało między Feinem a burmistrzem. Przy tym ten obrzydliwy pies siedział w taki sposób, jak gdyby był tam najważniejszą figurą. Coś takiego musi przecież człowiekowi podpaść, no nie?

Braun odetchnął. — To wszystko będzie trzeba teraz możliwie dokładnie spisać. Chyba panu to nie przeszkadza? No to świetnie! Niech pan przejmie sprawę, Feldmann. Wie pan przecież, o co mi chodzi.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Istotnym warunkiem pracy w policji kryminalnej jest zawsze czujny instynkt. Ponadto trzeba jeszcze mieć trochę fantazji. A poza tym ważna jest nieufność! Nie mówiąc już o wiedzy fachowej, doświadczeniu i naturalnym darze do spekulatywnego myślenia.

Do podstawowych zasad i zalet pracownika służby kryminalnej należy jeszcze jedna rzecz: niezbyt często spotykana umiejętność cierpliwego czekania.

Pracownik policji kryminalnej także się często znajduje pod mniej lub bardziej silną presją, wywieraną z góry, z zewnątrz, jak również od dołu. Musi wykazywać się «osiągnięciami». Niegdyś wpisywało się je do tak zwanego dziennika służbowego. Obecnie są one uwidaczniane w codziennych i tygodniowych sprawozdaniach dla nadrzędnych instancji policji, gdzie są zauważane, oceniane i opatrywane cyframi określającymi ich wartość. Ponadto

opinia publiczna oczekuje przekonywających «meldunków o sukcesach»), zwłaszcza od referatu morderstw i wydziału spraw obyczajowych. Ale to rzecz codzienna w naszym zawodzie, który jest wszystkim, tylko nie permanentną przygodą. Wielu z nas nie chce przyjąć tego do wiadomości, jak gdyby stale dawali się podbechtywać filmom, powieściom kryminalnym i raportom policyjnym. Nie twierdzę, że Braun jest jednym z takich ludzi. Źródło jego błędów tkwi o wiele głębiej — tak przypuszczam. Widocznie nie ma tej najważniejszej, kardynalnej zalety pracownika służby kryminalnej, jaką jest zdecydowana wola, nakazująca zachowywać na służbie możliwie jak największy obiektywizm.

Braun angażuje się namiętnie, konstruuje swe własne, nader osobliwe koncepcje, podbudowuje swój wizerunek świata. Chociaż wiele się przy tym mówi o «porządku i bezpieczeństwie», to takie postępowanie zawsze grozi niebezpieczeństwem. W tym wypadku grozi na przykład Feinowi”.

— Jesteś kochanym, ale bardzo głupim stworzeniem — stwierdził Heinz Fein, siedząc w pokoju swojej siostry Helgi. Nie uśmiechał się przy tym.

— A czym ty jesteś? — zapytała kłótliwym tonem Helga.

— Wszystkim, czym chcesz — odrzekł brat, siedząc na jej łóżku. — Tylko nie marzycielskim romantykiem.

— Chodzi właśnie o to, żebyś bardziej rozwinął swoje życie uczuciowe.

— Nauczyłem się, także w tym domu, myśleć realnie i rzeczowo. Ty też, Helgo, powinnaś wreszcie tego spróbować.

— Ty nie umiesz kochać — powiedziała Helga poważnie.

— Kocham co najmniej dwie osoby. Siebie i ciebie!

— Zwariowałaś — powiedziała cicho Helga, patrząc na niego. — Ja w każdym razie kocham ojca.

— To też wariactwo — powiedział jej brat. — Ale ten świat jest pełen zwariowanych rzeczy. W każdym razie nie mam zamiaru pozwalać na to, żebyś się gdzieś włóczyła... z jakimiś świniami... tylko po to, żeby rozładowywać tę swoją potrzebę miłości!

— A jeśli cię nie posłucham, Heinz?
— Możesz sobie robić, co chcesz, jak zresztą i ja. Ale jeśli jeszcze raz spotkam cię w jednej z tych zatrutych narkotykami melin na Schwabingu, to cię zbiję na kwaśne jabłko.

Tekst przygotowanego przezornie oficjalnego oświadczenia urbanisty dr. Hermannab Abendrotha:

— Opracowywane przez nas plany rozwojowe nie są tajemnicą. Ale różne plany wstępne, które mogłyby spowodować jakieś większe zmiany w strukturze miasta, zawsze są najpierw udostępniane tylko nielicznym, godnym zaufania osobom. Dzieje się tak w poważnym stopniu dlatego, żeby uniemożliwić wszelkie, spowodowane niedyskrecją, spekulacje. W ten sposób postąpiono także z planami dróg dojazdowych do terenów olimpijskich. Z odnośnymi dokumentami zaznajomiono najpierw niewielką liczbę urzędników, radców miejskich i burmistrza, a dopiero potem, gdy projekty były już całkowicie niemal gotowe, przedstawiono je społeczeństwu. Dlatego należy zdecydowanie odrzucić wszelkie ewentualne przypuszczenia, że do tych dokumentów mogły mieć przedwcześnie dostęp osoby postronne — na przykład przedstawiciele firm budowlanych, biur maklerskich, towarzystw handlu nieruchomościami — co umożliwiłoby im dokonanie wcześniej różnych zakupów w celu spekulacji.

Pytanie jednego z dziennikarzy: — Czy nie dopuszcza pan żadnego wyjątku?

Abendroth: — Żadnego!

Dziennikarz: — O ile moje informacje są prawdziwe, jest pan, a przynajmniej był pan, zaprzyjaźniony z panem Haraldem Feinem, reprezentującym firmę, której, jak się wydaje, udało się zakupić po względnie niskiej cenie grunty, które potem niesłychanie podrożały. Stało się to bardzo wcześnie, na długo przed oficjalnym opublikowaniem całokształtu planów. Czy, jeśli to prawda, był to przypadek?

Abendroth: — W tej branży często dokonuje się zakupów w celach spekulacyjnych. W każdym razie moje biuro nie ma z tym nic wspólnego!

Monachium posiadało dwadzieścia pięć banków. Jeden z nich miał w tym mieście około osiemdziesięciu filii. Cztery inne miały co najmniej po jednej filii w każdej dzielnicy miasta. Zdawało się, że nie brakuje tu żadnej z wielkich, nazwanych „zachodnimi”, instytucji obrotu pieniędzmi.

Ponadto było tu: czterdzieści cztery biura podróży, trzydzieści trzy towarzystwa lotnicze, czterdzieści siedem konsulatów.

Ale również: dwadzieścia sześć teatrów, które dawały spektakle co najmniej każdego wieczoru; ponadto odbywało się co miesiąc około pięćdziesięciu koncertów: filharmonie, orkiestry symfoniczne, orkiestry radiowe, organy, fortepian i skrzypce. A zatem: od kozaków dońskich aż do *Colden Cate Quartett* i Tinę Turner. Nie należy zapominać przy tym o takich piosenkarzach jak Udo i Adamo.

Wreszcie: dwadzieścia osiem muzeów i galerii. Od starej galerii obrazów aż po zbiór poświęcony pamięci Rudolfa Valentino.

I prawdopodobnie tylko w tym ostatnim miejscu można było spotkać monachijczyków. A całkiem na pewno można ich było spotkać w Ogrodzie Zoologicznym, dokąd wolno było wprowadzać także psy. Tylko nie w tych niezliczonych lokalach, które zwały się „barami” albo od razu „Night Club”, a znajdowały się w pobliżu dworca, na Schwabingu, w coraz to bardziej wyludniającym się centrum miasta. Mówiono, że wkrótce nie będzie się tam w ogóle mieszkać, tylko inkasować pieniądze.

Ale prawdziwi władcy miasta — wśród nich także Plattner — rzadko pojawiali się w tym hałaśliwym skupisku ludzi. Nie chcieli, żeby o nich mówiono. Inkasowanie pieniędzy zlecali bankom, których byli przeważnie właścicielami.

— Jonass, mój chłopcze — obwieścił znacząco Plattner. — Może wybić twoja godzina. — Plattner siedział w swoim biurze, rozparty na kanapie. — Poprosiłem pana tutaj, ponieważ chcę z panem wyjaśnić pewne sprawy o decydującym znaczeniu.

Joachim Jonass skłonił się lekko. Miał trzydzieści cztery lata, wysportowaną sylwetkę, zimne spojrzenie i energiczną brodę. — Na mnie może pan polegać, panie Plattner, pod każdym względem.

— Moja córka już mi o tym mówiła. Było to jednak tylko potwierdzenie tego, co ja już przeczuwałem.

— Jestem jej mężem!

— Tego, panie Jonass, właśnie się po panu spodziewałem; zakładając, że jest pan naprawdę zdecydowany na wszystko!

— Niech tylko pan powie na co, a będę zdecydowany!

— Zdaje się, że jest pan rzeczywiście człowiekiem po mojej myśli, Jonass! Ale jeśli się pan wżeni w moją rodzinę, będzie pan także musiał zaangażować się poważnie w moją firmę. To z kolei będzie możliwe tylko wówczas, jeśli pan, jako następca swego poprzednika, będzie całkowicie zdecydowany na to, żeby go skutecznie wyłączyć, pod każdym względem.

— Jestem gotów — zapewnił Plattnera Jonass nieco zbyt uroczyście.

O

wiele późniejsza wypowiedź Joachima Jonassa:

„— Twierdzenie, że byłem kiedyś przyjacielem Haralda Feina, jest po prostu absurdalne! Zbyt różniliśmy się od siebie. Jestem, na przykład, mniej więcej dziesięć lat młodszy od niego. Ponadto byłem świadomym praktykiem, podczas gdy on uważał się za artystę i dawał to do zrozumienia przy każdej okazji. Bezsensowne jest też przypuszczenie, że to on sam mnie wybrał, dał mi szansę, wprowadził mnie do firmy *Plattner* i w krąg swojej rodziny. Prawda wyglądała następująco: Fein poszukiwał pilnie kogoś, kto mógłby go odciążać w pracach organizacyjnych i związanych z zarządzaniem firmą. Później załatwialem to ja za niego. Z czasem firma budowlana *Plattner* powierzała mi coraz więcej zadań, których wykonania oczekiwano z początku od niego. Działo się tak w poważnym stopniu na skutek jego późniejszych alkoholowych wybryków”.

Pismo jedyne go właściciela firmy budowlanej „Plattner — Roboty budowlane naziemne i podziemne” do jego dotychczasowego pierwszego zastępcy, pana Feina:

.....komunikujemy Panu z ubolewaniem, że jesteśmy niestety zmuszeni zwolnić pana od zaraz ze wszystkich obowiązków. Tym samym jesteśmy także zmuszeni wypowiedzieć panu w najkrótszym terminie umowę o pracę...”

Pismo właściciela firmy budowlanej „Plattner — Roboty budowlane naziemne i podziemne” do pracowników zatrudnionych w tym samym przedsiębiorstwie na kierowniczych stanowiskach, nazwane także „wewnętrznym okólnikiem firmowym”, zaopatrzone uwagą: „ściśle poufne”:

....komunikujemy z ubolewaniem, że musieliśmy zwolnić ze wszystkich obowiązków dotychczasowego pierwszego zastępcę dyrektora naczelnego naszej firmy, pana Feina, na skutek czego wygasły wszystkie jego uprawnienia. Pan Fein odchodzi z naszej firmy. Na jego miejsce przychodzi pan Jonass”.

— Zrobię, co w mojej mocy — powiedział z nadzieją Joachim Jonass. — Ale zdaje mi się, że jeden punkt budzi wątpliwości. Chodzi mi mianowicie o Abendrotha, planistę miejskiego. Zadaję sobie bowiem pytanie, czy Harald Fein rzeczywiście nie miał wcześniej wglądu w jego plany?

— Miał — stwierdził spokojnie Plattner. — Przez czysty przypadek. O czym zostałem wyczerpująco poinformowany. Miało to ten, chyba oczywisty, skutek, że zakupiłem wszystkie tereny przewidziane pod rozbudowę, jakie tylko można było dostać. Wiedziałem przecież, że wszystkie plany Abendrotha, z którymi burmistrz się liczy, są zazwyczaj realizowane. Czy pana to drażni?

— Ani na jotę. Zadaję sobie tylko pytanie, co będzie, jeśli Harald Fein zacznie się bronić za pomocą wszystkich środków, to znaczy jeśli zacznie, że tak powiem, szaleć?

— Przeciwno swojemu przyjacielowi Abendrothowi? Nigdy w życiu!

— Jeśli tak, to damy sobie radę.

— Bez trudu, Jonass, mój chłopcze! Feina spisałem już dawno na straty. Ale dopiero teraz można to tanim kosztem wprowadzić w czyn. Mówiąc całkiem otwarcie i poufnie: dla mnie jest on już trupem!

4

Panie Fein — oświadczył komisarz Braun, tym razem bez szczególnej uprzejmości — daję panu okazję do uzupełnienia pańskich dotychczasowych zeznań.

— Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę, że dotychczas nie składałem zeznań, które byłyby notowane na piśmie. Udzielałem panu jedynie wyjaśnień.

— Które zastenografowaliśmy lub utrwaliliśmy w postaci protokołu spisane z pamięci. Tak się to zazwyczaj robi w policji, czyżby pan w to wątpił?

— Jakże bym śmiał! Bo i skąd mogę wiedzieć, jakie zwyczaje ma nasza policja, a jakich nie ma?

— Może — mruknął komisarz — jeszcze je pan pozna. Im prędzej, tym lepiej, dla pana!

Braun siedział na swoim krześle, Feldmann stał za nim bez ruchu. W kącie pod oknem tkwił, jak zawsze nie zauważony, Keller ze swym stereotypowym uśmiechem na twarzy.

— Do czego pan tym razem zmierza? — zapytał Harald Fein.

— Pomyłki, panie Fein — zapewnił go Braun — zdarzają się zawsze. Nasza pamięć jest zawodna. A błędy robi każdy. Decydujące znaczenie ma to, czy to rozumiemy i czy jesteśmy gotowi się do tego przyznać.

— Czy pan jest gotów?

Komisarz opanował się z niejakim trudem. Postarał się nawet uśmiechnąć. — Tego, panie Fein, oczekuję od pana.

— A do czego, pańskim zdaniem, powinienem się przyznać?

— Do drobnostki! Dotychczas utrzymywał pan, że pamiętnego wieczoru piętnastego września nie opuszczał pan swego samochodu, zaparkowanego na ulicy V. Ale jest świadek, który twierdzi, że było inaczej.

— To się myli.

— Może na to przysiąc.

— I pan mu wierzy?

— Widzi pan — powiedział Braun, znów niemal serdecznie — tak już jest w naszym zawodzie: jeden mówi to, drugi co innego, komu tu wierzyć?

— Temu, kto bardziej na to zasługuje.

— To nie całkiem prawda — powiedział komisarz — w każdym razie z naszego, czyli z mojego punktu widzenia. Dla nas ważne są przede wszystkim przekonujące dowody.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Zdaje się, że kolega Braun czuje się znowu dość pewnie w tej sprawie.

Siedziałem w moim kącie i słuchałem. Głos Haralda Fei-na brzmiał zaskakująco pogodnie, chociaż bynajmniej nie wesoło. Wyglądało na to, że uważa to wszystko za bardzo komiczne, tylko że nie może, albo już nie może, albo też jeszcze nie może, się z tego śmiać.

Mogłem sobie spokojnie pozwolić na takie spostrzeżenia. W tym dniu nie stało się nic szczególnego. Przyczyny trzech zgonów dało się ustalić w bardzo krótkim czasie.

Po pierwsze: zwłoki kobiety lat około czterdziestu. Śmierć nastąpiła na skutek przedawkowania środków nasennych. Przypuszczalnie przed dwoma dniami. Mimo to ciało nie wystygło jeszcze zupełnie, ponieważ okna były zamknięte, pogoda miła i ciepła, a zwłoki leżały pod pierzyną. Wydano je rodzinie.

Po drugie: dziecko około czterech lat z rozbitą głową. Rzekomo wdrapało się na stół i spadając z niego uderzyło głową o piec. Jednakże w ranie znajdowały się odłamki szkła, prawdopodobnie z butelki po piwie. Zdaje się, że

maczał w tym palce przyjaciel matki. Przekazano zespołowi do spraw morderstw.

Po trzecie: rozkładające się już zwłoki mężczyzny, znalezione w parku. Żadnych wskazówek, które by umożliwiły ustalenie tożsamości. Odciski palców nadają się do wykorzystania tylko częściowo, mimo wstrzyknięcia parafiny. Nie można definitywnie ustalić przyczyn śmierci. Zarządzono obdukcję zwłok.

Tego dnia nie zdarzyło się nic niezwykłego — z wyjątkiem tej rozmowy Feina z Braunem. Rzecz nie w tym, że mi było szczególnie żal Feina. Odniosłem raczej wrażenie, że mógłby się bronić — gdyby chciał!"

— Ponieważ nie chce pan tego uniknąć, panie Fein, nie będę mógł panu oszczędzić konfrontacji.

— W jaki sposób, proszę pana, mógłbym uniknąć czegoś, o czym nic nie wiem? I z kim ma pan zamiar mnie skonfrontować?

— Z kimś, kto widział pana wiele razy nie tylko przed domem przy ulicy V trzydzieści trzy, lecz także w samym domu.

— Jak pan chce — powiedział spokojnie Harald Fein. — A więc zaaranżuje pan dla mnie tak zwaną rewię, pokaz jednego ewentualnie podejrzanego człowieka wśród wielu z całą pewnością niepodejrzanych, prawda?

— Takie rzeczy widuje się w telewizji! Czasem i u nas, ale to wcale nie jest reguła. A już na pewno nie postępuje się tak wówczas, gdy — jak w tym wypadku — świadek zna nazwisko człowieka, o którego chodzi, i wie dokładnie, jak on wygląda.

— No dobrze, panie komisarzu, niech pan robi, co pan uważa za słuszne... i za uzasadnione.

Braun skinął na Feldmanna, który udał się do sąsiedniego pomieszczenia, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Wkrótce ukazał się znowu, w towarzystwie Penatscha, który skłonił się grzecznie w kierunku Brauna. Zatrzymał się z inspektorem w pobliżu drzwi, przez parę sekund bez słowa obserwował Feina, po czym powiedział uprzejmie:

— Znam tego pana i wiem, jak się nazywa. Mam wrażenie, że to jego widziałem w domu przy ulicy V trzydzieści trzy...

Fein zaś oświadczył z całkowitym spokojem: — Jestem pewien, że nigdy przedtem nie widziałem tego człowieka!

— To o niczym nie świadczy! — oznajmił Braun. — Bo widzieć, a być widzianym to są dwie różne rzeczy.

— No dobrze, ale o czym może w swoim przekonaniu zaświadczyć ten człowiek?

— Proszę o protokół zeznań Penatscha — powiedział uprzejmie komisarz do inspektora. — Proszę zreferować najważniejsze szczegóły.

Fragmety pierwszego protokołu zeznań Penatscha:

„— ...jestem pewien, że w ciągu trzech lub czterech tygodni poprzedzających zbrodnię widziałem pana Haralda Fei-na co najmniej trzy razy w pobliżu domu albo wewnątrz domu przy ulicy V nr 33, gdzie pracuję jako dozorca. Jeden raz — było to chyba pierwszy raz — widziałem go, gdy siedział w swoim samochodzie, palił papierosy, słuchał radia i obserwował nasz dom: drzwi wejściowe i okna od frontu; zdaje się, że także okna na górnych piętrach. Podpadł mi. Tak zresztą, jak i pies, który siedział obok niego. Drugi raz, mniej więcej dziesięć dni, a może dwa tygodnie przed morderstwem, widziałem, jak pan Fein wychodził z domu przy ulicy V trzydzieści trzy, i to, jak mi się zdawało, z pewnym pośpiechem. Na ulicy rozejrzał się w sposób, który mógłbym nazwać badawczym. Dopiero potem wszedł do swojego samochodu, gdzie oczekiwał go ten pies. Po raz trzeci, chyba dokładnie tydzień przed morderstwem, gdy właśnie wychodziłem z piwnicy, gdzie coś reperowałem, widziałem, jak pan Fein wchodził do naszego domu. Było to koło godziny dwudziestej drugiej. Poruszał się w sposób, który mógłbym nazwać ostrożnym; mógłbym też powiedzieć, że się krył. Wzbudziło to moją nieuwagę. Zaniepokojony, poszedłem za nim i zobaczyłem, że stał przed drzwiami zamordowanej. Uderzał w te drzwi pięścią, i to wiele razy. Wołał ją przy tym po imieniu, bardzo głośno i z pogroźką w głosie”.

— To wszystko — powiedział Harald Fein — jest po prostu czystą bzdurą.

— To wszystko — zapewnił go Penatsch z niemal uroczystą uprzejmością — to fakty, które mogą potwierdzić pod przysięgą, gdy się to okaże konieczne.

— I pan, panie Braun — zapytał Harald Fein — wierzy w te wymyślone idiotyzmy, czy też, łagodnie mówiąc, osobliwe halucynacje? Nie, o to pana nie posądzam!

— Panie Fein? ja tylko opracowuję i oceniam dostarczony mi materiał. I to zmusza mnie, żebym teraz zajął się panem znacznie dokładniej, niż to czyniłem dotychczas.

— Czy to znaczy, że pan mnie podejrzewa...

— To jedynie znaczy, że od tej chwili nie mogę, niestety, uważać pana za całkowicie wolnego od podejrzeń. Czy pan jest teraz gotów poddać się przesłuchaniu przez policję kryminalną?

Tego samego dnia późnym wieczorem „Morgenzeitung” zakomunikowała swoim czytelnikom:

„Morderstwo przy ulicy V zostanie wkrótce wyjaśnione. Zaczynają wychodzić na jaw drażliwe sprawy. Należy przypuszczać, że sprawca należy do tak zwanego najlepszego towarzystwa.

Jak się dowiadujemy z dobrze poinformowanych kół...”

Natomiast „MAM”, ukazująca się zaledwie kilka godzin później, opublikowała następującą wiadomość:

„Morderstwo przy ulicy V sprawia policji trudności. Jest wielu podejrzanych. Niewykluczone, że pewne koła snują sensacyjne spekulacje. Żądamy starannej i bezbłędnej pracy, w nadziei, że nasza policja...

Jak się dowiadujemy z dobrze poinformowanych kół...”

„Bild” zapewnił raz jeszcze swoich czytelników, że: „Jesteśmy czujni! Można być tego pewnym! Nic nie ujdzie naszej uwagi!”

Bezpośrednio po przeczytaniu gazet nadkomisarz policji kryminalnej Dürrenmaier poprosił do siebie Brauna i powiedział:

— Bardzo pana proszę, mój drogi, czy coś jest nie w porządku? Skąd ten niepokój, te spekulacje, te niebezpieczne aluzje? Niech pan mi tylko nie mówi, że prasa zawsze tak reaguje! Niech pan raczej zastanowi się nad tym, dlaczego tak reaguje! Czy ktoś popełnił jakiś wielki błąd?

W związku z tą sprawą burmistrz powiedział do prefekta policji swego miasta, którego zupełnie przypadkowo spotkał na zebraniu okręgowej organizacji swojej partii:

— Pozwolę sobie poradzić panu, żeby pan to przyhamował, czyli żeby pan spróbował doprowadzić możliwie szybko do powstania jasnej sytuacji. To zawsze lepsze, ponieważ wszystko jest wtedy bardziej zrozumiałe aniżeli stosowanie pozornie oczywistej taktyki zwłoki. Nawet gdyby miało dojść do poważnego skandalu! Nie należy tylko dopuszczać do wypowiedziania przypuszczeń po cichu, bo to działa jak trucizna.

— Domyślam się, czego pan ode mnie chce. — Paul Plattner popatrzył chytrze na swojego gościa. Był to Palitschek, który został niezwłocznie przyjęty. — Może więc pan oszczędzić sobie kłopotliwych wstępów.

— Tym lepiej — powiedział Palitschek i usiadł na jednym z pokrytych jedwabiem krzeseł, stojących w biurze głównym. — A więc... ile? Ile, szanowny panie, warte jest dla pana moje pełne zrozumienie milczenie, a tym samym i dyskrecja ze strony mojej drogiej narzeczonej Marii?

— Ani feniga — oświadczył Plattner.

— Chyba źle słyszę? — Peter Palitschek wyprostował się zaniepokojony. — Chyba nie chce pan dopuścić do tego, żebym pańskiego zięcia zapędził pod względem moralnym w sytuację bez wyjścia?

— Mój drogi pani Politschek — powiedział Paul Plattner z uśmiechem — pan widocznie wcale nie wie, z kim pan ma do czynienia?

— A z kim?

— Z człowiekiem, który lubi szczerość i nie chce chodzić krętymi drogami.

Palitschek stracił zupełnie rezon. — Niech pan to powtórzy jeszcze raz.

— Sprawa wygląda następująco: pan chce, żeby panu zapłacić za przemilczenie czegoś. A ja uważam, że to właśnie byłoby brzydko.

— Czy pan mnie ma za durnia?

— Niech się pan nie denerwuje! Niech pan mnie lepiej posłucha, możliwie uważnie. Przemilczanie nie zgadza się z moimi zasadami etycznymi. Jestem za prawdą. Czy to tak trudno zrozumieć... człowiekowi pańskiego formatu?

— Powoli, panie Plattner! — Palitschek patrzył na Plattnera z niedowierzaniem. — Czy to ma znaczyć, że panu zależy na tym, żeby udowodnić, że Harald Fein to świnia?

— Proszę, niech pan nie używa takich słów! Jestem jedynie zdania, że prawda powinna zwyciężyć. I że każdy, kto w tym pomoże, powinien zostać wynagrodzony... o czym jestem skłonny pomyśleć.

— Kupiłem — zawołał Palitschek, który teraz wreszcie zrozumiał, czego się od niego oczekuje. — Ile? Ale połowa z góry, i to gotówką.

— No dobrze. Powiedzmy: dwa tysiące marek.

— Trzy tysiące.

— Zgoda. Półtora tysiąca natychmiast, reszta po przekonujących zeznaniach w policji kryminalnej, w celu dojścia do prawdy. Jesteśmy zgodni?

Byli zgodni.

Rozmowa Hildy Fein z przyjaciółką Melanią Weber w herbaciarni hotelu „Carlton” przy Briennerstrasse:

Hilda: — Mój Boże, jest coraz gorzej.

Melania: — Zawsze cię ostrzegałam, Hildo.

Hilda: — Ach, cóż to były za czasy, kiedy my obie, tylko my obie... Melania: — Co chcesz przez to powiedzieć? Hilda: — Czyż się nie domyślasz, Melanio, kochanie?

— Ja osobiście — oświadczył inspektor Feldmann — mam wątpliwości.

Komisarz Braun uśmiechnął się do swojego współpracownika. — Ma pan wątpliwości... ja także. Zawsze je mam! Zwłaszcza gdy zwietrzę świntuchów. Zatrzymywanie ich uważam za jedno z naszych najpiękniejszych zadań. Tylko że niechętnie wypowiadam się w tym duchu. Mógłbym zostać źle zrozumiany.

— Przecież ten Penatsch jako świadek przeciwko Haraldowi Feinowi jest nader wątpliwej wartości.

— Świadek jest świadkiem! I w myśl prawa może być nim każdy: zarówno człowiek niespełna rozumu, jak i dziecko! Nie wolno nam nikogo opuścić!

— W gruncie rzeczy jestem przekonany, że pan uważa Haralda Feina za niewinnego. Ale wobec tego czemu zapędza go pan systematycznie w ślepią uliczkę? Co pan chce za jego pośrednictwem stwierdzić? Do kogo ma pan zamiar w ten sposób się dobrać?

— Popatrz, popatrz! — zawołał Braun z zadowoleniem.

— Zaczyna się pan przestawiać na moje metody! Jeden po stęp więcej w tej sprawie! A więc zrozumiał pan, że nie uważam bynajmniej Feina za najważniejszy obiekt, lecz raczej za coś w rodzaju trampoliny. Teraz wystarczy, żeby pan odgadł, komu chcę skoczyć do gardła, albo, powiedz my, kogo chcę kopnąć w dupę.

Hilda i Melania piły angielską herbatę bez mleka i cukru, ale wzmocnioną białym rumem jamajka marki *Ba-cardi*.

Ta herbaciarnia, wybita wytwornymi materiałami i utrzymana w dyskretnych barwach — specjalnym uznaniem cieszył się tu ciemny aksamit — miała „kulturę” i „trądy-

cję". Swego czasu w najdalszym kącie sali lubił siadywać niejaki Hitler wraz ze słuchaczami jego monologów.

Teraz jednak można tu było spotkać jedynie czcigodne mieszczaństwo: samą solidność. Kobiety, które tu przychodziły, były przeważnie żonami dyrektorów banków i fabryk, wyższych urzędników, wielkich kupców, akcjonariuszy i członków rad nadzorczych.

Melania: — Gdybyś się trzymała mnie, wiele rzeczy byłoby ci zaoszczędzone.

Hilda: — Chciałabym, żeby wszystko było tak jak wtedy.

Melania: — Czy to znaczy, Hildo, że wszystko może być jak dawniej... między nami?

Hilda: — Niczego więcej nie pragnę! Ale wciąż jeszcze jest Harald, który mi zupełnie zrujnował zdrowie. I mój ojciec, wobec którego mam ogromne zobowiązania, rozumiesz?

Melania: — Rozumiem wszystko. Mam ci pomóc wybrnąć z tej sytuacji. I zrobię to chętnie, moja gołąbko. Zastanówmy się. Wezmę jeszcze jedną herbatę.

— A więc znowu musimy tam iść! — zawołał Harald Fein do swojego psa Antona z udanym entuzjazmem.

Anton dreptał cierpliwie obok niego. W godny podziwu sposób pokonywał schody ruchome, wskakiwał do każdej windy, nie cofał się nawet przed samolotami. A w pomieszczeniach firmy *Plattner* — *Roboty budowlane naziemne i podziemne* przy Marienplatz poruszał się z taką samą swobodą jak w ogrodzie willi Feinów.

— Kieraty tego życia, kochany Antonie, są nam wyznaczone z góry, są nieuniknione. Dotyczy to także ciebie, mój mały! Czy możesz na przykład zrobić siusiu, gdzie i kiedy chcesz? Nie możesz, i wcale tego się nie domagasz. Naucz się opanowywać! Ale ja, Antonie, nie zawsze to potrafię.

Harald Fein przemierzył przedpokoje firmy *Plattner* — *Roboty budowlane naziemne i podziemne*. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Mimo to uśmiechnął się do Antona.

Pies się zatrzymał, pozwalając, żeby Harald Fein go wyprzedził. Fein przeszedł przez główny sekretariat, gdzie

siedziała panna Wagnersberger, tak bardzo — jak się wydawało — zajęta pracą, że nawet nie usłyszała, jak ją pozdrowił. Fein uśmiechnął się. Udał się do swojego gabinetu i podszedł do swojego biurka.

Ale za tym biurkiem siedział Joachim Jonass, miły kolega i wypróbowany przyjaciel rodziny — jego własne odkrycie!

Anton uciekł do kąta, w którym zawsze leżała owcza skóra, przeznaczona wyłącznie dla niego. Ale tym razem jej nie znalazł. Pies popatrzył z wyrzutem na swego pana i przyjaciela. Ale ten widział tylko Jonassa.

— Czy czujesz się znośnie na moim miejscu, Joachimie? — zapytał Harald Fein.

— Czemu nie? — odrzekł Jonass. — Siedzi się tu całkiem dobrze. Zawsze miałeś wybitne wyczucie wygody, mój zadek to czuje!

— Bez względu na to, co ci sugeruje twoja dupa — powiedział Harald Fein — ten stołek, na którym się rozpierasz, jest mój.

— To był twój stołek — oświadczył Jonass — i to było twoje biurko. Ale teraz jest moje. Co zostało potwierdzone na piśmie.

Harald Fein wlepił wzrok w Jonassa, jakby go zobaczył naprawdę po raz pierwszy.

— Jeśli się nie mylę — powiedział wreszcie — to jestem wciąż jeszcze pierwszym zastępcą dyrektora firmy.

— Mylisz się. Byłeś nim. A teraz jestem nim ja.

— Naprawdę? — zapytał Harald Fein. — Czy jesteś tego całkiem pewien?

Wypowiedź w tej sprawie Ewy-Marii Wagnersberger, głównej sekretarki przedsiębiorcy budowlanego Plattnera — „Roboty budowlane naziemne i podziemne”:

„— Z pewnością nie zdradzę żadnej tajemnicy, gdy powiem, że w naszej firmie zawsze był tylko jeden szef, który miał decydujący głos. Był nim zawsze pan Plattner. Na początku lat pięćdziesiątych przyjął — nie bez oporów — do

swojej firmy i do swojej rodziny Haralda Feina. Wówczas zawarł z nim umowę, która wydawała się być bardzo korzystna i zawierała takie określenie: «pierwszy zastępca dyrektora naczelnego). Zdaniem Plattnera warte były tego już chociażby same tylko bliskie związki Feina z Abendrot-hem, planistą miejskim i człowiekiem, który mógł zdobyć poważne znaczenie. Ale firmą kierował właściwie nadal sam Plattner. Nic nie uszło jego uwagi — nigdy nie dopuścił do tego. Najważniejsze polecenia wydawał przeważnie ustnie, w cztery oczy. I chociaż umowa Feina wyglądała na bardzo korzystną, to Plattner finansował w ten sposób przede wszystkim dobrobyt swojej córki. Umowa ta zawierała ponadto klauzulę o prawie do krótkoterminowego, trzymiesięcznego wypowiedzenia. Bez najmniejszego zabezpieczenia dla Feina. Może też było mu to obojętne. Prawie taką samą umowę przedłożono później także Jonasso-wi. Przestrzegałam go przed tym. Jednakże on powiedział: «Nie jestem Haraldem Feinem! On uważał tę umowę za ostateczną ugodę. Bo on jest taki naiwny. Dla mnie to dopiero początek, osiągnięcie stanowiska, które konsekwentnie rozbuduję. Razem z tobą»".

Monachium znowu jarzyło się od świateł. Niebo nad The-resienwiese, gdzie odbywało się „święto październikowe", było oszałamiająco jasne. Tam pito, jedzono, strzelano, mocowano się i kochano. Robiły to dziesiątki i setki ludzi.

Tysiące zapachów unosiło się ku niebu, zapach tłuszczu i zgnilizny, słodczy, gorących oddechów i smrodów. Zapach pieczeni, piwa, śledzi, kiełbasek, koni i pawi. Wszystko to bulgotało oszałamiająco.

Okres październikowego święta był w tym mieście wielkim sezonem dla wszelkiego rodzaju kryminalistów. Innym takim okresem były ostatnie dni karnawału. Był to czas pełnego zatrudnienia policji, lekarzy pogotowia i straży pożarnej.

Liczba zbrodni wzrastała szybko. Stawały się one coraz brutalniejsze.

Znikał „szacunek dla życia”. Ludzie umierali wszędzie — i zupełnie bezsensownie: na polach bitew różnych ugrupowań władzy, w rzeźniach szybkiego postępu, na ulicach, budowach i w maszynach do mieszkania.

Rzeczy skrajne zagrażały ogółowi niebezpieczeństwem przekształcenia się w oczywiste. Jeśli ktoś stał komuś „na drodze”, musiał — w jakiś sposób — zostać usunięty. Zarówno w polityce, jak i w interesach.

Zadziwiająco szybko rozpowszechniła się zasada, którą kierowali się ludzie odnoszący sukcesy: zaatakować, wyłączyć, wykończyć! Zburzyć wszystko, co się da, aby umożliwić możliwie jak najszybsze osiągnięcie korzyści następcom.

— Twoje wypowiedzenie, Haraldzie, jest już gotowe — oświadczył Joachim Jonass. — Mam ci je przekazać.

— Nie spodziewasz się chyba ode mnie gratulacji!

— Ubolewam nad tym, co się stało, Haraldzie...

— Nad czym ubolewasz? Czy nad tym, że musisz mi przekazać to wypowiedzenie, czy też nad tym, że je wydano?

— Możesz mi wierzyć...

— Nie wierzę ci wcale, przynajmniej nie w tej sprawie. Ale jeśli by cię to miało uspokoić, to mogę cię zapewnić: cieszę się z tego wypowiedzenia! — Harald Fein wziął podsunięte mu pismo z wypowiedzeniem, złożył je i wsunął do kieszeni spodni. — Bo teraz czuję wreszcie wielką ulgę, czuję się uwolniony, jeśli nie wręcz: naprawdę wolny!

— Ale od czego uwolniony? I po co?

— Po to, żeby popełniać wszystkie piękne szaleństwa tego świata! Co najmniej jednak po to, żeby prowadzić względnie normalne życie. Nareszcie nie mam już żadnych zobowiązań wobec tej firmy, wobec tego towarzystwa, które robi pieniądze jak krowa kupy! Teraz tylko stąd odejść i rozpocząć nowe życie!

— Nie rozumiem cię — powiedział speszony Jonass. — Czy to groźba, czy coś innego?

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera. Pierwsze dochodzenia, których rezultaty są przeznaczone do jego akt: „tylko do użytku prywatnego”. O Haraldzie Feinie, jego dzieciństwie i młodości:

„Urodzony 15 marca 1925 r. Był pierwszym dzieckiem. Dopiero po bez mała dziesięciu latach przyszła na świat siostra, która na skutek nieszczęśliwego upadku, połączonego z uderzeniem o piec, nieuleczalnie zachorowała. Uchodziła za lekko pomyloną. Harald zawsze się nią opiekował. Zmarła na raka.

Ojciec: urzędnik skarbowy, zawsze prawy i solidny.

Matka: z wielodzietnej rodziny rzemieślniczej, zamieszkałej w okolicy Salzburga. Dziesięcioro rodzeństwa. Pracowita, bez cienia egoizmu, skromna. Bardzo kochała syna.

Syn — Harald Maksymilian Heinz — uchodził dawniej za wrażliwego, obdarzonego bujną fantazją, a także za upartego. Było to trudne dziecko: szukające opieki, skłonne do zamykania się w sobie. Jako uczeń był zadziwiająco skomplikowany wewnątrz: czasem olśniewał, często jednak przerażał nauczycieli lenistwem i obojętnością.

Niedościgniony jednak był w rysunkach! Jeden z jego nauczycieli powiedział bez zająknienia: «Przyszły Picassów! Inny orzekł: «Miał coś z geniuszu przedwcześnie dojrzałej młodości. Ale potem został człowiekiem inte-resu»".

— Niewątpliwie — powiedział Harald Fein do swojej żony Hildy — popełniliśmy wiele błędów.

— Wiele? Chyba same błędy! — wybuchnęła. — No i nie „my”!

Tym razem to ona poprosiła go na rozmowę, niemal oficjalnie, do salonu swego domu. Usiadła na ulubionym fotelu Paula Plattnera: zawsze na nim siedział, gdy przychodził do nich z wizytą. Fotel ten stał pod portretem. Bismarcka, namalowanym przez lub według Lenbacha; był to подарowany przez teścia prezent ślubny, na który Fein nie mógł patrzeć bez lekkich mdłości — przypuszczalnie dlatego, że

sam był malarzem. To malowidło, twierdził, jest po prostu zbyt heroiczne!

To także było w stylu Monachium: ten bawarski „książę malarzy”, który wielokrotnie portretował pruskiego księcia i w końcu wysłużył sobie pałac. Pałac ten stał się „galerią miejską” i wisiały w nim obrazy Marca, Kleego i Kan-dinskiego oraz Leibla, którym niegdyś pogardzał Len-bach. Naprawdę miasto nieograniczonych możliwości.

Wystarczy tylko przypatrzeć się burmistrzom monachijskim po ostatniej wojnie, co za konstelacja gwiazd o niejednakowej sile światła! Scharnagl — człowiek, który uprząłnął gruzy i usunął ruiny; Backer — mieszczanin i zwolennik kultury fizycznej. Następnie: Wimraer — człowiek ciężkiej pracy i ojciec rodziny; Zimmermann, który lubił dwie rzeczy: piwo i pracę w swoim małym ogródku. A potem ten Vogel! Przewyższał wszystkich, jeśli chodzi o planowanie miasta; w tym wypadku była to raczej rewolucja w mieście. Ponadto: świetny prawnik, przekonujący mówca, socjaldemokrata jak gdyby z przypadku, trybun ludu i zarazem jego władca.

To miasto, rozmyślał Fein, jest po brzegi wypełnione najbardziej nieprawdopodobnymi niespodziankami jak: morderstwa i moda, kościoły i spelunki, poeci i pederaci, socjalizm i skandale, faszyzm i faszyści. A wśród tego wszystkiego toczy się także życie jak jego własne: absolutna codzienność. Tak żyją tysiące ludzi.

— Czy mnie nie słuchasz? — zapytała go żona. — Wiem, nie słuchałeś mnie prawie nigdy. Zawsze myślałeś tylko o sobie!

— Może i tak było — przyznał Harald Fein. — Ale próbowałem uczciwie, chociaż z pewnością w niedoskonały sposób, być ojcem naszej rodziny, szanowanym i kochanym, uznawanym i rozumianym. Sądziłem, że przynajmniej w tym wypadku dostrzeże się moją pewną bezinteresowność, że tak powiem. Ale widocznie oczekiwałem za wiele.

— Jakież ty jesteś niewdzięczny! — zawołała Hilda Fein. — Wobec mojego ojca, który zrobił dla ciebie wszystko, co tylko zrobić można. Wobec mnie, chociaż się poświęcałam! I to nie tylko wtedy, kiedy byłeś ciężko chory, ty nędzny, zdemoralizowany pijaku!

— Czy nie przyrzekliśmy sobie, że nie będziemy do tego już wracać?

— Zmuszasz mnie do mówienia o tym!

Informacje, jakich dr Wengel udzielił później adwokatowi Messerowi:

„— Udzielam «tych informacji z najwyższą niechęcią, gdyż obawiam się zaszkodzić interesom mojego byłego pacjenta. Ponieważ jednak sam mnie zwolnił z obowiązku milczenia wobec pana, jego adwokata, nie wolno mi chyba zwlekać z zaznajomieniem pana ze szczegółami, które życzy sobie pan poznać. Pan Harald Fein był moim pacjentem od 1956 roku. Można powiedzieć, że stało się to automatycznie, ponieważ był członkiem rodziny Plattnerów, której byłem i jeszcze jestem lekarzem domowym. Przez wiele lat nie zdarzyło się nic godnego uwagi. We właściwym czasie ostrzegłem go przed nadużywaniem alkoholu. Załamał się w 1968 roku, mówiąc dokładnie: dwudziestego pierwszego marca, podczas niesłychanie harmonijnego święta wiosny, urządzonego przez panią Fein dla przyjaciół domu i firmy jej ojca. Harald Fein pojawił się zupełnie pijany. Wygłaszał nieznośnie głośne przemówienia i obraził kilku gości. Byłem przy tym obecny. Potem przewrócił się na dywan i dostał drgawek. Razem z panem Plattnerem i panem Jonassem przenieśliśmy go do pokoju obok. Wreszcie przewieziono go do prywatnej kliniki pewnego zaprzyjaźnionego ze mną kolegi, położonej w pobliżu Starnberger See. Przebywał tam przez dwa miesiące. Obstawiał przy tym, żeby mógł zatrzymać przy sobie swojego psa. Później zwolniono go jako wyleczonego. O ile mi wiadomo, unikał odtąd alkoholu. Nie można powiedzieć, żeby jego stan budził potem niepokój”.

— Hildo — powiedział Harald Fein — sądzę, że jeśli naprawdę mieliśmy kiedykolwiek szansę rozpocząć zupełnie nowe życie, to może teraz!

- Na to jest za późno!
- Nigdy nie jest za późno, zakładając, że ma się trochę dobrej woli!
- Ale ty jej nigdy tak naprawdę nie okazałeś! Dlaczego teraz próbujesz jeszcze sobie to wmawiać?
- Ponieważ wierzę, że prawie dwudziestoletnie pożycie małżeńskie nie może przeminąć bez śladu. Ileż to rzeczy zdarzyło się w tym czasie! To przecież wiąże, Hildo!
- Ale te więzi nie muszą być dożgonne, po tym wszystkim, co mi wyrządziłeś. Nie pozwolę, żeby ktoś stanął między mną a moim ojcem. Nie chcę dłużej znosić tych ciągłych upokorzeń! Koniec z tym! Po prostu nie mogę cię już znieść!
- Czy to właśnie chciałaś mi powiedzieć?
- Nic więcej nie mam ci do powiedzenia.

Informacje dyrektorki internatu pod Lozanną na temat Hildy Plattner, późniejszej Hildy Fein:

„— Dobrze jeszcze pamiętam Hildę. Była w naszym instytucie przez wiele lat. Przywiózł ją do nas jej ojciec, szlachetny, hojny człowiek, bardzo wcześnie owdowiały na skutek tragicznego wypadku. Potem zarówno podczas ferii, jak i przez cały rok szkolny opiekował się nią z wielką czułością, która wszystkich nas wzruszała. Hilda była uważna i łatwo się przystosowywała. Cechował ją jednak pewien upór, wynikający z pewności siebie. Świadczy o tym pewien jej wybuch. Rzuciła kamieniem w głowę koleżanki, która — jej zdaniem — ją sprowokowała. Rana była bardzo poważna. Ale Hilda nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Trwała uparcie w przekonaniu, że postąpiła słusznie!”

— Mój Boże — zawołała Hilda, nie panując już nad sobą — jakże ty mi obrzydziłeś!

Harald Fein podniósł się. Wydawało się, że kręci mu się w głowie. Oparł się o poręcz fotela i oddychał ciężko.

Hilda podbiegła do szafy, wyjęła z niej butelkę koniaku i szklankę. Napełniła ją i podsunęła mu.

Sięgnął po nią.

— To koniec — powiedziała twardo. — Raz na zawsze! Wniosłam już o rozwód! A więc opuść mój dom. Możliwie jak najszybciej!

Podniósł postawioną przed nim szklankę i przyjrzał się jej pociemniałymi, smutnymi oczami. Potem wypił koniak.

Notatka w aktach — pod znakiem 204/70 — napisana przez nadkomisarza policji kryminalnej Dürrenmaiera dla prefekta policji:

....komisarz Braun przedstawił mi dotychczasowe rezultaty śledztwa w sprawie morderstwa przy ulicy V nr 33. Wywnioskowałem z nich, że wiele poszlak, które wydają się bardzo poważne, obciąża niejakiego Haralda Feina. Załączam zestawienie. Komisarz Braun uważał widocznie, że poszlaki te wystarczają, żeby wydać nakaz aresztowania.

Jednakże po starannym zbadaniu materiału wyłoniły się pewne wątpliwości. Dlatego nie wyrażono na razie zgody na złożenie u odnośnego prokuratora wniosku o wystawienie nakazu aresztowania Haralda Feina.

Polecilem komisarzowi Braunowi czym prędzej podbudować mocniej i uzupełnić jego przypuszczalne dowody. Wskazałem też na to, że należy koniecznie uniknąć przekazania społeczeństwu przedwczesnych informacji lub chociażby tylko wzmianek".

— Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną ojcowską radość? — zapytał Harald Fein swojego syna Heinza. — Po co przyszedłeś?

— Żeby zobaczyć Antona; gdzie jest to bydłę?

— Leży w wannie, ale bez wody. Jest to jedyne względnie chłodne miejsce w tych przegrzanych pomieszczeniach.

Heinz Fein przeszedł przez pokój hotelowy, w którym mieszkał ojciec, i poszedł do łazienki przywitać się z Antonem.

Pies zaszczekał radośnie. Heinz uporządkował powoli psią sierść, odsłonił Antonowi oczy i pogłaskał go po zarosniętej mordzie.

Dopiero potem zagłębił się w fotelu naprzeciwko ojca.

— Czy może przyszedłeś po to, aby cieszyć się moją ewentualną bezradnością? — zapytał Harald Fein.

— Właśnie po to! — potwierdził syn. — Tego naturalnie nie mogłem się wyrzec!

Heinz odszukał swego ojca w hotelu *Royal*. Był to hotel wyższej średniej klasy. W tej komfortowej fabryce do mieszkania umieszczano wyższych urzędników firmy Plattner. Teraz przebywał tu Harald Fein, a przed nim stała opróżniona niemal do połowy butelka koniaku.

— Znowu pijesz? — zapytał Heinz. — Nie powinieneś tego robić. Chociażby dlatego, żeby świecić przykładem. Na przykład mnie, twojemu kochanemu synowi.

Heinz Fein wstał, chwycił butelkę z koniakiem i poszedł z powrotem do łazienki. Dał powąchać butelkę Antonowi, który się natychmiast otrząsnął. Heinz wylał zawartość butelki do toalety i splukał energicznie resztki koniaku. Harald Fein obserwował syna z coraz większą uwagą.

— Chyba się o mnie nie martwisz?

Heinz się roześmiał: — Jeśli o mnie chodzi, to każdy może się zabić, jeśli mu to sprawia przyjemność. Ma do tego prawo. To należy do naszej wolności. Ale chciałbym się jeszcze trochę nacieszyć widowiskiem, którego jesteś autorem. Powinieneś spełnić przynajmniej to jedno życzenie swojego syna.

Z dziennika Sabiny Faber, lat 17, uczennicy szkoły średniej, wówczas blisko zaprzyjaźnionej z Heinzem Feinem:

„On mnie kocha! A równocześnie zdaje się mnie nienawidzić. Tak zresztą, jak równocześnie nienawidzi i zarazem kocha wszystko, co jest mu bliskie. Nie chce zrezygnować z siebie — nie chce się zatracić w innym człowieku.

Jest bardzo nieszczęśliwy. Daje mi to odczuć. Ale równocześnie sprawia to takie wrażenie, jak gdyby ode mnie

oczekiwał czegoś w rodzaju uwolnienia czy wyzwolenia! Ale w jaki sposób, od czego? Wydaje się, że samo oddanie mu się nie wystarcza.

...zawołał, obejmując mnie mocno: «Dlaczego wszyscy kłamią? Dlaczego wiecznie okłamują się nawzajem — a nawet samych siebie?»»

Przed zaledwie paru laty Hilda Fein powiedziała do swojego męża: — Ojciec życzy sobie, żeby Heinz przygotowywał się do objęcia po nim firmy. Wszystko jedno w jaki sposób: czy przez uczenie się zarządzania gospodarką, czy przez ukończenie studiów prawniczych, czy też przez zostanie inżynierem architektem.

— Jeśli Heinz zechce — powiedział Harald — to proszę bardzo. Ale tylko w takim wypadku!

— A jeśli nie zechce, to co wtedy zrobisz?

— Wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby mu oszczędzić mojego losu!

— Czy sprzeciwiłbyś się nawet ojcu?

— Dlaczego nie, skoro idzie o mojego syna?

— Który jest także moim synem, a więc i wnukiem mojego ojca!

— Wiem, Heinz — powiedział Harald Fein — że nie jestem ideałem ojca, nie w twoim pojęciu.

— W moim pojęciu jesteś nieuchronnym produktem swego otoczenia: zawsze uważnym mężem egoistycznej kobiety i z trudem oddanym pracownikiem wiecznie czegoś żądającego teścia. Wszystko dla pieniędzy, potrzebnych rodzinie i firmie. A więc: standardowa figura naszych chciwych na zysk czasów!

— Jeśli moje życie rzeczywiście wywierało na tobie takie wrażenie, no cóż, trudno! Ale z tym już koniec!

— Nie wierzę! I nie wierzy ci nikt, kto cię chociaż trochę zna. Przez blisko dwadzieścia lat żarłeś, aż nazbyt chętnie, z późnokapitalistycznych żłobów i teraz w ogóle nie potrafisz się już odżywiać inaczej!

— A więc takie jest twoje zdanie? — powiedział znużony Harald Fein. — Moje jest w tej chwili tylko takie: wylałeś resztę mojego koniaku, postaraj mi się o nowy!

— Do diabła z koniakiem! Albo: na Boga, nie! Wybierz sobie, kogo wolisz. Woda mineralna jest dla ciebie znacznie lepsza.

— A więc rzeczywiście martwisz się o mnie?

— Jestem tu tylko dlatego, że mnie przysłała twoja, czyli nasza, kochana rodzinka.

— Czy chcą wiedzieć, jak mi się powodzi?

— Wydaje mi się, że naprawdę jesteś niepoprawnym marzycielem! Wciąż jeszcze wierzysz, że ktoś o tobie myśli. Naturalnie, wyjątkiem jest Helga, to piękne, kochane cielę. Ale poza tym jesteś spisany na straty, wykreślony!

— Czy przyszedłeś tu po to, żeby mi to powiedzieć? Ty mną pogardzasz, prawda?

— O wiele gorzej, ojczy: zaczynam się nad tobą litować.

— Oszczędź sobie tego!

— Toteż nie dlatego tu przyszedłem, ale z zupełnie innego powodu. Wyprawiono mnie tu w charakterze, że tak powiem, kuriera rodziny. Dziś po południu bowiem, wkrótce po twojej wyprowadzce z willi matki, pojawił się twój czcigodny teść. Niesłychanie zmartwiony! Oczywiście nie z twojego powodu. Zaniepokoił go wyłącznie brak klucza. Drugiego klucza od sejfu firmy.

— Zupełnie o nim zapomniałem — powiedział Harald Fein.

— A jednak przysłano mnie tutaj, żebym go od ciebie zabrał. Dobra mama nie chciała się tego podjąć, a kochana siostra nie mogła. Naszej pięknej Heldze zrobiło się niedobrze: wymiotowała jak czapla. Pozostałem więc tylko ja.

— Tu jest ten drugi klucz od sejfu! — powiedział porywczo Harald Fein. Wyjął klucz z kieszeni kamizelki i rzucił go na stół. — Powiedz panu Plattnerowi, żeby w przyszłości sam brudził sobie ręce tymi swoimi podłymi interesami.

— To do was podobne, kręte drogi i na dodatek zamknięte w sejfie piękne, grube teczki z dotyczącymi ich aktami. To się nazywa porządek!

Nie było odpowiedzi. Harald Fein siedział na łóżku i pragnął jedynie pogrążyć się w głębokim śnie.

— Czy wiesz, jakie robisz na mnie wrażenie? Ślepeca, który bez pojęcia przechodzi przez ruchliwe skrzyżowanie ulic — powiedział Heinz.

— Przejechanym można zostać zawsze i wszędzie, nawet gdy się ma oczy otwarte... jeśli znajdzie się ktoś, kto nie przestrzega przepisów ruchu. Codziennie są tysiące niewinnych ofiar!

— Ale ich widok nie staje się przez to milszy.

„Morgenzeitung” obwieściła na pierwszej stronie pod ogromnym tytułem:

„Podejrzenia rosną. Wkrótce wyjaśnienie morderstwa przy ulicy V nr 33. Należy przypuszczać, że sprawca należy do najlepszego towarzystwa.

Komentarz w tej sprawie zamieszczamy na stronie 3, pod tytułem: «Odważa mówienia prawdy!»”

„...zdaje się, że nasza policja kryminalna zdecydowała się wreszcie działać, odrzucić wszelkie fałszywe względy... ale niestety nie zawsze jest to rzeczą oczywistą... ponieważ pewne wpływowe koła tego miasta, które mają, jak się wydaje, powiązania nawet z najwyższymi instancjami na ratuszu...”

W parę godzin później oświadczył „MAM”, również na pierwszej stronie i również jako szlagier:

„Nieodpowiedzialna nagonka. Zagroza niebezpieczeństwo dyfamacji szanowanego obywatela. Nie jest wykluczone, że to przypuszczalne podejrzenie jest środkiem nacisku w dziedzinie polityki gospodarczej”.

Ta sama gazeta zamieściła komentarz w tej sprawie, również na stronie trzeciej, pod tytułem: „Obowiązek przestrzegania sprawiedliwości!”

„...chodzi tu, o elementarne zasady naszego praworządnego państwa, które wciąż jeszcze mówią, że u nas powinien uchodzić za niewinnego każdy, dopóki wyrok sądowy nie orzeknie czegoś innego... wszelkie przedwczesne próby

podawania do wiadomości publicznej nazwisk ewentualnych podejrzanych budzą wielkie wątpliwości..."

Tę akcję „MAM” poprzedziła rozmowa telefoniczna między nadkomisarzem policji kryminalnej Dürrenmaierem a Karlheinzem Kahlerem, obecnym kierownikiem redakcji lokalnej tej gazety:

Kahler: — Zdaje się, że naszej gazecie nie udostępnia się ważnych wiadomości. Jest to dla mnie szczególnie przykre, ponieważ dotychczas współpraca nasza była przecież wzorowa.

Dürrenmaier: — Drogi panie Kahler, to nie mogą być żadne oficjalne informacje, lecz co najwyżej jakieś godne ubolewania niedyskrecje. Co przecież z uprawianym fair dziennikarstwem...

Kahler: — Komu pan to mówi, panie naczelniku! W każdym razie my także odkryliśmy już, kogo ma na myśli *Morgenzeitung*, mówiąc o przypuszczalnym sprawcy; mianowicie pana Haralda Feina. Co pan może powiedzieć w tej sprawie?

Dürrenmaier: — Na razie nie może być jeszcze mowy o tym, że rozpoznano kogoś jako sprawcę; nie może być mowy nawet o tym, że ktoś jest szczególnie podejrzany. Śledztwo trwa. Wśród wielu osób, które przesłuchiowano w tej sprawie, znajduje się także pan Fein, ale to o niczym nie świadczy. Jest to, panie Kahler, informacja oficjalna, którą może pan wykorzystać.

Kahler: — Bardzo chętnie, panie naczelniku! Mam przy tym nadzieję, że pan mnie powiadomi, gdyby ta informacja miała ulec jakiejś zmianie.

Naczelnik wydziału w policji kryminalnej Dürrenmaier do komisarza Brauna:

Dürrenmaier: — Zdaje się, że ktoś popełnił niesłychaną niedyskrecję! Prasa wie, że Harald Fein należy do głównych podejrzanych!

Braun: — To prawda! Ale nie wie tego ode mnie. Nie jestem początkującym! U mnie kociół zaczyna grzać wtedy, gdy mam dosyć paliwa. Ale niewiele mi już brakuje.

Dalekopis Interpolu, nadany za pośrednictwem BKA, grupy Zagranica, do prezydium policji w Monachium, wydział zespołów specjalnych, przedłożony najpierw inspektorowi Feldmannowi. Nadawca: Madryt, ministerstwo spraw wewnętrznych.

Treść:

„Dotyczy: Kordesa, znanego tam jako Maksymilian-Jan. Według drugiego znalezionej dowodu osobistego nazwisko odnośnej osoby brzmi także Karges, dwojga imion: Eryk Ernst. Odpowiada jednak tamtejszemu opisowi wyglądu zewnętrznego: włosy czarne, oczy ciemnobrązowe, twarz owalna, zęby wszystkie. Blizna na czubku palca wskazującego prawej ręki. Wzrost 172 centymetry, waga 73,5 kilograma. Urodzony — według obu dowodów — 20 kwietnia 1933 r. w Unnie, Westfalia.

Fotografie i odciski palców w drodze. Kordes vel Karges stwierdził podczas pierwszego przesłuchania, że 15 września nie było go w Monachium. Nie chciał udzielić dalszych informacji.

Ekstradycja — jeśli wpłynie taki wniosek — nie wchodzi na razie w rachubę, ponieważ Kordes-Karges musi najpierw odpowiadać przed tutejszym wymiarem sprawiedliwości”.

Inspektor Feldmann położył dalekopis na biurku siedzącego w tym samym pomieszczeniu komisarza Kellera.

— To ten alfons — powiedział.

Keller przeczytał i skinął głową, po czym wrócił do swojej lektury. Była to książka o zachowaniu się zwierząt, przede wszystkim psów. Tytuł interesującego go w widoczny sposób artykułu brzmiał: *Nieobliczalność mieszkańców*.

Feldmann zrobił kopię dalekopisu i ponieważ nie było Brauna, włożył ją do teczki.

Firma „Plattner — Roboty budowlane naziemne i podziemne”, biuro obecnego głównego zastępcy dyrektora naczelnego, Jonassa, wręczyła na życzenie zapytujących ją w tej sprawie dziennikarzy następujące powielone oświadczenie:

„Pan Plattner, który obecnie przebywa za granicą, niesłychanie ubolewa nad tym, że wyraża się pewne podejrzenia i przypuszczenia. Byłoby mu bardzo przykro, gdyby z tego powodu okazało się konieczne wdrożenie kroków sądowych.

Dla informacji oświadcza się w wiążący sposób, że:

<

1. pan Harald Fein nie pracuje już w firmie Plattner,
2. nie ma już także powiązań rodzinnych między panami Plattnerem i Feinem. Pani Fein z domu Plattner wniosła o rozwód w sposób wiążący z punktu widzenia prawa — z przyczyn czysto osobistych”.

Głos w dyskusji na forum Nowych Dróg, grupy będącej odgałęzieniem Młodych Socjalistów, nazywanych powszechnie „Jusos”, podrejon Monachium.

Wypowiedź towarzysza Hofera:

.... powinniśmy wreszcie zdać sobie sprawę z aktualnej sytuacji i spróbować ją przeanalizować, aby znaleźć praktyczne punkty wyjścia do przeprowadzenia w tym mieście zmian, które stają się coraz bardziej konieczne... należy przy tym stwierdzić, że:

1. Coraz bardziej szerzy się dominujące tu myślenie w duchu kapitalizmu, zmierzające wyłącznie do osiągnięcia możliwie największych zysków.

2. Ten sposób myślenia popiera bez skrupułów konserwatywny rząd Bawarii, ale toleruje je także — jeśli nie wręcz popiera — obecny burmistrz stolicy tego kraju.

3. Powoduje to wprost systematyczny wyzysk, wprowadzanie w błąd i oszukiwanie klasy pracującej oraz w równym stopniu wykorzystywanego drobnomieszczaństwa...

Jest to także wina naszej partii... Jeśli wkrótce nie stanie się coś o decydującym znaczeniu..."

— Czy mogę się do pana przysiąść? — zapytał niski, szaro ubrany człowiek o czujnej twarzy drapieżnego ptaka.

— To lokal publiczny — powiedział Harald Fein — w którym stoi wiele jeszcze nie zajętych stolików.

— Ale ja chciałbym, jeśli pan pozwoli, porozmawiać z panem.

Harald Fein siedział w restauracji położonej w centrum miasta, w pobliżu Marienplatzu, daleko od hotelu *Royal*, w którym już nie mógł wytrzymać, bo telefon w jego pokoju dzwonił prawie bez przerwy. Nie przyjął ani jednej rozmowy, tylko po prostu uciekł. Do najdalszego kąta tego solidnego mieszczańskiego lokalu, winiarni Schneidra, gdzie było także piwo i gdzie oto stała przed nim ta uśmiechnięta postać.

— Ja pana znam — powiedział Harald Fein i zaczął przyglądać się stojącemu przed nim człowiekowi z coraz większą uwagą. — Na pewno pana już gdzieś spotkałem! Ale gdzie?

— Mnie się nie dostrzega nigdy — powiedział mały człowieczek. — Nauczyłem się to doceniać. Bo jeśli się kogoś nie dostrzega, nie można go także przeciążać. Jeśli to jednak pana interesuje, panie Fein, to nazywam się Keller.

— Pan mnie zna?

— Nie odważyłbym się tak twierdzić, ale wiem przynajmniej, jak się pan nazywa.

— Pan jest funkcjonariuszem policji kryminalnej, prawda? — Fein poznał wreszcie tego wciąż jeszcze grzecznie stojącego przed nim człowieka, który, o dziwo, zaczął nagle rosnąć w jego oczach. Teraz wydawał mu się już prawie wielki. — Widziałem pana w prezydium policji. Siedział pan w biurze komisarza Brauna, w kącie pod oknem.

— Zgadza się. — Keller uśmiechnął się do Feina niemal z wdzięcznością. — A więc pan mnie zauważył. Dlaczego?

— Bo patrząc na pana pomyślałem sobie: oto chyba jedyny człowiek, który się mną nie interesuje, który nie chce mnie o nic pomówić.

— Pan się myli, panie Fein — skorygował go Keller.
— A więc... chce mnie pan o coś pomówić?
— Pan się myli jedynie co do tego, że nie interesuję się panem.
— Niechże pan wreszcie usiądzie! — zażądał niemal niecierpliwie Harald Fein.

Komisarz Keller usiadł naprzeciwko Feina. Zamówił grzanekę ze szpikiem i ćwiartkę frankońskiego wina.

Wreszcie powiedział: — Panie Fein, ja nie mam nic wspólnego z pańską sprawą.

— To dlaczego pan tu przyszedł?

— Właśnie dlatego! A pomógł mi przypadek. Mam zwyczaj po zakończeniu pracy włączyć się jeszcze trochę po śródmieściu, dla obaczenia czasu. Żeby obejrzeć wystawy, popatrzeć na ludzi. Przy tej okazji zobaczyłem pana, jak pan wychodził z psem z hotelu *Royal*. Poszedłem za wami.

— I co sobie pan po tym obiecuje?

— Nic specjalnego. Niech pan założy, że interesuje mnie pański pies. Wspaniały egzemplarz!

— Tak pan sądzi? — zapytał wyraźnie ucieszony Harald Fein.

— Coś w rodzaju zwierzaka z bajki.

— Tak mówi również mój syn.

Anton, który dotychczas leżał pod stołem, wyczołgał się stamtąd i obwąchał najpierw stopy, a potem ręce Kellera. Widocznie wynik tej inspekcji był zadowolający, bo warczał z cicha i z zadowoleniem.

— Mój pies pana lubi — stwierdził Harald Fein ze zdumieniem.

— Ta sympatia jest wzajemna — zapewnił go poważnie Keller.

Po czym Anton znowu wyciągnął się wygodnie pod stołem, kładąc zad na butach Kellera, a mordę na nogach Feina. Było widać, że mu z tym bardzo dobrze.

— Musi pan wiedzieć — oświadczył Harald Fein — że Anton jest niesłychanie wybredny. Mało jest ludzi, których akceptuje bez zastrzeżeń. Jak widać, jest pan jednym z nich. Bardzo cię cieszę.

— Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

— Jako funkcjonariusz policji kryminalnej?
— Nie mówi pan tego z nieufnością, lecz tak, jak gdyby pana to trochę bawiło. Widocznie wszystko, co się z panem dzieje, jest pan w stanie uważać już tylko za komiczne.
— Ach, panie Keller, cóż pan o mnie wie!
— Prawie nic, panie Fein. — Keller popatrzył na olbrzymi kieliszek z koniakiem stojący przed Feinem. — Bo i któż, proszę pana, może wiedzieć, co się dzieje w innym człowieku! Nie znam chyba nikogo, kto byłby w stanie choć w przybliżeniu przeczuć, do czego sam jest zdolny!

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera. Dalsze informacje o Haraldzie Feinie: młodość, studia, wybór zawodu:

„Wszystkim, którzy z nim mieli do czynienia, wydawał się bardzo nierówny. Czasem odnosił olśniewające sukcesy, a potem — sprawiał całkowity zawód. Godziny pełne nadmiernego entuzjazmu — a potem chwile najgłębszej depresji.

Parę miłostek bez znaczenia; bardzo mało przyjaźni, a właściwie chyba tylko jedna — z Hermannem Abendrot-hem. Przypuszczalnie obydwaj myśleli i marzyli w młodości o podobnych rzeczach, ale różnili się również całkowicie pod pewnym istotnym względem: Abendrotha cechowała konsekwentna energia, a Feina jedynie twórcze zrywy.

Przez wiele lat byli nierozłączni. Potem musiało stać się coś, co ich od siebie gwałtownie oddaliło. Ani jeden, ani drugi nie próbował tego wyjaśnić, gdy ich ktoś pytał o przyczynę. Milczeli.

Obu udało się z dziecinną łatwością — w latach 1947--1949 — zdobyć dyplomy inżynierów architektów. Abend-roth miał już wówczas jasno wytknięty cel: «Planować miasta, żeby zdobyć wpływ na to, co się będzie działo w przy-szłości».

Harald Fein natomiast mówił: «Budować domy podobne do wierszy. Odważyć się na próbę przekształcenia betonu

w poezję! Pomagać w tworzeniu — w czasach wielkiego rozwoju techniki — środowiska, które sprawia, że człowiek czuje się szczęśliwy!» Po czym poślubił Hildę Plattner".

— Przyznaję, panie Fein, że nie wiem o panu prawie nic, z wyjątkiem paru drobnostek.

— Na przykład?

— No cóż, na przykład pański pies Anton świadczy na pańską korzyść. Zwierząt niczym nie można przekupić. Z wyjątkiem miłości. Dalej: najwyraźniej nie nadaje się pan do interesów, wszystko jedno jakich. Nie umie pan rachować i nie jest pan wyrachowany. Inaczej by się to wszystko nie zdarzyło.

— Być może — przyznał z lekką niechęcią Harald Fein. — I co jeszcze?

— Na przykład to, że na ogół biorąc, nie ma pan w sobie zbyt wiele odporności. Pan się nawet nie chce bronić.

— Odporności? Czy po to, żeby się bronić, na przykład, przed policją kryminalną?

— Przede wszystkim, panie Fein! Pan nie jest w stanie, czy nie chce, dostrzec niebezpieczeństwa! Bez względu na to, czy w grę wchodzi policja, czy jacyś krewni, czy na przykład alkohol.

Harald Fein skinął głową. — To, co mają zamiar wyprawiać ze mną różni funkcjonariusze policji kryminalnej, uważam za absurd. Reakcje niektórych krewnych przypominają mi sceny z pewnych komedii. A co się tyczy niebezpieczeństwa zagrażającego mi ze strony alkoholu, to tymczasem jeszcze mój żołądek się przed nim broni. Ale, jak sądzę, wkrótce się znowu do niego przyzwyczai.

Keller chwycił stojący przed Feinem kieliszek i wylał koniak na podłogę, uważając przy tym pilnie, żeby nie wylać ani kropli na psa. Zawołał przy tym do Haralda: — Człowieku, niech się pan broni!

Fein roześmiał się. — Przed czym? Mam raczej zamiar rozpocząć wreszcie żyć na własny sposób! Jestem zdecydowany być tylko sobą!

— Zjawiłem się tu — zapewnił go Keller niemal poważnie — głównie jako przyjaciel zwierząt; gdybym musiał na dodatek zostać jeszcze przyjacielem ludzi, to mogłoby się okazać, że to zadanie przerasta moje siły.

— Niech pan, panie Keller, przyjmie do wiadomości, także w imieniu pańskich władz, że opuszczę hotel *Royal* tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Wynajmę mieszkanie, dla siebie i dla mojego psa. Mam zamiar projektować tam domy. Ławsze tego pragnąłem. Są ludzie, którzy już od lat życzyli sobie, żebym dla nich budował!

— Wciąż pan snuje te swoje mgliste marzenia — powiedział Keller niemal twardo. — Chyba myśli pan sobie tak: kiedyś zjawi się ktoś, kto mnie zrozumie, komu będę mógł zaufać! Co za lekkomyślność!

— Gdyby to nawet miało być najzupełniej lekkomyślne, to jest piękne!

— Jest nierealne... w tym naszym świecie! Może nawet śmiertelnie niebezpieczne. Nie mówię, że pan się powinien przystosować. Mówię tylko: niech pan będzie ostrożny! Niech pan spróbuje się zabezpieczyć! Niech pan znajdzie sobie możliwie jak najszybciej dobrego adwokata!

Fein się uśmiechnął: — Zdaje się, że pan nie wierzy w zwycięstwo słusznej sprawy.

— Może ono nastąpić, nawet jeszcze teraz. Ale trzeba w tym pomóc. Przecież nie ma pan już innego wyboru! Albo pan się będzie bronił, albo pana rozjadą. A to sprawa wiłoby mi wielką przykrość, choćby ze względu na Antona.

5

Wcale nie było łatwo cię wytropić — zapewnił Joachim Jonass. Rozejrzał się wokół, jak gdyby miał zamiar kupić mieszkanie, w którym się znajdował. — Wyszukałeś sobie dość kosztowną budę!

— Klasa średnia — powiedział spokojnie Harald Fein. — Ale z balkonem, Anton to lubi. Zresztą hotel *Royal* zna mój nowy adres. A zatem nietrudno mnie znaleźć. A może sądzisz, że się ukrywam? Przed kim? Przed tobą?

— Tego się nie spodziewam! — oświadczył gość. — Znasz przecież sytuację w naszej firmie! I dlatego nie masz mi chyba za złe, że musiałem ci wręczyć wymówienie.

— Ach tak, zmuszono cię do tego! — Harald zaśmiał się, przechylając się w tył. Siedział w fotelu, z którego nie wstał na powitanie Jonassa. — A tobie było przykro z tego powodu, prawda? Ale nie dałeś tego po sobie poznać.

Jonass zatrzymał się na środku pokoju. Uśmiechał się prosząco: — Ja przecież wiem, Haraldzie, co ci zawdzięczam. Wprowadziłeś mnie do firmy *Platner*, wstawiłeś się za mną, zrobiłeś mnie swoim najbliższym współpracownikiem! A ja chętnie uwalniałem cię od tego, co ci było ciężarem: od wszystkich kłopotów z personelem, od wszelkich awantur na budowach, od kłopotliwego załatwiania papierków! Coś takiego przecież zobowiązuje.

— A cóż to za tony? Co ma na celu ten ciepły deszcz?

— Staram się jedynie uchronić cię przed dalszymi głupstwami.

— A więc nareszcie! Dlaczego nie od razu tak? Nie rób głupstw, powiedział lis do gęsi, bądź zawsze grzeczna i słuchaj mnie! I to chcesz mi zaproponować?

*Notatka w aktach — „tylko do użytku służbowego”
— dla komisarza Brauna od inspektora Feldmanna:*

„Brak dalszych poszlak przeciwko Feinowi. Inne ślady bada się nadal; w załączeniu — dalsze informacje z laboratorium. Poproszono o ekstradycję Kor desa za pośrednictwem Interpolu.

Zgodnie z rozkazem zarządzono stałą obserwację Feina. Odpowiedzialni: asystenci Gutmann i Jahrisch. Z napływających sprawozdań wynika, co następuje:

Fein wyprowadził się z hotelu *Royal* i wprowadził się do budynku Marbella, gdzie wynajmuje się mieszkania. Trzecie piętro na lewo. Dwa pokoje. Opłata miesięcznie: 500 marek.

Fein miał tylko dwóch gości: syna Heinza — 20 minut i dyrektora Jonassa — 25 minut. Nikogo poza tym. Fein zajmuje się projektowaniem domków jednorodzinnych.

Fein zamówił w firmie *Kaut-Bullinger i Co* materiały ry-sunkowe. Dostawy restauracji Marbella, znajdującej się w tym samym domu, dla Feina: kanapki, pieczone kurczaki — prawdopodobnie dla jego psa — woda mineralna, ko niak, wina, przede wszystkim wina frankońskie. Według informacji centrali w domu Marbella nie przyjęto żadnej rozmowy telefonicznej do Feina, nie zanotowano też, żeby on do kogoś telefonował.

Gdy zapada zmierzch, Fein regularnie wychodzi z domu Marbella, prawdopodobnie po to, żeby wyprowadzić psa. Po długim spacerze — między Karlsplatz, Odeonplatz i Ma-rienplatz — wstępuje do winiarni Schmeidra albo do piwiarni przy Platzl. Do tego ostatniego miejsca chodzi przypuszczalnie ze względu na psa, bo nowy gospodarz piwiarni nie tylko toleruje psy, lecz każe je specjalnie obsługiwać, w oparciu o specjalny jadłospis. Psy uważa się tam także za gości.

Wydaje się, że możliwości finansowe Feina są stosunkowo ograniczone. Na jego koncie bankowym znajduje się nieco ponad osiem tysięcy marek. Dojdzie do tego chyba jeszcze trzy tysiące — jedna z ostatnich wypłat firmy *Plattner*. Fein chce sprzedać swojego mercedesa. Powinien za niego przypuszczalnie dostać jakieś cztery do pięciu tysięcy marek.

Fein nie ma na razie adwokata".

— Haraldzie — powiedział Jonass — jeśli człowiek popełnił jakiś błąd, to powinien go jak najprędzej naprawić, prawda? Zwłaszcza jeśli można to załatwić tak po cichu. Do czego jesteście gotowi.

— Ale o co chodzi? Co, twoim zdaniem, można załatwić tak po cichu, do czego jesteście gotowi?

— Nie udawaj, że nie masz pojęcia, o co chodzi. Dobrze wiesz, o czym mówię — powiedział Jonass.

— A więc o czym, kolego?

— O tej czerwonej teczce w kasie pancерnej firmy!

— Co się z nią dzieje?

— Nie ma jej!

— Naprawdę? — zapytał Harald Fein, początkowo ze zdumieniem i niedowierzaniem. Potem jednak, bardzo szybko, opanowała go wesołość.

Później: wypowiedź Harald Feina w rozmowie z jego adwokatem, niejakim Henrim Messerem, który robił sobie podczas niej notatki:

„— Chodzi tu o dokument mający objętość około czterdziestu stron papieru maszynowego. Arkusze te były umieszczone w teczce z czerwonego plastyku. Były tam plany zakupów, wstępne umowy, wyniki pomiarów, dowody wpłat i związane z planami wyliczenia. Czyli najważniejsze papiery firmy. Wśród nich także projekt nazywany Lisim Ogonem. Wartość spisanych tam, skalkulowanych i szczegółowo zaplanowanych, a następnie zakupionych — a co najmniej zaklepanych — obiektów wynosiła blisko sto pięćdziesiąt milionów marek”.

— I właśnie tych dokumentów brak, Haraldzie — potwierdził energicznie Jonass. — Zniknęły z szafy pancерnej, do której miałeś dostęp. Znałeś szyfr, miałeś drugi klucz!

— Który prawdopodobnie masz teraz ty, podczas gdy pierwszy znajduję się, i zawsze się znajdował, u Plattnera.

— Który przecież jest poza wszelkim podejrzeniem.
— Dlaczego? — zapytał Harald Fein. — Dlaczegoż by czerwona teczka nie miała mu być nagle potrzebna po to, żeby mnie obciążyć, żeby utrudnić mi życie? Na ciebie też przyjdzie jeszcze kolej! Po nim można się wszystkiego spodziewać!
— Haraldzie — zawołał Jonass niemal błagalnie — bądź rozsądny! Radzę ci oddać mu czym prędzej tę czerwoną teczkę!
— Nawet gdybym ją miał, to on by jej nie dostał.
— On cię załatwi, Haraldzie! Nie lekceważ go! Czy jeszcze za mało oberwałeś?
— O wiele za mało! Takie rzeczy podnoszą mnie na duchu. Bo pokazują mi coś, w co przez wiele lat nie chciałem uwierzyć: istnienie hien, mianowicie wśród nas, przed nami, za nami, obok nas! Na ulicy, w biurze, w sklepach, w lokalach, w łóżku!
— Posuwasz się za daleko, Haraldzie! Ostrzegam cię!
— Co zapewne *znaczy*, że mi *grozisz*. Albo że grozi mi Plattner.
— Jestem tu wyłącznie po to, żeby oszczędzić ci dalszych komplikacji. Oczywiście, przysłał mnie Plattner. Ale najlepiej będzie, jeśli mi teraz oddasz czerwoną teczkę.
— Dlaczego mam ją mieć właśnie ja? — Fein, bawiąc się sytuacją, oparł się o poduszki fotela. — Może ją mieć równie dobrze Plattner; możesz ją mieć ty, żeby wywierać na Plattnera presję i umacniać swoją pozycję, a równocześnie po to, żeby mnie narażać na dalsze podejrzenia.
— Powoli zaczynam rozumieć Plattnera — powiedział Jonass.
— Powiedział o tobie tak: trzeba być ostrożnym, on się nie trzyma reguł gry obowiązujących wśród jako tako cywilizowanych ludzi!
— Nigdy nie uważałem go za głupiego — stwierdził Harald Fein.
— A więc chcesz pieniędzy — powiedział Jonass. — No dobrze, ile? Ile żądasz za te dokumenty?
— Nic, ponieważ ich nie mam.
— Kiedy Plattner je dostanie, można będzie z nim pogadać. Sprecyzuj swoje żądania.

— W tej chwili mam tylko jedno: zwiewaj! Przeszkadzasz mi.

— Nie! — powiedział nadkomisarz policji kryminalnej Dürrenmaier do komisarza Brauna. — Na pewno się pan solidnie napracował. Ale pańska argumentacja niecałkowicie mnie przekonuje.

— Panie naczelniku — odparł Braun z pewnym wysiłkiem — czy to znaczy, że mamy mieć jakieś względy? Dla określonych osób lub grup? Nie chodzi o to, żebym był pryncypialnie temu przeciwny. Ale musiałbym wiedzieć, do kogo czy do czego odnoszą się pańskie aluzje.

— Nie robiłem tego rodzaju aluzji — powiedział zdecydowanie Dürrenmaier. — Nie mam zamiaru nikogo chronić. Nikomu niczego nie imputuję, panu też nie. Wskazuję jedynie na pewne fakty, staram się zwrócić na nie pańską uwagę. Powinien mi pan być za to wdzięczny.

Fragment pewnej — wygłoszonej znacznie później — mowy obronnej adwokata Messera podczas jednej z wielu rozpraw sądowych przeciwko Feinowi, a raczej w obronie Feina:

„—...zdaje się, że policja kryminalna zawiodła w tym wypadku na całej linii... przedwczesne stwierdzenia... wątpliwe dowody... nasuwa się przypuszczenie, że próbowano zatuszować popełnione błędy... a następnie nawet obciążyć nimi mojego klienta... cała lawina uprzedzeń, które narzucają przypuszczenie, że policja kryminalna pośrednio, może nawet nieświadomie, mogła się przyczynić do omyłki sądowej...”

— Panie naczelniku — wywodził komisarz Braun — bądź co bądź, trzech świadków stwierdza zgodnie, że Fein systematycznie śledził zamordowaną!

— To niczego nie dowodzi! Bo ci trzej świadkowie twierdzą jedynie, że Fein zatrzymał się w pobliżu miejsca przestępstwa w czasie, w którym je prawdopodobnie popełniono, i nie opuszczał samochodu!

— Dozorca domu Penatsch zeznaje coś innego.

— Kim jest ten człowiek, sprawdził pan?

— Tak — zapewnił przełożonego Braun.

Fragment akt udostępnionych przez Federalny Urząd Kryminalny w Wiesbaden:

„Penatsch, Peter Paul, lat 56, wielokrotnie karany: w 1953 r. za udział w kradzieży; w 1958 r. za szantaż; w 1959 za paserstwo — zakup i sprzedaż pochodzących z kradzieży telewizorów; w 1960 r. za przywłaszczenie sobie znalezionej klejnoty; za udział we włamaniu.

Został wówczas skazany na trzy lata więzienia, zwolniony w 1966 r.; stwierdzono, że się «dobrze prowadził») i że chętnie współpracuje z władzami sądowymi. Od 1968 r. jest dozorcą domu przy ul. V nr 33.

Od 1970 roku Penatsch znajduje się na liście podejrzanych przez wydział do spraw handlu narkotykami. Prawdopodobnie pośredniczy w handlu z Cannabisem. Jednakże dotychczas nie ma przekonywujących dowodów”.

— I pan, panie Braun, uważa, że akurat ten wątpliwej wartości osobnik nadaje się do roli ewentualnego świadka koronnego? — Naczelnik wydziału potrząsnął głową.

— Ostatecznie uprzednie kary, bez względu na to jakie, nie upoważniają nikogo do podawania w wątpliwość zeznań świadka!

— Tak, tak wiem, według prawa świadkiem może być każdy. Nawet morderca. Ale niech pan pamięta o praktyce! Każdemu adwokatowi uda się bez trudu zmiażdżyć pańskiego świadka i jego zeznanie. A jeśli na dodatek włączy się w to jeszcze któraś z naszych gazet, to może powstać bardzo nieprzyjemna sytuacja!

Braun siedział bez ruchu. Jego twarz była jak skamieniała, ale oczy sypały iskry. Ich blask wzmógł się jeszcze bardziej, gdy zobaczył, że Dürrenmaier się uśmiecha.

— Mogę sobie wyobrazić, drogi Braun, co pan teraz myśli — powiedział nadkomisarz. — Ale niech pan o tym jak najszybciej zapomni. Ja także stoję wyłącznie po stronie policji kryminalnej. I właśnie dlatego muszę się wystrzegać wydawania przedwczesnych sądów, które są niebezpieczne. *

— Gdyby mi pan dał Wolną rękę, a więc gdybym mógł zamknąć tego Feina, przynajmniej na jakiś czas, to gwarantuję...

— *Nie!* — *oświadczył zdecydowanie naczelnik wydziału.* — Moim zdaniem dotychczasowe wyniki śledztwa nie wystarczają jeszcze, żeby go można było aresztować.

— Czy mam z tego wysnuć wniosek, panie naczelniku, że ma pan zamiar powierzyć tę sprawę komuś innemu?

— Czy pan sobie tego życzy?

— Nie!

— A więc do tego nie ciodzie. Ale mogę panu poradzić tylko tyle: niech pan spróbuje skompletować swój materiał. Brak mi na przykład dokładnego przesłuchania świadka Penatscha, w miarę możliwości na miejscu przestępstwa, odnośnie jego rzekomych spotkań z Feinem w domu przy ulicy V. Jak Fein był ubrany? Co robił, dokładnie? Co ewentualnie powiedział? I tak dalej.

— Podjęliśmy już tego rodzaju dochodzenia.

— Wobec tego proszę o odpowiednie uzupełnienie pańskich materiałów. Czy przerwał pan dochodzenia związane z wszystkimi innymi podejrzanymi?

— Naturalnie, że nie. Badam każdy ślad tak długo, aż definitywnie zaniknie. Ale żaden z nich nie jest tak gorący, jak ślady Haralda Feina.

— W drodze wyjątku przydzielę panu, specjalnie do tej sprawy, jeszcze trzech dalszych referentów. Co jest z Kor-desem, tym sutenerem?

— Nie mógł popełnić tej zbrodni; wyjechał z Monachium trzy dni przed morderstwem. Teraz siedzi w więzieniu śledczym w Madrycie; zdaje się, że coś tam przeskrobał.

— Jeśli nawet nie zabił, Braun, to jest świetnym informatorem. Czy poproszono o jego ekstradycję? — Tak.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Dürrenmaier zwymyślał dzisiaj solidnie Brauna — w taki jednak sposób, jak gdyby wygłaszał monolog, któremu gorliwie przysłuchiwał się Braun.

Bezpośrednio po tej rozmowie komisarz rzucił się znowu w wir pracy: planował, wydawał dyspozycje, obmyślał nowe metody nadzoru. Pomyślałem sobie, że nie chciałbym być w skórze Haralda Feina.

Nie mogłem jednak poświęcić tej myśli zbyt wiele czasu, ponieważ bardzo potrzebowano moich usług funkcjonariusza do ustalania przyczyn śmierci.

Dwa trupy w pewnej knajpie. Tych ludzi zabito prawdopodobnie krótko po północy: to znaczy właścicielkę lokalu, która była napompowana narkotykami, i jej obecnego przyjaciela, robotnika zagranicznego, który miał otwartą ranę na głowie. Wypadek wykluczony. Prawdopodobnie tragedia z zazdrości. Interesujące dla prasy. Sprawa dla zespołu morderstw.

Następnie — zwłoki na autostradzie południowej: jakieś auto zjechało nagle z prawego pasa na lewy i wpadło prosto na ciężki transporter, który je dosłownie zmiażdżył. Prawdopodobnie samobójstwo, chociaż nie można tego udowodnić w sposób nie budzący wątpliwości. Wskazówka szczególnej wagi: próby popełnienia samobójstwa za pomocą pojazdu mechanicznego zdarzają się dość rzadko i są zawsze wątpliwe, ponieważ nigdy nie można być pewnym, czy nastąpi śmierć. Jest to ulubiony przedmiot sporu między policją drogową a kryminalną.

Cztery dalsze trupy znaleziono w mieszkaniu w starym budownictwie. Matka i troje dzieci w wieku dwóch, trzech i pięciu lat. Dwie dziewczynki i chłopiec. Ojciec tej rodziny opuścił ją przed rokiem, udając się w nieznanym kie-

runku. Matce i dzieciom wymówiono mieszkanie. Gdyby nie wybrali samobójstwa przez zatrucie gazem, prawdopodobnie zmarliby z głodu.

Jak gdyby nie było dosyć komplikacji, poprosił mnie do siebie naczelnik Dürrenmaier. Zapytał mnie prosto z mostu, czy nie chciałbym objąć znowu zespołu do spraw morderstw — na przykład sprawy przy ulicy V nr 33. Oświadczył, że chętnie by mi ją powierzył.

Odmówiłem i .równocześnie poprosiłem, żeby przyśpieszył moje przejście na emeryturę. Oświadczyłem nadkomisarzowi, że moje zapotrzebowanie na sprawy kryminalne zostało zaspokojone z nadmiarem. Udał, że zrozumiał.

Nie powiedziałem mu jednak, że z wiekiem odczuwam coraz więcej współczucia dla dręczonych zwierząt i źle traktowanych ludzi! Nie mogę już reagować jak funkcjonariusz policji kryminalnej. Przyznaję, że jest to dość niebezpieczny proces rozwojowy".

— Pani się musiała pomylić! — zawołał urbanista Abendroth. — Czy naprawdę powiedziała pani, że pan Fein chce ze mną mówić?

Sekretarka potwierdziła. — Pan Fein czeka w przedpokoju.

Abendroth wstał i poszedł do przedpokoju: siedział tam Heinz Fein, syn jego byłego przyjaciela Haralda, syn chrzestny Abendrotha, i przyglądał mu się sceptycznie.

— Ach, to ty, Heinz! — zawołał Abendroth z ulgą. — Jak to miło widzieć cię znowu!

— Ale ty nie masz dla mnie naturalnie czasu, jesteś bardzo zajęty...

— Nie pleć głupstw, Heinz! Wejdz, proszę!

— Za kwadrans — ostrzegła szefa sekretarka z dobrze wyuczoną gorliwością — jest pan umówiony z trzema radcami miejskimi. Pół godziny później rozpoczyna się narada w sprawie zabudowy terenów olimpijskich. W dwie godziny później sprawozdanie u burmistrza.

— Niech pani to spróbuje załatwić jak zwykle — powiedział Abendroth, obejmując ramieniem plecy Heinza.

— Na razie nie ma mnie dla nikogo.

— Czym sobie na to zasłużyłem? — zapytał Heinz Fein.

— Dlaczego mnie po prostu nie odprawiłeś? Spodziewałem się tego, bo może by to było najlepsze rozwiązanie. Dla nas obu.

— Siadaj! — powiedział Abendroth. — I nie próbuj mnie prowokować, sprawiłem sobie swego rodzaju słoniową skórę. Na takim stanowisku jak moje dzieje się to niemal automatycznie. Co nie znaczy, że się naprawdę nie cieszę, widząc cię nareszcie znowu. Dobrze wyglądasz!

— Chyba nie stałeś się waśniakiem, jak mój kochany ojciec, a twój były przyjaciel?

— On nie jest moim byłym przyjacielem. Jest po prostu moim przyjacielem. Takie rzeczy są trwałe, chyba że były kłamstwem.

— A to nie było kłamstwo?

— Heinz, chcę być z tobą całkiem szczerzy. A więc: to nie ja przerwałem, czy wręcz zerwałem tę przyjaźń, ale twój ojciec. Wycofał się. Unikał spotkań ze mną.

— I to, jeśli się nie mylę, bezpośrednio po zrobieniu przez was tego wielkiego interesu. Czy się coś nie udało?

— O czym ty mówisz, Heinz?

— O milionowych zyskach firmy *Plattner*, które umożliwił z twoją pomocą twój dobry przyjaciel, zajrzawszy wcześniej w twoje plany perspektywiczne.

— Skąd ty to wiesz?

— Potrafię zliczyć, ile jest dwa razy dwa. I wiem, co się kryje pod kryptonimem Lisi Ogon.

— To podejrzenie — powiedział Abendroth, starając się, żeby głos jego brzmiał stanowczo — jest po prostu absurdalne!

— A więc nie robiliście wspólnie nieczystych, rentownych interesów?

— Skądś ty to wszystko wziął?

— Wszystko jedno. Najważniejsze chyba, że tak być mogło! Umożliwiłeś mojemu ojcu wgląd w bardzo ważne do-

kumenty, a on przekazał te wiadomości dalej, swojemu teściowi. A ten z kolei je wykorzystał, i to tak bezwzględnie, mając na względzie jedynie zysk, że waszą piękną przyjaźń diabli wzięli!

— Heinz, nie mów tego nikomu. Bo następstwa byłyby nieobliczalne.

— Jakie jeszcze mogą być? Twój przyjaciel, a mój ojciec wydaje się być obecnie jedynie piłką, którą kopie więcej drużyn niż tylko dwie. Próbuje się mu nawet przypisać morderstwo. A moja matka wniosła o rozwód. A mój dobry dziadek robi wszystko, żeby go zrujnować.

— Obrzydliwe — powiedział Abendroth z niekłamanym wstrętem. — Po prostu obrzydliwe!

— I to wszystko, co masz w tej sprawie do powiedzenia? — zapytał prowokacyjnie Heinz.

— Co mogę dla niego zrobić?

— Zdaje się, że on chce się z uśmiechem poddać swemu rzekomemu losowi. Moim zdaniem trzeba go zmusić, żeby się bronił. Potrzebuje pilnie adwokata, który go znowu postawi na nogi!

— Postaram się o to — przyrzekł Abendroth. — Przynajmniej o to.

— A więc niech pan określi dokładnie, gdzie go pan widział — powiedział komisarz Braun do dozorca Pena-tscha.

— Dokładnie tam na górze — zapewnił go Penatsch, stojąc na klatce schodowej domu przy ulicy V nr 33.

— Pan Fein zatrzymał się tuż przed drzwiami tej osoby, która później została zamordowana... mniej więcej o tej samej porze, co teraz.

— A więc około godziny dwudziestej pierwszej — stwierdził Braun. — I pan uważa, że pan to dobrze widział, mimo kiepskiego oświetlenia korytarza?

— Tak, było dosyć jasno, przynajmniej dla mnie. Mam dobre oczy.

— Niech pan go opisz — zażądał Braun, podczas gdy Feldmann, stojąc w głębi, gorliwie notował. — Jak wyglądał?

Jak był ubrany? Niech pan spróbuje przypomnieć sobie wszystkie szczegóły!

— Stał pochylony. Podsluchiwał! Nie mogą powiedzieć, czy właśnie wyszedł z tego mieszkania, czy chciał tam wejść. W każdym razie uderzył kilkakrotnie w drzwi i zawołał ją po imieniu. Tego jestem pewien. Wołał bardzo głośno.

— Czy miał kapelusz?

— Chyba tak! Szary, o ile pamiętam.

— A jakie miał ubranie?

— Już nie pamiętam. Zdaje mi się, że miał na sobie granatowy płaszcz od deszczu, jakie noszą teraz prawie wszyscy.

Wypowiedź w tej sprawie obrońcy Haralda Feina, mecenasa Messera, podczas późniejszej rozmowy z przedstawicielem prokuratury:

„— Wśród wszystkich wątpliwych rzeczy, jakie nagromadziły się podczas tych tak zwanych dochodzeń, szczególną lekkomyślnością odznacza się, moim zdaniem, zeznanie tego świadka. Abstrahując już od tego, że rejestr jego uprzednich kar jest alarmujący, to tę jego wypowiedź należy zakwestionować pod wieloma względami. Po pierwsze: podejrzany prawie nigdy nie nosił kapelusza. Miał ich wprawdzie trzy, ale wkładał je tylko wtedy, gdy padał deszcz lub śnieg. I żaden z nich nie był szary. Po drugie: według zgodnych zeznań Harald Fein nigdy nie miał granatowego płaszcza od deszczu, tylko szaro-brązowy.

Na to Penatsch: — Ach proszę pana, granatowy czy brązowy, w każdym razie ciemny. I mogę z całą pewnością zaświadczyć, że widziałem pana Haralda Feina.

Na to komisarz Braun: — Rzekome różnice barw albo pomyłki co do modnych szczegółów są prawie bez znaczenia. Decyduje fakt, że świadek Penatsch zna podejrzanego Feina i że go rozpoznał. I że jest gotów zaprzysiąc swoje zeznanie”.

Notatka sporządzona bezpośrednio potem, podczas „poufnej; wyjaśniającej rozmowy służbowej”. Wypowiedź naczelnika wydziału Dürrenmaiera do komisarza Brauna:

„— Cenię pana, drogi kolego, jako świetnego taktyka w sprawach kryminalnych, chociaż pańskie metody nie zawsze świadczą o tym, że ma pan wyczucie, które uważam za rzecz konieczną. Ale w tym wypadku, mój drogi, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że podejmuje pan poważne ryzyko. Do czego pan właściwie dąży?

Braun: — Prawdopodobnie wie pan o tym bardzo dobrze, ale nie chce pan wiedzieć. Pańska pozycja na to nie pozwala. Rozumiem to. Niech pan spokojnie zostawi mnie tę całą brudną robotę!”

— Jak miło widzieć cię znowu, drogie dziecko! — powiedział Paul Plattner; wstał i podszedł do wnuczki. Objął ją ramieniem, posadził na fotelu i usiadł obok niej. — Jaka jesteś ładna! — powiedział — zupełnie jak twoja matka, kiedy była w twoim wieku! Ale jesteś smutna! Dlaczego?

— Z powodu ojca — powiedziała Helga Fein i popatrzyła na niego z nadzieją w oczach. — Chyba rozumiesz...

— Oczywiście, drogie, dobre, piękne dziecko! — Paul Plattner wziął Helgę za rękę, na co mu chętnie pozwoliła. — Wierz mi, że twoje zmartwienia są także moimi.

— Wierzę ci!

Wypowiedź pani Basenbinder, byłej gospodyni w willi Plattner a nad Tegernsee:

„— ...jego córka Hilda nocowała tu często, przeważnie podczas weekendu... zastawiałam potem zmiętą pościel, poplamioną zupełnie w jednoznaczny sposób... budziło to we mnie obrzydzenie i dlatego wypowiedziałam pracę...”

Wypowiedź Eriki Haar, przejściowo zatrudnionej w willi Plattnera, o pani Basenbinder:

„— ...cóż to była za nieprzyzwoita, zarozumiała, chciwa baba! Może być, że Paul Plattner zajął się nią przy okazji, co mnie się też zdarzyło. To się przecież może stać, kiedy ktoś jest samotny, zwłaszcza że się to opłacało także pod względem finansowym. Ale ta Basenbinder, proszę pana, stawiała coraz większe wymagania! Przeszkadzała przy każdej okazji. Potem Plattner ją wyrzucił, na co był już już wielki czas. Życzyłam jej tego!”

— Pomożesz ojcu, prawda? — zapytała ufnie Helga Fein.

— Chętnie spróbuję, dla ciebie. Tylko dla ciebie! — Paul Plattner objął Helgę serdecznie. — Ale obawiam się, że to nie będzie łatwe.

— Jeśli ktoś może mu pomóc, to tylko ty!

— Być może, drogie dziecko. Ale nie można działać zbyt pośpiesznie, trzeba to przygotować starannie i z wyczuciem. Tu, w atmosferze biurowej, trudno to załatwić. Proponuję, żebyś mnie odwiedziła podczas weekendu w mojej willi nad Tegernsee. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Z notatek komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Po blisko czterdziestu latach służby w policji kryminalnej wiem na pewno jedno: po prostu nie ma takiej rzeczy, która by się nie mogła człowiekowi zdarzyć”.

— Hallo, Haraldzie! — zawołała z ożywieniem Melania Weber. — Jak ci się powodzi?

— Dobrze — zapewnił ją Harald Fein. — Czyli źle, co jednak przynajmniej tobie sprawi, jak sędzę, trochę przyjemności.

— Ach, Haraldzie — powiedziała żalonym tonem Melania — ty mnie nie doceniasz!

Melania odwiedziła go w jego mieszkaniu w domu Marbella. Na jej widok pies Anton uciekł pośpiesznie na balkon. Rozsiadła się w pokoju tak, jak gdyby wszystko tu należało do niej.

— Brak tu kobiety! — ciągnęła Melania dalej, dokonawszy krótkiej lustracji. — Zdaje się, że bardzo ci potrzeba przytulniejszej, przyjemniejszej atmosfery. Postaram się o to.

— Czy to Hildą ci przysłała?

— Ależ nie! Dlaczegoż miałaby to robić?

— Ostatecznie jesteś jej najlepszą przyjaciółką.

— Przecież przyjaźnię się także z tobą! — Melania Weber popatrzyła na niego zdumiona. — Ileż pięknych dni spędziliśmy razem! Capri, Gardasee, Pontresina, pamiętasz jeszcze?

Z listu Feina do Abendrotha, napisanego przed ośmiu laty, w okresie, kiedy jeszcze przyjaźnili się ze sobą:

„...są takie chwile, kiedy rozkoszuję się tą sytuacją. Towarzyszą mi dwie niesłychanie dekoracyjne panie: Hilda jest przy tym wybitnie dyskretna, Melania na siłę ekstrawagancka, ubrana w jaskrawe barwy, chłopięco szczupła...

...ale często wydaje mi się, że jestem nieco pocieszną figurą.

Bo Hilda i Melania bez przerwy rozmawiają wyłącznie ze sobą, uśmiechają się do siebie, szepczą za moimi plecami. A kiedy się śmieją, to najczęściej nie wiem z czego”.

— Mój kochany — powiedziała Melania — głęboko ubolewam nad tym, że się rozstaliście. Bo ostatecznie jest **to** także pewien wyłom w moim życiu...

— To po prostu wzruszające, Melanio.

— Haraldzie, chciałabym ci tylko pomóc.

— Jak to ładnie! A co chcesz przez to tym razem osiągnąć? Może czerwoną teczkę z aktami?

Informacje udzielone przez francesco Hubera, jednego z trzech ówczesnych portierów w „Grannhotelu Pontresina”.

„— Pan Fein gościł u nas regularnie przez kilka lat z rzędu. Wraz z małżonką. Mieszkali w dwóch sąsiadujących ze sobą pokojach. Trzeci pokój, przyległy do tych dwóch, był prawie z reguły rezerwowany dla pani Melanii Weber, która wydawała się być ściśle zaprzyjaźniona z panem i panią Fein. Żyli ze sobą w wielkiej zgodzie. Nie chciałbym więcej mówić na ten temat”.

— Teczka? — zawołała Melania. — Czyś ty zwariował, Harry? W jej czarnych, lśniących oczach widniało oburzenie. — Powinieneś znać mnie na tyle, żeby wiedzieć, że nie mam nigdy do czynienia z żadnymi papierami.

— Z wyjątkiem prawdopodobnie książeczek czekowych.

— Nawet z nimi nie. Mój mąż ma więcej, niż mogę wydać, i zezwala mi na wszystko!

— Ale nawet ty nie możesz kupić sobie takiej czerwonej teczki, prawda?

Melania potrząsnęła głową i z cechującą ją uroczą nie-
możnością prowadzenia logicznej rozmowy zapytała: — Czy
naprawdę zupełnie zapomniałeś, co było między nami?

— Melanio, proszę cię, to było prawie dwadzieścia lat temu,
jeszcze przed moim małżeństwem z Hildą.

— Czy bardzo się zmieniłam od tego czasu?

— Nie. A jeśli, to bynajmniej nie na niekorzyść. Czy to
chciałaś usłyszeć?

— Tak — powiedziała i uśmiechnęła się do niego. — Bo teraz
zaczął się okres po twoim małżeństwie z Hildą.

*Informacje wielkiego właściciela ziemskiego i bankiera
Maksymiliana Webera o bracie Konradinie Weberze, a raczej o
jego żonie Melanii, udzielone w poufnej rozmowie jednemu z
przyjaciół mecenasa Messera:*

„— Melania to wielka klasa. Nie jest wprawdzie w moim guście, ale akurat w guście mojego brata. Musi przecież jakoś wydawać swoje miliony. Rasowa babka. Jej matka jest Węgierką. Zawsze wygląda olśniewająco, kobieta bez wieku. Zna cztery czy pięć języków. Urodziła mojemu bratu syna, miły chłopak. Konradin, mój brat, jest już tylko wrakiem. Przeważnie leży w łóżku. Ale ona nie zaniedbuje ani jego, ani syna, nie mówiąc już o obowiązkach reprezentacyjnych. Przyjęcia, które wydaje dla niego dwa razy w roku, uchodzą w towarzystwie za wielkie wydarzenia. Za samo to, nieprawdaz, można już wybaczyć drobne błędy, tym bardziej że te błędy były zawsze bardzo atrakcyjne, jak na przykład młodsza od Melanii Hilda Fein. W ogóle ci Feinowie to mili ludzie!"

— A więc on twierdzi, że nie ma tych dokumentów? — zapytał Plattner. — Czy gładko zaprzeczył?

— Ani nie gładko — powiedział Jonass — ani nie przekonywająco. Przynajmniej nie dla mnie. Jestem prawie pewien, iż się cieszy, że mamy trudności.

— To do niego podobne — powiedział z goryczą Plattner.

Notatka Paula Plattner a w tej sprawie:

„...poproszono zwolnionego zastępcę dyrektora naczelnego, pana Feina, o zwrot powierzonego mu drugiego klucza do szafy pancерnej firmy, który też został zwrócony. Klucz ten odebrał mój wnuk Heinz i wręczył go następnie panu Jonassowi, który przekazał go mnie. Następnego dnia podczas sprawdzania zawartości szafy pancерnej okazało się, że brakuje czerwonej teczki z dokumentami".

— Tylko on mógł to zrobić! — powiedział Jonass.

— A któż by inny? — potwierdził ponuro Plattner.

— Co mu nie przeszkadza podejrzewać nas obu!

— Jak to: nas obu?

— Fein jest zdania, że ta teczka, której zawartości wcale nie znam, czy raczej znam tylko częściowo, ma szczególną wartość dla firmy. Uważa on, że ten, kto ją ma, może decydować.

— Czy pan ją ma, Jonass? — zapytał otwarcie Plattner.

— Nie! Ale właśnie to sugeruje Fein. Zdaje się, że chce nas poróżnić.

Druga notatka Paula Plattnera w tej sprawie:

„Ta teczka z dokumentami zawiera jedynie niektóre, z grubsza naszkicowane plany naszej firmy. Nie są one w żadnym wypadku przeznaczone dla szerszej publiczności, ale też nie zawierają żadnych tajemnic. Jednakże lekkomyślne wykorzystanie tych materiałów mogłoby ewentualnie doprowadzić do nieprzyjemności w wyniku rozpowszechnienia się pewnych informacji. I tego należy bezwarunkowo uniknąć”.

— A więc ustalmy, Jonass: pan nie ma tej czerwonej teczki. Ja też nie. A zatem musi ją mieć Harald Fein! Co pan mu za nią zaoferował?

— To, co pan zasugerował. Parę dalszych pensji miesięcznych, nie objętych już umową. Jednorazową gratyfikację. Dałem do zrozumienia, że będzie to tysiąc pięćset marek! Ponadto delikatne potraktowanie jego awantur. A więc: rozwód bez rozgłosu i wszelką możliwą pomoc w tej jego sprawie kryminalnej!

— Jak zareagował?

— Śmiał się.

Plattner potrząsnął głową. — Jest bardziej nieobliczalny, niż przypuszczałem! I takiemu człowiekowi ufałem przez wiele lat!

— Może, panie Plattner, byłoby dobrze zaskarżyć go o przywłaszczenie sobie dokumentów z pańskiej szafy pańczernej. Wydaje się, że policja kryminalna tylko czeka na to, żeby móc go dalej obciążać.

Trzecia notatka Paula Plattnera w tej sprawie:

„Zastanawiałem się nad możliwością zaskarżenia Haralda Feina za kradzież. Odstąpiłem jednak od tego zamiaru ze względu na dotychczasowe stosunki rodzinne oraz dlatego, że chcę dać Feinowi szansę!”

— Taka skarga — powiedział Paul Plattner — mogłaby mieć nieprzyjemne skutki. Ta czerwona teczka nie jest znów taka ważna. Musimy jednak ją odzyskać, żeby nikt nie mógł wykorzystać tych dokumentów. Musimy to zrobić szybko i bez żadnego rozgłosu! Rozumie pan?

Jonass zrozumiał. Zareagował szybko. — Czy on ma sejf w banku?

— Tak *U Merkera i Co.* Centrala za Promenadeplatz. Ale Hilda ma także pełnomocnictwo.

— A więc jeśli nie wynajął drugiego sejfu w banku, to właściwie ta czerwona teczka może się znajdować jedynie w jego mieszkaniu.

— To świetnie! Zrozumiał pan, o co chodzi. A więc niech pan się postara przysłużyć naszej firmie.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Wczesna jesień to w pewnym stopniu sezon na topielców. Dzisiaj było ich dwóch naraz. Obie osoby utonęły w Izarze. Śmierć przez utonięcie wybierają przede wszystkim kobiety. Prawdopodobnie dlatego, że uchodzi ona za śmierć «piękną», nie zniekształcającą rysów, i szybką. Jest to jednak straszna pomyłka.

I jeszcze jedno: z reguły można założyć, że uratowany samobójca prawdopodobnie powtórzy tę próbę. Ale nie ten, który próbował się utopić. Ten raczej nie zrobi tego po raz drugi.

Należy przy tym zauważyć, że nie każde znalezione w wodzie zwłoki dowodzą samobójstwa. Może to być także wypadek. Albo morderstwo.

Funkcjonariuszy do spraw ustalania przyczyn śmierci obowiązuje zasada niekierowania się w tym wypadku żadną z powszechnie przyjętych reguł. Należy prowadzić dochodzenie nie zakładając niczego z góry. Czasem jest to trudne. Tak było na przykład wówczas, gdy ujrzałem zwłoki człowieka, którego znałem z nazwiska, i do tego jeszcze osobiście".

— Nazywam się Messer, Henri Messer — oświadczył najnowszy gość Harald Feina w domu Marbella. — Jestem pańskim adwokatem!

— Czyżby?

Harald Fein uśmiechnął się znużony. Zaczął pić już od wczesnego ranka — ale tylko szampana. Melania Weber zostawiła mu trzy butelki, naturalnie pierwszej jakości: *Maison Blanc*. Wszystkie ciężkie trunki, jak whisky i koniak, usunęła z jego domu.

Fein usłyszał własny głos: — Nie sądzę, panie Messner, żebym potrzebował adwokata. Dlatego też nie zamawiałem go!

— Zrobił to za pana pan Abendroth — uświadomił go Henri Messer. — Upoważnił kancelarię adwokacką doktora Seidla do reprezentowania pana przed prawem.

— Ale pan nie jest doktorem Seidlem.

— Powinien pan sobie tego pogratulować, panie Fein — zapewnił go bez żenady Henri Messer. Był średniego wzrostu, chudy i bez przerwy uśmiechał się pogodnie. Rozsiadł się w najwygodniejszym fotelu. W odpowiedzi na pytanie, czy się czego napije, przytaknął z ożywieniem. — Musi pan wiedzieć — ciągnął dalej — że pan doktor Seidl jest wprawdzie nader poważanym człowiekiem i prawnikiem, ale jest także niesłychanie rozważny. Jest szefem seniorem cieszącej się wielkim powodzeniem firmy, w której ostatnio pracuję i ja.

— I właśnie z nim rozmawiał pan Abendroth?

— Tak, i upoważnił go, a zatem także jego kancelarię. Więc jestem!

— Czy to ma znaczyć, że sam pan Seidl nie chce się zająć tą sprawą, to znaczy: że nie chce się nią zająć osobiście?

— Świetnie to pan wykombinował! — zawołał z uznaniem Henri Messer. — Jestem pewien, że będziemy się doskonale rozumieć. Może pan przy tym liczyć na moją całkowitą szczerość.

— A jak jest z tą pańską szczerością wobec doktora Sei-dla? — zapytał Harald.

— Niezależnie od działalności prawniczej ma on świetne powiązania z partią rządzącą i rządzącymi kołami finansowymi i gospodarczymi naszej pięknej Bawarii, i daleko poza nią. Co najmniej aż po Bonn. Niedawno zasięgał informacji o pańskiej sprawie i z miejsca uznał ją za niesłychanie drażliwą. Ale równocześnie rozumiał, że trudno mu będzie odmówić prośbie Abendrotha. Przekazał więc tę sprawę swoim współpracownikom. Przypadkowo byłem wolny. Żeby być całkiem uczciwym: uwolniłem się od innych obowiązków specjalnie dla tej sprawy! Bo chciałem ją mieć!

— A dlaczego, panie Messer?

— Ponieważ można z nią bardzo wiele zrobić. Zdałem sobie z tego sprawę już po pierwszym przejrzeniu materiału informacyjnego. Wystarczy tylko, żeby mi pan zawierzył, a resztę ja już załatwię!

Wyciąg z akt policyjnych, znajdujących się w krajowym urzędzie policji kryminalnej Bawarii oraz w prezydium policji w Monachium. Pod literą „M”, stwierdza się zgodnie:

„Messer, Heinrich — sam nazwał się Henri. Ojciec: radca sądu okręgowego w Górnej Bawarii. Matka pochodzi z frankońskiej rodziny urzędniczej. Jedyne dziecko. Urodził się w roku 1930.

Dobry uczeń. Wcześniej zaczął przejawiać wybitnie antyfaszystowskie nastawienie! Popadł w trudności z powodu tak zwanych dywersyjnych wypowiedzi przeciwko ówczesnej głowie państwa. Zdał maturę w 1949 roku z bardzo dobrym wynikiem. Do 1954 roku studiował prawo, po czym wstąpił do służby państwowej.

W latach 1959-1963 był prokuratorem w Monachium. W tym czasie nie zdarzyło się nic szczególnego. Znajdował

się już na liście kandydatów na podsekretarzy stanu w ministerstwie sprawiedliwości. Potrzebował tylko ustalić w sposób wiążący swoje stanowisko polityczne. Odtąd zaczęły się nagle nieustanne komplikacje.

Na przykład: Messer brał udział w publicznych zebraniach protestacyjnych. Uczestniczył w dyskusjach o charakterze ponadpartyjnym. Pismo *MZ* wreszcie określiło go jako postępowego prawnika, o dążeniach wolnościowych. Wielokrotne napomnienia ze strony zaniepokojonych przełożonych nie odniosły skutku.

Następnie: zajął wyraźne stanowisko w sprawie procesu Fanny Hill, który nazywa («nawrotem do średniowiecza»). Brał udział w nielegalnym marszu protestacyjnym buntujących się studentów, przy tym ledwie zdążył uniknąć aresztowania przez policję. Opublikowano jego wypowiedzi w sprawie zażywania narkotyków; wypowiedzi te są jaskrawo sprzeczne z istniejącymi ustawami ochronnymi.

Wezwany, żeby się zdecydował, Henri Messer postanowił w 1969 roku zakończyć karierę urzędniczą i złożył urząd prokuratora. Dzięki jego wybitnej wiedzy udało mu się nawiązać kontakt z bardzo poważną kancelarią adwokacką doktora Seidla. Początkowo zajmował się opracowywaniem zmagazynowanych akt".

— Ale teraz, panie Fein, nadarza mi się wreszcie sprawa po mojej myśli. Jestem do pańskiej dyspozycji.

— A jak wyglądałoby to praktycznie?

— Przede wszystkim trzeba skutecznie zastopować wszelkie ataki na pańską osobę. Także w sądownictwie najlepszą obroną jest kontratak!

— A kogo chce pan zaatakować?

— Wszystkich, którzy atakowali pana! I to tą samą bronią, tylko że większego kalibru. Wypalimy z burty jak okręt wojenny.

Harald Fein zdumiał się: — I pan sędzi, panie Messer, że pan wie, przeciwko komu pan występuje?

— Wiem bardzo dobrze, panie Fein.

— Czy pan wie, kim jest komisarz Braun?

— Wiem. Dobry fachowiec, ale... urzędnik. Tego nie przeskoczy. I tą bronią go pobijemy.

— A pan Plattner?

— Bardzo się z tego cieszę! Dawno już czekałem na typ wyzyskiwacza tej rangi.

— Niech pan się strzeże przed tym, żeby go nie doceniać! Dotychczas dawał sobie radę z każdym. Mówi się nawet, że burmistrz czuje przed nim, chociaż niechętnie, ostrożny respekt. Orientuję się w tym.

— Ale nie zna pan mnie, panie Fein! A więc przede wszystkim, na początek proponuję następujące rzeczy: pańską umowę i jej wypowiedzenie przez firmę *Plattner* nazwiemy posunięciem sprzecznym z prawem i obyczajami. Wnieśliśmy skargę o odszkodowanie, powiedzmy: w wysokości kilkuset tysięcy marek. Następnie: odpowiemy kontr skargą na wniosek pańskiej żony o rozwód. Oświadczymy, że wyłącznie ona narażała to małżeństwo na niebezpieczeństwo i że wreszcie doprowadziła do jego rozbicia, a w danym wypadku zerwała je. A następnie zaatakujemy policję, oficjalnie poprzez osobę tego Brauna. Oświadczymy, że stosowane przez niego metody należy pilnie zbadać podczas wyjaśniającego procesu. Czy pan mnie rozumie?

— Niezupełnie.

— Jeszcze i do tego dojdziemy! Później, krok po kroku, sprawa po sprawie, wyjaśnię panu, jak w danym wypadku należy najskuteczniej postępować. Niech mi pan tylko pozwoli działać.

— Ale ja właśnie tego nie chcę! Bardzo mi przykro, ale nie mogę zaakceptować pana jako adwokata! Ani pana, ani nikogo innego.

— Rozumiem — oświadczył z miejsca wcale nie urażony Henri Messer. — Zwłaszcza że spodziewałem się takiej reakcji. Dokładnie: uprzedzono mnie, że będzie właśnie taka. Powiedziano mi: on chce mieć spokój i nie chce, żeby mu się naprzykrzano, czy wręcz narzucano! Widocznie myśli pan, że to wszystko kiedyś przejdzie i że wtedy będzie pan mógł wreszcie żyć tak, jak pan chce.

— Zgadza się!

— Ale to właśnie nieprawda, panie Fein! Bo mamy do czynienia z wilkami, które chcą pana rozszarpać! Co w tym wypadku oznacza spokój? Spokój grobu? Czy pan wciąż jeszcze tego nie rozumie?

— Nie chciałbym mieć z panem do czynienia. Pan się widocznie nie cofnie przed niczym. Proszę, niech pan sobie idzie!

— Dobrze, pójdę — odpowiedział spokojnie Henri Mes-ser. — Ale wróć. Zawezwie mnie pan, gdy pan już w ogóle nie będzie wiedział, co dalej robić. A to nastąpi bardzo szybko.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Dzisiaj był wielki dzień komisarza Brauna — jego zdaniem. Bez przerwy prowadził rozmowy telefoniczne. Na przykład z okręgowym urzędem policji kryminalnej w Wiesbaden, z szefem grupy Zagranica, a więc z federalną centralą Interpolu. Potwierdzono przy tym, że Madryt odmawia ekstradycji Kordesa, sutenera zamordowanej. Musi on najpierw odpowiadać przed hiszpańskim wymiarem sprawiedliwości, bo zachodzi możliwość, że uczestniczył w akcji fałszowania pieniędzy. Czas — nieokreślony.

— Ja z nim pogadam — oświadczył Braun. — Choćbym musiał tylko z jego powodu polecieć do Madrytu!

Co też się stało, jeszcze tego samego dnia.

Ale Braun mógł sobie oszczędzić tej podróży. Wystarczyłoby zapytać mnie, żeby uniknąć zbędnych kłopotów. Bo ja znałem tego Kordesa. Spotykałem go nieraz, jeszcze za czasów mojej pracy w służbie zagranicznej. Był to sprytny, kuty na cztery nogi facet. Zawsze mówił wszystko, co się chciało od niego usłyszeć. Ale nic takiego, co by go ewentualnie mogło obciążać.

I dlatego obawiam się — o Feina — że Braun trafił na właściwego człowieka. Umożliwi Kordesowi uczestniczenie w jego, Brauna, grze.

Tego wieczora zapytałem ponownie naczelnika Dürrenmaiera, co słyhać z moją emeryturą. Odpowiedział mi, że wprawdzie jej jeszcze nie zaakceptowano, ale już ją zapowiedziano. Może to potrwać jeszcze najwyżej parę dni".

Tego wieczora Harald Fein jadł kolację z Melanią Weber w restauracji *Sohwarzwalder*. Świetną, jak zawsze w tym lokalu: kraby — dzika kaczka — strudel z jabłkami. Do tego szampan marki *Książę Matlernich*, na koniec duża czarna kawa.

Melania Weber zatelefonowała do niego przedtem. — Proszę cię, Haraldzie, musisz przyjść! Pozwól, że cię zaproszę! Czy wiesz, co to dzisiaj za dzień? Oczywiście nie wiesz. Dokładnie przed dwudziestu laty przysłałam do twojego mieszkania... i zostałam.

Harald nie pamiętał. Powiedział tylko, że zawsze mu się zdawało, że wtedy była wiosna, a teraz jest jesień. Ale że może się mylić, jak to mu się widocznie ostatnio zdarza.

Był to stosunkowo pogodny wieczór. Melania pokazała się z najlepszej strony: promieniowała serdecznością, gawędziła wesoło i unikała wszelkich aluzji do drażliwego tematu.

Szczytem było przy tym to, że nawet pogłaskała Antona. Pies przyjął to do wiadomości z niedowierzaniem i niemal przerażeniem w oczach, po czym wpełzł pod krzesło Haralda.

— Dziękuję ci — powiedział później Harald Fein, odprowadzając ją do samochodu. Szofer czekał w rolls-roy-sie na parkingu przy Frauenkirche. — To był piękny wieczór.

— Mam nadzieję, że pierwszy z wielu. — Objęła go czule, w kapryśnym stylu St. Moritz, kultywowanym także w wyższych sferach monachijskich: buźka-buźka, ręce na ramionach.

I wsiadła do wozu. Mężczyzna patrzył na nią zamyślony, pies z ulgą.

Wypowiedź na temat Helgi, córki Haralda Feina. Po pierwsze: Hildy Fein, matki:

„— Tej nocy nie wróciła do domu. Stwierdziłam następnego dnia rano. Łóżko było nietknięte. W ostatnich dniach była zupełnie wytrącona z równowagi. Staralam się ją uspokoić. Ale unikała mnie. Ją także ma on na sumieniu!”

Po drugie: Konstancji Bergold, przyjaciółki Helgi:

„— Poprzedniego dnia po południu Helga poprosiła mnie, żebym jej pożyczyła samochód, mniej więcej na dzień lub dwa. Nie pytałam, gdzie chce jechać. Dwa dni później samochód stał znowu przed naszym domem. Bak był pełny. Kluczyki, jak to było uzgodnione, zostały wrzucone do skrzynki na listy. Według licznika Helga zrobiła jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów”.

Po trzecie: Breitwiesera, portiera w domu Marbella:

„— Widziałem tę osobę z fotografii! Przyjechała sportowym wozem, wysiadła i zatrzymała się w pobliżu wejścia. Dość długo stała, jakieś pół godziny. Aż wyszedł z domu pan Fein z psem w towarzystwie jakiejś pani, która zabrała go rolls-royce'em. Osoba z fotografii patrzyła długo za nimi. Stała w półmroku. Widocznie nie chciała, żeby ją poznano. Potem ona też odjechała”.

— Anton — powiedział Harald do psa, kiedy jechali windą do swojego mieszkania na trzecim piętrze — teraz sobie wygodnie odpoczniemy.

I Harald udał się wraz z uradowanym Antonem do swojego mieszkania. Ale drzwi były szeroko otwarte. Zalało go światło. Palily się wszystkie lampy.

Oświetlały powyrywane szuflady, książki wyrzucone z regałów, poprzewracane krzesła, rozprute poduszki, otwarte drzwi szaf.

Fein opadł na najbliższy fotel. Zaniepokojony Anton spojrzał na niego. Przez długie sekundy patrzył Harald na chaos, który go otaczał.

Potem wstał, wyjął z lodówki jedną z pozostawionych przez Melanię butelek szampana, otworzył ją, napełnił po brzegi dużą szklankę i wypił ją duszkiem.

Anton zaszczeakał, jak gdyby się tym zmartwił.

Niemal dokładnie o tej samej porze złożono ponownie w prezydium policji wnioski o aresztowanie Haralda Feina.

W parę godzin później wyłowiono z wody i zidentyfikowano zwłoki. Keller, funkcjonariusz ustalający przyczyny śmierci, zanotował bez słowa nazwisko zmarłej i odwrócił się plecami.

Wkrótce potem było niemal pewne, że człowiek nazwiskiem Harald Fein straci także swojego psa. A zatem wszystko, co kiedykolwiek w jakimś stopniu posiadał.

6

Teraz go mamy! — obwieścił komisarz Braun.
Naczelnik wydziału Dürrenmaier wiedział, o kim mówi
jego pracownik: o Haraldzie Feinie. — Jest pan tego
pewien?

— Absolutnie! — zapewnił go Braun. — Mamy już całkowicie
wystarczające dowody.

— Mam nadzieję — powiedział naczelnik. — Bo ostatecznie
policja kryminalna w naszym mieście cieszy się dobrą sławą,
którą, jeśli to możliwe, chcemy zachować.

*Statystyka kryminalna. Okres: rok. Dane z prezydium policji w
Monachium:*

„Liczba przestępstw — 84742. W porównaniu z rokiem
ubiegłym oznacza to wzrost o cztery procent. Liczba ludności
wzrosła w tym okresie o 3,39 procent. •

Znaczny wzrost przestępczości wśród młodzieży. Wzrost
przestępstw przy użyciu brutalnej siły — na przykład rabunków,
które spowodowały śmierć obrabowanych. Alarmujący wzrost
wykroczeń związanych z zażywaniem narkotyków — o 165
procent.

Codziennie meldowano o dokonaniu trzydziestu do pięć-
dziesięciu kradzieży, a ponadto o dziesięciu do dwudziestu
kradzieżach samochodów. Codziennie znajdowano od trzech do
czternastu zwłok — przeważnie wypadki, niekiedy samobójstwa.
Co tydzień — co najmniej jedno morderstwo”.

A zatem — stosunkowo przytulne, niemal bezpieczne miasto.
Szanse przeżycia były przynajmniej nieco większe

niż w innych wielkich miastach. Zdaniem policji kryminalnej — dzięki niej i dzięki jej prefektowi oraz dzięki burmistrzowi.

W tym mieście wykrywano niemal sto procent sprawców morderstw. Nawet morderstw politycznych. Było to w decydującym stopniu zasługą wydziału Dürrenmaiera.

— Opłaciła się ta podróż do Madrytu — informował ko misarz naczelnika wydziału niemal z entuzjazmem.

Na rozmowę z Kordesem zezwolono po zaledwie jednodniowej zwłoce.

Braun musiał podpisać oświadczenie, że federalne władze sądownicze nie ścigają Kordesa ze względów politycznych ani rasowych, ani też religijnych. Ustalono, że rozmowa będzie trwała trzydzieści minut i że nadzór nad nią będzie sprawował funkcjonariusz ministerstwa spraw wewnętrznych.

— No i co, Braun — zapytał nieufnie Dürrenmaier. — Jaki był przebieg rozmowy?

Fragmety sporządzonego na podstawie notatek protokołu przesłuchania Kordesa:

„Podczas pierwszych dziesięciu minut: określenie z grubsza tematu rozmowy, zapewnienie, że chodzi tu o najzupełniej poufne informacje.

Na to Kor des: — No to co i dlaczego chce się pan ode mnie dowiedzieć?

W odpowiedzi na to, podczas dalszych dziesięciu minut, dość szczerze przedstawienie stanu faktycznego. Komentarz Kordesa: — To okropne! Na to ona z pewnością nie zasłużyła. Czy już macie mordercę?

Na to pytanie odpowiedziano przecząco. Alibi Kordesa zostało potwierdzone: w momencie przestępstwa znajdował się z całą pewnością za granicą.

Kordes: — Czyżby pan próbował wydostać mnie stąd w celu współpracy?

Braun: — Co mógłby nam pan zaoferować?

Kordes: — Pan szuka materiału dowodowego, prawda? No dobrze, mógłbym go wam dostarczyć. Pod warunkiem, że nie zażądacie mojej ekstradycji. Zgoda? A więc ta pani prowadziła, zresztą za moją radą, dokładny rejestr wpływów, a to ze względu na podatki i wszelkiego rodzaju zabezpieczenia. Notowała tam daty i nazwiska. Odnośne dokumenty znajdują się w sejfie Banku Niemieckiego w Monachium".

— I pan rzeczywiście znalazł te dokumenty? — zapytał nadkomisarz Dürrenmaier.

— Tak jest! — Braun z trudem ukrywał triumf. — Znalaziono przede wszystkim papiery wartościowe, udziały w firmach: *BASF*, *Benz i Bayer*, wartości około osiemdziesięciu tysięcy marek; następnie konto dewizowe, w dolarach, wynoszące około stu tysięcy marek. I wreszcie kalendarzyk, w którym dzień po dniu spisywani byli goście tej damy, z podaniem godziny i wysokości jej honorariów, od stu do trzystu marek.

— Czy wśród tych nazwisk, które pan znalazł, jest także zanotowane nazwisko Fein?

— Nawet trzykrotnie! Zanotowano przy nim sumę trzystu marek! I to: po raz pierwszy na trzy tygodnie, potem na dwanaście dni i wreszcie na tydzień przed morderstwem.

— Czy nie zachodzi możliwość pomyłki?

— Mamy to teraz czarno na białym! I w ten sposób Fein jest załatwiony, chciałem powiedzieć: zbrodnia została mu udowodniona. Można teraz skutecznie odeprzeć jego uparte zaprzeczenia. Stawiam wniosek, żeby go wreszcie można było aresztować!

— Będę chyba musiał go przedłożyć odnośnemu prokuratorowi. Za pańską radą, panie kolego Braun.

— Biorę za to całkowitą odpowiedzialność!

— A więc jest pan tu znowu — stwierdził z lekkim ubawieniem Harald Fein na widok komisarza policji kryminalnej Kellera. — Celowo czy przypadkiem?

— Jak pan chce — powiedział Keller. — A co by pan wołał?

— No cóż, może pan w ogóle nie przyszedł tu ze względu na mnie? — powiedział Harald Fein, siląc się na żart.

— Być może — powiedział Keller. — Jeśli o mnie chodzi, może pan sądzić, że przyszedłem zobaczyć Antona.

Anton stał w pogotowiu i machając wesoło ogonem, patrzył w górę na Kellera. Ten ukląkł na środku lokalu i podrapał psa w głowę.

Widać było, że nikt z obecnych nie uważa tego zdarzenia za coś dziwnego. Znajdowali się w lokalu przy targu żywnościowym. Lokal nazywał się *Weissblaues Haus*. Był mały, przytulny, nieco zaniedbany, i nie było w nim nikogo obcego. Wszystko było tu z wyszorowanego do białości drewna: krzesła, stoły, boazeria. Na podłodze leżały maty z łyka

— dla psów. Bo psy są dla monachijczyka częścią jego życia. Oprócz Antona były w lokalu jeszcze trzy inne. Sprawiały takie wrażenie, jakby mrugały do siebie porozumiewawczo.

Gdy Keller przysiadł się do Haralda Feina, nie czekając na zamówienie przyniesiono mu piwo. Ciemne piwo w kamionkowym kuflu. Skinął głową kelnerce, która go widocznie знаła, i zaczął pić w skupieniu.

— Jeśli chce pan wiedzieć, jak mi się powodzi — powiedział wreszcie Harald Fein — to cóż, jeszcze żyję.

— Pytanie, jak długo jeszcze, jeżeli dalej będzie pan tak postępował!

— A cóż ja robię? — zapytał Harald Fein. — Czekam, żeby to wszystko minęło. Żeby wreszcie miał spokój. Na to trzeba czasu, i trzeba liczyć się z tym, że niejedno pójdzie w drzazgi.

— Na przykład co? — zapytał z zainteresowaniem Keller.

— Na przykład moje meble.

— Zniszczono je? Kiedy?

— Wczoraj wieczorem! Kiedy jadłem kolację... w towarzystwie kobiety. Gdy przyszedłem do domu, moje mieszkanie wyglądało jak po wizycie chuliganów. Ale byli to chyba tylko koledzy z firmy, którym przeszkadzałem.

Keller wypróżnił do dna kamionkowy kufel. Wyglądało na to, że czynił to w największym skupieniu. Potem popro-

sił o następne piwo. Na dodatek zamówił podwójną duńską żytniówkę. Wreszcie zapytał: — Czy zgłosił pan to policji?

— A po co? Czy takie rzeczy kogokolwiek obchodzą?

— Pozwala pan na to, żeby zdemolowano pańskie mieszkanie, i nie wzywa pan policji? Wygląda na to, że pan jest naprawdę zmęczony życiem!

— Ach, proszę pana, cóż policja może zrobić w takim przypadku? Może przecież jedynie zanotować, co się stało!

— Zdaje się, że pan faktycznie bezustannie prowokuje kryminalistów do przestępstw!

Poufna wypowiedź naczelnika Dürrenmaiera wobec naczelnika wydziału przydzielonego Schulza, zanotowana przez tego ostatniego:

„— Kolega Dürrenmaier przypomniał mi o nieoficjalnych badaniach Kellera, które ten ostatni przeprowadził w oparciu o wszystkie osiągalne zestawienia statystyczne. Z badań tych wynika, co następuje:

Lata 1968/1969 były w Republice Federalnej czymś w rodzaju punktu zwrotnego w dziedzinie przestępstw kryminalnych; prawie nikt jednak nie chciał w to uwierzyć. Bo wnioski, które nieuchronnie trzeba by było stąd wyciągnąć, byłyby zbyt niewygodne.

Rzecz polega na tym, że liczba przestępstw nieustannie wzrastała, ale liczba wykrywanych przestępstw przestała wzrastać w latach 1968/1969 i odtąd utrzymuje się niemal na jednakowym poziomie.

Praktycznie oznacza to, że zmalała skuteczność działania policji kryminalnej.

Keller to zrozumiał — nie mogłem mu zaprzeczyć”.

— Czy mogę panu zadać parę pytań? — zapytał Keller, głaszcząc Antona. — Gdzie, na przykład, był pies w tym czasie, gdy przeszukiwano i demolowano pańskie mieszkanie.

— Ze mną, jak zawsze.

— O ile mi wiadomo, prawie cały dzień spędza pan w swoim mieszkaniu, z dwoma wyjątkami: rano około dziewiątej wyprowadza pan Antona na mniej więcej kwadrans; późnym popołudniem, o zmroku, idzie pan z nim na godzinny spacer.

— Zgadza się!

— A zatem te dwa spacery są regułą, której pan się trzyma. A ta kolacja w damskim towarzystwie... czy to był wyjątek?

— Chyba tak, jeśli pan chce to tak nazwać.

— Kim była ta pani?

— Długoletnia przyjaciółka, Melania Weber. Przyjaźni się także z moją żoną.

— Kto kogo zaprosił na tę kolację, ona?

— Co to ma znaczyć, panie Keller? Do czego pan zmierza?

— Zostawmy to, na razie! — Komisarz zmienił temat. — Co pan uważa za najważniejsze z tego, co pan teraz posiada? Czy gotówkę?

— Nie.

— Może jakieś dokumenty?

— Też nie. Ale jak pan wpadł na taki pomysł?

— Niech pan się dłużej nad tym nie zastanawia — zalecił Feinowi Keller. — Wyliczam tylko poszczególne punkty rejestru taktyki kryminalnej. A więc: co uważa pan za szczególnie cenne z tego, co pan ma, oprócz Antona?

— Moje nowe projekty domków jednorodzinnych. Bardzo konsekwentnie wkomponowane w krajobraz, w którym mają zostać zbudowane. Podobnie jak Ponti próbuje to robić w Tessinie.

— A gdzie znajdowały się te projekty, gdy przewracano pańskie mieszkanie?

— Na stole.

— Znakomita, wypróbowana metoda ukrywania wszelakich rzeczy. Chyba że nie tego szukano. Ale czego? Bez względu jednak na to, czego szukano, jeśli pan nie weźmie sobie wreszcie zdolnego adwokata, to moim zdaniem pańska przyszłość będzie kiepsko wyglądać.

— Jeden taki zaoferował mi już swoje usługi — powiedział Fein i się roześmiał. — Ale zdaje mi się, że miał za-

miar zaatakować czołgiem całe obecne społeczeństwo.
Moim kosztem!

— Kto to taki?

— Niejaki Henri Messer. Czy pan go zna?

— Jeszcze jak!

— I co pan o nim myśli?

— Jako funkcjonariusz policji kryminalnej — prawie nic. Jako człowiek — mnóstwo różnych rzeczy. Proszę, niech pan zwróci uwagę na to zróżnicowanie — Keller zerknął przy tym na Antona, który żuł z zadowoleniem białą kiełbasę. — W każdym razie był w moim życiu moment, w którym naprawdę podziwiałem Henriego Messera.

Z wypowiedzi pewnego studenta nazwiskiem Fleischmann, który należał najpierw do Związku Młodzieży Akademickiej (Asta), potem do Młodych Socjalistów, a następnie — od czasu do czasu — do opozycji pozaparlamentarnej. Brał udział w rozruchach w śródmieściu Monachium w 1968 r., na skutek których — rzekomo z winy policji — zginęły dwie osoby.

„— Wszystko było wtedy dość niejasne. Po akcjach spotykaliśmy się w lokalu *Zur Kleinen Glocke* na Schwabingu. Nagle wtargnęła policja. Wielu z nas aresztowano; tych, którzy się bronili, zbito i zabrano. Między innymi i mnie. Messer — był wówczas prokuratorem — który brał udział w tych zajściach, nie ucierpiał prawie wcale. Nie ucierpiał też pewien człowiek, który siedział obok Messera i pił piwo, jak gdyby go nic nie obchodziło. Jak się potem okazało, był to niejaki Keller. Wkrótce zrekonstruowano zajścia w tym lokalu na Schwabingu. Uczynili to bardzo szczegółowo wszyscy, którzy brali w nich udział, a sfinansowało to pewne postępowe pismo. Przy tym zdjęcia dowiodły, że między nami znajdowali się funkcjonariusze policji w cywilu, czyli szpicle policyjni. Prawdopodobnie zaliczał się do nich i ów człowiek, który siedział obok prokuratora Messera. W każdym razie stwierdzono, że był on funkcjonariuszem policji kryminalnej. Jednakże Messer,

którego wysoko cenimy i który jest człowiekiem absolutnie godnym zaufania, oświadczył stanowczo, że Keller nie ma nic wspólnego z tymi aresztowaniami i że zupełnie przypadkowo znalazł się w tym lokalu. To oświadczenie byliśmy zmuszeni respektować".

— Czyżby pan, panie Keller, uważał tego Messera za człowieka, któremu można zaufać bez zastrzeżeń?

— Mecenas Messer — oświadczył Keller — jest człowiekiem, który niczego nie daruje. Jest rachmistrzem, ale z fantazją. Umie kalkulować.

— Sądzi pan zatem, panie Keller, że powinienem mu naprawdę zaufać?

— A czy ma pan jeszcze jakiś wybór? Nawet gdyby to była tylko słomka, której mógłby się pan chwycić... Ale on, panie Fein, jest czymś o wiele więcej niż tylko słomką, bo jeżeli już, to raczej tratwą. Wprawdzie wydaje mi się wątpliwe, czy wytrzyma wszystkie przeciwne prądy, na które jest pan narażony, ale ja osobiście, będąc na pańskim miejscu, zaryzykowałbym się jej uczepić.

Inspektor Feldmann w mieszkaniu Feina w domu Marbella:

Feldmann: — Muszę pana prosić, żeby pan zechciał pójść ze mną na prezydium policji. Do pana komisarza Brauna. Na ulicy czeka auto służbowe.

Harald Fein: — Nie mam nic przeciwko temu. Ale będę miał z tego powodu dość szczególny problem: nie mogę zostawić Antona samego. Muszę więc skorzystać z mojego własnego samochodu, w nim Anton czuje się dobrze. Może w nim siedzieć spokojnie nawet całymi godzinami. Czy pan to rozumie?

Feldmann: — Próbuję zrozumieć. I znowu widzę, że muszę się jeszcze niejednego nauczyć. Jak każdy. Pan także. Bo pan nie musi iść ze mną.

Harald Fein: — A jeśli wierzę w coś takiego jak sprawiedliwość? Jeśli chcę w nią wierzyć?

— Feldmann: —No dobrze. Niech pan jedzie swoim wozem.

— Czy wciąż jeszcze brak realnych rezultatów? — zapytał zaniepokojony Paul Plattner stojącego przed nim Jonassa. — Co mam o tym myśleć? Czy to wyrachowanie?

— Zwerbowani przeze mnie ludzie — powiedział równie zmartwiony Jonass — usilnie starali się jak najdokładniej przeszukać mieszkanie...

— Jacy ludzie?

— Całkowicie godni zaufania! Między innymi jeden z naszych brygadzystów, który już nieraz okazał się niesłuchanie przydatny do wykonywania drażliwych zadań.

— Nie pochwalam takich metod! — oświadczył niemal urczyście Plattner. — Odrzucam je z całym zdecydowaniem. Czy to dostatecznie jasne?

To było dostatecznie jasne. Jonass pojął natychmiast, że ma radzić sobie sam. Paul Plattner bowiem życzył sobie mieć zięcia, który by nie tylko zabrał mu córkę, ale jeszcze także uwolnił go od całej brudnej roboty.

Z rozmowy przeprowadzonej w lokalu z niejakim Roderichem Rogalskim, brygadzystą w firmie „Plattner”, specjalistą od zbrojenia betonu:

„— Na tego nowego, Jonassa, nie dam powiedzieć złego słowa! Ten ma jeszcze serce dla prostego robotnika. Ostatnio przecież zasnąłem podczas pracy na budowie numer czternaście, po szóstej butelce piwa. Jak ten nasz inżynier wrzeszczał! Taki gówniarz, a udaje waśniaka! Podobno ze względu na niebezpieczeństwo i takie tam rzeczy. Powiedziałem mu całkiem spokojnie: «Zamknij gębę, bo oberwiesz!» Ta świnią posłała mnie do centrali, do kierownictwa. A to znaczy, kochaniutcy, że do naszego Jonassa! A ten mówi: «Miało się pecha, co?» To ja do niego: «Przecież każdemu może się zdarzyć!» A on do mnie: «No tak, tylko że to się zdarzyło już po raz szósty, a do tego dochodzi

jeszcze parę innych wykroczeń». To była prawda, ale taki kulturalny człowiek tego nie rozdmucha. Jonass tego nie robił! Roześmiał się i powiedział: ((Zapomnijmy o tym). «Człowieku — powiedziałem — ale z pana fajny chłop!» To on na to: «Trzeba przecież sobie pomagać, tego wymaga solidarność»). «Panie Jonass — powiedziałem — ma pan we mnie swojego człowieka. Jeśli pan będzie mnie kiedy potrzebował, może pan na mnie liczyć». A on na to: «Przeko-namy się przy okazji»".

— Jonass — powiedział Paul Plattner znowu z nadzieją w głosie — to gdzie wobec tego może być ta czerwona teczka?

— Nie w jego mieszkaniu, jak się teraz okazało. Ale także nie w sejfie. Należy raczej przypuszczać, że nosi ją ze sobą w tej czarnej teczce, z którą go się ostatnio zawsze widuje. Podobnie jak tego niechlujnego psa.

— I co, pańskim zdaniem, teraz będzie?

— Jest jeszcze oczywiście parę możliwości. Możemy na przykład skorzystać ze współpracy pani Melanii Weber.

Paul Plattner przymknął oczy. — Ta osoba — powiedział dość ostro — narobiła wiele zła. Na przykład, pomogła odciągnąć ode mnie moją córkę.

— Zapewne nieświadomie — orzekł ostrożnie Jonass.

— Ona tylko nie wie, co począć z pewnymi pojęciami moralnymi i tym podobnymi rzeczami. Ale to można w tym wypadku wykorzystać. Hilda też tak myśli.

— No dobrze, dobrze! Nie mam powodu oszczędzać tej osoby! A teraz potrzebny mi jest każdy, kto tylko pomoże mi odzyskać tę przekłętą teczkę!

Harald Fein na prezydium policji, przyprowadzony przez Feldmanna do Brauna, a potem — po krótkiej chwili czekania — do nadkomisarza Dürrenmaiera:

— Panie Fein — powiedział nadkomisarz rzeczowo i uprzejmie jak zawsze — proszę, niech pan usiądzie.

Co się też stało. Nadkomisarz siedział za swoim biurkiem, z boku stał Braun. W głębi, przy drzwiach, stał Feldmann.

— Panie Fein — oświadczył Dürrenmaier — chciałbym panu powiedzieć, że na podstawie zebranych materiałów można uznać pana za bardzo podejrzanego, za oskarżonego, przy czym może nastąpić aresztowanie.

— O ile jestem właściwie poinformowany — powiedział grzecznie Harald Fein — do tego potrzebna jest decyzja prokuratury. Czyżbym się mylił?

— Jest pan właściwie poinformowany — powiedział uprzejmie nadkomisarz. — Ale odpowiednie zarządzenie może zostać wkrótce wydane, ponieważ odnośny prokurator, pan doktor Barthel, zapowiedział, że się tu zjawi. Oczekuję go wkrótce w moim biurze.

Wypowiedź doktora Barthla, wówczas prokuratora powiatowego, wkrótce potem prokuratora okręgowego, w rozmowie z zaufanymi przyjaciółmi, zrekonstruowana przez jednego z nich:

„— Na ogół prokuratura może polegać na pracy policji kryminalnej niemal w stu procentach. Dostajemy stamtąd prawie zawsze zupełnie pewne materiały. Dlatego prawie zawsze akceptujemy wnioski o aresztowanie albo rewizję. Z czasem jednak zdobywa się dość niezawodne wyczucie przypadków wyjątkowych. Tak było także w wypadku Haralda Feina, którego — wiedziony czystym instynktem — nie chciałem pozostawić wyłącznie policji kryminalnej. Uważam za słuszne włączyć się wcześniej. A to ze względu na pewnego komisarza, niejakiego Brauna. Ten skądinąd świetny pracownik znajdował się w tym wypadku pod naciskiem z wielu stron, działał pod wpływem swego rodzaju manii prześladowczej. Był opanowany żądzą znalezienia sprawcy i wierzył, że go znalazł. I to zupełnie określonego sprawcy. A wkrótce potem dwóch innych na dodatek. Co chyba było już zdecydowanie za wiele”.

— Mam także obowiązek, panie Fein, poinformować pana — ciągnął dalej nadkomisarz Dürrenmaier — że ma pan prawo odmówić zajęcia jakiegokolwiek stanowiska, odmówić wszelkich odpowiedzi i w ogóle udziału w przesłuchaniu. Nie ma takiego zarządzenia policyjnego, na podstawie którego można by pana do tego zmusić.

— O tym — oświadczył Harald Fein — pouczył mnie już pan inspektor Feldmann.

— Skąd mu to przyszło do głowy? — zapytał grubiańsko Braun.

Dürrenmaier ciągnął dalej: — Chciałbym panu zwrócić uwagę na to, że moim zdaniem byłoby dobrze, gdyby pan wymienił nazwisko adwokata, który reprezentuje pańskie interesy. Jeśli pan, panie Fein, nie ma adwokata, gotów jestem zaproponować panu kilku z nich.

— Mam już adwokata — powiedział Harald Fein — nazywa się Henri Messer.

To oświadczenie spotkało się z różnymi reakcjami. Braun potrząsnął z niedowierzaniem swoją podobną do gruszki głową; przypominająca księżyc w pełni twarz Feldmanna rozjaśniła się uśmiechem, a Dürrenmaier skłonił głowę z lekkim zdumieniem.

— Jeśli tak — powiedział — to zaczekajmy na pana prokuratora Barthla i poprośmy także pana mecenasa Messera.

...z rozmowy między Hildą Fein a jej synem Heinzem:

Hilda Fein: — Powinieneś zatroszczyć się o swoją siostrę; kto wie, gdzie się włóczy!

Heinz Fein: — Bez względu na to gdzie, to co ma tu robić? Wysłuchiwać twoich wiecznych skarg? Także tych niemych? Na to trzeba nerwów, a tych nie mam już nawet ja, a cóż dopiero mówić o takiej mimozie jak Helga!

Hilda Fein: — Bądź łaskaw nie wtrącać się stale w moje sprawy!

Syn: — W tym wypadku to są także moje sprawy! I Helgi. Ja w każdym razie lubię jasną sytuację. Nie mogę już znosić tego, co wyprawiasz z ojcem; to po prostu trwa za długo!

Hilda Fein: — Czego więc oczekujesz ode mnie?

Syn: — Że wreszcie z tym skończysz. On jest już jak obite wiele razy, z trudem już tylko wlokące się przed siebie zwierzątko. Przynajmniej go dobij!

Hilda Fein: — Nigdy nie mogłam cię zrozumieć, Heinz!

Syn: — A bo też w ogóle nie starałaś się o to! Kiedyś jednak, może już bardzo prędko, będziesz próbowała. Ale wtedy będzie za późno!

Dalsze wiadomości o Heldze Fein, córce Haralda:

Nie ma żadnych.

— Czy mnie pan jeszcze pamięta? — zapytał adwokat Henri Messer. — Czy pan też zasłania się ostatnio kiepską pamięcią?

— Nie przed panem — zapewnił go pogodnie komisarz policji kryminalnej Keller. — Takich jak pan niełatwo zapomnieć.

Spełniając życzenie Haralda Feina, nadkomisarz Dürrenmaier sam zatelefonował do mecenasa Messera i poprosił go do prezydium policji. Gdy zaś ten tam przybył, poproszono go, żeby jeszcze trochę zaczekał, czego nie lubił. Zapytał więc, gdzie urzęduje komisarz Braun.

Ale Brauna nie zastał — był akurat u naczelnika wydziału Dürrenmaiera. Feldmann także. Zastał tylko Kellera, który chętnie pozwolił się oderwać od zajęć, związanych z ustalaniem przyczyn śmierci.

— Czego pan tu szuka, człowieku, pan, który nie wszystko chce słyszeć? — zapytał Keller. — Chyba nie chce pan oberwać za swoje niegdysiejsze życzliwe przemilcza nie różnych rzeczy?

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Wtedy, w roku 1968, w związku z rozruchami studenckimi, rzucono do akcji wszystkich funkcjonariuszy, jacy

tylko byli do dyspozycji. Byłem wówczas kierownikiem zespołu specjalnego do spraw rabunku kopalń. Ponieważ akurat nie pracowałem nad żadną poważniejszą sprawą, nie ominęło mnie włączenie do akcji. Polecono nam obserwować lokal *Zur Kleinen Glocke* oraz jego gości, wśród których znajdowali się przywódcy buntu.

Był to przytulny lokal i bywałem tam chętnie. Znałem prawie wszystkich gości. Niektórzy dyskutowali czasem ze mną. Przypuszczalnie byli i tacy, którzy uważali mnie za starego osła, z czego byłem rad: lubię osły!

W dniu tej wielkiej demonstracji, podczas której zginęły dwie osoby, aresztowano wiele ludzi. Również w moim lokalu. Aresztowań dokonywali funkcjonariusze, którzy mnie znali, ale którym poleciłem zachowywać się tak, jak gdyby nie znali mnie wcale. Gdy chcieli aresztować Messera, potrząsnąłem głową — niemal, jak mi się wydawało, niedostrzegalnie. Ale Messer to zauważył.

W wiele dni później, gdy rebelianci przewyciężyli szok, jaki wywołały w nich te celowe masowe aresztowania, zaczęto z oburzeniem mówić o terrorze policyjnym. Próbowano odtworzyć cały przebieg wydarzeń. Twierdzono przy tym, że wielu funkcjonariuszy policji kryminalnej pełniło rolę swego rodzaju szpicli.

Jednakże moje nazwisko w tym kontekście nie padło. Przeszkodził temu Messer. Jak zdołałem się dowiedzieć, położył na to specjalny nacisk".

— Jestem tu jedynie po to, panie Keller — zapewnił komisarza adwokat — aby udzielić pomocy prawnej jednemu z moich klientów, niejakiemu Haraldowi Feinowi. Czy pan go zna?

— Niespecjalnie. Już lepiej znam jego psa. Wspaniały okaz!

— Tak pan myśli?

Keller skinął głową. — Na psach znam się dobrze, lepiej niż na ludziach. W każdym razie te wiadomości wystarczają do tego, aby ubolewać nad panem Feinem.

— A więc zna pan sprawę Feina?

— Niech pan sobie nie robi przedwczesnych nadziei — zaśmiał się Keller. — Nie jestem już kierownikiem zespołu specjalnego do szczególnie skomplikowanych przypadków morderstw. Odstawiono mnie na boczny tor. Można by powiedzieć, że od czasu spotkania z panem. Zajmuję się teraz jedynie ustalaniem przyczyn zgonów.

— Ale siedzi pan w tym samym pokoju, co Braun!

— Przypadkowo, Messer, z braku miejsca!

— Bez względu na to, gdzie pan wylądował, panie Keller, wiem, że jest pan bystrym obserwatorem. A ponieważ siedzi pan w jednym pokoju z Braunem, to nic, co ma związek z Haraldem Feinem, nie mogło ująć pańskiej uwagi.

— Na pańskim miejscu nie wiązałbym z nim zbyt wielkich nadziei — powiedział ostrożnie Keller. — Czasem zachowuje się jak zrezygnowane zwierzę ofiarne.

— Wiem o tym — zapewnił go Messer. — Ale on za to nie wie, że jest czymś w rodzaju złotego cielca, a ja nie chcę dopuścić do tego, żeby go zarżnięto. Złote cielce są wielką rzadkością i należy je zachować.

— Jest pan zdania, że przy mojej pomocy, prawda?

— Czy zawsze musi pan od razu mówić tak wyraźnie? — zaśmiał się Messer. — Sądzę jedynie, że gdyby mi pan mógł udzielić rady, wskazówki, inspiracji...

— Widocznie pan czuje, że trafił pan na bardzo trudną sprawę, czego panu z całego serca życzę. — Keller patrzył na Messera z powściąganym uśmiechem. — Będzie pan musiał zgryźć ten twardy orzech albo się nim udławić.

— Czy rzeczywiście sytuacja jest tak beznadziejna?

— Niekoniecznie beznadziejna, jeśli się dobrze umie czytać.

— Na przykład co czytać?

— Na przykład notatki zamordowanej o jej stałych klientach i bieżących wpływach. Miałem możliwość zajrzeć do nich, ma się rozumieć zupełnie przypadkowo. To naprawdę niebezpieczny materiał dowodowy przeciwko Feinowi. Na pierwszy rzut oka.

— A na drugi?

— Można zauważyć, że ta pani miała zwyczaj skracania nazwisk. Dowodem jest na przykład to, że jednego ze

swych najlepszych klientów, niejakiego Benzingera — materiały budowlane, transport hurtowy — określała tylko skrótom „Benz”. I przy tym skrótce widniała zawsze wpłacona jej kwota.

— Jak to należy rozumieć? — zapytał z najwyższym zainteresowaniem Messer.

— Niech się pan nad tym zastanowi.

— Nad czym, ściśle mówiąc?

— Nad skrótami i możliwością ich zastosowania! Bardzo przydatny przykład: zapisała „Benz”, a miała na myśli Benzingera. Jasne?

— Zrozumiałem. Bardzo dziękuję.

Wypowiedź Abendrotha, urbanisty, w rozmowie osobistej z burmistrzem (ich żony przyjaźniły się ze sobą od dzieciństwa):

Abendroth: — Obawiam się, że popełniłem błąd. Poleciałem Haraldowi Feinowi adwokata.

Burmistrz: — Temu nie można nic zarzucić. Kto płaci temu adwokatowi?

Abendroth: — Konkretnie tego jeszcze nie ustalono. Ale jeśli Fein nie będzie mógł, zapłacę ja.

Burmistrz: — Przypuszczalnie w charakterze przyjacielskiej przysługi. To brzmi szlachetnie, i ja ci wierzę. Ale kto poza tym? Nietrudno byłoby przy pewnej chorobliwej wyobraźni skonstruować jakieś drażliwe powiązania. Co to za adwokat?

Abendroth: — Zleciłem to kancelarii doktora Seidla.

Burmistrz: — Nieźle. Doktor Seidl uchodzi za znakomitego prawnika i za człowieka wybitnie bezstronnego. Zręcznie lawiruje między różnymi ugrupowaniami sił. Przyjął do swojej kancelarii nie tylko dostojnego, starego konserwatystę doktora Siissmeiera, lecz także tak postępowego człowieka, jak były prokurator doktor Messer. Tego ostatniego przyjął zapewne po to, aby mu powierzać opiekę nad wykolejonymi dziećmi bogatych klientów.

Abendroth: — I o niego tu właśnie chodzi! Nie wiem, jak

to się stało, ale akurat ten Messer zajął się obroną Haralda Feina.

Burmistrz: — Na bezpośrednie polecenie doktora Seidla?

Abendroth: — Prawdopodobnie, ale nie wiem na pewno.

Burmistrz: — Obawiasz się jakiegoś skandalu?

Abendroth: — Właśnie! Bez względu jednak na to, czy to Seidl wysłał w dobrej wierze tego Messera, czy też działa on na własną* rękę, jeśli coś się nie uda, może z tego wyniknąć cała masa komplikacji i podejrzeń, w tym mniej więcej ducha: Abendroth-Fein; Fein-Plattner-drogi dojazdowe do terenów olimpijskich-milionowe zyski. Ten smród mógłby sięgnąć aż w bezpośrednie sąsiedztwo głowy miasta.

Burmistrz: — Jaki wysnuwasz stąd wnioszek?

Abendroth: — Złożę oficjalnie wszystkie moje urzędy, oświadczając, że zostałem nakloniony do tego przez burmistrza. W ten sposób przynajmniej ty będziesz poza wszelkim podejrzeniem.

Burmistrz: — Ależ ja tego wcale nie chcę! A już na pewno nie w tym wypadku, który przecież musiał kiedyś nastąpić. Nie doceniasz przyjemności, jaką odczuwam podczas takich sporów. A zatem: przede wszystkim wystawiasz komedię pod tytułem: *Ratusz milczy*. W ten sposób nie pozbawisz mnie przyjemności.

Udo Argus z „Morgenzeitung” (zagwarantowane honorarium w wysokości pięciu tysięcy marek miesięcznie, plus diety, plus wpłaty na prywatne dotacje, plus honoraria w dowód uznania wypłacane z kieszeni opisywanych przez niego osób; podobno młodsze panie mogą płacić także w naturze). A więc Argus na temat przyjęcia na stojąco w opróżnionym głównym salonie domu Weberów:

„...najpierw stałem między Utą a Hanną. Uta gawędziła o swoim kardiologu, zaś Hanna zaopatrywała mnie w kanapki z kawiozem. Przy czym nieunikniona Petra, dekoracyjna jak zawsze.

Podano najpierw szampana marki *Ponsardin* — na życzenie z sokiem owocowym. Do tego whisky: szkocką, amerykańską, kanadyjską. Także gin, brytyjski, z tonikiem. Następnie, można powiedzieć na zakąskę: kanapki z łososiem, tatarem, krewetkami. Na koniec: szynka zapiekana w chlebie.

...nie brakowało prawie nikogo. Łatwiej byłoby chyba wyliczyć tych, którzy nie przyszli. Na przykład Gunter — zranił się podczas konnej jazdy. James — był zajęty przygotowaniem do międzynarodowych wyścigów samochodowych. Marianna — czas jej pochłaniały audycje reklamujące kremy, futra i pieczywo. Tym razem zabrakło także Uschi i jej stałego towarzysza — przygotowywała nowy film pod wymownym tytułem / *belfrzy są też tylko ludźmi*; wystąpi w nim razem z Royem".

...Melania Weber powiedziała na tym przyjęciu do swojej przyjaciółki Hildy Fein, której towarzyszył Joachim Jonass:

— Nie wyglądasz za dobrze, kochany gołąbku, czy źle się czujesz? Dlaczego jesteś taka blada? Może to suknia? No tak, jest za ciemna dla ciebie. A może twój mąż? Możesz spokojnie pozostawić go mnie! A może twoja Helga? Ależ proszę cię! Widocznie gdzieś się włóczy. Przecież robiłyśmy to samo! A one mają na dodatek pigułkę! Nie żałuj jej przyjemności, baw się.

W dalszym ciągu Udo Argus:

„...byli niemal wszyscy: konsul ze Szwajcarii, kierownik rozgłośni radiowej dla Europy — z Ameryki, handlarz diamentów z Afryki Południowej. Nasz krawiec męski numer jeden, pan Wichtl, który jak zwykle zajechał rolls--royce'em, wciągnął mnie w rozmowę. Jego zdaniem męskie spodnie będą nadal wąskie, prawie jak druga skóra. Potwierdził to towarzysz Arndta, ubrany w nurki o błękitnym połysku. Hetty była za maxi i bladożółtym jedwabiem z Hongkongu.

Po raz pierwszy od owej przykrej afery z Angeliką widziałem, że Alfi i Toni prowadzą ze sobą przyjazną rozmowę. Podczas gdy Angelice towarzyszył tym razem Peter. Christa opowiadała mi, że ostatnio przez cały dzień chodzi po swoim mieszkaniu w Rzymie bez niczego. Przy otwartych oknach. Karin towarzyszył Reinhold, chociaż się z nim rozwiódł. Gdy zapytałem, czy..."

...na tym samym przyjęciu Hilda Fein, której towarzyszył Joachim Jonass, powiedziała do swojej przyjaciółki Melanii Weber:

— Nie przemęczaj się, kochanie, bo od tych ciągłych uśmiechów dostaniesz zmarszczek w kącikach ust. Zostań trochę z nami, Joachim chce ci powiedzieć, jak bardzo jest ci wdzięczny za to, że chcesz nam pomóc.

*Wypowiedź Heinricha Bockelmana, studenta prawa, za-
przyjawnionego z Heinzem Feinem:*

„— Naturalnie przyjaźń jest zawsze piękną rzeczą. Może jednak zwyrodnąć. Odniosłem to wrażenie, kiedy Heinz Fein ciągnął mnie ze sobą przez całą masę lokali w śródmieściu. «Po co?» zapytałem. «Z powodu mojej siostry — powiedział. — Musimy ją znaleźć!» Helga, jego siostra, była miłą dziewczyną. Miała kompleksy, była zbyt uczuciowa, ale jednak bardzo miła. Toteż podreptałem za nim. Ale jej nie znaleźliśmy".

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Tego dnia zdarzyły się trzy wypadki śmierci.
Przypadek pierwszy: znaleziono zwłoki czterdziestopięcioletniej kobiety. W jej własnym łóżku. Sprowadzony już po moim przybyciu lekarz wydał oświadczenie: śmierć na skutek uduszenia. Ale podczas dochodzeń uderzyło mnie to, że na twarzy widnieją czerwone plamy. Niewątpliwie zatrucie gazem świetlnym. Wypadek wykluczony.

Przypadek drugi: dwudziestopięcioletni mężczyzna zjawił się w jednym z komisariatów policji i oświadczył, że zastrzelił żonę z małokalibrowego rewolweru. Nieumyślnie. A zatem: coś w rodzaju wypadku. Zameldowano o tym prezydium policji. Przeprowadziłem dochodzenie. Pozycji zwłok nikt nie zmienił. Kobieta leżała w łóżku małżeńskim. Miała zamknięte oczy i ręce skrzyżowane na piersiach. Musiała zostać zastrzelona podczas snu.

Przypadek trzeci: zwłoki w wodzie. Kobieta, bardzo jeszcze młoda. Wyłowiono ją z Nymphenburger Kanał. Pierwsze stwierdzenie: po co najmniej dwóch dniach leżenia w wodzie.

Wiek osób, których zwłoki znaleziono w wodzie, jest szczególnie trudno określić. Pewną rolę odgrywa stan fizyczny oraz temperatura wody i jej skład chemiczny. Można powiedzieć, że na ogół już po trzech godzinach tworzy się na palcach tak zwana skóra praczki. Po dwóch dniach występuje poważne opuchnięcie dłoni. Po mniej więcej pięciu dniach stają się one kredowobiałe.

Zawsze jest trudno poznać od razu podczas pierwszego badania, czy ciało dostało się do wody jeszcze za życia, czy już po śmierci. Jedyne obdukcja może wykazać, czy w płucach jest woda, a może również piasek lub mikroskopijne części roślin. Bo zmarły nie może przecież wykonać wdechu.

Wydaje się, że w tym wypadku było to samobójstwo. Odzieży nie uszkodzono, nic nie wskazywało na użycie siły. Ponadto zwłoki można było natychmiast zidentyfikować: zmarła miała przy sobie dowód.

Była to Helga Fein".

— Moi panowie — powiedział nadkomisarz Dürrenmaier do osób znajdujących się w jego gabinecie — zebraliśmy się tu po to, aby wspólnymi siłami wyjaśnić pewne zdarzenia.

Oprócz Dürrenmaiera byli obecni: prokurator, doktor Barthel, funkcjonariusze policji kryminalnej, Braun i Feldmann oraz Harald Fein w asyście swojego adwokata, Hen-

riego Messera. Siedzieli na twardych, zniszczonych krzesłach wokół stołu stojącego w kącie pokoju, tuż obok okna.

Henri Messer oświadczył szybko: — Mój klient, pan Fein, nie przyszedł bynajmniej po to, żeby narażać się na jakieś podejrzenia, lecz jedynie dlatego, że chce przyczynić się do wyjaśnienia pewnych szczegółów. Nie uczestniczył w wydarzeniach, które rozegrały się w domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy. Jeśli panowie zechcą wyjść z tego założenia, to będziemy z wami współpracować; jeśli nie, to nie możecie na nas liczyć.

W odpowiedzi na to prokurator Barthel, człowiek chudy, pomarszczony, a mimo to sprawiający sympatyczne wrażenie, zapewnił go: — Wolno mi chyba przyjąć za prawdopodobne, a nawet niemal pewne, że przede wszystkim ważne jest dla pana zdobycie możliwie dokładnych informacji.

— Tak — potwierdził Messer — to jest dla nas ważne.

Prokurator doktor Barthel spojrział w kierunku nadkomisarza Dürrenmaiera, a ten z kolei popatrzył na komisarza Brauna, jak gdyby wzywając go do zabrania głosu. I Braun powiedział:

— Po pierwsze: faktem jest, że pan Harald Fein znajdował się na ulicy V, w bezpośredniej bliskości domu numer trzydzieści trzy, o różnej porze, także w momencie, w którym popełniono morderstwo. Po drugie: dozorca domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy, pan Penatsch, twierdzi, że widział pana Feina pod drzwiami zamordowanej później kobiety w czasie zbliżonym do momentu popełnienia zbrodni. Pan Fein był przy tym bardzo zdenerwowany. Po trzecie: nazwisko pana Feina jest wielokrotnie zanotowane w książce wpływów zamordowanej.

— Po pierwsze — oświadczył natychmiast Messer — wyszukani przez policję świadkowie mogą jedynie stwierdzić, że mój klient, pan Fein, znajdował się w danym czasie na ulicy V, ale nie mogą zaświadczyć, że wysiadł ze swojego samochodu. Po drugie: poddajemy w poważnym stopniu w wątpliwość zeznania dozorca Penatscha, a to ze względu na treść wyciągu z kartoteki policyjnej. Po trzecie wreszcie: zaprzeczamy temu, jakoby pan Fein kiedykolwiek należał do klientów tej pani.

— Ależ, panie kolego — powiedział niemal zmartwiony prokurator Barthel — zdaje się, że to właśnie można na prawdę udowodnić. Prawda?

Tu prokurator popatrzył na funkcjonariuszy policji. Feldmann uśmiechnął się. Dürrenmaier demonstrował obiektywizm i powściągliwość. Braun wyjął z teczki na akta kalendarzyk kieszonkowy i położył go na środku stołu, oświadczając: — Oto prowadzony dzień w dzień rejestr. Zanotowano tu wielokrotnie nazwisko Fein... jako źródło wpływów. Wchodzą tu w grę bardzo poważne sumy.

— Ależ to nonsens! — zawołał spontanicznie Harald Fein.

Messer popatrzył na niego ostrzegawczo i Fein umilkł.

Messer z demonstracyjnym spokojem wziął do ręki kalendarz i zaczął przewracać kartki. Czynił to wolno. Obecni cierpliwie milczeli. Henri Messer przewracał kartkę po kartce, a potem się uśmiechnął, jak gdyby z ulgą. — To istotnie prawda — powiedział, ledwie mogąc ukryć triumf.

— Co jest prawdą? — zapytał Braun.

Henri Messer uśmiechnął się i wyjaśnił: — Jednym z klientów tej pani był niejaki Benzinger, prawda? Jest to przedsiębiorca budowlany znany daleko poza granicami naszego miasta ze swych podejrzanych manipulacji finansowych, które zasługują moim zdaniem jak najbardziej na uwagę prokuratury.

— To fakt — przyznał chętnie prokurator Barthel — ale nie w tym kontekście.

— Abstrahując od tego — zauważył niemal protekcyjnie Braun — Benzinger w żadnym wypadku nie wchodzi w rachubę jako sprawca. W czasie popełnienia morderstwa znajdował się ze swoją rodziną na Riwierze, koło Antibes.

— To obojętne — powiedział Messer, na którym te słowa nie wywarły najmniejszego wrażenia. — Mnie interesuje tylko to, że ten pan pojawia się wielokrotnie w notatniku tej damy. Ale nie pod pełnym nazwiskiem. Nie jako Benzinger. Zanotowano raczej skrót tego nazwiska: „Benz”.

— No i co z tego? — zapytał z wyższością Braun.

Henri Messer zrobił efektowną pauzę, zanim oświadczył:

— Jeśli w tym materiale dowodowym nazwisko Benzinger pojawia się wielokrotnie w skrócie Benz, to może być po-

dobnie z nazwiskiem Fein. A zatem Fein może tu równie dobrze oznaczać: Feininger.

Zapadło milczenie. Prokurator patrzył przed siebie jak osłupiały. Nadkomisarz popatrzył na swoich funkcjonariuszy. Unikali jego wzroku. Messer uśmiechnął się do Feina — i ten zaczął się uśmiechać, chociaż z wyraźnym trudem.

Dürrenmaier zapytał: — Czy to jest wykluczone, panie Braun? Na pewno?

— Nie — wyznał Braun z najwyższą niechęcią. Prokurator Barthel szybko wstał. — Nie zgadzam się na wydanie nakazu aresztowania — obwieścił szorstko.

Rozmowa telefoniczna prokuratora doktora Barthla z panem Feininger em.

Feininger — deputowany do parlamentu federalnego, wiceprzewodniczący komisji finansów, jeden z wiceprzewodniczących frakcji parlamentarnej swojej partii, członek zarządu towarzystwa budów olimpijskich, członek rad nadzorczych wielu towarzystw: niemieckiego towarzystwa lotniczego Deutsche Lufthanse, Zakładów Samochodowych Niemiec Południowych, firmy Air-Bus-International. Po wstępnych zdawkowych uprzejmościach z obu stron Barthel powiedział:

— Właściwym powodem mojego telefonu jest to, że chcę cię prosić o informację, drogi przyjacielu. Mianowicie, podczas załatwiania pewnej sprawy służbowej padło nazwisko Feininger, tylko nazwisko, na razie jeszcze bez najmniejszego związku z jakąkolwiek konkretną osobą.

Feininger: — W jakim kontekście?

Prokurator: — Odpowiedź na to pytanie jest nieco drażliwa. Chodzi tu o zamordowanie pewnej kobiety, która miała wielu coraz to innych i płacących jej partnerów. Przy ulicy V numer trzydzieści trzy.

Feininger: — I w związku z tym padło moje nazwisko?

Prokurator: — Niezupełnie. Padło jedynie nazwisko Feininger, które z pewnością nie jest takie rzadkie. Próbuję jedynie zapobiec...

Feininger (po dłuższym milczeniu, ochryplym, ale bardzo stanowczym głosem): — Barthel, drogi przyjacielu, znasz moją sytuację! Człowiek na moim stanowisku zawsze ma wrogów. Wielu czeka tylko na to, żeby się do mnie przyczepić. I chyba by im się to udało, gdyby człowiek nie mógł polegać na swoich przyjaciółach. Czy mogę polegać na tobie... w tym wypadku?

Prokurator: — Oczywiście! A więc stwierdzam profilaktycznie: nie masz nic wspólnego z wydarzeniami przy ulicy V numer trzydzieści trzy!

Feininger: — Naturalnie, że nie! Nie można jednak wykluczyć, że ktoś mimo to spróbuje mnie obciążyć. Jestem jednak pewien, że zrobisz wszystko, aby temu zapobiec. I za to ci dziękuję!

Hirzinger — jeden z sześciu czołowych Młodych Socjalistów w podrejonie SPD Monachium — o burmistrzu:

„— ...darzymy go całkowitym zaufaniem... ale nie aprobujemy już bez ograniczeń i zastrzeżeń jego postępowania... jego budzące jednak pewne wątpliwości manipulacje w związku z mającymi się odbyć imprezami olimpijskimi... lekkomyślne udostępnienie ludziom interesu milionowych sum... nie jest w gruncie rzeczy niczym innym jak popieraniem, a przynajmniej ułatwianiem podyktowanego chciwością dążenia do zysku w czysto kapitalistycznym sensie... Jeśli w końcu nie nastąpią jakieś decydujące posunięcia... będziemy musieli z ubolewaniem przyjąć, że głowa miasta i ślepo jej oddana administracja absolutnie zawiodła, z czego wynika nieuchronny wniosek, że są do wyboru dwie rzeczy: ustąpienie ze stanowiska albo podjęcie szybko przekonującej decyzji na rzecz reprezentowanej przez nas sprawiedliwości społecznej”.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Jestem zatrudniony w charakterze funkcjonariusza do

ustalania przyczyn śmierci, a nie w charakterze jej zwiastuna. Czasem jednak podejmuję się tego z własnej woli. Tak było również w przypadku samobójstwa Helgi Fein.

Zasada, której najchętniej przestrzegam, brzmi: niczego nie wyjawiać bezpośrednio dotkniętej nieszczęściem osobie! Należy raczej wybrać ostrożną, okrężną drogę, w miarę możliwości — poprzez najbliższych krewnych. W tym wypadku zwróciłem się do pana Plattnera.

Najpierw kazał mi dość długo czekać. Gdy mnie wreszcie przyjął, zaczął coś mówić o ogromnym przeciążeniu pracą, o tym, że ma bardzo mało czasu i że powinienem się streszczać.

Co też uczyniłem. Powiedziałem: — Z kanału zamkowego wyłowiono pańską wnuczkę, Helgę Fein. Martwą. Wszystkie oznaki wskazują na samobójstwo.

Paul Plattner, którego widziałem po raz pierwszy — i spontanicznie pragnąłem go widzieć po raz ostatni — był niepowtarzalnym typem: pewnym siebie, dobrze odżywionym, przebiegłym, silącym się na koleżeńską dobroduszość. Był dla mnie wcieleniem prowokacji! Ale na razie zachował się tak, jak gdyby sądził, że się przestyszał.

Ja zaś powtórzyłem:

— Ona nie żyje!

Po tym obwieszczeniu wlepił we mnie wzrok, odwrócił się, pomilczał przez parę sekund. Oddychał ciężko. Po czym wykrzyknął: — A więc jeszcze i to! I to dziecko ma także na sumieniu!

— Kto? — zapytałem.

To pytanie pozostało bez konkretnej odpowiedzi. Paul Plattner powiedział tylko: — Czegóż ten człowiek jeszcze ode mnie chce! I za to też będzie musiał mi zapłacić!

— Co za człowiek? — pytałem uparcie.

— Co to pana obchodzi? — wybuchnął. — Czego pan tu chce?

— Kilku informacji, jeśli pan pozwoli.

— Nie mogę udzielić żadnych, nie w tym wypadku! Nie panu! Nikomu! Niech pan sobie idzie! Niech pan zostawi mnie samego... z moim bólem!

Podniósł rękę wskazując mi drzwi. Ta ręka drżała".

— A więc mój drogi, wzięliśmy pierwszą, bardzo ważną przeszkodę! — zapewnił Henri Messer energicznie swojego klienta Haralda Feina po opuszczeniu prezydium policji.

— Jestem bardzo zmęczony — powiedział Harald Fein. — A poza tym mój pies czeka na mnie.

Adwokat nie zareagował na te słowa. — I wygramy też całe wyścigi! — zawołał. — Musimy tylko porozumieć się co do tego, jaka taktyka będzie najlepsza.

Zaprowadził Haralda Feina do oddalonej o pięć minut drogi od prezydium policji kawiarni przy Theatinerstrasse. Kawiarnia nazywała się *Am Dom*, ale nic w jej pomieszczeniach o tym nie świadczyło. Była tu tylko chromowana stal, szkło i lakier. Wysoki połysk i sterylność.

Messer zamówił dla siebie czarną kawę, podwójny koniak i butelkę wody mineralnej. Fein chciał się napić szampana, pół butelki. — Zgoda! — powiedział Messer. — Na pański koszt!

— Bez względu na to, ile mnie to może kosztować, panie mecenasie — powiedział cierpliwie Harald Fein — nie mam absolutnie zamiaru prać rodzinnych brudów na oczach szerokiej publiczności.

— To się panu chwali — zapewnił go Henri Messer. — Jest pan szlachetnym człowiekiem i powinien pan takim pozostać. To nieuchronne jednak oczyszczenie stajni Augiasza proszę pozostawić mnie! Ostatecznie za to mi się płaci!

— Zdaje się, że pan widzi tylko problemy prawne i że nie interesują pana związane z nimi sprawy ludzkie.

— Mój drogi, nie można z ich pomocą wygrać procesu! Plattner na przykład wie o tym. Uznał pana za swego wroga i musimy temu przeciwdziałać.

— Ależ ja właśnie tego nie chcę. Jego metody nie mogą być moimi! Poza tym: jeśli jakieś małżeństwo ulega rozbiciu, to przecież nigdy nie jest winna tylko jedna strona.

— To prawda — powiedział Messer. — Ale sąd szuka tylko prawa i bezprawia. Chce, żeby odpowiedź na wszystkie pytania brzmiała w miarę możliwości „tak” lub „nie”! Wprowadzające zamęt tony pośrednie tylko w tym przeszkadzają.

— Panie Messer, to nieszczęśliwe, ale prawie dwudziestoletnie małżeństwo...

— Niech pan nigdy nie pozwala sobie na sentymentalizm, gdy pan wkracza w dziedzinę sądownictwa — powiedział surowo Messer.

— Pan się widocznie nie cofnie przed niczym!

— W pańskim interesie, jeśli chce pan wybrnąć z tej sytuacji względnie małym kosztem!

— Czy to praktycznie oznacza, że muszę się liczyć z wysokimi kosztami... pod każdym względem?

— Przeciwnie, liczę na to, że przy mojej pomocy stanie się pan na skutek tych wydarzeń bogatym człowiekiem. W każdym razie na początek potrzebuję pięciu tysięcy marek.

— Tyle jeszcze mam.

— Wypłacimy je tej służącej, Marii Trübner, a tym samym praktycznie jej przyjacielowi. W zamian za to obydwójce chętnie zeznają wszystko, co uznamy za konieczne. W ten sposób zlikwidujemy drugi niebezpieczny punkt.

— To wstrętne!

— To powszechnie przyjęte — powiedział Henri Messer. — Oprócz tego dałem już profilaktycznie co nieco do zrozumienia panu Jonassowi...

— Dlaczego właśnie jemu?

— Ponieważ siłą rzeczy wchodzi on w grę jako pański następca... pod każdym względem.

— To, panie Messer, godzi w moją żonę! A tego nie mogę i nie chcę...

— Wielki Boże! — zawołał z oburzeniem adwokat. — Sentymentalny, naiwny i uczciwy! Pan jest po prostu predestynowany na kozła ofiarnego! Ale uchronię pana przed tym!

Plattner u córki Hildy. Wyglądał uroczyście, był zmartwiony i ostrożny.

Plattner: — Spróbuj zachować spokój i panowanie nad sobą. Muszę ci przekazać złą wiadomość.

Hilda: — Czy coś w związku z Haraldem? Czy trzeba wszystko cofnąć? Może mam znowu grać rolę jego żony? Proszę cię, ojcze, oszczędź mi tego!

Plattner: — Nie chodzi o niego... nie bezpośrednio. Chodzi o Helgę.

Hilda: — Co ta znowu zmalowała! On systematycznie demoralizował to dziecko. I jeśli po Heldze można się wszystkiego spodziewać, to można to zawdzięczać wyłącznie wpływowi Haralda!

Plattner: — To twoje słowa, a ja się z nimi zgadzam. Z ciężkim sercem.

Hilda: — Co się stało z Helgą?

Plattner: — Nie żyje. Zabiła się. I to, jak powiedziałaś, jest jego wina. Niech mu Bóg pomoże!

— Czekam na ciebie już od paru godzin — stwierdził Joachim Jonass.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał niechętnie Harald Fein, prowadząc towarzyszącego mu Antona na nową skórę jagnięcą.

Joachim Jonass siedział na najwygodniejszym fotelu w mieszkaniu Haralda Feina. Uśmiechał się, usiłując stworzyć przyjazną atmosferę.

— Rozumiem cię, Haraldzie — zapewnił górnolotnie — aż za dobrze! Jesteś zmęczony, chcesz mieć spokój, aby wreszcie móc zaspokoić pragnienie swego serca i zacząć twórczo pracować! A zamiast tego przesładuje się ciebie, robi ci się trudności, dewastuje twoją budę!

— Skąd o tym wiesz?

— Wiem więcej, niż myślisz. I dlatego mi cię żal. W każdym razie gotów jestem pomóc ci wydostać się z matni.

— Za jaką cenę? — zapytał Harald Fein, stojąc na środku pokoju.

Joachim Jonass nie zwrócił uwagi na warczenie Antona i oświadczył: — Moglibyśmy, gdybyś miał nieco rozsądku, zlikwidować dwa drażliwe punkty naraz. Oszczędziłbyś sobie przez to masę przykrości.

— Do czego zmierzasz?

— A więc, Haraldzie, oddasz nam czerwoną teczkę. W zamian za to gwarantujemy ci odszkodowanie gotówką.

Powiedzmy: jednoroczną pensję i na dodatek cichy, bez-konfliktowy proces rozwodowy. Z winy obu stron. Bez żadnych zobowiązań finansowych z twojej strony. Każdej stronie przyzna się po jednym dziecku.

— Powiedziałeś: z winy obu stron?

— Tak.

— To znaczyłoby praktycznie, że Hilda przyzna się do winy, a co najmniej do tego, że jest współwinna. Ale to absurd... w wypadku tej kobiety.

— Wziąłbym to na siebie — oświadczył Jonass. Przymknął na chwilę swe szaroniebieskie oczy i ciągnął dalej: — Czemu nie? Przecież ty ze swej strony zawsze starałeś się, żebym zacieśniał kontakt z twoją rodziną. Na dłuższą metę nie mogło to pozostać bez następstw.

— Czy to ma znaczyć, że ty i moja żona...

— Mógłbym to zeznać, Haraldzie. Naturalnie tylko po to, aby ci oszczędzić przykrego procesu. A zatem, można powiedzieć, poświęcam się. Zakładając, że na skutek tego pojawi się wreszcie czerwona teczka. Jeśli nie...

— Ale z ciebie wstrętna świnia! — stwierdził rzeczowo Harald Fein.

— Zawsze to lepsze niż być bezgranicznym głupcem. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Daję ci godzinę do namysłu. Znasz mój numer telefonu. Jeśli nie zadzwonisz do tego czasu, będę musiał przyjąć, że odrzuciłeś moją propozycję. Za następstwa możesz winić sam siebie. Czy chcesz, żeby do tego doszło?

Komisarz Braun i inspektor Feldmann — omówienie sytuacji w prezydium policji:

Braun: — Sprawa Feina dochodzi powoli do wrzenia. Dojrzał.

Feldmann: — A ta wzmianka doktora Messera, ta sprawa z nazwiskiem Fein i Feininger?

Braun: — Przecież to tylko manewr odwracający uwagę! Zręczny, bez wątpienia. Wcale się go po tym facecie nie spodziewałem. Ale to obojętne, my trzymamy się

wyłącznie faktów. Czy, jak radziłem, sprawdził pan wszystkie możliwości alibi Haralda Feina?

Feldmann: — Zanotowane w książce wpływów zamordowanej dni, w których widnieje nazwisko Fein, porównano z terminarzem Feina, znajdującym się w biurze Plattnera, i uzupełniono to przesłuchaniami. Nie uwidoczniła się przy tym żadna wyraźna sprzeczność. We wszystkie, te dni pan Fein był w Monachium, co jednak nie znaczy...

Braun: — Mój drogi Feldmann, pan zbiera materiał, ale wnioski wyciągam ja! Zrozumiano? Dalej! Czy miał zwyczaj nosić przy sobie gotówkę?

Feldmann: — Do tysiąca marek. Pięć banknotów po sto marek, dziesięć po pięćdziesiąt. Taki miał zwyczaj.

Braun: — Hazardziści, szantażyści i kurwy nie przyjmują czeków, żądają, żeby im płacić gotówką. Widzi pan, powoli posuwamy się o parę kroków naprzód. A teraz zajmijmy się jeszcze dokładniej wszystkimi osobami, które kiedykolwiek miały styczność z Haraldem Feinem: kolegami po fachu z firmy, jego lekarzem, pracownikami domowymi, wszystkimi, z którymi stykał się w życiu prywatnym. Niech pan spisze możliwie szczegółową listę!

Feldmann: — Już nad tym pracuję. A co będzie z jego najbliższą rodziną?

Braun: — Ja się nimi zajmę!

Feldmann: — Bez względu na to, jakie poszlaki wydają się dotyczyć pana Feina, mogą one także dotyczyć kilku innych osób. A może ma pan zamiar prowadzić odtąd dochodzenie wyłącznie przeciwko niemu?

Braun: — Niech pan przestanie prowokować mnie bez przerwy, Feldmann. Człowieku, ten Fein jest jak gdyby pierwszą szczeliną w zaporze! Jeśli chcemy zaporę wysadzić w powietrze, musimy zacząć właśnie od pierwszej szczeliny!

— Każdy, kogo spotykam — stwierdził Harald Fein — czegoś ode mnie chce. — Popatrzył nieufnie na Kellera, który usiadł obok niego. — A więc pan także!

— Jak się ma Anton? — zapytał komisarz. Niepotrzebnie. Bo pies wygramolił się pośpiesznie spod stołu, wskoczył Kellerowi na kolana i zaczął wymachiwać ogonem.

— Wygląda na to, że pana oczekiwał — powiedział ucieszony Harald Fein. — Tyle sympatii okazuje naprawdę rzadko. Ma do pana słabość!

— Może na nią w ogóle nie zasługuję — powiedział Keller, głaszcząc psa.

Siedzieli w restauracji, znajdującej się przy bocznej uliczce między hotelem *Bayerischer Hof* a Frauenkirche — mieszczańska solidność, czysta podłoga, lśniące stoły, przyzwoite ceny. Lokal nazywał się *Die Lampe*. Biało-nie-bieskie kafle na ścianach — ale nie z Bawarii, lecz z Delft.

O każdej porze dnia serwowano tu najlepszą pod słońcem białą kiełbasę. Dla Antona zamawiano regularnie trzy porcje.

— Spróbujmy porozmawiać — powiedział Keller. — Na przykład o pańskiej rodzinie.

— O rodzinie? — Harald Fein sięgnął po szklanekę. — Co to znaczy rodzina? Celowo założona wspólnota finansowa? Jeśli te związki przestają być konieczne, wymeldowuje się z niej człowieka.

— Pan się myli — powiedział Keller. — Rzeczy minione pozostawiają ślady. Kobietę, którą się spotkało, dzieci, które się rodzą i zostają... Niestety, nie zostają wystarczająco długo.

— Co pan może wiedzieć o stosunku ojca do dzieci? Czy ma pan dzieci?

— Miałem! I to troje. Dwóch chłopców i dziewczynkę, dwa, cztery i pięć lat. Zginęły podczas jednego z ostatnich nalotów tej ostatniej jak na razie wojny. A wraz z nimi moja żona. Pozostały jedynie zwęglone zwłoki, mocno sczepione ze sobą. Zidentyfikowałem je.

— Przepraszam — powiedział Harald Fein. — Nie mogłem o tym wiedzieć.

— Ach, drogi panie Fein, cóż naprawdę wiemy o ludziach, wśród których żyjemy, czy też z którymi się codziennie spotykamy; albo o sobie?

Ostatnie urodziny Haralda Feina. Uroczystość zorganizowała jego żona Hilda w restauracji hotelu „Cztery Pory Roku”, przy Maximilianstrasse. Uczestniczyło dwanaście osób — uważanych za przyjaciół i bliższych znajomych solenizanta. Wśród nich także Jonass i Plattner. Wygłoszono wiele przemówień. Fragment przemówienia Plattnera:

„— Z zaufaniem... z największą serdecznością... w ogromnej harmonii...”

Fragment przemówienia Jonassa:

„— Przyjaźń jest wszystkim!
Uściski. Pocałunki w oba policzki. Wydawało się, że wszyscy są sobie nawzajem bezgranicznie oddani. Po niespełna roku wszystko wyglądało inaczej”.

— Przede wszystkim chciałbym wiedzieć jedno — powiedział Keller, z Antonem na kolanach. — Czy kochał pan swoją córkę Helgę?

— Bardzo! — powiedział Harald Fein. — I jestem przekonany, że jeśli ktoś, poza Antonem, jest do mnie przywiązany, to właśnie ona!

— Kiedy — zapytał Keller, bawiąc się z Antonem — słyszał pan o niej ostatnio?

— Przed paru dniami. Ale dlaczego pan pyta? — Harald Fein zaczął zdradzać coraz większy niepokój. — Co to ma znaczyć?

Zwykle notatki, spisane przez Wilhelma Freudenfelda — pierwszego asystenta funkcjonariusza zatrudnionego w prezydium policji w celu ustalania przyczyn śmierci — dotyczące zwłok kobiecych, znalezionych w Nymphenburger Kanat:

„Włosy jasnobłond. Oczy szarobrązowe. Nos mały, prosty. Wargi normalne, lekko uszminowane. Kolor szminki: różowy. Broda owalna. Uszy średnie.

Górna część ciała: miernie rozwinięta. Biust: niezbyt wydatny. Brzuch: płaski. Uda: jędrne. Nogi: gładkie, bez wyraźnych mięśni. Stopy: małe. Paznokcie u stóp: wypielęgnowane.

Ubranie: białe figi z nylonu. Czyste, bez plam. Brak biustonosza. Spódnica-spodnie, brązowy welwet. Lekki pulower tej samej barwy, co spódnica-spodnie, skurczony prawdopodobnie od wody. Skórzane botki marki: *Jourdin*, Paryż.

Pierwsze orzeczenie: prawdopodobnie samobójstwo. Kilka obrażeń na karku, plecach i nogach — szczegóły w załączeniu — odniesionych być może podczas wskakiwania do kanału albo w czasie, gdy zwłoki były unoszone przez wodę. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie mniej więcej przed dwoma dniami".

— Zdaje się więc — powiedział Keller do Haralda Feina — że jest pan przygotowany na wszystko. Podobnie niemal jak niegdyś Hiob, co? I to także, jeśli chodzi o pańską córkę Helgę?

— Nie — krzyknął rozpaczliwie Harald Fein. — Proszę, tylko nie to! Nie Helga! Niech pan powie, że to nieprawda!

— To prawda, panie Fein. Przed ośmiu godzinami stwierdzono oficjalnie śmierć pańskiej córki. Pański teść zawiadomił o tym pańską żonę. I nikt z nich nie powiedział panu ani słowa?

Harald Fein przycisnął do piersi swoją teczkę. Wyglądał tak, jakby nie chciał już nikogo widzieć i nic więcej już słyszeć. Wypadł na dwór, a za nim wyraźnie zaniepokojony Anton. Fein znalazł się w ciasnej uliczce, łączącej Frauenkirche z Promenadeplatz.

Tu się potknął o czyjaś wyciągniętą nogę. Upadł jak długi. Leżał jak nieprzytomny z twarzą na bruku. Twardy, kanciasty przedmiot ugodził go w kark.

Trysnęła krew. Zalała szyję, spłynęła z włosów na twarz, zalała mu oczy. Zapadł się w otchłań, wypełnioną jak gdyby lepką watą.

Usłyszał skowyt Antona. Potem podniecone warczenie, zdyszane skomlenie. Wydawało się rozpływać w ciemności, jak gdyby dławione przez nią,

Ostatnią rzeczą, z jakiej Harald Fein zdał sobie sprawę, było to, że wyrwano mu teczkę. Jego psa już nie było przy nim. Ktoś kopał go w piersi i w brzuch. Stracił przytomność.

7

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

Awię Harald Fein wypadł na ulicę. Był ogromnie wzburzony. Oddychał ciężko. Zaciskał pięści. Przyciskał do piersi teczkę. Twarz miał pustą i bladą. Zaniepokojony Anton obskakiwał go naokoło.

Rozmyślałem ze szklanką wina w dłoni nad tym przerażającym widokiem. Jak się wkrótce okazało, rozmyślałem o parę sekund za długo. Reakcja Harald Feina zaniepokoiła mnie. Poszedłem za nim i za Antonem.

Zobaczyłem, że w odległości około stu metrów, w wąskiej uliczce łączącej dwie główne arterie, leży na bruku jakiś człowiek. Najpewniej Harald Fein. Nad nim pochylali się dwaj mężczyźni, kopiąc go i bijąc — w całkowitej ciszy. Tak mi się przynajmniej wydawało. Obok stał trzeci mężczyzna. Zachowywał się tak, jak gdyby sprawdzał, czy wszystko idzie jak należy.

Krzyknąłem: «Stać, bo strzelam! Tu policja!» Nie miałem zresztą przy sobie pistoletu. Więc tylko tak krzyczałem.

Uliczka opróżniła się natychmiast. Pozostał jedynie Harald Fein, który leżał skurczony na ziemi. Podbiegłem do niego.

Równocześnie podbiegł do mnie Anton. Wyłonił się z ciemności. Kulał, warczał i drżał. Jego małe ciało trzęsło się, gdy ukląknęłam, aby go objąć. Przytulił się do mnie. Ja tymczasem przysunąłem się na kolanach do Harald Feina.

Anton wydawał się rozumieć, czego się od niego oczekuje. Oderwał się ode mnie i stał bez ruchu. Pochyliłem

się nad Haraldem Feinem i odszukałem jego tętnicę szyjną. Żył jeszcze. Ale nie odzywał się, miał usta szeroko otwarte, jak gdyby bezgłośnie krzychał.

Zaalarmowałem pogotowie policyjne i zażądałem karetki sanitarnej. Haralda Feina przewieziono do kliniki na prawym brzegu Izary. Towarzyszyłem mu wraz z Antonem".

Tego samego wieczora i nocy:

Otwarto dwa nowe lokale: restaurację, przeznaczoną dla międzynarodowej publiczności, i ekskluzywny klub nocny. W lokalu *Doppelte Eva* zaprezentowano — po raz pierwszy w metropolii nad Izarą — „totalny strip-tease", z przodu i z tyłu. Wszystko przy świetle różowych reflektorów.

Obecni byli przy tym „wszyscy", którzy nosili znane nazwiska, lecz nie mieli żadnej rangi: spotykane zazwyczaj „osobistości", w dobrych humorach i z pełnymi kieszeniami. Chodziło o to, żeby widzieć i być widzianym.

Szczególnie wiele działo się na otwarciu nowego klubu *Black Flak*. Nastrojowa demonstracja „w czerni": Alicja, bez siostry Ellen, w czarnych szortach; podobnie wystąpiła Monika i Rosmarie. Cały w czerni pojawił się także Gunter — spodnie i pulower. Zdążył jeszcze na czas, chociaż się spóźnił, musiał być na pogrzebie swojego wujka Fran ciszka.

„Szczytem" — według zgodnej oceny wielu reporterów — było wniesienie w lektyce sir Jamesa przez czterech Murzynów z lśniącymi od oliwy torsami. W łagodnym świetle scena ta wzbudziła niemal zachwyty.

„Noc nad nocami!" pisał Udo Argus.

W prezydium policji zaś zanotowano tej nocy:

Dwanaście kradzieży i na dodatek osiem przywłaszczeń samochodów; cztery włamania, z których jedno pociągnęło za sobą śmierć człowieka; osiemnaście średnich wypadków drogowych, podczas których trzy osoby odniosły ciężkie rany; dwa przypuszczalne morderstwa oraz pięć

przypuszczalnych samobójstw. Co piętnaście minut wkraczała do akcji karetka sanitarna i patrolowy wóz policyjny. — Stosunkowo spokojna noc — powiedział dyżurny funkcjonariusz policji kryminalnej w prezydium policji.

W willi Duhrów, położonej w Grunwaldzie pod Monachium, zatwierdzono projekt budowy wieżowca w bezpośrednim sąsiedztwie Theresienwiese, gdzie odbywają się uroczystości październikowe. Koszty — około 120 milionów. W tym samym czasie burmistrz polemizował z Młodymi Socjalistami, którzy robili mu różne trudności. Premier bawarskiego rządu krajowego jadł kolację w lokalu *Nurnberger Bratwurstglockl* z przewodniczącym swojej partii i ekspertem finansowym. Kardynał — miejmy nadzieję — modlił się.

Pewien wydawca gazet postanowił „wysiąść”, jak obwieścił — „z ciężkim sercem”. Miał prawie siedemdziesiąt lat, a zatem zdążył jeszcze na czas „wsiąść” po roku 1945. Zażądał trzydziestu milionów marek — i otrzymał je. Dalsze trzydzieści milionów marek już miał.

Jeden z dwustu zatrudnianych przez niego dziennikarzy, otrzymujący skąpe wynagrodzenie, stwierdził: „Głodować to on nie musi”.

Miesięczne pobory burmistrza tego olimpijskiego miasta, które pochłonęło wiele miliardów, przekraczały nieco trzy tysiące marek — bez potraczeń.

Tej nocy w Monachium stanął w płomieniach pewien dom. Było to z pewnością podpalenie.

Był to, chyba nieprzypadkowo, żydowski dom starców, nazywany „izraelickim”. W pożarze straciło życie siedmiu pensjonariuszy — Żydów. Z jakim opóźnieniem! Oburzenie było powszechne.

Ale rezultat wszystkich gorliwych dochodzeń równał się zeru. Mimo zakrojonych na jak najszerszą skalę akcji i wysokich premii. Jedna z gazet należących do wydawcy, który tak się troszczył o swoje zaopatrzenie na starość, stwierdziła: „To przestępstwo nie zostało wykryte”.

Harald Fein — z grubymi bandażami na głowie, piersiach i brzuchu — obudził się. Czuł tępy, nieustanny ból, połączony z szumem w głowie. Z trudem zwrócił oczy na światło dzienne, które wydawało mu się męcząco jaskrawe, chociaż tłumily je zielone zasłony.

Minęło sporo czasu, zanim zrozumiał, gdzie się znajduje. Widział białoszary pokój szpitalny, zasłonięte okna, szarobrazową wykładzinę podłogi. W pobliżu drzwi ujrzał białą ubraną istotę, która obserwowała go badawczo i niemal surowo.

— Muszę zatelefonować — powiedział Harald Fein ledwie dostykalnym głosem, który w jego uszach zabrzmiał jak krzyk.

— Pan musi jedynie spokojnie leżeć — obwieściła pielęgniarka. — W miarę możliwości nie powinien pan mówić ani się poruszać. Musi pan unikać wszelkiego zdenerwowania.

— Muszę zatelefonować — upierał się Harald Fein.

— Jeśli pan się przy tym upiera, to zrobię to za pana. Podano mi dwa numery, pod które mam zadzwonić, kiedy pan przyjdzie do siebie: niejakiego pana Messera i niejakiego pana Kellera. Niech pan zdecyduje, kogo mam najpierw zawiadomić.

— Żądam, żeby mi dano do dyspozycji telefon! — podniósł głos Harald Fein i próbował usiąść.

Pielęgniarka wcisnęła go na powrót w poduszki. Nawet nie poczuł krótkiego, kłującego bólu, wywołanego przez zastrzyk uspokajający. Niemal natychmiast zapadł w obezwładniający, mocny sen, rozedrgany światłami o jaskrawych barwach.

Inspektor Feldmann u komisarza Kellera:

Feldmann: — Ten Fein jest teraz w szpitalu. Mówią, że go pobito!

Keller: — Dlaczego pan mnie o to pyta?

Feldmann: — Ponieważ pan podobno był przy tym, a przynajmniej zaraz potem. Nie pytam z polecenia komi-

sarza Brauna. Sam chcę wiedzieć, dlaczego go pobito. Kto to zrobił?

Keller: — A skąd, mój drogi, ja mam wiedzieć? Jest wiele możliwości. Po pierwsze: mógł się przypadkowo dostać między gangsterów! Po drugie: mogli na niego czatować, jak to zwykle bywa. Po trzecie: ktoś ich na niego nasłał.

Feldmann: — Zaczynam odczuwać coraz większą pokusę, żeby współczuć temu Haraldowi Feinowi.

Keller: — W naszym zawodzie uczucia się nie opłacają. My trzymamy się faktów.

Feldmann: — Ale jakich... w tym wypadku?

Gdy Harald Fein po wielu godzinach obudził się znowu, zobaczył, że obok łóżka stoi na małym stoliczku telefon. Popatrzył na niego z niedowierzaniem. Potem usiadł z trudem. Jego ciało było ciężkie jak ołów, ale prawie nic go nie bolało.

Harald Fein zdjął słuchawkę. Zgłosiła się centrala. Poprosił o połączenie, wymienił numer, przez parę sekund czekał z zamkniętymi oczami.

Usłyszał jakiś nie znany mu głos: niemal przeraźliwy i monotonny zarazem: — Tu dom Feinów!

— Chciałbym mówić z żoną. Nazywam się Harald Fein.

Minęło wiele sekund. Potem znowu odezwał się ten przeraźliwy głos i obwieścił: — Pani Fein nie chce z panem mówić. — I przerwano połączenie.

Harald Fein upadł na wznak. W rękę wciąż jeszcze trzymał słuchawkę. Leżał w łóżku zupełnie wyczerpany, z zamkniętymi oczami. Wreszcie usłyszał rzeczowy głos telefonistki szpitalnej:

— Czy pan jeszcze rozmawia?

— Proszę raz jeszcze połączyć mnie z tym samym numerem.

I znów po wielu sekundach zgłosił się „dom Feinów”. Znów ta sama nie znana mu osoba o przeraźliwym, obojętnym głosie. Gdy Harald Fein ponownie zażądał rozmowy z żoną, odpowieszono mu spieszenie, jak gdyby cytowano wyuczony tekst:

— Pani kazała panu powiedzieć, że nie życzy sobie, żeby się pan jej naprzykrzał! Poza tym kazała panu zakomunikować, że wysłała już wniosek o zmianę numeru naszego telefonu i że na wszelki wypadek wymieniono zamki w naszym domu.

I znowu odłożono słuchawkę. Harald Fein czekał, żeby znowu zgłosiła się telefonistka. Miał purpurową twarz, gdy ponownie zażądał: — Proszę mnie raz jeszcze połączyć z tym samym numerem!

Gdy otrzymał połączenie, wykrztusił, bliski uduszenia: — Mówi Harald Fein! Bez względu na to, kim pani jest, niech pani łaskawie milczy i niech pani się nie waży odkładać słuchawki. Życzę sobie, żądam rozmowy z żoną! A jeśli ona nie zechce, z moim synem Heinzem! Niech pani powie mojej żonie, że wykorzystam wszystkie możliwości prawne, aby wymusić rozmowę z nią!

Nie było odpowiedzi — ale też nie przerwano połączenia. Słyszał jedynie cichy szum. Poczuł, że zalewa go pot.

Inspektor Feldmann u komisarza Brauna:

Feldmann: — Pobito go! Według raportu odnośnego komisariatu policji sprawy są nieznani. To trzeci taki wypadek w tym tygodniu, jeśli brać pod uwagę tylko tę dzielnicę. Ale dlaczego akurat Fein?

Braun: — Wcale mnie to specjalnie nie dziwi. Ten człowiek jest wzorcowym przykładem kozła ofiarnego, przyciąga kryminalistów. Ale pozostawmy na razie to zdarzenie kolegom z odnośnego komisariatu. My je tylko odnotujemy, nic poza tym. Na wnioski mamy czas.

— A więc jeszcze żyjesz? — Harald Fein usłyszał jasny, przepojony łagodną ironią głos, pozbawiony wszelkiego ciepła. Był to głos jego syna Heinza. — Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt, że nagle się nami interesujesz... co zresztą matka, twoja kochana żona, uważa za natrętne naprzykrzanie się?

— Co się stało z Helgą? — zapytał Harald Fein.

— Kogo ty pytasz? — powiedział syn niechętnie, niemal wrogo. — I dlaczego pytasz o to dopiero teraz? To, co się stało z Helgą, wydarzyło się przed trzema czy czterema dniami. Od dwudziestu czterech godzin piszą o tym wszystkie gazety. A więc twoje zainteresowanie jest mocno spóźnione.

— Nie mogłem się odezwać wcześniej, Heinz, jestem w szpitalu.

— Na oddziale dla alkoholików?

— Przedwczoraj wieczorem, wkrótce po otrzymaniu wiadomości o śmierci Helgi, napadnięto mnie i pobito. I prawdopodobnie Antona na dodatek. Dopiero teraz odzyskałem przytomność.

— Czy naprawdę jesteś pewien — dopytywał się z całą powagą Heinz — że sobie tego wszystkiego nie wmawiasz... na przykład dlatego, że za dużo wypijeś? W każdym razie matka twierdzi, że pijesz znowu.

— Leżę w szpitalu na prawym brzegu Izary, Heinz. Informacji na temat odniesionych przeze mnie obrażeń może udzielić lekarz. A także odnośny komisariat policji. Zapytaj kogo chcesz, jeśli mi nie wierzysz.

— A kto na ciebie napadł? I dlaczego? Czy próbowano ci coś zabrać? Na co polowano? Na pieniądze? Życie? Czy teczkę z aktami?

— Przecież to nieważne, Heinz! Chcę wreszcie wiedzieć, co się stało z Helgą!

— Znalaziono ją martwą — poinformował syn. — W Nymphenburger Kanał. Jak wiesz, nie umiała pływać. Nie nauczyłeś jej tego, zresztą mnie też nie. Przypuszcza się, że Helga popełniła samobójstwo.

— Ale dlaczego, Heinz, dlaczego to zrobiła?

— Zdaniem matki było to swego rodzaju duchowe spięcie, reakcja na nie odwzajemnioną miłość, poczucie całkowitego opuszczenia. Wszystko z twojej winy! Jeszcze wyraźniej mówi twój kochany teść. Twierdzi on, że ty spowodowałeś śmierć Helgi swoją zimną obojętnością, duchowym okrucieństwem, że tak powiem.

— Nie! — Harald Fein oddychał ostatkiem sił. — To przecież zupełny absurd, Heinz! To oszczerstwo, przewrotność, to wstrętne!

— To zrób coś, żeby temu przeciwdziałać! — powiedział syn niemal bezwzględnie, niemal agresywnie. I zakończył rozmowę.

Notatka adwokata doktora Henriego Messera — po pierwszej wizycie w klinice na prawym brzegu Izary, u Haralda Feina:

„Zadaję sobie wiele trudu, żeby po prostu nie skończyć z tą sprawą. Irytuje mnie uparta skrytość Haralda Feina.

Tak, na przykład, potwierdza on jedynie to, że ktoś go napadł. Nie wdaje się w rozważania, kto mógł go napaść i dlaczego. W każdym razie przyznaje, że zniknęła jego teczka.

Moje pytanie: — Co zawierała ta teczka?

Kontrpytanie: — Jak się ma Anton?

I tak to wygląda. Powiedziałem mu, że Anton jest u Kellera. Zdaje się, że mu to sprawiło wielką ulgę. Następnie chciał wiedzieć, czy Antona także zraniono. Zaprzeczyłem, mimo że nie wiedziałem dokładnie, jak jest naprawdę. Keller powiadomił mnie jedynie, że pies ma się dobrze.

— Jak to dobrze! — powiedział Fein, niemal szczęśliwy.

— Pozwoliłem sobie zapytać pana, co było w tej teczce?

Odpowiedź: — Plany budowy domków indywidualnych.

Trzy. Mówiąc ściślej: projekty oraz wstępne kalkulacje.

Pytanie: — I dlaczego je panu zabrano?

Odpowiedź: — Możliwe, że ktoś spodziewał się znaleźć w teczce coś zupełnie innego, na przykład czerwoną teczkę z dokumentami. Nie mam jej, ale mi nie wierzą.

Pytanie: — Panie Fein, co pan przede mną ukrywa?

— Prawdopodobnie mnóstwo rzeczy — odpowiedział, jak gdyby to było coś naturalnego.

Odebrało mi mowę. Byłem bliski zrezygnowania z tej sprawy. Postanowiłem jednak podjąć definitywną decyzję dopiero po rozmowie z Kellerem".

— Kogóż to pan sprowadził? — zapytał Kellera nadkomisarz Dürrenmaier, patrząc ze zdumieniem na Antona. — Czy to nowy pracownik prezydium policji?

— Ten pies — wyjaśnił uprzejmie Keller — wabi się Anton. Jest moim gościem. Opiekuję się nim, niestety tylko przejściowo. Nie można temu nic zarzucić, zwłaszcza że nie ma takiego przepisu, który by zabraniał przebywać psom w tym gmachu.

— Dobrze, już dobrze, drogi kolego! — Wyglądało na to, że Anton spodobał się naczelnikowi wydziału. Pies wyczuł to natychmiast i zaczął machać ogonem. — Ale co ten pies umie? Czy tropi ślady, czy potrafi wywęszyć narkotyki, czy też umie robić coś innego?

— On jest towarzyszem człowieka — powiedział Keller.

Dürrenmaier, uprzejmy jak zawsze, wskazał swojemu świetnemu pracownikowi od ustalania przyczyn śmierci oraz psu uprzywilejowane miejsce tuż obok swego biurka. — Drogi panie kolego — powiedział — wie pan dobrze, jak bardzo pana cenię.

— Wiem — odparł Keller z uśmiechem. — Uchronił mnie pan nawet od przedwczesnego zmarnowania sił na stanowisku kierownika zespołu do spraw morderstw. Zamiast tego mogę spokojnie zajmować się trupami.

— Drogi panie kolego, pan był o krok od aresztowania pewnego ministra.

— I pewnego podsekretarza stanu na dodatek.

— To było zuchwalstwo, nie uważa pan? Chociaż z pewnością nie bezzasadne... ale zostawmy to. A poza tym, jeśli pan sobie tego życzy, może pan znowu objąć zespół do spraw morderstw, aktualnie najważniejszy.

— Tak, zespół Brauna, prawda?

Nadkomisarz Dürrenmaier skinął głową. — Braun — powiedział otwarcie — jest, jak wiadomo, znakomitym praktykiem. Ale ma także swoje słabe strony, swoje uprzedzenia, źródła błędów.

— Czy to znaczy — zapytał czujnie Keller — że pan oczekuje ode mnie, abym kontrolował postępowanie komisarza Brauna?

— Pomyślałem sobie — powiedział Dürrenmaier z nie zmaczoną uprzejmością — że człowiek z pańskim doświadczeniem byłby jak najbardziej w stanie spostrzec na czas ewentualne błędy i razem ze mną je wyeliminować.

Nadkomisarz popatrzył najpierw na Kellera, a potem na Antona. Pies leżał u stóp komisarza. Całość wyglądała nader idyllicznie.

— A jak pan sobie to wyobraża w praktyce?

— Stosunkowo prosto, panie kolego. Pan sam stworzył już możliwość po temu. — Nadkomisarz otworzył leżącą przed nim teczką. — Oto pańskie sprawozdanie dotyczące śmierci Helgi Fein.

— Jeśli się nie mylą, jest to siedemset szesnaste sprawozdanie w tym roku. Każde z dotychczasowych podpisywał pan bez zastrzeżeń. Czy tym razem ma być inaczej?

— Ogarnąło mnie zdumienie, gdy przeczytałem nazwisko Fein. Zająłem się więc pańskim sprawozdaniem dokładniej niż dotychczasowymi. Zaniepokoiły mnie przy tym pewne szczegóły, które chciał pan chyba podkreślić. A może to było niezamierzone, panie Keller?

— Ja wiem, pan umie czytać.

— A więc to nie było przypadkowe! — stwierdził nadkomisarz. — Zgodnie z pańskim sprawozdaniem mogło to być samobójstwo. Ale wśród innych obrażeń odnotował pan również uderzenie w tył głowy.

— Możliwe, że skacząc do wody uderzyła się o jakiś tępy przedmiot w kanale, na przykład o kamień albo o belkę.

— Ale też nie można wykluczyć tego, że zmarła została ogłuszona ciosem w głowę, zanim wpadła do kanału.

Keller patrzył na swojego przełożonego z coraz większym uznaniem. — A cóż jest całkowicie niemożliwe w naszym zawodzie?

— I właśnie dlatego, panie Keller, będzie się pan musiał zająć tą sprawą jeszcze bliżej niż dotychczas. Odnoszą wrażenie, że pan tego chce. — Dürrenmaier zachowywał się teraz bardzo służbowo. — Upoważniam pana do tego! Daję panu w tym wypadku całkowicie wolną rękę, z tym że będzie pan musiał składać mi codziennie sprawozdanie.

— A czy liczy się pan z tym, że rezultaty moich dochodzeń mogą się nie zgadzać z wynikami śledztwa prowadzonego przez komisarza Brauna?

— Mówiąc szczerze: mam nadzieję, że tak będzie.

— Może byłoby lepiej, gdyby pan wysłał mnie na urlop, w miarę możliwości aż do momentu przejścia na emeryturę?

— O tym porozmawiamy później. Na razie jest pan tu bardzo potrzebny. I niech pan pamięta, że może tu chodzić o prestiż naszej policji kryminalnej.

Monachium było zawsze miastem jaskrawych sprzeczności: z gruntu solidne poczucie obywatelskie i zajądła żądza niszczenia; łagodna piwiarniana przytulność i dzikie zawadiactwo. Stara ojczyzna i nowe miasto, miasto rewolucji.

Radykalność — i to często za wszelką cenę! Zwiększona przez późnokapitalistyczną gradację wielkości. Krzycząco natrętnie występowały te same nazwy firm wszędzie tam, gdzie rzekomo miało się do czynienia z nowymi osiągnięciami: na Schwabingu, poniżej Stachusa, na terenach olimpijskich.

Wszędzie te same nazwiska: Kaufhof — Neckermann — Wienerwald — Hertie — Oberpollinger — Woolworth — Hacker — Löwen — Pschorr i inne imperia piwowskie. Na największych placach wielkich budów: Duhr — Plattner — Moll. Wszystko za zgodą zarządu miasta, który też był zależny od pewnych przepisów i któremu raczej nie pozostawało nic poza aprobatą. Rewolucjoniści społeczni protestowali gorąco przeciwko temu. Żądali zniesienia opłat za przejazdy miejskimi środkami lokomocji, za elektryczność, gaz i wodę, a na dodatek: wywłaszczenia z ziemi oraz utworzenia swego rodzaju komun dzielnicowych, ulicznych i domowych.

Burmistrz był zdania, że nie da się tego zrealizować w praktyce, że przekroczyłyby to wielokrotnie dochody miasta. Na co opozycjoniści w łonie jego partii odpowiadali, że jeśli nie ma zupełnie zrozumienia dla konsekwentnego socjalizmu, to powinien ustąpić!

Te żądania stawiało dziesięciu przedstawicieli podrejonów. Byli oni wybrani przez dwustu delegatów dwunastu tysięcy monachijskich socjaldemokratów. Burmistrza natomiast wybrało bezpośrednio blisko osiemdziesiąt procent mieszkańców miasta.

Jego wrogowie w partii i poza nią tęsknili do skandalu — takiego, który by go dosięgnął. Zanosilo się na to, że ich marzenia się spełnią.

— Mój Boże, Haraldzie, jak ty wyglądasz! — zawołała z troską w głosie Melania Weber, podchodząc do jego łóżka. — Co też za historie wyprawiasz!

— Ja je wyprawiam czy też ze mną je wyprawiają?

— Obandażowali cię jak mumię. Postaram się o to, żebyś przynajmniej możliwie wyglądał.

— Jeśli przeszkadza ci mój wygląd, Melanio, to wystarczy nie patrzeć... albo odejść.

— Mój drogi — powiedziała ostrożnie Melania Weber — zostaw te żarty. Mam wrażenie, że się zmieniłeś... nie tylko przez te bandażę, lecz także w głębi duszy.

— Przykro mi, Melanio, że cię rozczarowuję.

— Roczczarowujesz mnie? — Cała jej kosmetyczna piękność promieniała życzliwością dla niego. — Teraz dopiero, mój drogi, przekonasz się, jaka jestem naprawdę.

...nieco później Melania Weber powiedziała do swojej przyjaciółki, Hildy Fein:

— ...nie masz pojęcia, jak on się zmienił! Pod każdym względem! Choćby czysto fizycznie: ma spuchniętą twarz, ranę na środku czoła, przekrwione oczy. Podobno ma też wiele sińców... chyba znowu pije: jego ręce są niespokojne. Prawdopodobnie po wyjściu z jakiejś knajpy wdał się w jakąś bijatykę. Wtedy go zbito i obrabowano; wiadomo, jak to się dzieje... ale zmiany, jakie zaszły w jego usposobieniu... są naprawdę przygnębiające, Hildo... przedtem miał zawsze poczucie humoru, a to, co mówi teraz, jest

raczej cyniczne i dość agresywne... Czy pytał o Helgę? Nic podobnego! Nie zapytał nawet o swojego psa! O ciebie naturalnie także nie.

— Co się stało z Helgą? — zapytał Harald Fein.

— Nie wiem, nie wiem dokładnie — zapewniła go Melania.

— Powiedz wszystko, co na ten temat słyszałaś.

— Wiem tylko to, co pisały gazety.

— A co wie Hilda? Co ci powiedziała?

— Nic, mój drogi. Zerwałyśmy ze sobą. Z twojego powodu!

Harald Fein zdawał się nie słyszeć tej ostatniej uwagi. Powiedział: — Jeśli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić, spróbuj, proszę, dowiedzieć się, co się stało z Helgą. Zapytaj Hildę o wszystkie szczegóły.

— Czy mam także zająć się twoim psem?

— Nie, nie trzeba. Jest w dobrych rękach.

— To pięknie — powiedziała Melania.

Wypowiedź lekarza naczelnego, dr. Hubera, oddział chirurgiczny, złożona wiele tygodni później:

„— Jeśli chodzi o przypadek Haralda Feina, to było to typowe ciężkie pobicie. Badałem go i leczyłem. Operacja nie była konieczna. Wydawało się, że brak mu właściwej odporności. Był jednym z tych pacjentów, którzy wkrótce budzili moje współczucie. Był niesłuchanie cierpliwy, pogodzony ze swoim losem i bardzo smutny. Nie miał żadnych życzeń, nie zabierał czasu siostram, wykonywał wszystkie nasze polecenia niemal bez pytania. Było to tym bardziej godne uwagi, że wiele ludzi narzucało mu się w niemal bezwzględny sposób. Między innymi mecenas Messer. A także jakaś pani Weber, bardzo ekscentryczna kobieta, która próbowała mi wytłumaczyć, co to jest chirurgia kosmetyczna. Przychodził także jakiś człowiek z psem! Powiadomiłem Haralda Feina, że jeżeli będzie

sobie życzył, to mogę mu oszczędzić 'Wszelkich wizyt. Odpowiedział, że są ludzie, których prędzej czy później nie da się uniknąć".

— Musisz stąd wyjść! — powiedziała Melania Weber. W głosie jej dźwięczała miłość i troska. — Bo inaczej wiele stracisz.

— Na przykład co?

— Musisz przecież znowu zacząć pracować. Musisz pomyśleć o swojej obronie. Przebywać ze mną więcej niż dotychczas. Gdybyś był u siebie, mogłabym się zająć tobą zupełnie inaczej...

— Ach, Melanio, lekarz powiedział, że potrzeba mi tylko spokoju. A interesuje mnie jeszcze jedynie to, co się stało z Helgą... i jak się ma Anton. Chciałbym też chętnie pomówić z Heinzem. Ale poza tym... jestem strasznie zmęczony. Chcę spać.

— To minie, przy mojej pomocy. Zaangażuję dla ciebie prywatną pielęgniarkę. Spróbuję sprowadzić twojego syna. A gdy będziesz u siebie, może cię też odwiedzać Anton. Tutaj w szpitalu to przecież niemożliwe.

— To jest argument — powiedział Harald Fein, siadając na łóżku.

— Musisz znowu stać się aktywny. Przyniosłam ci dwa listy, które może są ważne.

List pierwszy — do inż. arch. Haralda Feina.

Nadawca: konsul Max Emanuel Wagner, właściciel wielkiego browaru, dwóch hoteli, członek zarządu Narhali, przewodniczący Związku Starych Obywateli, członek Komitetu Olimpijskiego, Sekcja Ruchu Turystycznego:

.... z ubolewaniem muszę Panu przypomnieć, że bynajmniej nie udzieliłem Panu wiążącego zlecenia na sporządzenie planów mojego domu... odbyły się jedynie czysto informacyjne rozmowy wstępne... które nie pociągają za sobą najmniejszych zobowiązań... zwłaszcza że w najbliższym czasie nie zamierzam... co proszę przyjąć do wiadomości..."

Uwaga Haralda Feina:

— Konsula Wagnera, znanego w całym mieście, cenionego przez wszystkich człowieka honoru, wiązą ściśle więzi handlowe z firmą *Plattner*.

List drugi —

nadawca: Mehlinger i Kolbe, referenci podatkowi:

„...musimy niestety poinformować Pana, że na skutek informacji udzielonej przez firmę *Plattner*, przeznaczonej także dla odnośnych władz finansowych, Pańskie zadłużenie z tytułu podatków poważnie się zwiększyło.

...w ubiegłym roku pobrał Pan z firmy *Plattner* nie tylko trzydzieści tysięcy marek dodatkowo, lecz ogółem sześćdziesiąt tysięcy marek... z czego wynika, iż musi Pan nie tylko wkrótce zwrócić firmie *Plattner* całą nadpłaconą sumę, lecz także i to, że Pańskie zadłużenie podatkowe z tego tytułu wzrosło o 18.520,33 marek, które należy wpłacić w ciągu czternastu dni...”

Uwaga Haralda Feina:

— Wielce szanowni referenci podatkowi Mehlinger i Kolbe pracują od bez mała dwudziestu lat dla firmy rodziny Plattnerów. Firma wypłaca im zryczałtowane honorarium. W ten sposób jestem kompletnie zrujnowany finansowo.

— Panie Messer, to wcale nie jest przyjęte — stwierdził niechętnie komisarz policji kryminalnej Keller. — Posuwa się pan za daleko, wkraczając w moje życie osobiste.

— Wiem bardzo dobrze, panie Keller — powiedział z wyszukaną uprzejmością Messer — że prywatne mieszkanie funkcjonariusza policji kryminalnej powinno być tabu, naturalnie także dla adwokatów.

— To dlaczego wbrew temu pan tu przyszedł?

— No powiedzmy, żeby się dowiedzieć, jak się czuje Anton.

— Dobrze, jak na te warunki. — Keller wskazał na tapczan, na którym pies wyciągnął się jak długi. Zdawał się w ogóle nie dostrzegać Messera, co u Antona było już pośrednim dowodem sympatii.

— A dlaczego naprawdę pan przyszedł? — zapytał Keller.

— Prosić o pańską pomoc!

Keller uśmiechnął się. Przyjął Messera w najważniejszym pomieszczeniu swojego mieszkania. Wzdłuż ścian pokoju stały półki pełne książek. Była to przeważnie literatura fachowa.

— A więc przychodzi pan w sprawie Haralda Feina?

— Tak, panie Keller! Nie mogę po prostu dać sobie rady! Nie potrafię się ani o krok naprzód!

— To zrozumiałe, panie Messer. Pan myśli zupełnie w inny sposób niż on. Jest pan znakomitym obrońcą w sprawach karnych, ale co pan na przykład wie o dniu powszednim kryminalistyki?

— Stale się czegoś uczę. Przebrnąłem nawet przez podręcznik kryminalistyki, wydany przez Federalny Urząd Kryminalny, w którego opracowaniu pan także uczestniczył!

— To niezła książka, ale ma też swoje błędy. Teraz pracuję nad książką na temat ustalania przyczyn śmierci, która to książka stanie się moim zdaniem podręcznikiem.

— Na pewno. Ale w tej chwili interesuje mnie przede wszystkim jedno: mój klient Fein odmawia praktycznie wszelkiej współpracy.

— Tak, to skomplikowany człowiek.

— On jest tak niedostępny, że po prostu niebezpieczny dla samego siebie! Niech mi pan, proszę, powie, jak mam sobie z tym poradzić. Jeśli ktoś może mi pomóc, to tylko pan!

Podstawowe założenia „ekspertyzy” prof. dr. Geisenberga — tu w jego własnej interpretacji, przeprowadzonej zgodnie z życzeniem i w sposób możliwie przejrzysty:

.... miałem wiele razy okazję prowadzić długie rozmowy z Haraldem Feinem... początek był trudny, ale potem wza-

jemne zaufanie wzrastało... aż do całkowitej niemal szczerości... wydawało się, że Harald Fein, po wielu poważnych rozczarowaniach do ludzi, miał skłonność do wielkiej skrytości, przynajmniej jeśli chodzi o jego życie prywatne... w przeszłości ufał niemal bez zastrzeżeń wszystkim otaczającym go ludziom i oczekiwał od nich równie wielkiego zaufania do niego... aby w ten sposób móc prowadzić możliwie bez przeszkód i możliwie bezpiecznie swego rodzaju własne, osobiste życie... nie jest bynajmniej typem człowieka społecznego... bardzo wrażliwy, nieśmiały, niesłuchanie powściągliwy we wszystkich wypowiedziach — pozytywnych i negatywnych — łatwo urażalny, w pewien sposób niezyciowy... nie mógł uniknąć rozczarowań..."

— Niemal jedyną rzeczą, którą naprawdę wiem o Feinie, jest to, jak się odnosi do swojego psa — powiedział Keller — a to przemawia zdecydowanie za nim.

— Harald Fein reaguje jak sejsmograf. Nawet na najmniejszy wstrząs. Jak można mu pomóc? Nie wiem.

— Ach, mój drogi! Niech pan się nie zachowuje tak, jak gdyby wyczerpał pan wszystkie swoje możliwości. Siedzi pan w samym środku sprawy. W tej chwili potrzebuje pan prawdopodobnie kogoś z dużym doświadczeniem, znającego kryminalistykę praktycznie. I próbuje mnie pan wykorzystać do swoich celów, prawda?

— Powiedzmy: dla dobra pana tego psa, który, jak widać, przypadł panu do serca.

Anton wskoczył Kellerowi na kolana. Komisarz powiedział w zamyśleniu: — Jeśli pan chce sobie poradzić z takim człowiekiem jak Braun, musi pan nastawić się na jego sposób myślenia i stosować jego metody.

— Ale jak?

— Niech pan spróbuje — powiedział Keller — uzgodnić z Braunem coś w rodzaju wizji lokalnej w domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy z udziałem Penatscha. Musi pan przy tym przekonać Feina, że powinien się stawić! Jestem pewien, że Braun na to pójdzie.

— Co za pytanie! — powiedział Messer. — Przecież będzie miał w ręku wszystkie atuty. Jego świadek koronny Penatsch świetnie orientuje się w tym domu, a Fein nigdy nie przestąpił jego progów; naturalnie Braun to wyko rzysta.

Keller uśmiechnął się, drapiąc Antona za uszami, i powiedział: — To przecież nie jest najważniejsze! Chodzi o to, że będzie pan miał okazję poznać bliżej tego Penatscha i ocenić go. A może przy pańskiej zręczności uda się panu wyrzucić na niego wpływ. Może go pan co najmniej pozbawić pewności siebie. A następnie, w miarę możliwości, manipulować nim. Wykorzystując to, co pan o nim wie.

— A co ja o nim wiem?

— Mnóstwo rzeczy. Między innymi parę takich, o których prawdopodobnie nie wie nawet Braun, ponieważ nie przywiązuje specjalnie znaczenia do zdobycia odpowiednich dokumentów. — Keller delectował się zaskoczeniem Messera. — Niech pan przeczyta.

Henr i Messer wziął do ręki gęsto zapisaną kartkę, którą wręczył mu Keller. Ten półoficjalny dokument zawierał pod hasłem „Penatsch” różne daty i szczegóły. Messer patrzył ze zdziwieniem na te rezultaty gruntownych dochodzeń policji kryminalnej. Była to dla niego niesłychanie przyjemna lektura.

— Wspaniale! — zawołał. — I mogę tym dysponować?

— Tak, panie Messer. To znaczy: niech pan zapamięta wszystkie szczegóły, które uzna pan za potrzebne. Może pan nawet zrobić sobie notatki. Ale niech pan pamięta, że nigdy nie otrzymał pan ode mnie żadnych podkładek na piśmie. Zrozumiał pan?

— A więc mam, że tak rzeknę, urzędowy materiał, ale nie wolno mi nigdy powiedzieć od kogo. Zgoda. A czy ten materiał jest faktycznie bezbłędny?

— Jest to wyciąg z akt policyjnych. Z dochodzeń specjalistów i z informacji udzielonych przez godnych zaufania ludzi. Ale, proszę, niech pan zwróci uwagę na to, że jest to tylko zbiór materiałów; nic z tego nie może służyć za dowód z punktu widzenia prawa.

— Całkowicie zrozumiałem! — potwierdził zachwycony Messer. — Jest to materiał będący czymś w rodzaju kart. Wszystko zależy od tego, jak się go rozegra.

Keller uśmiechnął się: — Prędko się pan uczy!

— Co za sztuka, jeśli się ma takiego nauczyciela jak pan!

Fragmenty nagranej na taśmie dźwiękowej rozmowy telefonicznej między prokuratorem dr. Barthlem a komisarzem Braunem:

„Barthel: — Pytam tylko po to, aby zasięgnąć ogólnych informacji. Jak daleko posunął pan sprawą przypadku na ulicy V numer trzydzieści trzy?

Braun: — Niewiele dalej, panie prokuratorze. Harald Fein był i jest dla nas podejrzanym numer jeden!

Barthel: — Nikt poza tym?

Braun: — Nikt nie jest poważnie obciążony.

Barthel: — Ta wiadomość uspokoiła mnie w pewnym stopniu, panie komisarzu. Gdyby pan jednak był zmuszony podać do wiadomości publicznej jeszcze jakieś nazwiska osobistości z życia publicznego, na przykład polityków, to bardzo proszę niezwłocznie mnie o tym powiadomić”.

— Wiele razy nie chciałeś mnie przyjąć .— stwierdził urbanista Abendroth bez cienia wyrzutu w głosie. — I o ile cię znam, czyniłeś tak jedynie ze względu na mnie.

— Znasz mnie — powiedział Harald Fein, leżąc w łóżku szpitalnym. — Ale boję się, że nie znasz mnie jeszcze wystarczająco dobrze.

Abendroth miał wąską, suchą, przeoraną setką zmarszczek twarz. Jego wysokie czoło było zbyt gładkie. Był dokładnie w tym samym wieku co Harald Fein: miał czterdzieści sześć lat.

— Gdy przed dwoma czy trzema laty — powiedział ostrożnie Abendroth — doprowadziłeś do tego, żeby nasza przyjaźń, powiedzmy, uległa zahamowaniu, domyśliłem się, dla czego to zrobiłeś. Ale nie mogłem mówić z tobą na ten temat.

— Czy chcesz to teraz nadrobić?
— Dostyc późno, prawda? Mam jednak nadzieję, że nie za późno.

Harald Fein przymknął oczy. — A więc znasz prawdę — powiedział.

Abendroth skinął głową. — Znam twoją część prawdy. Ale ty chyba nie znasz mojego w tym udziału.

Wiadomości radiowe:

„...przewodniczący partii CSU oznajmił na zebraniu przedwyborczym, że deputowany Geldner, FDP, wystąpił ze swojej partii i zwrócił się z prośbą o przyjęcie w szeregi CSU...”

„...przewodniczący frakcji parlamentarnej FDP oświadczył, że deputowany Geldner nie ma bynajmniej zamiaru opuścić swojej partii. Przyjął on ofertę CSU jedynie pozornie, aby zdemaskować stosowane przez tę partię metody kaperowania członków innych partii...”

— Dziękuję ci, że przyszedłeś. Chcesz mi pomóc, ale ja nie mogę tego przyjąć. Muszę ci bowiem wreszcie powiedzieć, dlaczego nasze drogi się wówczas rozeszły. Dlaczego musiały się rozejść.

— Pozwól, że ja to powiem — zażądał Abendroth — mnie będzie łatwiej niż tobie.

— Nie, Hermann, to moja sprawa! — I Harald Fein wyznał z wielkim wysiłkiem: — Plattner zawsze chciał, żebym wykorzystał znajomość z tobą. Chodziło mu zwłaszcza o twoje wstępne plany dotyczące budowy metra i dróg dojazdowych do terenów olimpijskich. Początkowo broniłem się przed tym. W końcu jednak skapitulowałem... aby wreszcie mieć spokój, aby uwolnić się od presji Plattnera, nacisków mojej żony, żądań tego rodzaju ludzi co Jonass. Podczas mojej ostatniej wizyty w twoim urzędzie dałeś mi do wglądu swoje projekty, całkiem po przyjacielsku, w zaufaniu. A wiesz, że jak wielu architektów mam fotograficzną pamięć.

— Tak, Haraldzie, wkrótce zdałem sobie z tego sprawę.

— Ale nie spodziewałeś się po mnie, że jestem zdolny doprowadzić do tego, co się później stało! Odtworzyłem z pamięci twoje projekty i udostępniłem je Plattnerowi, a on wykorzystał je już na swój sposób. Taka jest prawda. Potem nie mogłem ci już spojrzeć w oczy. Bo przyjaciel tak nie postępuje!

Dalsze wiadomości radiowe:

....przewodniczący frakcji parlamentarnej CSU oświadczył w Bundestagu, że próbuje się go wywieść w pole w jak najbardziej podstępny sposób..."

„...rzekomo skłonny do przejścia do innej partii deputowany Geldner oświadczył, że starał się jedynie wyjaśnić budzące wątpliwości manipulacje polityczne, w celu zdemaskowania podstępnych manewrów..."

— Ach, Harald, stary przyjacielu — powiedział Hermann Abendroth — wcale nie było tak, jak myślisz.

— Zaufałeś mi, a ja cię oszukałem.

— Nie, to nieprawda.

— Przeze mnie Plattner poznał przedwcześnie twoje projekty i na skutek tego zarobił miliony. To jest fakt, którego nie można cofnąć.

Komentarze dwóch rozgłośni — bawarskiej i heskiej — po zakończeniu wiadomości radiowych:

Pierwsza rozgłośnia: „...jest to wydarzenie graniczące z przestępstwem kryminalnym... rola prowokatora, który nie zasługuje na jakąkolwiek sympatię... a której punktem szczytowym był podpisany przez Geldnera list do drugiego rangą człowieka w naszym państwie... list ten należy określić jako czyste kłamstwo..."

Druga rozgłosnia: „...jest to wydarzenie, które grozi postawieniem naszej demokracji pod znakiem zapytania... podły handel mandatami poselskimi, który demaskuje fakt, że mianowanie przedstawicieli narodu, którzy podobno mają podejmować decyzje w imieniu wyborców, jest wewnętrzną manipulacją partyjną... tylko energiczne, skuteczne zdystansowanie się od tego rodzaju elementów...”

— Twoja prawda, Haraldzie, nie jest całą prawdą. Bo plany, które przekazałeś Plattnerowi, nie były moją ostateczną wersją. Przerobiłem je.

— Po mojej wizycie u ciebie?

— Wkrótce po niej. Zmieniłem je, i to gruntownie, ponieważ przestały mi się podobać. Przekazałeś więc Plattnerowi projekty niezgodne już z moimi.

— Ależ one są mimo to zgodne!

— To przypadek. Chociaż szczegóły, które przekazałeś Plattnerowi, faktycznie odpowiadały w poważnym stopniu opublikowanym później oficjalnie projektom budowlanym, to już nie ja byłem autorem tych planów, lecz jeden z dwóch dokooptowanych później urbanistów z Frankfurtu i Berlina.

— Teraz dopiero widzę — powiedział Harald Fein — co ja narobiłem i jak wielka jest moja wina.

— Przestań o tym myśleć. Nie obciążaj się jeszcze tym, i tak ci jest wystarczająco ciężko.

— Od lat, Hermannie, prześladowuje mnie ta sprawa, zdrada przyjaciela. Myśl, że cię nie tylko oszukałem, lecz także ściągnąłem na ciebie niebezpieczeństwo, doprowadziła mnie do choroby. Nie mogłem się skoncentrować na pracy. Zacząłem pić. Pogardzałem sobą.

— Mój Boże, wystarczyłaby jedna przyjacielska rozmowa.

— Nie, to nie takie proste! Nie doceniasz Plattnera. To, że odtworzyłem twoje projekty dróg dojazdowych do terenów olimpijskich, stało się najważniejszym środkiem wywierania na mnie presji. Bo on mi groził, że jeśli będę mu robił trudności, każe cię wyrzucić.

— Nie jest w stanie!

— Ale mógłby spróbować, i już samo to spowodowałoby wiele smrodu bez względu na rezultat końcowy.

— Pozwól, niech się tak stanie!

— Nie! Muszą wziąć wszystko wyłącznie na siebie. Dochodzi do tego jeszcze fakt, że zmusiłem cię do rezygnacji z wykorzystania twoich pierwotnych planów. A one były dobre! To było najlepsze, najbardziej przekonujące rozwiązanie, a ty musiałeś pozostawić je innym.

Ponowne wyjaśnienia przewodniczących zainteresowanych partii na temat sprawy Geidnera, opublikowane w prasie, radiu i telewizji;

Pierwszy z nich: „...użyto tu takich metod, że człowiek czuje pokusę mówienia o oszustach i gangsterach...”

Drugi z nich: „.....uczciwy demokratą zaryzykował swoją dobrą opinię, aby potem przez oszustów i gangsterów...”

— Przesadzasz. Uważasz wszystko za bardziej skomplikowane, niż jest naprawdę — powiedział Hermann Abendroth.

— To w niczym nie zmienia tego, co zrobiłem — odrzekł Harald Fein — i to przyjacielowi! — A potem dodał cicho

— Jedyńemu, jakiego kiedykolwiek miałem.

— Jestem nadal twoim przyjacielem. Dlatego przyszedłem. Powiedz, proszę, co mogę dla ciebie zrobić?

— Wiem tylko, Hermannie, co ja mogę dla ciebie zrobić!

— Fein oświadczył to niemal z uroczystym zdecydowaniem. — Mianowicie: nie zakłócać twojej sfery działania. Nie narażać na niebezpieczeństwo twojej pracy, jakiej dokończyłaś w ostatnich latach! I dlatego proszę cię, żebyś odszedł.

— Nastaw głośniej radio — powiedział Abendroth. — Podelektujecie się razem skowytami szakali.

Przyjęcie u przewodniczącego parlamentu bawarskiego — człowieka honoru i sprawiącego wrażenie dobrodusznego — wydane dla „prominentów życia gospodarczego”.

Udo Argus z „Morgenzeitung” pisał na ten temat:

„...w wielkiej, rozjarzonej kryształowymi żyrandolami sali”, nad którą dominował herb Bawarii, zebrało się wielu wybitnych ludzi. Zgrupowali się wokół bufetu, zastawionego wyszukаныmi potrawami przez wypróbowaną firmę *Kafer*, rozmawiali zżywieniem przy poszczególnych stołach...

Po czym następowało normalne wyliczenie tych ludzi: pełne nazwisko, tytuł i stanowisko. Tak na przykład oprócz przewodniczącego Landstagu Argus wymienił: dwóch ministrów, czterech podsekretarzy stanu, dwudziestu czterech senatorów, jednego z dwóch zastępców burmistrza, przedstawicieli banków, towarzystw ubezpieczeniowych, pewnej fabryki budowy silników, zespołu rozwoju elektronicznej techniki broni, dwóch rafinerii ropy, trzech przedsiębiorstw transportowych, pięciu wielkich przedsiębiorstw budowlanych i tak dalej. Razem około dwustu pięćdziesięciu osób.

...pan przewodniczący Landstagu wywodził:

„— ...przed paru tygodniami miałem zaszczyt i przyjemność gości w tej sali wybitnych przedstawicieli kultury i nauki, teatru i filmu... za parę tygodni będę gościł przedstawicieli gospodarki rolnej i leśnej, zamków i jezior, zio-mkostwa i zwyczajów ludowych... dziś mam zaszczyt i przyjemność gościć wybitne osobistości... które... dla dobra naszego kraju i jego mieszkańców...”

Niemal już osłupłego nestora socjaldemokratów wolnego państwa Bawarii otaczała troskliwą opieką jedna z deputowanych do Landstagu z ramienia jego partii. Starzec uśmiechał się. Niedyś był popularnym premierem Bawarii.

Jego ulubiony uczeń, burmistrz tego miasta, postarał się jeszcze szybko o to, żeby mu przyznano „wielką nagrodę w dziedzinie kultury”. Wbrew wszelkim oporom ze strony chrześcijańskich demokratów. Był także honorowym obywatelem Monachium.

Nikt już z nim nie rozmawiał. Zupełnie osamotniony siedział wśród ludzi. Uśmiech zamarł mu na ustach.

Dwóch z pięciu zaproszonych wielkich przedsiębiorców budowlanych siedziało przy jednym stole: Plattner i Duhr — z firmy *Duhr — Beton*, *Duhr — Przedsiębiorstwo transportowe*, *Duhr — Roboty budowlane naziemne i podziemne*, *Duhr — Budowa dróg*, *Duhr — Dźwigi i pogłębiarki*. Zdawali się cieszyć tym wieczorem.

Plattner: — Jestem niemal pewien, że projekt arterii wylotowej wschód wraz z drogą zasilającą zachód zostanie zrealizowany. Mam tam sporo ziemi.

Duhr: — Mogę ci tylko pogratulować!

Plattner: — Nie tylko mnie, lecz także sobie! Bo na pewno będę chciał współpracować z firmą takiej rangi jak twoja!

Duhr: — A czy nasza współpraca nie była zawsze korzystna dla obu stron?

Plattner: — Była! Naturalnie musi to zawsze polegać na wzajemności. I dlatego, mój drogi, martwi mnie wiadomość, że zamierzasz zaangażować pana Feina do budowy domu prywatnego wartości trzech milionów marek.

Duhr: — Dlatego, że jest twoim zięciem! Plattner: — Był moim zięciem! Nadużył mojego zaufania i zaplątał się nawet w jakieś historie kryminalne!... Nie możesz mi tego zrobić!

Duhr: — Jeżeli tak, to możesz być pewien, że ci tego nie zrobię.

Na klatce schodowej domu przy ulicy V numer 33 zapalono wszystkie światła, mimo że był dzień. Postarał się o to dozorca Penatsch.

Henri Messer był w świetnym humorze. Ale Harald Fein, któremu zezwolono na dwie godziny opuścić szpital, wyglądał na zagubionego. Punktem centralnym był Penatsch. Komisarz Braun, któremu towarzyszył inspektor Feldmann, wydawał się wiązać wielkie nadzieje z osobą swojego koronnego świadka.

— Skąd pan widział, panie Penatsch — zapytał Braun — pana Feina?

— Z piątego podestu. Widziałem go, jak stał pod drzwiami mieszkania zamordowanej, pukał do nich i coś głośno krzyczał.

— Niech pan będzie uprzejmy stanąć dokładnie w tym miejscu, panie Fein — zarządził Braun.

Fein, otulony w brązowy płaszcz, w brązowym kapeluszu na głowie, stanął zgodnie z poleceniem tuż pod wskazanymi drzwiami. Nie chciał jednak do nich zapukać.

— Jasna sprawa! — zawołał Henri Messer. — Światło z klatki schodowej pada na plecy osoby stojącej pod drzwiami, a więc twarzy nie można było rozpoznać!

— Ale ja widziałem — oświadczył spokojnie Penatsch — ponieważ ten człowiek odwrócił się nagle, może dlatego, że usłyszał moje kroki. Jestem pewien, że to był pan Fein.

— Wolnego — powiedział Messer — tylko się nie spieszyć! Niech pan, panie Penatsch, zwróci uwagę na to, że najpierw są schody, potem drzwi, a dopiero potem źródło światła!

— No to co? — zapytał Penatsch.

— Niech pan się nie da nabrać! — powiedział Braun do swojego świadka. — A próbuje się to zrobić po prostu dlatego, że jeśli pan Fein stał pod drzwiami, to nie mógłby pan rozpoznać jego twarzy, nawet gdyby spojrzał na schody, słysząc pańskie kroki. Bo i tak twarz jego byłaby w cieniu! Zrozumiano?

— To znaczy — powiedział Penatsch — że powiedziałem chyba coś nie tak. W każdym razie faktem jest, że się rozejrzał, na wszystkie strony. I wtedy jego twarz znalazła się w pełnym świetle.

Braun skinął energicznie głową. I zwrócił się do Messe-ra: — Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Co najmniej jeszcze jedno. Panie Penatsch, czy pan jest absolutnie pewien, że pan się nie myli?

— Absolutnie! Zapewniałem już o tym parę razy, a nawet zostało to zapisane.

— Ostatecznie jednak może się zdarzyć, że człowiek się pomyli. — Messer podszedł do Penatscha i uśmiechnął się

do niego, a ten z kolei odpowiedział mu najmiłszym w świecie uśmiechem. — Z pewnością — powiedział Messer — zna pan to piękne przysłowie: mylić się jest rzeczą ludzką?

— Niezupełnie. — Zgięty w grzecznym ukłonie Penatsch pozwolił sobie na żart: — U nas mówiło się zawsze: bądźcie ludzcy dla wariatów.

— Gdzie u nas? — zapytał łagodnie Messer. — W więzieniu?

— Stop! — zawołał komisarz Braun. — Proszę bez takich aluzji, panie mecenasie! Bo jeśli pan o tym nie wie, to jestem gotów wyjaśnić panu, że uprzednia kara nie zmniejsza bynajmniej wartości zeznań świadka. Niech więc pan unika takich prób wywierania presji!

Henri Messer uśmiechnął się spokojnie. — Abstrahując od tego, panie Penatsch, czy chodzi o myślących się ludzi, czy o ludzki stosunek do obłąkanych, nie sądzi pan, że nie wszystko musi być prawdą, co człowiek myśli, że widział? Tak jak nie zawsze musi być prawdą to, co człowiekowi się zdaje, że słyszał?

— Człowieku — powiedział Braun z poczuciem wyższości — niech pan to przetłumaczy na niemiecki.

— Chętnie — powiedział Messer. — Słyszałem na przykład o czymś, co się zdarzyło ponad trzy lata temu. Pewien więzień twierdził wówczas, że jego towarzysz z tej samej celi zwierzył mu się, iż brał udział w popełnieniu pewnego morderstwa.

Dotycząca tego faktu notatka komisarza policji kryminalnej Kellera, udostępniona do wglądu Henriemu Messerowi, oznaczona numerem piątym:

„Penatsch, Peter Paul — październik-listopad 1968 r. osadzony w więzieniu w Stadelheimie z powodu udziału w kradzieży i paserstwie. Przymuszalnie wykorzystywany jako konfident przeciwko współwięźniowi Bleichertowi, podejrzanemu o współudział w zamordowaniu pewnego dentysty, czemu podejrzany zawsze zaprzeczał.

Bleichert wyznał rzekomo w obecności Penatscha, że pewna kobieta nazwiskiem Gruhner wykorzystała jego uległość i zmusiła go do udziału w morderstwie. Penatsch zaprzysiął to zeznanie".

— Twierdzenie to — wyjaśniał cierpliwie mecenas Messer — okazało się potem całkowicie fałszywe. Bo ten, który rzekomo przyznał się do przestępstwa, w ogóle nie brał w nim udziału. Świadek oskarżenia, siedzący w tej samej celi, przyznał się też wreszcie, że prawdopodobnie się przesłyszał. A więc można się mylić, prawda?

Dozorca Penatsch cofnął się. Nieco zmieszany, rozejrzał się dookoła, ale nie patrzył na Brauna. Komisarz stał wyprostowany, jak gdyby gotów do skoku. Harald Fein usiadł na najwyższym stopniu schodów. Zaopiekował się nim Feldmann.

— Do czego pan zmierza panie Messer? — zapytał Braun.

— Do niczego specjalnego, na razie. — Adwokat popatrzył przy tym przenikliwie na Penatscha. — Na razie chcę wskazać na pewne rzeczy, dla których pana świadek, jak sędzę, powinien mieć zrozumienie. Czy się mylę?

— No tak, skoro pan mnie bezpośrednio pyta: niczego nie można twierdzić ze stuprocentową pewnością. — Penatsch nie patrzył przy tym na nikogo. — W każdym razie mogę jedynie zapewnić, że zawsze działałem w dobrej wierze, zawsze! Oczywiście nie mogłem też mieć całkowitej pewności...

— Niech pan łaskawie zamknie pysk! — zawołał Braun.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy! Na razie ogłaszam tę wizję za zakończoną!

*Komisarz Braun — bezpośrednio po tych wydarzeniach
— u nadkomisarza Dürrenmaiera:*

Braun: — Panie naczelniku, dalej tak być nie może! Dürrenmaier:
— Wszystko może być dalej! Co pana tym razem niepokoi?

Braun: — Próbowano mojego najważniejszego świadka w sprawie Feina...

Dürrenmaier: — Niech pan pozwoli, że zwrócę panu uwagę, iż nie ma sprawy Feina! Chodzi tu jedynie o wciąż jeszcze, niestety, nie wyjaśnione morderstwo pewnej kobiety. A zatem proszę: żadnych spekulacji! A teraz niech mi pan powie, co się stało z pańskim rzekomo najważniejszym świadkiem?

Braun: — Ten adwokat Messer próbował nim manipulować! To prawda, że w legalny sposób. Ale oburza mnie to, że Messer operuje faktami z akt policyjnych, przeznaczonych do użytku wewnętrznego.

Dürrenmaier: — Ach, mój drogi, te akta! Złożone w milionach kopii: w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, w krajowych urzędach kryminalnych, u nas w prezydium policji i kto wie gdzie jeszcze! Ostatecznie archiwum założyć może każdy: każde przedsiębiorstwo handlu nieruchomościami, każde biuro budowlane. Dlaczegoż by więc nie miałby tego zrobić adwokat?

Braun: — Ale fakty, na które powołuje się Messer, może znać jedynie z dokumentów policyjnych przeznaczonych do użytku wewnętrznego.

Dürrenmaier: — Czy ma pan na to niewzruszone dowody?

Braun (z wysiłkiem): — Nie.

Dürrenmaier: — To niech się pan trzyma od tego z daleka! Na miłość boską, niech pan będzie ostrożny!

Dzień, w którym chowano Helgę Fein, jaśniał piękną jesienią wczesnej jesieni. Monachium znowu promieniało. Cmentarz był zalany słońcem.

Monachijskie cmentarze były niegdyś — zaledwie kilkadziesiąt lat temu — położone na skraju miasta, przy drogach wylotowych, gdzie stały coraz to niższe domy w małych ogródkach.

Teraz miasto nie tylko dotarło do cmentarzy, lecz rozciągało się wokół nich, obejmując je, dławiąc z wolna coraz wyższymi klockami z betonu. W ten sposób cmentarze stały się nowymi centralnymi punktami miasta.

Były wypielęgnowane, dobrze zarządzane i wyglądały na całkowicie przepelnione. Śmierć zabierała w tym mieście coraz więcej miejsca. Tam gdzie były groby, mogły powstać place budowy: można by budować wysokościewce, domki standardowe, domy indywidualne... Z punktu widzenia gospodarki narodowej potrzeby stawały się luksusem.

W tym dniu odbyło się w Monachium wiele pogrzebów. Na cmentarzu leśnym, w starej części, cztery. W nowej części sześć zwłok, uprzednio spalonych. Ponadto pochowano w ziemi, w nowej części cmentarza leśnego, sześciu zmarłych. Na cmentarzu zachodnim ośmiu. W kaplicy na cmentarzu północnym odbyła się kremacja czterech zmarłych, plus jeszcze czterech.

Cmentarz wschodni, cmentarz przy Perlacher Forst, cmentarz Untermenzing, cmentarz w dzielnicy Pasing, cmentarze w Alt-Perlach, Haidhausen, Sendling, Grunwald, Oberhaching — łącznie osiemnaście pogrzebów.

Wielki ruch panował w tym dniu w krematorium na cmentarzu wschodnim. Od 8.30 do 16.00 pochowano tam dwunastu zmarłych. Oto nazwiska niektórych z nich: Rusch, Schulze, Brunner, Fromberger, Siebler, Bella, Lich-tinger...

Wszyscy obywatele tego miasta mieli jeszcze zagwarantowane w nim groby. Jeden z nich miał należeć do Helgi Fein.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Pogrzeb Helgi Fein poprzedziły różne zabawy w papierki: o charakterze urzędowym, techniczno-administracyjnym i kościelno-prawnym. Papierki te wylądowały potem na moim biurku.

Chodziło przy tym o rzecz następującą: W moim sprawozdaniu z dochodzeń, potwierdzonym przez świadectwo lekarskie, znajdowało się sformułowanie «samobójstwo». Doprowadziło to do komplikacji z pogrzebem, a następnie

do ostrożnych trudności ze strony kościoła. Planowano przecież godny — chociaż wcale nie wspaniały — katolicki pogrzeb. A wzmianka o samobójstwie przeszkadzała zrealizować ten plan.

Dlatego jakiś biurokratyczny nadgorliwiec skierował całą tę sprawę poprzez władze miejskie, izbę lekarską i ordynariat arcybiskupi raz jeszcze do prezydium policji, a zatem do mnie, jako zainteresowanego referenta. A ja dopisałem bez wahania do mojego orzeczenia: «Nie można wykluczyć możliwości wypadku. Podpisano: Keller, komisarz policji kryminalnej».

Nawiasem mówiąc, był to — czego naturalnie nie mogłem wiedzieć — mój ostatni podpis jako funkcjonariusza policji kryminalnej".

Złożenie na mary Helgi Fein — w obitej srebrem dębowej trumnie — odbyło się w kaplicy odnośnego cmentarza. Była ona przeznaczona na tak zwane „małe pogrzeby": znajdowały się w niej tylko trzy ławki dla członków rodziny.

Pan Plattner, jako głowa rodziny, zarządził: — Tylko najściślejsze grono rodzinne. Udziału szerszej publiczności należy zabronić z podziękowaniem. Ogłoszenia o żałobie dopiero po pogrzebie.

Pan Plattner kazał się zawieźć na cmentarz własnym mercedesem 600 o godzinie 13.45. Początek uroczystości pogrzebowych ustalono na godzinę 14.00. Towarzyszyła mu najbliższa rodzina: córka Hilda i jej syn Heinz. Jedynym uczestnikiem spoza rodzinnego grona był pan Jonass, który jednak skorzystał z własnego wozu — czerwonego porsche^.

Jonass przybył na parę minut przed Plattnerem. Oczekiwał go przed głównym wejściem. Plattner zapytał: — Czy pan się postarał o to, żeby ta impreza, ta uroczystość odbyła się zupełnie bez zakłóceń?

— Zrobiłem wszystko — powiedział Jonass — co było w mojej mocy.

Wypowiedź zarządcy cmentarza Palmbrechera, którego poproszono o bliższe informacje:

„— Nie był to zwykły pogrzeb. Pamiętam jeszcze dość dokładnie różne szczegóły: Najpierw ta cała pisanina na temat: samobójstwo czy wypadek? Grób rodziny Plattne-rów czy zwykła mogiła? Kosztowało mnie to masę czasu. Ta sprawa została zarejestrowana pod numerem 71/364. W przeddzień pogrzebu powiedziano mi coś bardzo dziwnego. Zrobił to niejaki pan Jonass, który przedstawił się jako pełnomocnik pana Plattnera. Zapytał mnie, czy przewidziano jakieś środki ostrożności, które by uniemożliwiły wstęp na cmentarz. I kto jest kompetentny w tym względzie — zarząd cmentarza, żałobnicy z przedsiębiorstwa pogrzebowego czy może policja? Byłem, łagodnie mówiąc, zdziwiony. Powiedziałem mu, że jest to miejsce wiecznego spoczynku i że — jak dotąd — zawsze respektowano ten fakt. Czego się więc obawia? Odpowiedział, że ewentualnego wtargnięcia siłą niepożądanych elementów. Bowiem ludziom bezpośrednio dotkniętym żałobą — należącym do jednej z pierwszych i najbardziej wpływowych rodzin miasta — zależy na tym, żeby uniknąć wszelkiej prowokacji. Okazało się potem, że miał na myśli — jak się wyraził — «nominalnego ojca» zmarłej, niejakiego Haralda Feina. Powiedział, że jego obecność jest niepożądana i że wobec tego należy mu odmówić wstępu na cmentarz. Nie zgodziłem się na to. Spowodowało to pewne komplikacje — zwłaszcza że pojawił się człowiek z psem!"

Plattner polecił swojej córce i jej synowi, żeby poszli pierwsi, a on zaraz się zjawi. Patrzył przy tym na wczesno-jesienne, barwne światła, ale wydawało się, że nic nie dostrzega. W tym momencie widział tylko Jonassa.

— A więc zatroszczył się pan o to — powiedział. — Bo teraz, w takim momencie, nie mógłbym znieść widoku tego człowieka!

— Ustawiłem tuż przed głównym wejściem dwóch z naszych najbardziej godnych zaufania ludzi: portiera z maga-

zynów materiałowych Południe i pewnego bardzo oddanego brygadziście. Obaj zrobią wszystko, co w ich mocy — a to niemało — w wypadku gdyby Fein faktycznie próbował się nam narzucać.

— Niczego tak nie pragnę — uznał za stosowne zauważyć Plattner — jak prostej godności i skupionej ciszy!

Po czym udał się za córką i wnukiem w kierunku kaplicy. W kaplicy zdjął kapelusz. Uczynił to w taki sposób, jak gdyby włożył go specjalnie po to, aby go tu właśnie zdjąć.

Tymczasem przed główną bramą cmentarną pojawił się — jak gdyby przypadkiem, podczas spaceru — człowiek z drepczącym tuż przy nim psem: Keller z Antonem.

Keller przystanął i rozejrzał się naokoło. Anton usiadł z głową przytuloną do jego nóg. Obaj sprawiali takie wrażenie, jakby na coś czekali.

Keller patrzył na cmentarz, na kostnicę, na grób rodziny Plattner. Z bramy widać było wszystko dokładnie. Wszystko wyglądało tak, jak zazwyczaj na pogrzebie, z wyjątkiem jednej drobnostki, którą Keller uznał za niezwykłą: przed bramą stało dwóch mężczyzn — jakby na straży. Gdy Anton ich zwietrzył, zaczął warczeć.

Keller, zachęcony przez Antona, przyjrzał się bliżej tym ludziom. Byli barczyści i sprawiali wrażenie zdecydowanych na wszystko. Kellerowi zdawało się, że ich już gdzieś — bardzo przelotnie — widział.

Zajechała taksówka. Wysiadł z niej Harald Fein. Anton rzucił mu się na spotkanie, skoczył w górę, skowyczał i szczeakał. Mówił.

Harald Fein ukląkł, nie zważając na brud przed cmentarzem. Objął swojego Antona — z pewnym wysiłkiem, bo wszystko go jeszcze bolało. Lekarz zwolnił go niechętnie — znowu na dwie godziny.

Keller patrzył na tę gorącą radość zwierzęcia i człowieka. Większość psów, które znał, cierpiała jego zdaniem z powodu nieodwzajemnionej sympatii.

— Anton pana kocha — stwierdził.

Gdy to mówił, Anton oderwał się od Feina, podbiegł do Kellera, przystanął, a potem usiadł i patrzył w górę.

Fein uśmiechnął się ze zrozumieniem, podał Kellerowi rękę i powiedział: — Ale pana kocha także. Nie może pan sobie wyobrazić, jaki jestem szczęśliwy, że pan się opiekuje Antonem.

— Cieszę się — powiedział Keller. — Ale teraz niech pan idzie. Już najwyższy czas! Zaczekam tu z Antonem na pana.

— Dziękuję — powiedział Harald Fein i ruszył w kierunku bramy wejściowej.

Dwóch mężczyzn zagroziło mu drogę. Jeden z nich brygadzysta, powiedział: — Nieupoważnionym wstęp wzbroniony!

— Co pan powiedział? — zapytał Harald Fein, nie wierząc własnym uszom.

— Że jest pan tu niepożądany! — potwierdził brygadzysta. — To zarządzenie pana Plattnera! To chyba panu wystarczy!

Harald Fein potrząsnął głową. Obejrzał się na Kellera, który podążał już w jego stronę. Anton, warcząc, wyszczerzył zęby i zaczął wyrywać się naprzód.

Keller wziął Antona na krótszą smycz i zbliżył się z zainteresowaniem do dwóch mężczyzn przed bramą. Przyjrzał się im dokładnie, podczas gdy cierpliwy, łagodny Anton starał się naskoczyć na nich ze wściekłością.

— Tylko spokojnie, mój drogi — powiedział do niego Keller. A do mężczyzn przed bramą: — Przestańcie robić głupstwa. Ustąpcie z drogi.

— Niech się pan nie wtrąca! — powiedział brygadzysta, podnosząc nagle głos niemal do krzyku. — Nie lubimy, jak ktoś wtyka nos w sprawy, które go wcale nie obchodzą!

— Panie Fein — zapytał Keller, z trudem powstrzymując Antona — czy pan zna tych zabijaków?

Harald Fein skinął głową. — Jeden jest brygadzystą w firmie *Plattner*. To specjalista od żelbetonu. Nazywa się Rogalski. Drugi Pollock, jest portierem w jednym z magazynów.

— Zgadza się — powiedział Rogalski. — No i co z tego? Pracujemy dla pana Plattnera, teraz także!

— A ja — powiedział Keller, niemal warcząc jak Anton — pracuję dla tak zwanej sprawiedliwości. — Wyjął swój dowód i podsunął im pod nosy. — Nazywam się Keller. Jestem komisarzem policji kryminalnej.

Wywarło to wrażenie na obydwu. — Tego naturalnie nie mogliśmy wiedzieć.

— No to teraz wiecie! I przyjmijcie łaskawie do wiadomości, że za wszelką próbę uniemożliwienia komukolwiek wejścia na teren publiczny, na przykład na cmentarz, jeśli się nie ma to tego prawa, grozi co najmniej sześć miesięcy pozbawienia wolności!

— Nie wiem, czego pan od nas chce — powiedział brygadzysta Rogalski, wycofując się razem z Pollockiem. Ustąpili z drogi. — Chcieliśmy tylko po dobroci przekonać pana Feina, żeby nie robił głupstw... w pojęciu pana Plattnera. A teraz nam się to zarzuca. Więcej nic nie było!

— Pomija pan przy tym to — powiedział Keller — że nie podobacie się naszemu psu! Ciekaw jestem dlaczego.

Ksiądz Sylwester Nebunzahl, duchowny katolicki:

„— Nie wiem dokładnie, dlaczego właśnie mnie powierzono ten pogrzeb. Zapewniono mi jednak, że to zlecenie przynosi mi zaszczyt, że pan Plattner jest wielce poważanym, praktykującym katolikiem. Moje zadanie polegało na wygłoszeniu modlitwy nad otwartą trumną, na towarzyszeniu orszakowi do grobu oraz na odczytaniu tam cichej modlitwy i pobłogosławieniu trumny. Po modlitwie w kaplicy wezwałem zebranych, żeby towarzyszyli zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku. Otworzono obydwie skrzydła wielkich drzwi i orszak ruszył. Wtedy doszło do pierwszego incydentu. Pan Plattner zawołał: «Stop!» i surowo popatrzył na jednego z żałobników. Ten z kolei — niejaki pan Jonass, jak się później dowiedziałem — natychmiast ruszył z miejsca, podczas gdy my wszyscy staliśmy jak zamarli. Pan Jonass podszedł do człowieka, który stał na środku

naszej drogi; miał wielkie bandaże na twarzy i na ramionach. Pan Jonass coś mówił do niego gorączkowo, i wreszcie ten człowiek wycofał się, można rzec: ustąpił z drogi. Wówczas pan Plattner zawołał: «Dalej!» To był pierwszy nieprzyjemny incydent podczas tego pogrzebu. Potem miały nastąpić dalsze. Na przykład wówczas, gdy jeden z żałobników — młody człowiek — opuścił grono rodziny. Było to już podczas składania zwłok do grobu".

Gdy trumna Helgi dotknęła dna grobu, Heinz Fein odwrócił się niemal szorstko. Wyzwolił się od troskliwej ręki matki i odszedł — do Haralda Feina.

Harald Fein, stojąc z boku, między grobami, popatrzył na syna smutnym wzrokiem. Początkowo nie powiedział ani słowa, tylko skinął Heinzowi głową. Heinz stanął przed nim i patrzył na ojca długo, również bez słowa. Potem stanął obok niego i tak pozostał, jak gdyby prowokował, jak gdyby nalegał i czekał.

— Musiałem przyjść — powiedział cicho Harald Fein, spoglądając na grób córki.

— Wydaje mi się — powiedział Heinz, patrząc badawczo na ojca — że to już pewien postęp. Nie zostałeś zaproszony, a nie pozwoliłeś, żeby ci przeszkodzono. Jesteś tutaj. Ale nie dość blisko Helgi.

— Kocham ją, i ty o tym wiesz.

— Chcę ci wierzyć, ojczu. Ale... mało o niej wiedziałeś.

— Nie chciałem się narzucać. Chciałem, żeby miała własne życie.

— Dlatego musiało się ono zakończyć tutaj.

— Nie próbuj zawsze mnie oskarżać, Heinz. Robię to sam, już od lat, i to z pewnością bardziej surowo, niż ty mógłbyś to zrobić. — Harald Fein nie spuszczał oczu z grobu córki. Patrzył na niego niemal tęsknie. — Trawi mnie niepokój. Od wielu dni męczy mnie pytanie: jak mogło do tego dojść? Bez względu na to, jak wielka może być moja wina, ten koniec jest zbyt okropny.

— Ale — powiedział syn zdecydowanie i wyzywająco — jest faktem. Tam chowają Helgę i tam powinieneś stać

ty, a nie inni. Może... ze mną. Ale ty stoisz z boku i czekasz... jak zawsze.

— Heinz — powiedział Harald Fein zaskakująco twardym głosem — miałem obłądną chęć usunąć tych wszystkich ludzi i stanąć na ich miejscu, tuż nad grobem. Gdzie przecież powinienem się przede wszystkim znajdować!

— Właśnie to, ojcze, powinieneś zrobić. A ja byłbym z tobą. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Nad grobem Helgi? W takim momencie? — Harald Fein popatrzył na syna ze zgrozą. — Mój drogi, to jest cmentarz! To nie jest miejsce na spory!

— Ale ten spór powinien się odbyć już dawno, wszystko jedno gdzie, kiedy i jak. Czy sądzisz, że możesz go jeszcze uniknąć?

— Tego nie zrobię — powiedział ledwie dosłyszalnie Harald Fein. — Ale nie stanie się tu nad grobem Helgi.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Ludzie nie zawsze umierają definitywnie. A przynajmniej czasem dopiero zwłoki ujawniają nagromadzone namiętności. Tak było także w wypadku Helgi Fein.

Miałem, można rzec, miejsce w łoży na spektaklu, którym był ten pogrzeb. Stałem oparty o główny filar bramy wejściowej; Anton siedział obok mnie. Widziałem, jak Heinz Fein podszedł do ojca i z nim rozmawiał. Harald Fein, wciąż jeszcze osłabiony na skutek odniesionych obrażeń, sprawiał wrażenie, jak gdyby zapadał się w sobie. Widać było, że potrzeba mu pilnie karetki sanitarniej.

A punkt szczytowy nadszedł bezpośrednio potem”.

Plattner rzucił trzykrotnie piasek na trumnę, a następnie krótkim skinieniem głowy zezwolił, żeby Jonass uczynił to samo.

Wreszcie podał ramię pograżonej w żałobie matce, a swojej córce, aby odprowadzić ją do domu, a zatem przede wszystkim do czekającego mercedesa 600, w którym

siedział już buntowniczy wnuczek Heinz. Jonass podszedł teraz do Hildy, jak gdyby chciał ją chronić.

Bo Harald Fein zagroził im drogę.

Jonass chciał podejść do niego, ale Hilda chwyciła go za ramię, jak gdyby szukając pomocy. Plattner natomiast stanął, patrząc w przestrzeń powiedział głośno i bardzo wyraźnie: — Że też ten człowiek się nie wstydzi!

Harald Fein, wyraźnie zdenerwowany, zdążył jednak zarejestrować w świadomości to, co widział przed sobą: swoją żonę, która nie chciała na niego spojrzeć, swego tak zwanego przyjaciela Jonassa, który wykonywał ostrzegawcze gesty, i wreszcie Plattnera, dla którego — jak się wydawało — był czymś w rodzaju zawadzającego przedmiotu.

— Co mi się znów zarzuca? — usłyszał własny głos Harald Fein. — Czy nie dosyć się już stało? Czy jeszcze to było potrzebne? — Mówiąc to postąpił krok czy dwa naprzód.

— Ten człowiek — wykrztusił Plattner, z trudem panując nad sobą — ma na sumieniu ludzkie życie...

— Nie mów tak! — krzyknął Harald Fein.

Ale Plattner nadal patrzył na niego tak, jakby Fein był powietrzem, i powiedział, demonstracyjnie go nie dostrzegając: — Co najmniej jedno ludzkie życie!

— Ostrzegam cię — powiedział Harald Fein, z trudem panując nad gniewem. — Także moja cierpliwość, cierpliwość kozła ofiarnego, ma swoje granice.

— Czego ten człowiek ode mnie chce! — wybuchnął Plattner, a jego gniew był jak burza. Ale i teraz nie uważał za stosowne obdarzyć swojego zięcia choćby jednym spojrzeniem. Wydawało się, że jego słowa odnoszą się wyłącznie do osób mu towarzyszących, do Hildy i Jonassa. — On się nie wstydzi... wciąż jeszcze. — I po krótkiej, jego zdaniem efektownej, pauzie dodał z mocą: — Ileż zepsucia na tym świecie!

— To prawda — potwierdził błyskawicznie Harald Fein: — Ileż zepsucia! Tylko kto jest zepsuty... w tym wypadku?

— Zejdź mi z drogi! — krzyknął Plattner, idąc w kierunku zięcia.

I Harald Fein ustąpił na bok.

Świadcami tej sceny byli — poza bezpośrednio zainteresowanymi — ksiądz Nebunzahl, który stał jeszcze nad grobem, dwaj stróże cmentarni i troje ludzi, którzy właśnie przyszli na cmentarz. No i stojący przed bramą człowiek z psem.

— Mój Boże — powiedział cicho ksiądz — ludzie nie zmieniają się nigdy, bez względu na to, co się dzieje.

Gdy Harald Fein dotarł do bramy cmentarza, ujrzał przed sobą Kellera i Antona. Obaj patrzyli na niego uważnie. Pełni oczekiwania. I bardzo cierpliwie — zarówno pies, jak i człowiek.

— Zdaje się — wyznał wyczerpany Harald Fein — że to było trochę ponad moje siły. Ale tak być musiało. Wpakowałem się w coś, czego skutków nie mogę jeszcze przewidzieć. Czy to źle?

— Bardzo źle — powiedział Keller. — Dał się pan całkowicie ponieść uczuciom.

— Nie mogłem inaczej.

— Zdaje się, że pańskiego syna bardzo to ucieszyło.

— To bardzo dobrze!

— Zdaje się jednak, że mu to jeszcze nie wystarcza! Proszę pana, który ojciec wie, co się dzieje w umysłach młodych ludzi? Niech się pan spokojnie liczy z tym, że komplikacji będzie dwa razy więcej, niż się pan spodziewa.

— Być może — przyznał Harald Fein, głaszcząc Antona, który był z tego wyraźnie zadowolony. — Ale chcę teraz poznać całą prawdę. Czy to pana drażni?

Keller uśmiechnął się w zamyśleniu. — Nie ma chyba nic takiego, co by mnie mogło jeszcze drażnić. Ale powinien pan uważać na syna.

— Wiem, on mnie nie lubi!

— Jeszcze jedna omyłka — skorygował go pobłaźliwie Keller. — Obawiam się, że pana bardzo kocha, co może doprowadzić do poważnych komplikacji. Niech pan będzie na niejedno przygotowany. To czeka każdego ojca, a co dopiero takiego ojca takiego syna.

„*Morgenzeitung*” opublikowała na stronie trzeciej artykuł-dokument-komentarz pod następującym tytułem:

„*Jak się robi miliony!*”

Zgodnie z zasadami skutecznej reklamy artykuł ten został zapowiedziany na stronie pierwszej.

Wstęp: „*Morgenzeitung*, która, jak wiadomo, zawsze opowiadała się w sposób obiektywny i konsekwentny po stronie demokracji, znalazła się w posiadaniu pewnego dokumentu o prawdopodobnie poważnej doniosłości. Jak wykazały pierwsze badania, dokument ten jest autentyczny. Początkowo jednak zwlekano z jego opublikowaniem, ponieważ z całym poczuciem odpowiedzialności zastanawiano się nad tym, na ile interes społeczeństwa...”

Następnie zamieszczono: obejmującą pół strony fotokopię zapowiedzianego dokumentu. Było to zestawienie dokonanych planów zakupów ziemi na obszarze tak zwanego Lisiego Ogona, znanego także jako Osiedle Rencistów. Widać było wyraźnie, iż tereny te zakupiono dlatego, że były one przeznaczone pod wielkie budowy olimpijskie, a zwłaszcza na drogi dojazdowe do terenów olimpijskich. Transakcji tych dokonało *Towarzystwo handlu nieruchomościami Huber, Huber i Leitmann* — na zlecenie firmy *Plattner*.

Komentarz: „Uważamy, że jeszcze nie wszystkich szczegółów dowiedziono w sposób bezbłędny, mimo to wstępne badania, idące w tym kierunku, potwierdziły ich wiarygodność. A zatem sytuacja przedstawia się najprawdopodobniej tak, jak od dłuższego czasu przypuszczali zaniepokojeni obywatele naszego miasta, chociaż nie mogli przedstawić przykonujących dowodów. Teraz jednak, wydaje się, nadszedł czas, aby osądzić ten — być może najbardziej drażliwy — rozdział historii naszego miasta.

Dlatego zwracamy się do pana burmistrza z pytaniem...”

— Panie naczelniku — powiedział Keller — czy mogę prosić o urlop?

— Ma pan do niego prawo — zapewnił go Dürrenmaier z tą szczególną uprzejmością, jaka w ostatnim czasie ce-

chowała jego stosunek do Kellera. — Jeśli mnie dobrze poinformowano, już od lat nie korzystał pan z urlopu. Od trzech lat.

— Od pięciu, panie naczelniku. Nie wiedziałem, co mam z nim począć.

— A teraz pan wie? — zapytał z zainteresowaniem Dürrenmaier.

— Znalazłem wreszcie kogoś, z kim mogę spędzić urlop.

— Czy mogę zapytać, kto to taki?

— Pan go zna, to pies Anton.

Dürrenmaier zasłonił ręką oczy, jakby go bolała głowa. Mimo to zapytał, próbując zachować spokój: — A gdzie pan ma zamiar spędzić urlop z psem Antonem?

— Tu w mieście.

Dürrenmaier odetchnął z wyraźną ulgą. — A więc mogę nadal liczyć na pana... także w wiadomej sprawie?

— Oczywiście — powiedział Keller.

— Jeśli tak, to ma pan moją zgodę. I to na jak długo pan chce: cztery tygodnie, osiem tygodni...

— Prawdopodobnie wystarczy mi pięć dni.

— A jeśli w tym czasie będę mógł coś dla pana zrobić, to wystarczy telefon, drogi kolego Keller...

8

Czuję, że to przerasta moje siły! — oświadczył mecenas Henri Messer swoim trzem gośćmi: Feinowi, Kellerowi i Antonowi. — Ta sprawa z dnia na dzień komplikuje się coraz bardziej!

— Niech nam pan oszczędzi tego przedstawienia, panie Messer — powiedział ubawiony Keller. — Przecież sprawa to panu wyraźną przyjemność! Bo teraz wreszcie czuje pan, że wybuchnie wielki skandal, i ma pan nadzieję, że przyniesie on panu popularność.

Messer uśmiechnął się, skinął Kellerowi głową i powiedział: — To prawda. Przyznaję się otwarcie. Muszę też wyznać, że jeszcze nie rozumiem wszystkich powiązań. Ale na szczęście... pan jest tutaj.

— Jestem tu tylko po to — stwierdził Keller — żeby to warzyszyć Antonowi.

Popatrzył na psa, który leżał dokładnie między nimi, zajęty swoją przednią łapą, którą starannie wylizywał do czysta. Fein i Keller uśmiechnęli się do siebie nad jego głową.

— W każdym razie jest pan tutaj! — powiedział Henri Messer. — I chciałbym wykorzystać pańską obecność. Bo bardzo potrzebowałbym pańskiej współpracy, panie komisarzy.

— My z nikim nie współpracujemy, panie mecenasie, ale mamy obowiązek wyjaśniać różne sprawy.

— Można to i tak nazwać. Wobec tego proszę pana, żeby mi pan wyjaśnił przede wszystkim, co mi się wydaje najważniejsze, a mianowicie sprawę tej irytującej publikacji w *Morgenzeitung*. Zadaję sobie pytanie, co to ma naprawdę znaczyć? Kto do tego doprowadził? Jakie to może mieć następstwa?

*Wypowiedź Petera Wardeinera, redaktora „Morgenzeitung”,
podczas późniejszego przesłuchania przez policję kryminalną:*

„— Kopię tego pierwszego dokumentu oraz dwóch następnych przesłano nam pocztą. Sądząc po stemplu, wszystkie trzy koperty wrzucono do skrzynki na Dworcu Głównym. Nadawcy nie było. Koperty były zwyczajne, takie, jakie można kupić w każdym sklepie. Kopie na powielaczu; powielacze znajdują się obecnie w wielu biurach. Pismo towarzyszące zostało napisane na maszynie. Papier wyrwano z tuzinkowego bloku listowego: był biały, gładki, bez znaku wodnego. Treść pierwszego pisma towarzyszącego — napisanego samymi małymi literami, bez znaków przestankowych, bez jakichkolwiek przerw między zdaniami — była następująca:

«jest to kopia dokumentu który z łatwością można zbadać szczegółowo przy tym nie należy zapominać o zwróceniu uwagi na podane tam daty ponieważ są one wcześniejsze i poprzedzające moment opublikowania planów dotyczących terenów olimpijskich»).

My — to znaczy odnośny oddział redakcji *Morgenzeitung*, zajmujący się sprawami lokalnymi — natychmiast po ustaleniu, jakie znaczenie mają te dokumenty, powołaliśmy, w porozumieniu z redakcją naczelną, swego rodzaju komisję specjalną. Zaczęło się dokładne badanie wszystkich wymienionych w dokumentach szczegółów. Przeprowadzono je bez większych trudności, a to ze względu na znakomitą współpracę z różnymi władzami. Ostatecznie okazało się, że badane szczegóły — jak na przykład dane z księgi wieczystej, daty sprzedaży, ceny zakupu — były całkowicie prawdziwe. Po pierwszym piśmie towarzyszącym przyszło dalsze, o następującej treści:

«jeśli nie doceniacie ważności tych dokumentów to dwadzieścia cztery godziny później oddamy je do dyspozycji innej gazecie jeśli jednak wykorzystacie ten materiał w odpowiedni sposób to dostarczymy kopii podobnych dokumentów zawierających równie ważne dane»".

— Muszę się dowiedzieć — powiedział Henri Messer — kto się kryje za tą akcją, kto ją umożliwił, kto ją przeprowadził.

— Wolno panu zgadywać trzy razy — powiedział wyraźnie ubawiony Keller.

Adwokat nie zwrócił uwagi na ten niewłaściwy żart. Patrzył na swojego klienta. — Przepraszam pana, panie Fein, ale muszę panu niestety zadać pytanie, na które proszę odpowiedzieć zupełnie szczerze: czy ma pan z tym coś wspólnego?

— Nie. Niestety nie.

— Niech pan w przyszłości nie odpowiada nikomu na podobne pytania — powiedział Keller. — A przynajmniej nie w tak jednoznaczny sposób. Pan wprawdzie może być przekonany, panie Fein, że pan nie ma z tym nic wspólnego, ale nie może pan wiedzieć, jak jest naprawdę.

— *Co to ma znaczyć!* — zawołał zaalarmowany Messer.

— Do czego pan zmierza, albo mówiąc dokładniej: dokąd chce pan skierować pana Feina? Jego adwokatem jestem wciąż jeszcze ja! A pan jest specjalistą od kryminalistyki!

— I jako taki, panie Messer, z całym naciskiem odradzam panu stosowanie czarno-białej techniki. W ten sposób uniemożliwia pan sobie dostęp do bardziej subtelnych odcieni pośrednich i bardziej interesujących możliwości interpretacji.

— Ja osobiście — powiedział uparcie Harald Fein — chcę jedynie wiedzieć, kto ponosi winę za śmierć Helgi. A poza tym nie rozumiem ani słowa!

— Ja także nie! — oświadczył adwokat, przy czym oczy mu błyszczwały z podniecenia. — Pańskie aluzje, panie Keller, są dość wieloznaczne. I skłaniają mnie do przypuszczenia, że za tą sprawą kryje się pan! Czy tak jest naprawdę?

Keller roześmiał się ubawiony. — Za tego rodzaju manipulacjami może kryć się wiele ludzi. Teoretycznie także pan Fein. Następnie na przykład ten Jonass. Taki intrygant jak on mógłby spróbować umocnić swoją pozycję. Następnie nawet sam Plattner, aby obciążyć Abendrotha, a tym samym także Feina; sądzę bowiem, że po scenie na cmentarzu jego nienawiść jest bezgraniczna. Następnie wielu

konkurentów: bo gdyby zbladła gwiazda Plattnera, wzrosłaby możliwość zarobków dla nich. Wreszcie, chociaż na tym nie koniec tej listy, sam pan Messer, każdy porządny skandal jest bowiem wodą na jego młyn.

— A pan?

— Ja jestem jedynym człowiekiem w tym gronie, którego nie można podejrzewać o tego rodzaju chęć zabawienia czytelników żadnej gazety.

— A dlaczego?

— Ponieważ jestem fachowcem. Postąpiłbym w o wiele bardziej skomplikowany i wyrafinowany sposób. Ale to zrobił amator, chociaż trzeba przyznać, że musiał to być zdolny człowiek. I wiem nawet kto.

— Pan wie? — zawołał Messer.

Keller skinął głową. — Nie było to tak trudno odgadnąć, o kogo chodzi. Trzeba tylko mieć dar do spekulacji i trochę fantazji.

— A więc kto? — dopytywał się Messer.

— Spędzam tu tylko mój urlop, który w dużej części polega na opiece nad psem pana Feina, dopóki ten nie będzie mógł wyjść ze szpitala — oświadczył w odpowiedzi Keller.

Messer patrzył z coraz większym niepokojem na obu swoich gości i psa. — Mój Boże — zawołał — pan się bawi, przemawiając tu chytrze i mętnie, ponieważ pan wie coś, czego my nie wiemy. Czy pan nie dostrzega niebezpieczeństwa, jakie mogą pociągnąć za sobą te gazetowe sztuczki?

— A cóż w tym tak niebezpiecznego? Komóż grozi niebezpieczeństwo? — zapytał Keller. — Chyba tylko Plattnerowi, jeśli teraz nie zareaguje właściwie, i panu, panie Messer, jeśli nie będzie pan teraz dobrze uważał.

Następnego dnia „Morgenzeitung” zanotowała znowu na stronie trzeciej, wśród dwóch innych „wypowiedzi” na temat ujawnionej przez nią „afery”:

„Po pierwsze: Jonass, wicedyrektor firmy Plattner, oświadczył: „Reprezentowane przeze mnie przedsiębiorst-

wo nie ma nic wspólnego ze stwierdzeniami zawartymi w publikacjach tej gazety. Zastrzegamy sobie prawo do wszczęcia kroków sądowych».

Po drugie: sekretariat burmistrza, reprezentowany przez referenta prasowego, oświadczył: «Sprawa ta nie wchodzi w zakres działania zarządu miejskiego, a tym samym nie podlega kompetencji pana burmistrza i nie dotyczy ona żadnej z władz miejskich, a tym samym żadnego z ich urzędników. Dlatego uważamy, że nie musimy zajmować stanowiska»".

Tego samego dnia w gazecie „München am Mittag”, nazywanej także „MAM”, ukazał się artykuł wstępny pod tytułem: „Posieli wiatr!”:

„Zdaje się, że pewne kręgi uważają wprost za modny sport robienie z igły widel. Nie zastanawiają się, lecz robią balony z baniek mydlanych, i w normalnych transakcjach gruntowych wietrzą tajne akcje państwowe, a co najmniej miejskie.

...ale żyjemy w wolnym kraju, w którym każdy obywatel ma prawo robić ze swoją własnością, co mu się podoba. Może ją podarować, przepić, podzielić, przepuścić — albo też sprzedać. Wszystko jedno na jakich warunkach, wszystko jedno komu. Ale chęć organizowania przy tej okazji wątpliwych ąquizów, opartych na mało ważnych danych i dość śmiałych kombinacjach, a zatem sianie publicystycznego wiatru, przypuszczalnie w nadziei zebrania czytelniczej burzy...”

Fragmety wypowiedzi eksperta gospodarczego dr. Bannholtzera, które znalazły się później w aktach dr. Messera:

„— ...gazeta *München am Mittag* należała do przedsiębiorstwa *Münchner Druck und Papier*; właściciele Sack i Feder; ściśła współpraca z konsorcjum bankowym *Specht, Merker i Co*; roczny dochód — sześćdziesiąt milio-

nów marek, ponieważ wykonuje także zlecenia państwowe, jak drukowanie ankiet personalnych, formularzy, druków administracyjnych; pracuje także dla wojska, Czerwonego Krzyża, Automobilklubu; drukuje także wiele pism, firmowych i okolicznościowych, publikacji kościelnych itp."

Dodatkowa notatka Messera:

„W radzie nadzorczej konsorcjum bankowego: Plattner. Osobisty przyjaciel właściciela wydawnictwa, Federa: Plattner. Współpracuje z drugim przewodniczącym komisji finansowej, Simmererem: Plattner.

Wartość zleceń firmy *Plattner dla Miincher Druck und Papier* na druki i ogłoszenia wynosi przeciętnie około 400000 marek rocznie".

— Panie Keller — powiedział Messer — mogę chyba założyć, że jest pan gotów udzielić nam poparcia! Zdecydował się pan przecież zająć stronę mojego klienta, pana Feina, prawda?

— Powiedzmy: jego psa.

— Panie Keller — powiedział chłodno Messer — ile pan żąda?

— Za co?

— Za wszelkie konieczne dochodzenia, za pełne wykorzystanie pańskich stosunków i wiadomości z dziedziny kryminalistyki. Ile one są dla pana warte? Pięć tysięcy marek? Dziesięć tysięcy? Niech pan określi swoje wymagania.

— Stop! — zawołał Harald Fein. — Nigdy bym nie mógł zapłacić takiej sumy.

— Jedna omyłka po drugiej — powiedział Henri Messer. — Możemy sobie pozwolić na o wiele więcej, niż pan przypuszcza.

— Kto to zapłaci? — zapytał Keller. — Chyba nie pan Abendroth?

— Nie zgadzam się! — zawołał Harald Fein.

— Ja także nie — zapewnił Messera Keller. — Pan operuje wysokimi sumami, wcale ich nie mając. Czy to nie lekkomyślne?

— Nie — bronił się Messer. — Nie w takim wypadku! Może nam wpaść co najmniej pół miliona, jeśli tylko będziemy dość sprytnie postępować.

— A mnie — powiedział ubawiony Keller — ocenia pan w związku z tym na pięć do dziesięciu tysięcy marek?

— Albo dziesięć razy tyle, jeśli się pan podejmie całej roboty.

— To już brzmi o wiele lepiej — powiedział wciąż rozbawiony Keller. — Nie chcę przez to powiedzieć, że można mnie kupić. Ale jeśli w ogóle wchodzi w rachubę jakieś honorarium za moją osobę, to musi być ono królewskie.

— To znaczy jakiej wysokości?

— Psa.

Z akt adwokata Henriego Messera:

„...zjawił się u mnie pan P. Palitschek, narzeczony Marii Trübner, byłej służącej w domu Feinów. Poprosił o rozmowę, którą to prośbę chętnie spełniłem. Zapewnił, że popełnił omyłkę, może nawet nie jedną, czego bardzo żałuje...

...byłby teraz gotów skorygować te omyłki, a to w tym duchu: widocznie źle zrozumiał Marię, która ma bardzo żywą fantazję, i wyciągnął z jej słów przedwczesne wnioski. Dołączył się do tego nacisk przesłuchującego go funkcjonariusza policji, który nakłonił go do zaakceptowania przygotowanych sformułowań...”

Podpisano: Peter Palitschek, agent ubezpieczeniowy.

Następnie: również zaopatrzone podpisem, potwierdzenie Marii Trübner, z którego wynikało, że w domu Feinów nikt nie wykorzystał jej pod względem seksualnym. Stwierdziła też, że jest gotowa poddać się ponownemu przesłuchaniu policyjnemu w celu złożenia wyjaśnień.

W aktach tych znajdowało się także: pokwitowanie odbioru sumy 5000 marek, podpisane przez P. Palitschka, potwierdzone przez Marię Trübner.

Z odręcznej dodatkowej notatki Messera wynikało, że końcowe oświadczenie P. Palitschka brzmiało: „Uważam, że prawda jest tego warta”.

Wypowiedź Gottfrieda Heinricha Wamslera, gońca firmy „Plattner”, w rozmowie prywatnej z czuwającym nad nim funkcjonariuszem policji kryminalnej:

„— Muszę panu od razu zwrócić uwagę na to, że wcale nie jestem gońcem! Jestem pracownikiem do zadań specjalnych, podlegającym bezpośrednio szefowi. Jest to pozycja wymagająca zaufania, rozumie pan? Naturalnie, czasem oczekuje się ode mnie usług gońca czy czegoś w tym rodzaju. Ale poza tym jestem osobiście odpowiedzialny za biuro pana Plattnera. Za przybory do pisania, jednorazowe chusteczki do nosa, papier toaletowy i tym podobne rzeczy. Mam też zwracać szczególną uwagę na koszt do papierów. Tylko ja mogę go opróżniać. Ja też własnoręcznie palę jego zawartość. A każdego wieczora sprawdzam, czy okna, szuflady i kasa pancerna są zamknięte. Przynoszę również pocztę do biura szefa. Tak też było tego dnia, kiedy przyszła ta gazeta, w której obsmarował nas jakiś pismak. Mówiła już o tym cała firma. Muszę panu powiedzieć, że stary szalał, jak zobaczył tę szmatę! Myślałem, że go szlag trafi. A potem kazał zawołać Jonassa”.

„Monachium błyszczało” niewzyciężenie, jak głosił napis na najbardziej chyba pożądanym wyróżnieniu, przyznawanym przez to miasto złotym medalu, który burmistrz wręczał najczęściej osobiście zasłużonym obywatelom podległej mu metropolii, nazywanej także „wsią miliona mieszkańców”.

Ludność tej „tajnej stolicy Niemiec” wzrosła w ciągu zaledwie paru lat o blisko czterysta tysięcy mieszkańców. Napłynęli oni z Bałkanów, Turcji, Włoch i Hiszpanii. Wiele się mówiło o „przestępczości cudzoziemców”. W sumie jednak, chociaż udział przybyszów z zagranicy w przestęp-

stwach kryminalnych popełnianych w tym mieście był niewątpliwy, przeciętna liczba przestępstw odpowiadała niemal dokładnie — proporcjonalnie rzecz biorąc — liczbie przestępstw i wykroczeń popełnianych przez ludność miejscową.

Podobnie przedstawiała się sytuacja w dziedzinie wielkiego biznesu. Firmy włoskie, *Biuro Centralne Lugano*, firmy amerykańskie i kanadyjskie, *Biuro Centralne Locarno*, były gotowe zainwestować setki milionów. Z Zurychu zgłosiły się banki szwajcarskie. Firmy holenderskie kupowały przedsiębiorstwa średniej wielkości. Francuskie zakłady samolotowe i samochodowe próbowały dokonywać fuzji. A wielkie firmy amerykańskie — z *First National Bank* włącznie — miały w tym mieście swoje biura.

Monachium stało się obiektem międzynarodowych spekulacji pierwszej rangi. Olimpiada rzutowała z góry na sytuację. Naturalnie zaniepokoiło to miejscowych potentatów finansowych. Nie chcieli po prostu dopuścić do tego, żeby ktoś obcy zjadał im masło z chleba.

Gdy Joachim Jonass zjawił się w biurze swojego szefa, zobaczył, że Plattner siedzi za biurkiem bez ruchu jak posąg. Miał niemal kredowobiałą twarz. Ręce jego spoczywały na otworzonej *Morgenzeitung*. Popatrzył ostro na swojego współpracownika.

— To świństwo! — zawołał przezornie Jonass, stojąc w drzwiach. — To jakiś bezczelny, oszukańczy trik, pozbawione skrupułów gangsterstwo, jeśli chce pan znać moje zdanie.

— Właśnie chcę je znać! — oświadczył Plattner grobowym głosem. — Czy wciąż jeszcze jest pan zdania, że odpowiedzialność za to ponosi wyłącznie Fein?

— A któż by inny? — zawołał Jonass. — Jest to coś w rodzaju rewanżu za incydent na pogrzebie. Lepiej było go uniknąć.

— O to pana nie pytałem! Do rzeczy: o ile mi wiadomo, przeszukano mieszkanie Feina, żeby się przekonać, czy jest tam czerwona teczka...

— Tak, nawet dwukrotnie. Wczoraj zrobiono to ponownie, tym razem nie obawiając się żadnych zakłóceń. Ale znowu bez rezultatu. W jego teczce, zabranej przez moich ludzi, znajdowały się jedynie projekty domów indywidualnych.

— Wiem przecież o tym! — zawołał Plattner. Położył na środku biurka cienką, tym razem zieloną teczkę, otworzył ją i powiedział: — Z mojej inicjatywy zlecił pan jednemu z biur detektywistycznych śledzenie Feina. Według sprawozdań tego biura Fein opuścił w ostatnich dniach szpital tylko trzy razy. Raz: żeby wziąć udział w swego rodzaju wizji lokalnej na ulicy V, następnie: żeby iść na pogrzeb, i wreszcie: żeby przeprowadzić rozmowę u adwokata Messera.

— A co robił poza tym?

— No a co miał robić? Kopiować dokumenty, pisać listy, nosić je na pocztę? Czy to nie nazbyt śmiałe przypuszczenie, biorąc pod uwagę, że jest ciężko chory?

Dalsze wypowiedzi gońca biurowego Gottfrieda Heinricha Wamslera, w poufnej rozmowie — także z funkcjonariuszem policji kryminalnej:

„— Niech pan mi tylko nie mówi o tej głównej sekretarce Wagnersberger, o tej krowie! Ostatecznie przez blisko dwadzieścia lat patrzyłem jej na palce, a raczej na tyłek. Trzeba przyznać, że była pierwszorzędną sekretarką! Poza tym nie wahała się wykonywać żadnych zleceń. Raz widziałem ją — a nie miała nic pod sukienką — jak leżała na biurku pana Plattnera, a on nad nią poruszał się całkiem żwawo. Nawet mnie nie zauważyli! Plattner wyjeżdżał z nią wiele razy, podobno zawsze na konferencje, w interesach, ale w rzeczywistości to do swojej willi nad Tegernsee albo do swojego domku myśliwskiego w Schwarzwaldzie, albo do wynajętej garsoniery w Rzymie lub w Paryżu. Skąd o tym wiem? Byłem jedynym człowiekiem w firmie, któremu zawsze podawano aktualny adres i numer telefonu. Nie tak łatwo poszło Wagnersberger z Haraldem Feinem. Był wówczas naprawdę zajęty swoją żoną, córką Plattnera. Mo-

że też być, że Wagnersberger nie była w jego typie. Raz widziałem ją, jak stała w jego biurze; miała rozpiętą bluzkę. A jakie ma piersi! Ale Fein powiedział: «Pani się zazię-bi!» W każdym razie wkrótce zmówiła się, jak to się ładnie mówi, z Jonassem. Często jeździł z nią na budowy, na których nikt nie pracował. Albo do gospody nad Pilzsee, do mieszkania pewnego kolegi przy Herzogstrasse, który akurat wyjechał, albo do schroniska pod Garmisch. Nie ma chyba nic takiego, czego ta pani nie zechciałaby zrobić dla firmy! Ostatnio zabrała się nawet do Heinza Feina, syna Haralda Feina! Jestem pewien, że on też sięgał jej w wiadomym celu pod spódnicę!"

Bez względu na to, jak i z której strony się na to spojrzy — zapewnił sugestywnie Jonass — to mógł zrobić tylko Harald Fein!

— Możliwe — powiedział Plattner. — Mogło tak być, ale mogło i nie być. Musimy przy tym zwrócić uwagę na drugi klucz do naszej kasy pancерnej. Pierwszy mam wciąż jeszcze ja. Drugim dysponował najpierw Fein, ale potem pan, Jonass.

— Ale ten klucz mógł także ktoś ukraść i kazać go podrobić, a potem go zwrócić.

— Nonsens! — zawołał Plattner. — Albo ja, albo on, albo pan! Niech pan coś wymyśli, żeby to wreszcie wyjaśnić! W miarę możliwości jeszcze przed następnym artykułem w gazecie!

...następnej nocy, w jakiejś przerwie, wyczerpana Hilda Fein powiedziała do Joachima Jonassa:

— ...musisz coś wymyślić! Przecież nie sprawi ci to trudności! Nie możesz rozczarować mojego ojca, nigdy by ci tego nie wybaczył. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny.

...następnego dnia rano Joachim Jonass powiedział do Paula Plattnera:

— ...kiedy Fein zwrócił mi drugi klucz od kasy pancernej, stwierdziłem, że brak było pięćdziesięciu tysięcy marek ze złożonej tam gotówki.

Plattner: — Ach tak, brakowało? A czy pan zgłosił to na piśmie?

Jonass: — Jeszcze nie. Ale mogę to zrobić w ciągu pół godziny.

Plattner: — Jak pan to robi, trzeba będzie wysłać pismo do Haralda Feina... napisane i podpisane przez pana. W tym mniej więcej ducha: mieliśmy nadzieję, że wszystkie sprawy można będzie załatwić wewnątrz... w interesie naszej firmy, jesteśmy też nadal do tego gotowi, ale obecnie musimy wyznaczyć krótki termin... i tak dalej. Potrzebna jest przy tym jakaś ostrożna aluzja do czerwonej teczki. W żadnym wypadku nie groźba: raczej apel do rozumu. Tylko w ten sposób możemy coś osiągnąć!

Keller siedział obok Feina w jego mercedesie — Fein przy kierownicy, Keller na prawym przednim siedzeniu. Za nimi Anton. Położył łepkę między nimi i wydawało się, że śpi.

— Czy to mniej więcej tu parkował pan wtedy samochód, w dniach przed zamordowaniem i tego wieczoru, kiedy zamordowano tę kobietę?

— Prawie — potwierdził Harald Fein. — Nigdy nie było tu trudności z parkowaniem. Skraj ulicy był niemal zawsze pusty, a i prywatny parking przed tym domem nie był nigdy całkowicie zajęty.

— No dobrze — powiedział Keller, zagłębiając się w poduszki samochodu — niech się pan rozejrzy, powoli, ale dokładnie. Niech pan spróbuje zapamiętać, jak tu wszystko wygląda teraz. A potem niech pan sobie spróbuje przypomnieć, jak to wszystko wyglądało wtedy. Niech pan spróbuje stwierdzić, co się tu zmieniło.

— Do czego pan zmierza? — zapytał Fein.

— Chcę zastosować niesłuchanie prostą, ale wciąż dobrą metodę. Mózg ludzki notuje, chociaż początkowo nieświa-

domie, wszystko, co zobaczą oczy. I jeśli się ma tylko trochę szczęścia, można faktycznie znaleźć szpilkę w stogu siana.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„W naszej dziedzinie istnieje coś w rodzaju magii miejsca zbrodni. Czu^ą to zarówno przestępcy, jak i fachowcy od kryminalistyki. Na miejscu przestępstwa wszystko wydaje się być jaśniejsze, wyraźniejsze, bardziej przekonujące. Ja też należę do praktyków, którzy twierdzą, że nikt nie może wyrobić sobie odpowiedniego zdania o sprawie, jeśli nie zna miejsca zbrodni.

Każde zeznanie świadka należy w miarę możliwości sprawdzić na miejscu. Uwzględniając wszystkie czynniki: widoczność, oświetlenie, pogodę, natężenie ruchu, podłoże akustyczne, barwy, zdolność spostrzegania i tak dalej. Są to podstawowe reguły techniki kryminalnej, które Braun ma w małym palcu. Jego metody nie zawsze były bardzo wybredne, ale zmierzały dokładnie do celu. Jego systematyczność i konsekwencja w sprawie Haralda Feina zaczynały mnie już z wolna niepokoić.

A dalszym źródłem niepokoju był sam Harald Fein. Chciał tylko, żebym mu powiedział, jak doszło do śmierci Helgi. Wszystko inne wydawało mu się drugorzędne”.

— Nie widzę nic szczególnego, żadnych różnic — zapewnił Kellera Harald Fein na miejscu przestępstwa. — Czy to wszystko ma jeszcze jakieś znaczenie?

— Niech pan się nie śpieszy — polecił mu Keller. — Niech pan pozwoli, żeby wszystko zaczęło na pana oddziaływać w spokoju.

— Widzę ją jeszcze wyraźnie przed sobą — powiedział w zamyśleniu Harald Fein. — Wyszła z baru na rogu, gdzie zazwyczaj jadła i piła, przypuszczalnie w przerwie między pracą, przeważnie tuż po ósmej wieczorem.

- A więc ona pana nie tylko interesowała — stwierdził Keller.
— Pan ją śledził. Dlaczego?
— Nie wiem. Tak jakoś do tego doszło. Czułem, że mnie w jakiś sposób pociąga. Może sprawiała to jej witalność, jej wielka siła przyciągania. Cały ten typ był dla mnie czymś nowym. Tak, interesowała mnie, była bardzo kusząca. Rozumie pan?
— Zaczynam rozumieć. Ale nigdy nie poznał jej pan osobiście!
— Nie!
— I nawet pan nie próbował?
— Nie. Nie bezpośrednio.
— A więc pan ją tylko obserwował? I to intensywnie. Czy tylko ją? A może także jej gości? Może jednego z nich? Kogoś określonego?

Związana z tym wypowiedź właściciela, a zarazem barmana lokalu „El Dorado”, któremu przedłożono różne fo-tografie. Wypowiedź tę przekazał Kellerowi do dyspozycji Feldmann:

„— Wydaje mi się, że widziałem przelotnie prawie wszystkie twarze. Musi pan wiedzieć, że w moim jednoosobowym przedsiębiorstwie panuje wieczorem spory ruch. Jak w ulu. Zamordowaną znałem dobrze. Była często moim gościem. Wspaniała osoba, pod każdym względem. Nie była małostkowa, nie tylko pod względem napiwków. A na dodatek dobrze zbudowana, z przodu i z tyłu, to się rzucało w oczy. Wiele ludzi pytało mnie o nią. Pozwoliła mi podawać jej numer telefonu, ale tylko poważnym panom”.

Dalszy ciąg wypowiedzi właściciela „El Dorado” po obejrzeniu fotografii Haralda Feina:

„— Znam go! Ale nie dlatego, że zapamiętałem jego twarz. Przede wszystkim uderzyło mnie to, że nie pił, w barze! Ani kropli alkoholu. Zawsze zamawiał wodę mi-

neralną. Ale płacił za nią, jakby to był szampan. Gadał dużo. Ale wiedziałem dobrze, do czego zmierza. Udzieliłem mu paru informacji, a potem dałem mu numer telefonu".

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Podczas tej wizji lokalnej Harald Fein sprawiał wrażenie niezainteresowanego. Chwilami zachowywał się tak, jakby był nieobecny.

Mnie także interesowała w tym wszystkim najbardziej sprawa śmierci Helgi Fein. Było to niewątpliwie samobójstwo. Tego sformułowania używa się wciąż jeszcze w standardowych formularzach; ja osobiście uważam je za błędne z punktu widzenia prawnego i kryminalistycznego. Wolę określenie: dobrowolna śmierć.

Taka śmierć nie jest, niestety, rzadkością w ustalonych przez nas przypadkach zgonu. A tym bardziej w tym mieście jaskrawych sprzeczności: luksus i bieda, elegancka przytulność mieszczańska i gorączkowy występki.

Dobrowolną śmierć wybierają przede wszystkim ludzie bardzo młodzi albo prawie starzy. Więcej mężczyzn niż kobiet. Najczęściej na wiosnę i w grudniu. Szczególnym powodzeniem cieszą się weekendy. Najczęstsze przypadki to powieszenia, potem — otrucia. Utopienie się zajmuje piąte miejsce.

Młodzi ludzie wybierają często tę formę dobrowolnej śmierci z powodu «nieszczęśliwej miłości», a starsi dlatego, że czują się samotni. Przy czym wielu z nich, zwłaszcza ci, którzy, jak Helga Fein, pisali pamiętniki — zostawia list pożegnalny, w którym wyjaśnia przyczynę swego kroku.

Dotychczas jednak nie znaleziono podobnego listu Helgi Fein. I — co mnie jeszcze bardziej zdziwiło — nikt o niego nie zapytał. Nawet Harald Fein!

List pożegnalny Helgi Fein mógłby stanowić ważne ogniwo tego łańcucha. Musiała go napisać!

Ale kto — jeśli ten list w ogóle jeszcze istnieje — ma go w ręku?"

— Nie — powiedział Harald Fein, opierając się o poduszki samochodu — nic mi nie przychodzi na myśl. Zdaje się, że wszystko jest jak zawsze.

— Nic na siłę — poradził Keller. — Niech pan po prostu poczeka jeszcze chwilę.

Przez dłuższy czas siedzieli obok siebie w milczeniu. Keller obserwował obraz odbijający się w lekko zakurzonej teraz szybie: twarz Haralda Feina, której zniekształcone w groteskowy sposób kontury rozplywały się i zacierały. A przy tym Fein się uśmiechał.

Keller popatrzył na ulicę: panowała tu miła czystość. Potem przyjrzał się domom: gładkie, zimno połyskujące, uśmiechnięte fasady. Wreszcie w górę, na niebo, promiennie przezroczyste, jak zwykle o tej porze roku.

— Co za miasto — powiedział jakby do siebie. — Nie urodziłem się tutaj, lecz zawsze chętnie tu mieszkałem. Ale teraz zadaję sobie czasem pytanie: czy chciałbym tu także umrzeć?

Anton zaczął przejawiać niepokój.

— Nasz pies musi wyjść — powiedział Keller i otworzył drzwi samochodu.

Anton wyskoczył na ulicę i pobiegł prosto, jakby do wiadomego sobie celu, w prawy róg parkingu, należącego do domu pod numerem 33. Tam stanął nagle — jak gdyby nie znalazł czegoś, co miało dla niego poważne znaczenie.

— Zawsze załatwiał się w tym miejscu — powiedział Fein. — Ale zdaje się, że tym razem czegoś mu brak.

— A co to mogłoby być?

— Prawdopodobnie brak mu samochodu, który czasem tam stał i na który siusiał z wielką przyjemnością: najpierw na przednie koła, potem na tylne.

— A pan go obserwował siedząc w swoim mercedesie? Często?

Harald Fein skinął głową. — Anton niemal szalał za tym jaguarem!

— Jest pan pewien, że to był jaguar?

— Oczywiście! Zawsze chciałem sobie kupić taki samochód: kobaltowy. Albo srebrzystoblękitny. Albo szaroniebieski.

— Czy zapamiętał pan numer tego samochodu?

— To był monachijski numer. Jeśli dobrze pamiętam, to po literze M następowały dwie inne: C i D. A potem dwucyfrowa liczba. Mam wrażenie, że niska. Czy to ważne?

— Wydaje się, że tak — powiedział Keller. — Przynajmniej dla Antona.

Miejsce: główne biuro firmy „Plattner”. Czas: następnego rana, zaraz po rozpoczęciu pracy. Osoby: dyrektor Jonass, główna sekretarka Wagners-berger:

Jonass: — Wyglądasz dziś znowu wspaniale, Ewo! Wcale mnie to nie cieszy, ponieważ w ostatnich dniach musiałem niestety zaniedbać pewne rzeczy. Proszę oryginał i dwie kopie. Adresat: „Harald Fein. Zaczynamy. Wielce Szanowny Panie! Z ubolewaniem musimy zwrócić Pańską uwagę na to, że po zwrocie naszej firmie klucza od szafy pancерnej, który znajdował się w Pańskich rękach, z przechowywanej tam gotówki brak było sumy wynoszącej 50 000 marek”. Nie patrz na mnie takim zdumionym wzrokiem, dziewczyno! To jest po prostu nieuniknione, jeśli my oboje chcemy tu naprawdę umocnić swoją pozycję. Stary tak chce, a nam może to być tylko na rękę. A więc piszemy dalej: „Przyczyną tego, że dotychczas upominaliśmy się o zwrot tej sumy wyłącznie ustnie — aczkolwiek przy świadkach — był fakt, że między Panem a właścicielem firmy oraz jego rodziną istnieją jeszcze powiązania rodzinne”. Wiesz przecież sama, dziewczyno, że w kasie pancерnej znajdowały się zawsze większe sumy pieniędzy... pamiętasz o tym, prawda? Nie wiesz oczywiście, jakie to były sumy, ale zawsze po kilkadziesiąt tysięcy! Jasne? Jasne! A więc pisz dalej: „Mamy nadzieję, iż Pan zrozumie, że załatwienie tej sprawy leży w interesie obu stron. Może Pan przy tym liczyć na naszą wspaniałomyślność i gotowość do ugody, jeśli przy tej okazji nastąpi przy Pańskiej pomocy zwrot czerwonej teczki...”

W tych samych dniach — również w Monachium;

Pewien adwokat, nazwiskiem Toni Schlosser, przedstawił w swojej kancelarii zaalarmowanej przez niego prasie uprowadzonego chłopca, zwróconego przez kidnaperów po wręczeniu im okupu w wysokości 200 000 marek, po potrąceniu poważnej sumy, którą adwokat przekazał na „cele humanitarne”.

Chłopca oddano następnie matce, która czekała na niego w przydzielnym biurze policji.

Komentarz Brauna:

— Co za świństwo! Coś w rodzaju współpracy między zarozumiałym facetem, który przekręca prawo, a łajdaka mi najgorszego gatunku! Gdyby sprawa dostała się w moje ręce, to gwarantuję, że uniemożliwiłbym tej świni działanie!

W parę dni później adwokat Schlosser popełnił samobójstwo.

Komentarz Kellera:

— Prawdopodobnie zatrucie gazem spalinowym, a więc tlenkiem węgla. Możliwe, że na dodatek zażył jakieś tabletki. Zwłoki znaleziono w sypialni. Zapadnięta, zmięta twarz o bezbronnym wyrazie.

Komentarz obecnego przewodniczącego lokalnej Izby Adwokackiej:

— Nie wylewamy po panu Schlosserze krokodylich łez.

I wreszcie komentarz Dürrenmaiera:

— Mówi się o nim, że wierzył w sprawiedliwość. Ale w jaką? Czy w swoją koncepcję sprawiedliwości? Wydaje się, że niemal każdy ma własną. Ale specjaliści do spraw

kryminalnych muszą się trzymać wyłącznie prawa. Bo inaczej dokąd byśmy zaszli?

— Ja tymczasem — informował Keller w kancelarii adwokata Messera — ściągałem stare długi od kochanych kolegów, a więc praktycznie: prosiłem ich o pomoc. Oczywiście nie za darmo.

— Az jakim skutkiem?

— Przede wszystkim — powiedział Keller — zainteresowałem się nieco panem Jonassem. Co pan o nim sądzi, panie Fein?

— Nic!

— Jest to informacja równie wyczerpująca, co trafna — zauważył Keller. — To chyba jakiś nowy pogląd. Jeden z wielu.

Messer wpadł mu w słowo: — Czego się można po nim spodziewać? A mówiąc dokładniej: co można mu udowodnić?

— Spodziewać się po nim można wszystkiego, ale udowodnić niemal nic. Bo Jonassa nie znajdziemy w aktach policyjnych. Nie był też poprzednio karany. Należy do przestępców, których nie tak łatwo wciągnąć do kartoteki. Jest jednym z wielu, którzy każą innym pracować dla siebie. Przy tym Anton odnalazł kilku z nich.

— Ten pies? — zapytał zdumiony Messer.

Keller przytaknął. — Gdyby oprócz swojego nieomylnego instynktu miał jeszcze rozum i umiał mówić, to byłby z niego znakomity spec od kryminalistyki.

Notatka wewnętrzna, przeznaczona dla komisarza policji kryminalnej Kellera, sporządzona przez starszego inspektora Salzmanna ze służby śledczej:

„Na podstawie udzielonych nam wskazówek przesłuchano obu wymienionych przez Pana podejrzanych — brygadzystę Rogalskiego i portiera Pollocka. Okazało się przy tym, że:

Po pierwsze: obaj mogli brać udział w napadzie na Haralda Feina, dokonanym na bocznej ulicy od Promenadeplatz. Na ten czas nie mają wystarczającego alibi.

Po drugie: kazano im pełnić straż przy bramie cmentarnej na polecenie kierownictwa firmy. Polecenie Plattnera przekazał im Jonass. Tak zeznał jeden z podejrzanych — Rogalski; Pollock jednak nie potwierdził tego. Widocznie Jonass wydał odnośne polecenia wyłącznie Rogalskiemu, bez świadków.

Po trzecie: podczas pobytu Feina w szpitalu zbadano jego mieszkanie w domu Marbella. Udało się zabezpieczyć odciski palców: odcisk prawego kciuka brygadzysty Rogalskiego oraz środkowego palca lewej ręki portiera Pollocka".

— To znaczy — stwierdził Messer — że możemy bez trudu dobrać się do skóry dwom pomniejszszym łotrzykom, ale nie ich szefowi.

— To normalne w praktyce kryminalistycznej — powiedział Keller. — Postępowanie dowodowe jest zawsze rzeczą trudną. Przypuszczenia nic nie znaczą, nie wystarcza nawet pewność. Każdy z zainteresowanych może zaprzeczyć temu, co ktoś komuś powiedział, do czego go namawiał w cztery oczy, a nawet co mu rozkazał.

— Czy to znaczy, panie Keller, że nie widzi pan żadnych możliwości ataku? Czy pan rezygnuje?

— Wcale nie — powiedział komisarz policji kryminalnej. — Kryminalistyka jest jak układanie mozaiki. A to wymaga cierpliwości. Trzeba żmudnie dodawać kamień do kamienia, aż wreszcie powstanie jasny obraz.

— Czy możemy jeszcze czekać? — zapytał niecierpliwie Messer. — Czy każdy dzień, każda godzina nie może nam przynieść nowych niespodzianek? Na przykład nowych artykułów?

— Czy pan się czuje dotknięty, panie Fein? — zapytał Keller.

— Nie — odpowiedział Fein spokojnie. — Interesuje mnie wyłącznie, co się stało z Helgą. Chcę wiedzieć, kto

ponosi odpowiedzialność za jej śmierć. Wszystko inne obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Notatka dla komisarza policji kryminalnej Kellera, również przeznaczona do użytku wewnętrznego. Sporządzona przez dr. Trübnera-Marbacha, eksperta od odczytywania dokumentów i charakteru pisma; jemu podlega referat przyrządów do pisania.

„Poprosiłem o pomoc redakcją *Morgenzeitung*. Otrzymaliśmy za pokwitowaniem: fotokopią dokumentu oraz pismo towarzyszące. Koperty nie przechowano.

Wyniki: 1. Fotokopią wykonano na maszynie seryjnej. Rotaprint rapid albo rotaprint original. Papier dostarczony przez producenta. W Monachium i najbliższej okolicy znajduje się około sześćdziesięciu takich maszyn. Można jednak z niejaką pewnością zidentyfikować tę maszynę — jeśli się ją odnajdzie — ponieważ powoduje ona powstawanie specyficznych zniekształceń liter przez ich zamazanie.

2. Pismo towarzyszące — papier normalny, bez szczególnych cech charakterystycznych. Wyrób seryjny, do nabycia w wielu sklepach, domach towarowych i u dostawców materiałów biurowych. Prawdopodobnie wyprodukowany w Villingen, na wiosnę 1969 r.

3. Pismo maszynowe. Użyto maszyny włoskiej firmy *Bernasconi*, ale wyprodukowanej w Holandii, na angielskiej licencji. Typ: konstrukta original 70. Porównanie typów pisma: pozytywne. Samo pismo: uderzenia nierównomierne; piszący nie miał specjalnej wprawy; może jednak chciał wywołać takie wrażenie. Stwierdzono przy tym dwa defekty, których nie można stwierdzić gołym okiem: lekkie pochylenie «l» i minimalne pogrubienie górnej części litery «a»”.

— To brzmi dość zawile — powiedział Messer. — Co można z tym począć?

— Bardzo wiele, jeśli się wie, gdzie się taka konstrukta znajduje. Czy w pańskiej kancelarii jest maszyna tej marki?

— Od wielu już dni moja kancelaria mieści się w moim mieszkaniu — powiedział adwokat z rosnącą niecierpliwością. — Moją korespondencję załatwia obecnie pewna zaprzyjaźniona ze mną młoda osoba, w czasie wolnym od pracy na małej maszynie podrzędnej marki *Continental*.

— A pan, panie Fein?

Harald Fein spojrział z uśmiechem na Kellera. — Nie mam maszyny do pisania. Nigdy nie miałem. A w ostatnich dniach nikomu niczego nie dyktowałem. Czy to panu wystarczy?

— Całkowicie — powiedział Keller. — Ale ostatecznie mamy jeszcze tego jaguara.

Trzecia w tej sprawie notatka do użytku wewnętrznego, przeznaczona dla komisarza policji kryminalnej Kellera.

Sporządzona przez wydział głównego komisarza Samischa kartoteka pojazdów mechanicznych: numery rejestracyjne, numery silników i podwozi; kartoteka sprawców: wypadki, nadużycia, fałszowanie numerów rejestracyjnych i prawa jazdy, spis warsztatów, stacji benzynowych, firm sprzedaży używanych wozów i handlarzy złomu.

„Przedmiot: jaguar; lazurowy, stalowobłękitny lub szaroniebieski, prawdopodobnie nowszy model. Zażądano z Flensburga wykazu dla obszaru Monachium. Otrzymano go i wykorzystano. Rezultat: na tym terenie znajdują się tylko trzy samochody tej marki o barwie niebieskiej lub podobnej — jeśli nie uwzględniać ewentualnego przemalowania. Właściciele: hotelarz, przemysłowiec, polityk. Adresy w załączeniu. Ale tylko jeden z tych wozów ma niski, dwucyfrowy numer, mianowicie samochód polityka”.

— Chodzi tu — powiedział Keller — o jaguara niejakiego pana Feiningera.

— Nie! — zawołał spontanicznie Messer. — Czy aby pan się nie myli?

— W wypadku funkcjonariusza tej miary, co mój kolega Samisch — oświadczył Keller — omyłka jest raczej wyklu-

czona. Jaguar, którego zauważył pan Fein, może być tylko samochodem pana Feiningera.

— Jeśli to prawda — oświadczył podniecony Messer — to jest to rzecz niesłychana! Niech pan pomyśli: już samo to, że winę, którą nam zarzucają, spróbujemy przerzucić na człowieka na tak wysokim stanowisku — a tak przecież będzie się to interpretować — może nas drogo kosztować.

— Przecież nie może się pan już cofnąć — powiedział Keller do Messeica.

— Nie — potwierdził Messer, znowu panując nad sobą. — Nie mogę i nie chcę. — I dodał: — Niebezpieczny z pana człowiek...

— Dopiero zacząłem — zapewnił go Keller niemal serdecznie. — I jeśli mogę dać panu dobrą radę: niech pan się zwróci ze swoimi najnowszymi wiadomościami na temat jaguara i jego właściciela wprost do nadkomisarza Dürrenmaiera. Jeśli go znam, on tylko czeka na coś takiego.

— Czekałam na ciebie przez cały wieczór — zapewniła Haralda Feina Melania Weber, uśmiechając się do niego promiennie. — Nareszcie jesteś!

— Tylko po to, żeby zabrać świeżą piżamę — powiedział Fein, zatrzymując się na progu swojego mieszkania. — Muszę zaraz wracać do szpitala.

— Najpierw musisz wypocząć! Wyglądasz na bardzo zmęczonego, jak gdybyś miał do czynienia z trzema kobietami naraz!

— Pięknie by to było — powiedział Harald Fein, żartując z trudem. — Ale wystarcza mi w zupełności jeden jedyny funkcjonariusz policji kryminalnej.

Melania podeszła do niego, objęła go i zaprowadziła do łóżka. — Połóż się tylko na parę minut. Potrzeba ci tego!

Jej głos brzmiał czule. Pod wpływem tej łagodnej presji Harald się położył. Zamknął oczy. Usłyszał brzęk szklanek. A potem zobaczył musujący szampan.

— To ci dobrze zrobi — zapewniła go Melania, siadając przy nim.

...w parę godzin później Melania Weber powiedziała do swojej przyjaciółki Hildy Fein:

— ...jakże obrzydliwe jest wszystko, co ma związek z pozbawionymi hamulców, egoistycznymi mężczyznami!... Robiłam, co mogłam, żeby zlikwidować ten straszny nieporządek w jego pokoju. A jak mi podziękował? Rzucił się na mnie, chociaż się broniłam z całych sił! Czy bardzo cię to dziwi?

Hilda: — Nie wierzę ci! Nie jest taki, i nigdy taki nie był. Ale jeśli będziesz mogła coś takiego zeznać lub wręcz udowodnić, będę ci bardzo wdzięczna!

Melania: — Jak wdzięczna? Czy wtedy wszystko mogłoby znowu być tak, jak przedtem?

Hilda: — Może tak.

...Plattner powiedział do swojej córki Hildy:

— ...muszę cię niestety przygotować na to, moje kochane dziecko, że jeśli ten twój Jonass nie zdoła położyć definitywnie Feina na łopatkę...

Hilda: — To może zrobić Melania Weber.

Plattner: — Akurat ta lesbijka?

Hilda: — Melania jest biseksualna... i nie cofnie się przed niczym. Więc przed Haraldem też nie, jeśli się jej to opłaci.

Plattner: — Co jej za to przyrzekłaś?

Hilda: — Siebie. Ma do mnie specjalną słabość... i za to zrobi niejedno.

Posiedzenie kierownictwa SPD, podrejon Monachium, wewnętrzne, a więc przy drzwiach zamkniętych. Mówi Klaus Bundenberg, jeden z członków kierownictwa:

„— ...wyciągnęliśmy rękę do burmistrza, ale nie chciał zaakceptować naszego wspaniałomyślnego pójścia na ustępstwa... domagał się od nas nieograniczonego zaufania, co praktycznie równałoby się wystawieniu politycznego cze-

ku in blanco, a tym samym oznaczałoby pośrednio ubezwłasnowolnienie nas... albo przestanie wreszcie kwestionować to, że przysługują nam odpowiednie stanowiska w radzie miejskiej i w zarządzie miasta, albo odbierzemy mu możliwość przekraczania kompetencji i popełniania takich błędnych kroków... jeśli nie jest z nami, musimy być przeciwko niemu! Teoretycznie może się to wydawać godne ubolewania, ale praktycznie stało się nieuniknione. Zajmijmy się więc najpierw tymi spekulacjami ziemią..."

— Znowu pijesz? — zapytała Melania Weber, podając Haraldowi Feinowi szklanę.

— Muszę cię rozczarować, a raczej twoją kochaną Hildę i dobrego pana Plattnera. — Harald zaśmiał się krótko. — Nie czuję już niepohamowanego i nieopanowanego pociągu do alkoholu, ale od czasu do czasu piję chętnie dla przyjemności. Nie upijam się jednak.

— Cieszę się, ze względu na ciebie. A więc się przewyciężyłeś?

— Tak mi się wydaje. Nie muszę się nawet wysilać pod tym względem. Niepokoją mnie natomiast bardzo inne rzeczy, jak na przykład ta: gdzie przebiega granica między samobójstwem a morderstwem? Mówię o Heldze. Alkohol nie pomoże rozwiązać tej sprawy.

Harald Fein — następnego dnia — do swojego lekarza:

— Mówił pan, że alkoholizm jest przeważnie chorobą praktycznie nieuleczalną. Ale w moim wypadku choroba ta miała przede wszystkim psychiczne przyczyny. Gdy wów czas piłem niemal do utraty zmysłów, to po to, żeby zapamiętać. Potem pozbawiono mnie alkoholu... przy pańskiej czynnej pomocy. Po pobycie w sanatorium przez prawie dwa lata nie wziąłem do ust ani kropli alkoholu. Ostatnio jednak piję znowu... w miarę, bez najmniejszych oznak na łogu. Mogę się skoncentrować na jakiejś sprawie. Czuję, że alkoholizm już mi nie zagraża.

Następnego dnia ukazał się w „Morgenzeitung” dokument II podzielony na IIa i IIb. Obydwa przedstawiały fragmenty planu miasta Monachium, tereny olimpijskie i ich otoczenie:

Na planie IIa naszkicowano zakupione obiekty, znajdujące się na terenie Lisiego Ogona oraz w jego sąsiedztwie — z datami zakupu i cenami.

Na planie IIb widniał szkic projektowanych dróg dojazdowych do terenów olimpijskich. Zakupione obiekty znajdowały się niemal bez wyjątku w strefie objętej planami wydziału urbanistycznego zarządu miejskiego.

— Pan mnie nie zna — powiedział przyjaźnie Keller. — Ale ja znam pana, a pan zna psa, który mi towarzyszy.

— To przecież Anton! — zawołał zaskoczony Heinz Fein.

— W jaki sposób dostał się w pańskie ręce?

— Powierzono mi go. Potrzebował opiekuna.

Heinz Fein szedł do lokalu *White and Black* przy *Unge-
rerstrasse*. Była to przytulna buda, jeszcze nie zarażona
wytwornością i szalbierstwem. Chciał się tam spotkać z
przyjaciółmi, żeby bez ewentualnego nadzoru policji omówić z
nimi nowe akcje. Spieszyło mu się.

Mimo to chętnie przystanął, pochylił się i poklepał Antona po
głowie i plecach. — Jak ci się powodzi, ty potworze! — Pies
zamerdał ogonem przyjaźnie, ale krótko.

— Jak widać, Anton niezbyt pana lubi — stwierdził w za-
myśleniu Keller. — Chyba dlatego, że i pan go niezbyt lubi.
Dlaczego?

— Mam nawet od niedawna słabość do tego niezwyklego
zwierzaka z bajki — powiedział Heinz. — Bardzo bym go chciał
mieć! Tylko dla siebie. Ale Anton wybrał ojca i wkrótce stał się
dla niego czymś w rodzaju drugiego syna, jeśli nie jedyne.

— Rozumiem — powiedział Keller, towarzysząc Heinzowi w
sposób tak naturalny, jak gdyby znali się od dawna.

— Pan bardzo kocha ojca, prawda?

— A cóż to za pomysł! — Heinz Fein przystanął i popatrzył badawczo na niskiego, niemal drobnego człowieka który przyglądał mu się z uśmiechem. — Jak można w tym naszym wysoko uprzemysłowionym społeczeństwie kochać człowieka przedwczorajszej daty: wrażliwego, sentymentalnego, unikającego decyzji...

— Oczywiście *to* pana oburza i reaguje pan na to na swój sposób. Wiem o tym, bo umiem czytać gazety. Umieję też trochę kombinować. Musiałem się tego uczyć przez wiele lat!

— Kim pan jest?

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Spotkałem wówczas Heinza Feina po raz pierwszy. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem: podobny do Haralda Feina, tylko o dwadzieścia lat młodszy! A zatem bez brzemienia dwudziestu lat ciężkiej, monotonnej pracy, rozczarowań i zmęczenia, kłamstw i coraz większej gotowości do kompromisu. Wszystko to jeszcze było przed Heinzem Feinem.

Powiedziałem mu, że przede wszystkim jestem przyjacielem Antona, potem znajomym jego ojca, a wreszcie funkcjonariuszem policji kryminalnej — ale nie przyszedłem tu w tym charakterze. Powiedziałem mu, że chciałem go poznać. I to była prawda.

Poprosiłem go, żeby wysłuchał moich prywatnych rad. Powiedziałem, że nie musi się ich trzymać — ale niech je przemyśli. Bo bardzo potrzeba mu fachowego zaplecza”.

— Nie rozumiem — powiedział Heinz Fein, bardzo zaniepokojony — dokąd pan zmierza.

— Nie musi pan zaraz rozumieć — zapewnił go ostrożnie Keller — niech się pan nie śpieszy.

Był późny wieczór. Szli przez śródmieście, od Odeonplatz — po stronie Hofgartenu — ku Leopoldstrasse. Było tam mało przechodniów, ale łańcuchy światła samochodowych przesuwają się obok nich bez przerwy.

Światła wisiały także nad nimi — oświetlenie uliczne było rozrzutnie jasne; błękitnoszary asfalt lśnił, niebo było czarne.

— No pięknie — powiedział Heinz Fein, patrząc z ukosa na Kellera. — Jak na początek wcale nieźle: nie żąda pan od razu ode mnie zrozumienia i nie twierdzi pan też, że rozumie pan młodzież całkowicie. To świetnie! Co jeszcze?

— W tej chwili chciałbym pana o coś prosić. Powiedzmy: o grzeczność.

— Grzeczność? Niech pan jeszcze powie, panie Keller, że w interesie mojego ukochanego, biednego ojca, to się rozpłaczę ze wzruszenia. Czy to on pana przysłał?

— Nie. Jestem tu z Antonem... z powodu Helgi.

Heinz Fein zatrzymał się w cieniu. Jego głos zabrzmiał teraz niemal szorstko. — Helga? Przecież umarła, pochowano ją i zapomniano o niej.

— Tylko nie tym tonem — powiedział Keller bez cienia serdeczności. — W stosunku do mnie może pan sobie tego oszczędzić. Nie jestem ani trochę sentymentalny, chyba że chodzi o psy, a zwłaszcza o Antona. W tej chwili chcę z panem jedynie porozmawiać o ewentualnym liście pożegnalnym pańskiej siostry Helgi.

— Nic mi o nim nie wiadomo. — Heinz Fein stał się od razu rzeczowy i uważny. — Co pana upoważnia do przypuszczania, że taki list w ogóle istnieje?

— Moje długoletnie doświadczenie, przy czym naturalnie nie można wykluczyć wyjątków. Ale zazwyczaj ten, kto dobrowolnie wybiera śmierć, chce otoczeniu coś o sobie powiedzieć.

— Jeśli chodzi o Helgę, to może pan nawet mieć rację, właśnie tego można by się po niej spodziewać!

— Tego rodzaju listy pożegnalne kładzie się zazwyczaj na widocznych miejscach — wyjaśnił fachowo Keller. — Na przykład w pokoju zainteresowanej osoby, często pod lustrem albo na środku stołu. Albo obok ubrania.

— Jeśli tak było, to ktoś musiał go zabrać i przemilczał to przede mną.

— Całkiem możliwe — stwierdził Keller. — Obojętne z jakich powodów! Ale mimo to ten list nie musiał zostać

zniszczony. Doświadczenie uczy, że takie rzeczy zazwyczaj się chowa, a zatem przechowuje. Trzeba go znaleźć.

— Zrobię to! — zapewnił go zdecydowanie Heinz Fein. — Choćbym miał tę budę przewrócić do góry nogami.

Henri Messer wahał się przez blisko dobę — dobę pełną skrupułów, wątpliwości i intensywnych rozważań — zanim zdecydował się odwiedzić nadkomisarza Dürrenmaiera.

Przyjęto go natychmiast, jak gdyby go oczekiwano. — A więc co pan mi chce powiedzieć? — zapytał nadkomisarz.

— Obawiam się — powiedział Messer — że to, co mam panu do powiedzenia, wcale nie jest przyjemne.

— Dla mnie? Dla policji kryminalnej? Proszę pana, dla mnie wszelkie nieprzyjemności są chlebem powszednim!

— W tym wypadku — powiedział Messer — chodzi o rzecz, którą pański pan Braun prawdopodobnie przeoczył. Czy mogę panu przypomnieć o tej spornej notatce w kalendarzu zamordowanej, gdzie pojawiło się nazwisko Fein, ale z kropką na końcu? Oczywiście, mogło to oznaczać także Feininger. Czy pan pamięta?

Nadkomisarz Dürrenmaier zagłębił się w fotelu. Nic nie zmieniło się w jego twarzy. Tylko jego głos zabrzmiał tak, jak gdyby trudno było mu mówić: — Jakiś... określony Feininger?

— Niestety tak.

Fragmenty przeprowadzonej bezpośrednio potem rozmowy między nadkomisarzem Dürrenmaierem a komisarzem Braunem:

Dürrenmaier: — Chodzi o jaguara w szaroniebieskim odcieniu. Widziano go wiele razy w pobliżu miejsca zbrodni. Właściciel: pan Feininger.

Braun: — Tam do diabła! Kto to wyniuchał! Przepraszam. Kto się próbuje wtrącać do mojej roboty!

Dürrenmaier: — Nieważne kto! Proszę jak najszybciej przekazać mi wyniki dochodzenia.

Rozmowa telefoniczna między komisarzem Braunem a prokuratorem dr. Barthlem:

Braun: — Chciałem tylko, co przecież jest moim obowiązkiem, zwrócić pańską uwagę na pewien nowy element sprawy przy ulicy V numer trzydzieści trzy. Materiał, którym dysponuję, zmusza mnie do objęcia dochodzeniem także pana Feiningera.

Barthel: — Materiał obciążający?

Braun: — Tego jeszcze nie wiem. Ale muszę sprawdzić.

Barthel: — Oczywiście! Ale z należytą ostrożnością. Ostatecznie pan Feininger nie jest byle kim! A potem niech mnie pan poinformuje o wszystkich istotnych szczegółach.

Rozmowa telefoniczna między prokuratorem dr. Barthlem a panem Feiningerm:

Barthel: — ...uważam za stosowne poinformować cię na wszelki wypadek, że odwiedzi cię pewien funkcjonariusz policji kryminalnej nazwiskiem Braun. Powinieneś go przyjąć, mimo że masz tyle pracy!

Feininger: — Może przyjść... skoro uważasz to za stosowne. A o co chodzi?

Barthel: — Z grubsza o to, że jakiś niebieski jaguar parkował często w pobliżu domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy. Podobno ustalono, że jego właścicielem jesteś ty. Chciałbym ci jednak zwrócić uwagę na to, że właściciel nie zawsze musi być użytkownikiem. Nikt też nie twierdzi, o ile mi wiadomo, że widział cię osobiście. Mówię to tylko po to, żeby ci oszczędzić czasu.

Feininger: — Dziękuję ci. Rzeczywiście jestem bardzo zajęty. Nawiasem mówiąc, nasz minister sprawiedliwości szuka nowego podsekretarza stanu, najpóźniej na następny okres legislatury. Polecę mu pewnego wypróbowanego, odpowiedzialnego prawnika. A zatem do widzenia wkrótce!

W „Morgenzeitung” opublikowano komentarz „eksperta od spraw kryminalnych” Fokusa, który napisał między innymi:

„...system, za pomocą którego dokonuje się tego rodzaju zakupów ziemi, staje się powoli jasny... Najpierw kupuje się na zbadanym terenie jakiś kawałek ziemi — początkowo za każdą żadaną cenę — tylko po to, żeby się tam usadowić... a następnie przeprowadza się w bezwzględny sposób starannie przemyślaną obniżkę cen...”

W związku z tym „naoczny świadek”, Josef Donnersberg (fotografia), zamieszkały niegdyś na terenie Lisiego Ogona, oświadczył:

„— Typowy monachijski dom, stojący na sąsiedniej, zakupionej działce, został zrównany z ziemią. Potem postawiono tam barak — jak zapewniano: prowizoryczny — i zamontowano piły tarczowe, które pracowały po dziesięć godzin dziennie, produkując drewno budowlane. Cóż to był za hałas! Wprost nie do wytrzymania! Podobnie zrobiono o sto metrów dalej. Najpierw tylko przebudowano stojący tam dom, a potem urządzono hotel dla robotników zagranicznych. Dla około dwustu osób. Było tam strasznie ciasno. Toteż nocą siedzieli w naszych knajpach, awanturowali się i napastowali nasze dziewczęta. Nie mam nic przeciwko zagranicznym robotnikom, jeśli się przyzwoicie zachowują, ale... Podobnie zrobiono też z drugiej strony mojego domu. Założono magazyn materiałów pędnych, w którym składowano beczki. A one cuchną na milę!”

Jeszcze na ten temat:

„Wypowiedź Josephy Elisabeth Grundlinger, również właścicielki domu na terenie zwanym Lisim Ogona. Pobudował się tu jej przedwcześnie zmarły mąż, właściciel kiosku na Dworcu Głównym. Trzysta metrów kwadratowych.

Ciasne, ale własne. Kupił je przed niespełna trzydziestu laty za tysiąc pięćset marek. Teraz zaofierowano jej za to trzydzieści tysięcy. Potem pięćdziesiąt tysięcy. Wreszcie osiemdziesiąt tysięcy.

Josepha Elisabeth Grundlinger oświadczyła: — Każdy człowiek ma swoją ojczyznę i musi ją szanować jak świętą... ziemię, do której się jest przywiązany, proszę pana... To ma swoją wartość. A więc i cenę. A jeśli chodzi o hałas, na przykład z powodu pił tarczowych, to ja źle słyszę. Smród mi też nie przeszkadza. A ci Włosi — niech pan nie przesadza, nie są tacy dzicy. Raczej rozczarowują. A więc po co miałabym sprzedawać?"

I jeszcze na ten temat: Josef Adolf Hofberger — Młody socjalista, podobno świetnie obeznany z sytuacją w osiedlu Lisi Ogon:

„— Elegancki konserwatyzm o zabarwieniu socjalistycznym, reprezentowany przez burmistrza, a do tego ta naiwna gotowość do ustępstw ze strony drobnomieszczan, którymi wielokrotnie już manipulowano, do tego ta przykra uległość oddanych urzędników, stojących w duchu na baczność radców miejskich, koniunkturalnych potakiwaczy... Nie widać żadnej rewolucyjnej iskry. Monachium wcale nie błyszczy — ono śpi! Puszcza bąki! A kiedy wreszcie zaczną kichać na wszystko — kto będzie miał odwagę mówić o reformach wewnętrznych?"

I wreszcie jeszcze jeden były mieszkaniec osiedla Lisi Ogon, Thomas Ludwig Eder, były pracownik gazowni miejskiej. Oświadczył on „MZ”:

„— Codziennie ten hałas! Sto pił tarczowych. Ale zawsze całkiem legalnie — tylko podczas ustawowego czasu pracy. A potem te ciężarówki i autobusy do późna w noc. To się nazywa ruchem dojazdowym. A jeszcze ten przenikliwy smród dniem i nocą. Nasz kiedyś tak kochany Lisi

Ogon jest teraz jednym wielkim śmietniskiem. I wreszcie inwazja! Bałkańczycy, Włosi — całe masy. Lecą na kobiety jak nikt. Człowiek musi stać się szowinistą, czy chce, czy nie chce. W każdym razie w tych warunkach było tylko jedno wyjście: sprzedać! Za każdą cenę".

Następnie „Bild“:

Czujny, szczerze zaniepokojony! Jak zawsze. I jak zawsze — ostrzegający. Na pierwszej stronie, ogromną czcionką, tytuł: *Sprawiedliwość — dla kogo?*

Na zakończenie Fokus w „Morgenzeitung“:

„Oto w jaki sposób robi się miliony!”

Gdy komisarz Braun pojawił się w głównym biurze partii przy Königsplatz — już go tam oczekiwano. Tak zwana hostessa zajęła się nim bardzo uprzejmie.

— Pan Feininger jest wolny. Specjalnie dla pana. Czy mogę pana do niego zaprowadzić?

Oczywiście mogła. Braun zdławił tę żartobliwą uwagę, jaka mu się cisnęła na usta, gdy usłyszał, że Feininger jest „wolny specjalnie dla niego”. Poszedł za dziewczyną. Najpierw szli szerokimi schodami w górę, potem korytarzem, a potem przez dwa przedpokoje do biura głównego. Tam siedział Feininger.

Ale siedział niedługo. Podniósł się i podszedł do Brauna, wyciągnął do niego kościstą, wilgotną prawicę i krótkim spojrzeniem odprawił hostesę.

— Niech pan siada, panie Braun — powiedział serdecznie. — Niech się pan czuje jak u siebie w domu.

Feininger uśmiechał się szeroko i wytrwale. zaproponował koniak — „prezent od francuskiego ambasadora”. Potem cygara — „na urodziny od premiera”. Zarezerwowane dla specjalnych gości.

— Panie Feininger — powiedział Braun, obsługując się bez żenady — jestem tutaj jako urzędnik policji kryminalnej. Czy mogę zadać panu kilka pytań?

— Ile pan tylko chce! Proszę, niech pan pyta!

Z notatek komisarza Brauna, sporządzonych po tej rozmowie „tylko do użytku służbowego”, czyli dla naczelnika wydziału Dürrenmaiera:

„Pytanie skierowane do Feiningera: — Czy to prawda, że ma pan niebieskiego jaguara o niskim, dwucyfrowym, monachijskim numerze rejestracyjnym?

Odpowiedź Feiningera: — Tak. Ale to chyba nie jest jedyny błękitny jaguar w Monachium. Zdaje mi się, że widziałem przynajmniej jeszcze jeden czy dwa bardzo podobne egzemplarze.

Pytanie: — Czy pan sam prowadzi samochód?

Odpowiedź: — Przeważnie, ale nie zawsze. Mam wóz służbowy: BMW. I szofera do obu wozów. Nazywa się Wegleben. To bardzo porządny człowiek.

Pytanie: — Czy uważa pan za możliwe, żeby ten samochód w ostatnich miesiącach znajdował się często o różnej porze w pobliżu domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy?

Odpowiedź: — Powiedział pan ulica V? Niech pan pozwoli, że się zastanowię. Ależ tak, oczywiście, że tak być mogło. Mój szofer, właśnie ten Wegleben, mieszka, jak mi się zdaje, w tej okolicy! Niech pan go zapyta.

Pytanie: — A gdzie, o ile pan jeszcze pamięta, był pan wieczorem piętnastego września?”

Feininger, ponownie nalewając koniak od francuskiego ambasadora, popatrzył na Brauna z lekkim zdziwieniem: — Proszę pana, to było parę ładnych tygodni temu!

— A więc pan nie pamięta?

— Mam — powiedział w zamyśleniu Feininger — bardzo dobrą pamięć. Moi liczni wrogowie tego nie doceniają.

Ale takim sztukmistrem nie jestem! Mam jednak, naturalnie, kalendarz, w którym zapisuję, co robiłem każdego dnia.

— A co było piętnastego września?

— Niech pan pozwoli, że spojrzę — powiedział Feininger, wciąż jeszcze bardzo uprzejmie.

Wziął do ręki blok leżący na biurku. Blok ten składał się z 365 kartek papieru, z których każda była podzielona na dwadzieścia cztery godziny. Feininger zaczął przewracać kartki.

— Jest! Piętnasty września. W dzień w Monachium, rozmowy w kierownictwie bawarskiej organizacji partyjnej, rozmowa z pewnym wydawcą gazety u ministra finansów. Wieczorem Bonn. Mówiąc dokładniej: w Bad Godesberg, w lokalu *Goldenes Lamm*. Pokój w głębi. Na konferencji z towarzyszami partyjnymi, która trwała jeszcze długo po północy.

— Przypuszczam, że ma pan na to świadków?

— Mnóstwo! Wśród nich także jednego z ministrów federalnych. A skoro byłem w Bonn, to nie mogłem być równocześnie w Monachium.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Nie było mi łatwo polecieć do Madrytu, chociaż podróż ta miała się odbyć z mojej własnej inicjatywy. Niepokoiliem się o Antona. Dopiero gdy Harald Fein po wyjściu ze szpitala wprowadził się znowu do swojego mieszkania w domu Marbella, uznałem, że Anton będzie miał dobrą opiekę.

Madryt pociągał mnie niezwykle. Przede wszystkim ze względu na obrazy Boscha w Prado, ale także ze względu na Santosa, jednego z moich hiszpańskich kolegów, z którym się przyjaźniłem. Przed laty ścigaliśmy i schwytaliśmy wspólnie pewnego mordercę seksualnego.

Santos powitał mnie na lotnisku. Spędziliśmy długi wieczór na fachowych rozmowach, a następnego dnia przed południem siedziałem już naprzeciwko Kordesa, tak jak

sobie tego życzyłem. Santos czuwał pod drzwiami. Udało mu się zapewnić mi dwie godziny spokojnej rozmowy. A wystarczyło niespełna trzydzieści minut!"

Rozmowa nadkomisarza Dürrenmaiera z Jurgenem T., autorem książek na temat kryminalistyki, cieszących się uznaniem na rynku międzynarodowym. Rozmowę tę zapisał i przechował wśród swoich roboczych papierów Jurgen T.:

„Dürrenmaier: — Urzędnicy też są ludźmi, z wszystkimi swoimi błędami, słabościami i mankamentami. Najczęściej starają się być obiektywni, ale wciąż ulegają swoim uprzedzeniom, mrzonkom, powziętym z góry pojęciom ładu.

Jurgen T.: — Ale to chyba nie znaczy, że się pan z góry pogodził z możliwością popełniania pomyłek sądowych?

Dürrenmaier: — Gdybym tak myślał, tobym tu nie siedział. Ale nie mam złudzeń co do ludzkich i aż nazbyt ludzkich cech osób z naszego środowiska. Trzeba o tym stale pamiętać, tylko w ten sposób można uniknąć wielu rzeczy. Przysnaję, że nie wszystkiego. Wiem jednak, że wśród stu spraw wyglądających z pozoru na to, że się je da załatwić w oparciu o czystą rutynę, nagle zdarza się jedna, która nawet najbardziej zahartowanego funkcjonariusza policji kryminalnej zmusza do bardzo ludzkich, zaangażowanych reakcji. Nie mogę wprawdzie całkowicie zlikwidować tych reakcji, tak jak nie mogę zlikwidować uprzedzeń czy nawet nienawiści na przykład do określonych warstw społecznych, ale mogę je dostrzec, aby potem móc je kontrolować.

Jurgen T.: — I jest pan zdania, że nawet w pańskim otoczeniu nikt nie jest wolny od tego rodzaju skłonności?

Dürrenmaier: — Nawet ja nie, i Braun też nie, jeśli pan ma właśnie jęgo na myśli. Może jedynie Keller".

— Pan chyba pomylił drzwi, panie Keller! — wołał areztowany w Madrycie sutener Kordes. — Chyba nie przyjechał pan tu specjalnie do mnie. A może?

— Wyłącznie do pana — zapewnił uprzejmie Keller. Zachowywał się w celi tak, jakby był w domu. Otworzył kran nad umywalką, napił się z ręki trochę wody, skinął głową z zadowoleniem. Zbadał fachowo sprężyny materaca i usiadł na łóżku. Nie spuszczał przy tym oka z Kordesa, który objawiał coraz większy niepokój.

— Panie! — wykrztusił zdenerwowany — z panem nie chcę mieć nic do czynienia. Zwłoki to nie mój resort!

— Wystarczy, żeby pan tylko zwietrzył coś takiego, a już pan bierze nogi za pas, prawda?

— W stu procentach. Pan mnie zna.

— My się znamy — powiedział łagodnie Keller. Spotkali się już wiele razy: z powodu paru napadów na pijanych do nieprzytomności ludzi, mających przy sobie większą gotówkę, z powodu zabójstwa w afekcie i wreszcie z powodu znęcania się nad pewną prostytutką przy użyciu żyłki. W tym ostatnim wypadku Kordes był przesłuchiwany jedynie w charakterze świadka.

Keller zawsze traktował Kordesa właściwie. Kordes czuł się rozumiany. A to rodzi wdzięczność.

— Ale jedno powiem panu od razu, panie Keller: gdyby pan próbował zabrać mnie stąd, to będę milczał jak grób, nawet przed panem. To, co mi się tu zarzuca, odsiedzę, na jednym półdupku. Nie tęsknię do Monachium, proszę pana! Tam mi za bardzo śmierdzi.

— Szanuję pański subtelny węch, ale może pan być pewien, że wcale nie mam zamiaru zagarniać pana dla niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Chciałbym tylko, kierując się niemal osobistym zainteresowaniem, żeby mi pan coś wyjaśnił.

— Na temat morderstwa przy ulicy V trzydzieści trzy, prawda? Ale ja nie mam z tym nic wspólnego! Jak pan wie, wyjechałem. Akurat w samą porę.

Kordes znowu żartował. Jeśli Keller powiedział, że nie będzie próbował go stąd zabrać, to dotrzyma słowa. Kordes usiadł obok komisarza i skinął mu zachęcająco głową, co miało wyraźnie znaczyć: no więc, niech pan strzela — co mam panu wyjaśnić?

— Chciałbym coś więcej wiedzieć o zbiorze adresów gromadzonych przez pańską byłą przyjaciółkę. O ile pana znam, Braunowi powiedział pan tylko to, co najkonieczniej-sze. Ale ja chcę wiedzieć wszystko. A więc ten spis adresów był, jak przypuszczam, pańskim pomysłem. Swojego rodzaju dokumentacja: dzień po dniu, godzina i cena. I oczywiście nazwiska gości — wszystko w celu zebrania później ewentualnie kapitału.

— Jest pan szlachetnym człowiekiem, panie Keller — przyznał ucieszony Kordes. — Unika pan takich słów jak szantaż, kiedy w grę wchodzi jedynie gwarancja milczenia, która zawsze ma swoją cenę. Ale mówiąc między nami: praktycznie do tego nie doszło. Niestety. Bo wszedł mi w paradę jakiś amator i spaskudził całą sprawę!

— Czy może Harald Fein?

— Ta świnią! — zawołał szczerze oburzony Kordes. — Spróbował się w to wmieszać. I na dodatek z powodu tego dyletanta może jeszcze będę musiał zgodzić się na to, żeby mnie zawleczono do Monachium! A tutaj zamknięto mnie tylko z powodu wykroczenia dewizowego. A to tylko honorowy grzech!

— A jeśli panu zagwarantuję, że na razie będzie pan mógł pozostać w Madrycie? A zatem, powiedzmy, przez rok będzie pan bezpieczny? Co wtedy?

— Wówczas, panie Keller, może pan ode mnie oczekiwać wszystkiego, czego pan zażąda! Panu wierzę!

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„W naszym środowisku zaufanie jest sprawą śmiertelnie poważną. W stosunkach między pracownikami policji kryminalnej a kryminalistami można je zawieść tylko raz — potem już nigdy. Potem wszystkie mosty są już definitywnie spalone.

W branży szybko rozchodzi się wieść o złamaniu słowa. Kordes wiedział o tym — i ja wiedziałem także. W tej sytuacji staliśmy się więc kimś w rodzaju partnerów ubijających wspólny interes.

Oдноszą umowę udało się — przy pomocy mojego hiszpańskiego kolegi Santosa — zawrzeć ku ogólnemu zadowoleniu w ciągu kilku minut. Kor des przyrzekł Santosowi, że udzieli mu pewnych informacji na temat sfalszowanych pieniędzy, podrabiania paszportów i tak dalej. W odpowiedzi na to Santos zapewnił go, że chociaż to wymaga trochę czasu, postara się o zwolnienie go z więzienia na prośbę i równocześnie postawi warunek, że zwalniany musi się zatrzymać w pobliżu Madrytu na co najmniej rok.

Po załatwieniu tej sprawy Kordes odpowiadał precyzyjnie i uprzejmie na wszystkie moje pytania.

1. Fein wpisany do książki gości i wpływów jego przyjaciółki nie był Haraldem Feinem. Po nazwisku Fein znajdowała się kropka. Był to skrót nazwiska Feiningera, który, nawiasem mówiąc, robił wielką, federalną politykę. Za radą Kordesa jego przyjaciółka miała się skoncentrować na tym właśnie człowieku — co przecież rokowało wielkie nadzieje.

Komentarz Kordesa:

— Mówiąc otwarcie, przeliczyliśmy się bardzo. Bo od Feiningera niełatwo było coś zainkasować. Zaraz groził Bogiem i policją. Gdy spostrzegłem, że myśli poważnie, wzięłem szybko nogi za pas i wyjechałem najpierw do Szwajcarii, a potem do Hiszpanii. Bo kto może sobie pozwolić na to, żeby się znaleźć pod ostrzałem bardzo potężnego człowieka? Chyba nawet nie funkcjonariusz policji kryminalnej, prawda?

2. Wiele razy zapisano w tej książce wyraz Paul. Na przykład W. Paul — co oznaczało: Wolfgang Paul, znany aktor, występujący w reklamie telewizyjnej; następnie Paul W. — Paul Wohlfahrt, przemysłowiec zajmujący kierownicze stanowisko w pewnej fabryce pralek. I wreszcie wielokrotnie samo Paul, bez żadnych dodatków".

— A to co znaczy? — zapytał Keller.

— Paul to Paul — wyjaśnił Kordes. — W tym wypadku Paul Plattner.

— A więc tak to wygląda — powiedział Keller.

Tego samego dnia Heinz Fein, przeszukując dom rodzinny, znalazł list pożegnalny Helgi.

Bez trudu — i szybciej, niż się spodziewał — znalazł go w dolnej prawej szufladzie toaletki matki.

Helga pisała:

„Nie mogę dłużej. Nie chcę. Wszystko jest takie brudne i nikczemne!

Nie poznano się na mnie i nadużyto mego zaufania.

Nikt mnie naprawdę nie kocha. Każdy mnie tylko wykorzystuje.

Nie kochała mnie matka ani ojciec, ani brat.

Wyglądało to tak, jak gdyby mnie opuszczono, jakby specjalnie narażono mnie na tę ostatnią, trudną do wymyślenia nikczemność. Jeśli takie ma być życie, to wolę umrzeć.

Przebacz mi przede wszystkim Ty, Kochany Ojczy — ale nie mogę inaczej".

9

S erdecznie witamy w naszym wielkim mieście o czułym sercu — zawołał poprzez barierę celną na lotnisku Heinz Fein na widok komisarza policji kryminalnej Kellera.

— Wiem, pan jest nieunikniony. Na szczęście — uśmiechnął się do Heinza Kellera.

— Proszę mi dać swój bagaż — powiedział pogodnie Heinz. — Wiem, że na pewno wołałby pan zobaczyć tu zamiast mnie Antona. Ale mam przynajmniej coś, czego Anton nie ma: samochód.

Keller chętnie powierzył walizkę Heinzowi Feinowi. Szli przez halę w kierunku wyjścia. — A więc ma go pan — stwierdził przy tym komisarz.

Heinz Fein skinął głową: wiedział, o co chodzi. I szybko nauczył się reagować podobnie jak Keller. — Może pan przeczytać pożegnalny list Helgi w drodze do miasta.

Późniejsza wypowiedź Heinza Feina na temat tych wydarzeń — w rozmowie z przyjacielem:

„— Jeśli kiedykolwiek spotkałem wytrawnego pokerzystę, to był nim ten Keller. Mogło się dzieć Bóg wie co, on nie zdradzał żadnych uczuć. Tak było także wtedy, gdy siedział obok mnie w aucie i czytał po drodze list Helgi. Wolno, bardzo dokładnie. Prawdopodobnie wiele razy. Próbowiałem go przy tym obserwować. Zauważył to natychmiast. «Niech pan uważa na ruch», powiedział rzeczowo”.

Komisarz Braun powiedział później W związku z tymi wydarzeniami do jednego z kolegów:

„— ...zawsze uważałem Kellera za faceta kutego na cztery nogi; mówię to oczywiście z całym szacunkiem... był jednak w najwyższym stopniu niewygodny dla nas wszystkich; jestem pewien, że także dla Dürrenmaiera. Bo zawsze próbował prowadzić swoją własną grę. No cóż, ja też próbowałem czasami to robić... ale Keller, «Keller-trupiarnia», był o wiele bardziej konsekwentny, a może bardziej bezwzględny. Zapłacił za to swoim stanowiskiem. Poszedł potem na emeryturę. Dobrowolnie. Po to, żeby go nie posłał kto inny, pan rozumie? Oczywiście nie obeszło się bez awansowania go wcześniej na głównego komisarza. Tak to się robi”.

— No i co, panie Keller, co pan o tym myśli? — zapytał Heinz Fein, wskazując na list Helgi. — Musiało się zdarzyć coś całkiem paskudnego! Coś tak szokującego, że skłoniło Helgę do samobójstwa. Ojciec chce koniecznie wiedzieć, co to było. I ja także. Czy pan coś robi, żeby to wykryć?

Widocznie Keller uważał, że odpowiedź jest zbędna, bo zapytał tylko: — Czy pan pokazał ten list ojcu?

— Prawdopodobnie pan sam będzie chciał to zrobić.

— Ale nie zaraz, jeśli pan pozwoli. Dopiero wtedy, kiedy uznam to za stosowne. A może nigdy. Zgoda?

Heinz Fein przyhamował, zjechał na prawo, wyłączył silnik i zwrócił się w stronę Kellera. Ujrzał przed sobą przygarbionego małego człowieczka, który patrzył na list Helgi.

— Co to ma być? — zapytał Heinz Fein. — Propozycja, pomysł czy coś w rodzaju polecenia?

— Coś w rodzaju zmowy milczenia... — zawartej między nami — wyjaśnił cierpliwie Keller. — Przynajmniej na parę dni.

— A więc propozycja — stwierdził Heinz Fein. — Co pan oferuje w zamian?

— Mnóstwo rzeczy. Tak przynajmniej sędzę. — Keller złożył starannie list Helgi i włożył go do kieszeni marynarki. — Dopóki pan będzie milczał, będę milczał i ja.

— O czym?

— Wie pan bardzo dobrze! Ale będę milczał tylko wtedy, jeśli pan się zgodzi na pewien warunek.

— Na jaki?

— Czy mogę pana przedtem poprosić o jeszcze jedną grzeczność?

— O co panu znowu chodzi?

— O teren działania głównej sekretarki pańskiego dziadka, czyli o przedpokój biura właściciela firmy *Plattner*. Pan się tam co nieco orientuje, także w sprawach dotyczących powielaczy i maszyn do pisania.

— Skąd pan wie?

— Wiem — powiedział po prostu Keller. — I pan powinien pogodzić się z tym, że wiem.

Sprawozdanie wewnętrzne — przygotowane specjalnie dla Kellera przez inspektora policji kryminalnej Hohmanna z wydziału do spraw włamań, specjalistę od materiałów budowlanych, w oparciu o zeznania pewnego konfidenta, zatrudnionego w firmie „Plattner”:

„9 października — godzina 14.10 do 14.40 — Heinz Fein w biurze dyrekcji, u głównej sekretarki, E. M. Wagnersberger.

11 października — godzina 16.05 do 17.00 Heinz Fein tamże.

13 października — godzina 19.40 do 21.50 kolacja z Wagnersberger w *Bonne Auberge*.

Potem Heinz odwiózł ją do jej mieszkania przy Hohenzolernstrasse, wszedł z nią na górę i przebywał tam od godziny 22.20 do 00.10.

15 października — godzina 18.45 do 19.35 Heinz Fein w biurze dyrekcji. Sam. Widocznie pracował: słychać było stuk maszyny do pisania”.

Ewa-Maria Wagnersberger, główna sekretarka firmy „Plattner”, o swoim stosunku z Heimem Feinem:

„— Proszę pana, to miły, dobry chłopiec! Ale bądź co bądź wnuk pana Plattnera i prawdopodobnie w przyszłości jego jedyny spadkobierca. Zaczął się interesować firmą, a nie mną osobiście. Opiekowałam się nim w interesie naszej firmy, co zresztą rozumie się samo przez się. Byłam pewna zgody pana Plattnera”.

Wamsler, pracownik biura dyrekcji, odpowiedzialny za świadczenie usług w charakterze gońca oraz za osobistą opiekę nad panem Plattnerem, oświadczył:

„— A więc skoro pan mnie pyta, to sprawa wyglądała tak: jeśli chciało się coś osiągnąć w zasięgu ręki Plattnera, nie można było pominąć Wagnersberger. Zrozumiał to także Heinz Fein, który jest całkiem mądrym chłopcem, choć na takiego nie wygląda. Jestem pewien, że i on miał coś z sekretarką! Ostatecznie była to jakby rodzinna tradycja! Nawet bym się zdziwił, gdyby tak nie było...”

— A zatem żąda pan ode mnie — podsumował Heinz Fein — żebym się panu postarał o próbkę pisma konstrukty, maszyny do pisania, która stoi w biurze dyrekcji?

— Ja niczego nie żądam, ja proszę.

— Zrobi się!

— Kiedy? Dziś jeszcze.

Heinz Fein skinął głową. — I co jeszcze?

— Chodzi jeszcze o kopię tej próbki pisma wykonaną na zainstalowanym w tym biurze powielaczu. Da się to zrobić?

Heinz Fein skinął powtórnie głową. — Dostanie pan te próbki... najpóźniej jutro rano. Czy jeszcze coś?

— Na razie zupełnie wystarczy.

— A co z listem pożegnalnym Helgi?

— Wróć do niego. Muszę tylko zarządzić wszczęcie pewnych dochodzeń. Teraz znam punkt zaczepienia. Na razie

jednak niech pan jedzie dalej i niech pan mnie wysadzi przed mieszkaniem pańskiego ojca.

— Stęsknił się pan za nim?

— Chcę zobaczyć Antona.

Braun do Feldmanna — monolog pozasłużbowy, wygłoszony w lokalu „Burgerbraukeller“:

— Co pan na to, mój drogi? Myślę o święcie narodów. To tylko jeszcze jeden spektakl w tym świecie interesowi Spektakl na skalę światową, na miarę lądowania na księżycu. To pewne, że ten wyrafinowany burmistrz wpompuje w ten sposób parę ładnych milionów do swojego miasta. Najpierw twierdził, że wystarczy jakieś sześćset. A wkrótce będzie miliard. I prawdopodobnie dojdzie do tego jeszcze co najmniej pięćset milionów, jeśli nie osiemset. Miasto inkasuje praktycznie wszystko, ale płaci trzecią część. Drugą płaci kraj Bawaria, a trzecią państwo. Ostatnio państwo zaczęło płacić nawet połowę. A burmistrz ma swoją sieć kolejek podziemnych, rozbudowę sieci tramwajowej, nowe ulice, reprezentacyjne place i boiska sportowe na dzisiejszą miarę, które prawdopodobnie wystarczą do roku dwutysięcznego. Pięknie! Ale hieny tego miasta wietrzą zapach tego tysiąca i więcej milionów. Chcą dostać swój kawałek z tego olbrzymiego tortu: budują, organizują, publikują, koordynują i inwestują. Siedmiu etatowych prawników, zatrudnionych w Olimpijskim Komitecie Organizacyjnym, pertraktuje w sprawie zawarcia dwustu umów specjalnych, dotyczących: musztardy, frytek, pasty do zębów, papieru toaletowego, popielniczek, kiełbasek, miodu, soków owocowych, sera, bielizny! Kto tylko może, zabiera się do roboty! Powstają restauracje szybkiej obsługi, neony wieży olimpijskiej głoszą na wszystkie cztery strony świata: *Wienerwald*; angażuje się ponad tysiąc hostess; w 1972 r. przystąpi do działania ponad trzydzieści tysięcy ludzi zatrudnionych na terenach olimpijskich. Sprzedano 4,5 miliona biletów wstępu.

Powinny przynieść około 30

milionów marek zysku — a więc nawet nie pięćdziesiątą część zainwestowanej sumy!

Feldmann: — Sądzę, że trzeba przyznać, iż takiemu przedsięwzięciu przyświecają także cele idealistyczne!

Braun: — Oczywiście! Ten rzekomy idealizm zawsze od-
działawał na idiotów przedziwnie odurzająco. Ale my, mój drogi,
jesteśmy specjalistami od spraw kryminalnych, i to one są naszym
polem działania.

Feldmann: — Także w związku z tą olimpiadą?

Braun: — Niechże się pan zastanowi! Za Feinem stoi Plat-tner.
A zatem przedsiębiorstwo pierwszej rangi. A za Fei-ningerem
gromadzą się różne grupy interesów: banki, towarzystwa
ubezpieczeniowe, przedsiębiorstwa transportowe, wielkie
browary, łańcuchy hoteli! Czy nigdy nie uderzyło pana to, że
zawsze i wszędzie pojawiają się te same nazwy firm: w
śródmieściu, poniżej Stachusa, na terenach olimpijskich? I na
Schwabingu...

Feldmann: — Możliwe! Ale przecież nie ma w tym nic
sprzecznego z prawem, ani wręcz zbrodniczego. A może?

Braun: — To zależy. Zależy, co się okaże w toku dochodzeń.

Gdy Keller zbliżał się do drzwi mieszkania Feina, usłyszał
radosny skowyt Antona. Zadzwoił.

Harald Fein otworzył drzwi — i natychmiast wypadł z nich
powitanie Kellera Anton. Keller chwycił psa na ręce, przycisnął
go do piersi i pozwolił mu, żeby go polizał po twarzy. Był
szczęśliwy.

— Czekał na pana — powiedział serdecznie Harald. — A jak
się panu udała podróż do Madrytu?

— Dobrze i zarazem niedobrze. To zależy od punktu widzenia
— powiedział Keller, czuląc się z Antonem.

— Czy to ma znaczyć — zapytał wyraźnie zaniepokojony
Harald Fein — że pan nic w Madrycie nie osiągnął?

— Owszem, pewne rzeczy — zapewnił go Keller, drapiąc
Antona za uszami. — Na przykład to, że Fein z kropką na końcu
na pewno oznacza Feiningera. I że jest to naprawdę ten Feinger,
którego mieliśmy na myśli. Może pan

to oświadczyć w sposób wiążący swojemu adwokatowi Messerowi. Ja w każdym razie muszę zaraz, jeśli pan pozwoli, iść z Antonem na spacer!

Fragment orzeczenia dr. Rehlingera, jednego z dwóch ekspertów w Urzędzie do Spraw Maszyn do Pisania i Powielaczy. Ekspertyza została opracowana na podstawie materiałów przekazanych dr. Rehlingerowi przez Kellera, które ten z kolei otrzymał od Heinza Feina:

„Całkowita zgodność typów pisma. List skierowany do *Morgenzeitung* jest napisany tym samym pismem, co przedłożone próbki. Musiały zostać napisane na tej samej maszynie”.

Po czym następowala — na trzech stronach — dokładna analiza, bazująca na literach „a” i „e”, jak również na „t” i „f”. Wszystkie one miały jednakowe cechy charakterystyczne, jak na przykład: górne ich części były pogrubione, a dolne niezbyt wyraźnie odbite, środkowe zaś zamazane, przede wszystkim w miejscach, gdzie litery były zaokrąglone.

„Jeśli chodzi o kopie, to występują charakterystyczne zatarcia powtarzających się rytmicznie znaków, a to na prawym brzegu kopii. Również i one są całkowicie zgodne. A zatem materiał dostarczony przez *Morgenzeitung* i próbki z firmy *Plattner* są niewątpliwie identyczne”.

W tych dniach w tymże samym Monachium:

„W podpalonym domu znaleziono: mężczyznę, lekarza, lat 46, z podciętym gardłem; jego żonę, lat 30, zabita młotkiem, oraz ich półtoraroczną córkę — uduszoną.

Policja kryminalna ustaliła bardzo szybko, że sprawcą jest przypuszczalny ojciec zamordowanego dziecka, stały kochanek żony lekarza, długoletni lokator i przyjaciel domu — pewien mężczyzna z Białfy”.

— Straszny, ale nie zaskakujący koniec małżeństwa we troje! Jest to sygnał ostrzegawczy, świadczący o zdżuczeniu seksualnym, jakie panuje w wielu warstwach społecznych.

Komentarz Kellera:

— Dziecko, dziewczynka, było aż do piersi niemal spalone, ale na szyi widać było wyraźne ślady uduszenia. Głowę kobiety zdruzgotaną młotkiem zidentyfikował jej dentysta na podstawie rekonstrukcji uzębienia. Mężczyzna leżał w łóżku. Ktoś rozplatał mu gardło jednym jedynym cięciem, prawdopodobnie przy użyciu skalpela.

Komentarz nadkomisarza Dürrenmaiera:

— Jakże mało wiemy o tym, na co stać ludzi żyjących między nami!

— Kim pan jest? — zagadnął swojego gościa Paul Plattner. — Funkcjonariuszem policji kryminalnej?

— Nazywam się Neumann — odpowiedział zapytany. Wyglądał na pocziwego mieszczucha. — Pracuję w prezydium policji, w zespole techniki kryminalnej, w stopniu starszego inspektora.

— I co z tego? Czego pan chce?

— Jestem tu po to, żeby pana poinformować.

O czym ?

— O pewnym fackie, panie Plattner, który bezpośrednio dotyczy pańskiej firmy. Wygląda jednak na to, że pan osobiście nie brał raczej w tym udziału. Policja kryminalna, która jak zwykle stara się wszystko wyjaśnić, liczy na pańską współpracę.

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Pracuję w tym zawodzie od blisko czterdziestu lat. Uczestniczyłem już w tysiącach dochodzeń, współpracowałem z setkami kolegów. Zawsze mi pomagali, gdy ich o to prosiłem.

Ale wahałem się bardzo długo, zanim powierzyłem jednemu z kolegów wywarcie raz jeszcze bezpośredniego wpływu na Paula Plattnera. Czułem bowiem ogromne pragnienie spotkania się raz jeszcze osobiście z tym człowiekiem. Ale takie spotkanie wydawało mi się jeszcze przedwczesne. Bo jeszcze nie skonfrontowałem go z tym, na co naprawdę zasłużył.

Wreszcie posłałem do niego Neumanna. — Ten starszy inspektor wyglądał na pierwszy rzut oka niepozornie. Udzieliłem mu specjalnie szczegółowych wskazówek i nasłałem go na Plattnera”.

— Co pan rozumie przez współpracę? — zapytał Plattner Neumanna.

— W tym wypadku, panie Plattner, zechce pan przede wszystkim przyjąć do wiadomości pewne fakty, aby z nich wyciągnąć nieuniknione wnioski.

— O co chodzi?

— O pisma i dokumenty udostępnione redakcji *Morgenzeitung*.

— To niesłychane świństwo! — stwierdził Paul Plattner.

— Na to faktycznie wygląda! — przytaknął Neumann. — Zwłaszcza że po naszych badaniach przy użyciu techniki kryminalnej jest zupełnie pewne, że wszystkie te materiały zostały przygotowane tutaj, w pańskim biurze! I to na maszynie stojącej w biurze pańskiej głównej sekretarki i na powielaczu znajdującym się w tym samym pomieszczeniu!

— Nie! To przecież niemożliwe!

— Pomyłka jest niemożliwa — powiedział Neumann z niewzruszoną rzeczowością. — Wyniki badań wykluczają wszelkie wątpliwości. Każdy sąd to przyzna.

— Dawać mi tu Jonassa! — krzyknął Paul Plattner.

Fragmenty przeznaczonego dla prasy sprawozdania dyrektora policji kryminalnej z prezydium policji:

.....wśród ujętych podejrzanych było 80,7 procent mężczyzn, 19,3 procent kobiet... przestępczość nieletnich zwiększa się gwałtownie... liczba wykroczeń spowodowanych zażywaniem narkotyków potroiła się w ciągu roku...

...zgodnie z międzynarodowym trendem zwiększa się brutalność, liczba rabunków i związanych z rabunkiem szantaży, gwałtów i morderstw. Dotyczy to wszystkich kręgów społecznych. Zanika poszanowanie ludzkiego życia.

Wszystkie 44 znane usiłowania popełnienia morderstwa i zabójstwa zostały wykryte. Stopień wykrywalności przypadków gwałtu wynosi ponad 70 procent, a morderstw — blisko 80 procent. Rezultaty te przewyższają przeciętny stopień wykrywalności.

Zwykłe mankamenty: za mało środków, za mało materiałów, za mało pomieszczeń. I za mało personelu. W samym tylko Monachium jest ponad 700 wakatów".

Dodatkowa uwaga dyrektora policji kryminalnej:

„Pozwólcie mi zwrócić uwagę na pewną hipotezę, którą przedłożył w czasopiśmie kryminalistycznym jeden z naszych pracowników, pan komisarz Keller. Każdemu, kto sobie tego będzie życzył, możemy udostępnić kopię.

W pracy tej komisarz Keller wysunął tezę, że praktycznie można by rozwiązać ze skutecznością prawną każdą ciężką zbrodnię, gdyby można było korzystać — przez czas nieograniczony — z wszystkich środków i gdyby dysponowało się dobrze wyszkolonymi i doświadczonymi taktykami i technikami z zakresu kryminalistyki.

Wprawdzie jest to stwierdzenie teoretyczne, ale poważna część fachowców zgadza się z nim. Ja także".

Komentarz „Fokusa”:

„Nasza monachijska policja, pracująca pod kierownict-

wem prefekta Schreiberera, jest jedną z najlepszych na terenie całej Republiki Federalnej. Oczywiście i ona niekiedy zawodzi, jak na przykład w przypadku tego godnego ubolewania zastrzelenia gangstera i jego zakładników czy dochodzenia w sprawie tego szczególnie brutalnego napadu na bank. Jednakże wielu z pracujących tu funkcjonariuszy policji kryminalnej — jak na przykład Hahringa, Dürrenmaiera, Fischera, Kellera i Schmidta — można zaliczyć do czołowej kadry tego zawodu.

Już wykrycie sprawy znanej pod nazwą «zwłoki kobiety w zwirowni pod Starnbergiem» było majstersztykiem policji kryminalnej".

W tym samym Monachium:

„Pewien pięćdziesięcioletni mężczyzna poprosił telefonicznie o spotkanie szesnastoletnią dziewczynę, która była niegdyś zaprzyjaźniona z jego synem. Było to o godzinie 12.45. W dwie godziny później dziewczyna już nie żyła. Zastrzelono ją.

Morderca próbował później swoich sił jako szantażysta. Ale rodzice dziewczyny nie martwili się jej nieobecnością. Pojechali na Wielkanoc do Lugano.

Po znalezieniu zwłok i przedłożeniu listu szantażysty zespół specjalny prezydium policji wytropił w ciągu paru dni szantażystę i mordercę zarazem, i udowodnił mu winę, przedstawiając niezbite dowody rzeczowe!"

Komentarz komisarza policji kryminalnej Brauna:

— Przykład ten świadczy o tym, jak współczesne zwyrodnienie sprzyja popełnianiu zbrodni. Szesnastolatka ze skłonnością do chuliganów; pięćdziesięcioletni człowiek pragnący szybko zdobyć wielkie pieniądze; na dodatek rodzice przejawiający karalną beztroskę — wszystko to musi prowokować do zbrodni!

Z zapisków komisarza policji kryminalnej Kellera:

„Zwłoki wykopane w żwirowni pod Starnbergiem sprawiały wrażenie małych i wykrzywionych, jak wszystkie zresztą zwłoki. Przeraziłem się niemal, gdy pokazano mi zdjęcie tej szesnastoletniej dziewczyny, zrobione zaledwie parę dni przed morderstwem. Wyglądała na żywotną i ciekawą życia. Rozpuszczone włosy sięgały ramion, oczy patrzyły mądrze; miała urodę ciemnej kobiety”.

Nadkomisarz Dürrenmaier, którego kompetencji podlegał i ten zespół specjalny:

— Była to precyzyjna robota funkcjonariuszy naszej policji kryminalnej, podobnie jak sto innych w roku, o których jednak nikt nie mówi. Ale i my nie jesteśmy wszechpotężni.

— Otacza mnie zdrada — stwierdził Plattner, gdy wreszcie pojawił się u niego Jonass. — Niech pan się broni.

Joachim Jonass patrzył na Plattnera w osłupieniu. — Pan wybacz, ale nie wiem, o czym pan mówi!

— Tylko pan mógł to zrobić, nikt inny nie wchodzi w rachubę!

— O co chodzi? W jaką rachubę?

— Wielki Boże, niechże pan nie udaje! — Plattner uderzył pięścią w biurko. Twarz miał purpurową, głos dźwięczący przeraźliwie. — Dobrze pan wie, o co chodzi. O te świństwa w tym brukowym piśmidle!

Jonass potrząsnął głową. Plattner sprawiał takie wrażenie, jak gdyby za chwilę miał dostać ataku serca. Wtedy posłał się go do szpitala, a szefem zostanie on, Jonass. — Dlaczego denerwuje się pan tą szmatą, i dlaczego akurat teraz?

— Ponieważ teraz mam niezbite dowody na to, że całe to błoto powstało tutaj, w moim najbliższym otoczeniu, a mianowicie w moim własnym biurze.

—Nie! — zawołał Jonass, bardzo teraz przestraszony. — Pan się musi mylić!

— To nie omyłka! Rezultaty badań policji kryminalnej mówią jednoznacznie: nasza maszyna do pisania, nasz powielacz, nasz materiał, a więc pan!

Teraz z kolei Jonass zaczął tracić panowanie nad sobą. Padł na najbliższe krzesło, złapał za swój biały, półsztynny kołnierzyk u koszuli i patrzył na Plattnera błędnym wzrokiem. — To nie może... po prostu to nie może być prawda!

— To jest fakt! I tylko pan mógł to zrobić! Zna pan wszystkie materiały. Ma pan drugi klucz od kasy pancерnej, który zresztą odda mi pan natychmiast. Jest pan jedynym oprócz mnie człowiekiem, który ma wstęp do naszego biura dyrekcji.

— Nie, nie! — wykrztusił Jonass, broniąc się rozpaczliwie. — Może mnie pan posądzać o różne rzeczy, panie Plattner, ale, proszę, nie o to. Nie jestem idiotą! Przecież nie będę podcinał gałęzi, na której siedzę! I... i nie zrobiłbym tego nigdy pańskiej szanownej *cóicel*

Paul Plattner pogrążył się w myślach. Popatrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem i wreszcie zapytał: — A więc kto? Przecież nie Wagnersberger?

— Można się dowiedzieć — powiedział bez żenady Jonass.

Ewa-Mańa Wagnersberger, długoletnia główna sekretarka firmy „Plattner”:

„— Oczywiście nasza dobrze prosperująca firma również ponosiła, zresztą rzadko, porażki. Na przykład: W 1959 r. załamał się most, co pociągnęło za sobą śmierć trzech osób; w 1963 r. konkurencja spowodowała ukazanie się ogłoszenia o rzekomym zawyżeniu kosztów; w 1968 r. swego rodzaju bunt robotników cudzoziemskich, którzy utrzymywali przed kamerami telewizji, że czują się wykorzystywani. Ale panu Plattnerowi zawsze udawało się opanować sytuację. Gdy tylko poczuł się zaatakowany, natychmiast oddawał cios. Konkurenci zaczęli się go bać. Ale

w tym wypadku wydawało się, że nawet Plattner straci nerwy. I Jonass także. Siedzieli naprzeciw siebie jak drapieżne zwierzęta, w każdej chwili gotowe do skoku. Stałam między nimi. Plattner wyjaśnił mi sytuację. Jonass zaś zażądał, żebym w jednoznaczny sposób opowiedziała się po jego stronie — w obecności szefa. Byłam zmuszona uznać to za prowokację. Dlatego oświadczyłam: «Pracuję tu prawie od dwudziestu lat. Zawsze można było na mnie całkowicie polegać, co może zaświadczyć pan Plattner. To, że jestem godna zaufania, nie powinno już ulegać żadnej wątpliwości»). Paul Plattner skinął głową i powiedział: «Panie Jonass, ma pan urlop od zaraz. Proszę, niech pan sobie oszczędzi wszelkich uwag! Uznaję tylko fakty, które mogą wyjaśnić sytuację i służyć za dowód. Nic poza tym». Tym samym Jonass był zwolniony".

Rozmowa Joachima Jonassa, przeprowadzona następnego dnia wczesnym przedpołudniem z konsulem honorowym Duhrem — Clemensem Duhrem, jedynym niebezpiecznym na obszarze Monachium konkurentem firmy budowlanej Plattner:

— ...nie mam bynajmniej zamiaru nikogo obciążać, czy choćby tylko podejrzewać. Przywiązuję raczej wagę do tego, żeby wyjaśnić moje stanowisko. Może dałoby się to pogodzić z pańskimi interesami, panie Duhr... ostatecznie proponował mi pan wiele razy — wprawdzie zawsze bardzo dyskretnie — żebym pracował dla pana, a więc żebym zainwestował w pańską firmę moje długoletnie i wielostronne doświadczenie. Teraz byłbym do tego gotów, jeśli ma to dla pana jeszcze jakieś znaczenie i jeśli pan określi konkretnie, ile jest dla pana warte.

Po rozmowie i odejściu Jonassa Duhr powiedział: — Jestem zmuszony zakomunikować o tym poufnie Plattnerowi. Nigdy nie wolno przekraczać granic pewnej lojalności, a już na pewno nie wolno tego robić między tak bliskimi partnerami do interesów. I jeśli Jonass będzie raz na zawsze załatwiony w branży budowlanej, to będzie to wyłącznie jego wina.

— Co to za brednie! — zawołał Feininger, wybuchając śmiechem. — Przecież, proszę pana, nie można tego traktować poważnie. To zwykle oszczerstwo!

— Możliwe — powiedział ostrożnie komisarz. — Na razie chodzi tylko o przypuszczenie; ale każde przypuszczenie, choćby nawet wyglądało najbardziej absurdalnie, trzeba sprawdzić.

Feininger obrzucił komisarza uważnym spojrzeniem. Tym razem nie poczęstował go podarowanymi przez premiera cygarami ani koniakiem od ambasadora. Odczuł bowiem brak uniżenia, do którego był przyzwyczajony, czyli brak gotowości do współpracy. Ten Braun sprawiał wrażenie niesłuchanie niedostępnego, nie można go było osiągnąć ani ugodzić.

— A więc, panie Feininger, mogę zapytać, czy bywał pan od czasu do czasu w domu przy ulicy V numer trzydzieści trzy?

— To chyba nie jest karalne? A może?

— Naturalnie, że nie! I gdyby... to była prawda, zostanie potraktowane z należytą dyskrecją!

— Znam to! Gdybym tylko powiedział „tak”, to pan zaraz całkiem dyskretnie, że tak powiem, sporządzi notatkę, która następnie znajdzie się w pańskich aktach. A w te akta mają wgląd wszyscy, którzy zostaną uznani za uprawnionych. I ja się mam na to narażać? Człowieku, czy uważa mnie pan za takiego głupca?

— Napiszę więc: odmówiono informacji.

Feininger, znany z telewizji taktyk, który zdobył doświadczenie w wielu potyczkach słownych, natychmiast zastosował unik. — Nie odmawiam odpowiedzi! Ale się też niczym nie wiązę. Praktycznie nie powiedziałem ani „tak”, ani „nie”. Powołuję się na zagwarantowane przez konstytucję prawo do ochrony sfery prywatnej.

— Rozumiem — ustąpił natychmiast komisarz. — Mamy się nie interesować pańskim życiem prywatnym, i nic też nas ono nie obchodzi. Chyba że wchodziłby w grę związek z jakimś przestępstwem. Wówczas, niestety, musielibyśmy to zbadać.

— Ależ mój drogi panie Braun, jeśli pan znowu chce czynić aluzje do owego piętnastego września, to przecież panu już powiedziałem, że wieczór tego dnia spędziłem w Bad Godesberg z towarzyszami partyjnymi. Istnieje nawet lista osób, które były obecne na tym spotkaniu.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Przedstawię panu odbitą na powielaczu kopię, razem z wewnętrznymi uchwałami partii, które się tam znajdują, ale które proszę traktować jako poufne. — Feininger wyjął leżące w pogotowiu pismo i podał je Braunowi. — To powinno chyba wystarczyć.

W głębi tego pomieszczenia znajdował się telewizor. Wizja była włączona, ale dźwięk wyciszony. Na matowej szybie migotały reklamy:

„Banany tylko ze znakiem firmowym — rada na zapach potu — zahamowanie próchnicy zębów — trwałe połysk podłogi — zwiększenie siły piorącej — papierosy dla silnych mężczyzn — łagodna wódka o starej tradycji — ser śmietankowy z kwitnącej górskiej hali — lakier do włosów, soki owocowe, mydła!

Zapach wielkiego, dalekiego świata — ambasadorowie dobrego smaku — światowej sławy mistrz fryzjerów — konsulat cesarstwa kawy — w stylu obywateli ziemskich! I: jeśli coś masz, to jesteś kimś!

Budowlana kasa oszczędności — przywileje — ubezpieczenia — opieka nad starcami — porady — oprocentowanie — bezpieczna starość, spokojna młodość. Życie się opłaca — pytanie tylko, komu?"

— Piękny sposób ogłupiania narodu, co? — W celu odwrócenia uwagi Feininger wskazał na aparat telewizyjny. — Po prostu przestępstwo, prawda?

Braun, który przeglądał dziesięciostronicowy dokument partyjny, przeznaczony do użytku wewnętrznego, powiedział tylko: — O tym, co jest przestępstwem, decydują za-

wsze aktualne ustawy. Nie wydano żadnych przeciwko ogłupianiu ludzi, jak to pan trafnie nazwał.

— Nie wydano też na szczęście żadnej ustawy, która by określała, w jaki sposób mam prowadzić swoje życie prywatne!

— Zbadam to — powiedział lapidarnie Braun, chowając do teczki przekazany mu dokument.

— Nie jest pan zbyt skłonny do współpracy!

— Moim zadaniem jest jedynie wyjaśnienie pewnej sprawy.

— Panie Braun — zawołał Feininger z nagłą niechęcią — to mi się nie podoba. Rad bym wiedzieć, czy chce mi pan robić jakieś trudności?

— Może pan się uśmieje, panie Feininger, ale ja tylko próbuję spełniać mój obowiązek!

— Dlaczego miałbym się śmiać z tego, panie Braun? Zwłaszcza że wiem niejedno o pańskiej przeszłości, co dotychczas nie zostało oficjalnie podane do wiadomości.

Prefekt policji — notatka z okazji rozmowy z nadkomisarzem Dürrenmaierem:

„1. Komisarz Braun napisał doniesienie na siebie samego — trzecie na przestrzeni dwudziestu lat. Naczelnik wydziału Dürrenmaier załączył znane już materiały. Wynika z nich, co następuje:

a. Od 1945 r. Braun — najpierw jako starszy inspektor, następnie jako komisarz — wykonywał swoją pracę w policji kryminalnej dokładnie i dobrze.

b. Przed 1945 r. Braun — jeszcze jako inspektor, a przedtem jako przodownik policji — oddał ówczesnemu reżimowi do dyspozycji swoje niemałe zdolności.

2. Jak wynika z przedłożonych akt — działalność funkcjonariusza policji kryminalnej Brauna przed 1945 r. była już wielokrotnie badana. A mianowicie: pierwszy raz — w 1946 r. przez komisję denazyfikacyjną; orzeczenie brzmiało: Braunowi nie można udowodnić żadnej winy.

Następnie — w 1953 roku, przez weryfikacyjną komisję personalną prezydium. Z identycznym rezultatem".

Oświadczenia, przypuszczenia i wnioski Penatscha, byłego dozorczy domu przy ulicy V nr 33, z których ten się zwierzył swemu późniejszemu sąsiadowi z celi, nasłanemu na niego konfidentowi:

„— Ach, ta wstrętna przebiegłość! I któż by to przypuszczał, mając do czynienia z takim Braunem! Ten pan uważał mnie najpierw za bardzo potrzebnego zausznika, za kogoś w rodzaju koronnego świadka. Pracowaliśmy wprost ręka w rękę. Ale nagle — z dnia na dzień — wszystko się zmieniło. Zupełnie się zmieniło! Bo ten wysoko przeze mnie przedtem ceniony pan Braun powiedział: «Próbował pan uparcie zniszczyć pana Feina w naszych oczach! Aż nazbyt chętnie złożył pan przeciw niemu mnóstwo zeznań, które wreszcie rozwiąły się zupełnie». A potem dodał: «Zadawa-łem więc sobie pytanie, po co go pan tak podstępnie oczerniał? Jest pan podstępną świnią, która próbowała mnie oszukać, aby odwrócić moją uwagę. Od swojej osoby. Teraz wiem też dlaczego»".

Nadkomisarz Dürrenmaier przyjął w swoim gabinecie mecenasa Messera i komisarza Brauna na rozmowę wyjątkową:

— Moi panowie — powiedział uprzejmie nadkomisarz, gdy już zajęli miejsca na wytartych fotelach (Dürrenmaier siedział plecami do okna) — zorganizowałem tę naradę z inicjatywy pana Messera. Pan Braun zgodził się na nią bez wahania.

— Ponieważ dla mnie wszystko jest jasne — powiedział z przekonaniem komisarz.

Na co Messer odparł kłótliwie: — Bo nie zbadał pan sprawy wystarczająco dokładnie!

Nadkomisarz spojrział ostrzegawczo na swego funkcjonariusza i oświadczył: — Proszę, panie Messer, żeby pan nie robił nieuzasadnionych uwag!

— W każdym razie — zapewnił go Messer, gotów do ataku — przy pomocy niewielu ludzi odkryłem więcej niż pan Braun, posługujący się całym swoim aparatem policyjnym!

— A co? — zapytał prowokacyjnie Braun.

— Przynajmniej tyle, że całkowicie odciąża to mojego klienta. Spodziewam się wiążącego, przeznaczonego także dla opinii publicznej oświadczenia, które całkowicie zrehabilituje pana Feina.

— To by się panu podobało! — prowokował dalej Braun. — Dla mnie Harald Fein jest i będzie podejrzanym numer jeden, aż do momentu przedłożenia dowodów, które zaświadczą, że jest inaczej.

— I co ma pan zamiar temu przeciwstawić, panie Messer? — zapytał, jak zawsze bardzo uprzejmie, nadkomisarz Dürrenmaier.

— Chętnie bywam u pana — zapewnił Haralda Feina Keller, komisarz policji kryminalnej na urlopie. Usiadł na najwygodniejszym fotelu w jego mieszkaniu. Ulokował się tam także Anton.

— Jest pan zawsze mile widziany — zapewnił go serdecznie Harald Fein. Obserwował przy tym nie bez melancholijnej rezygnacji idyllę, jaka się przed nim rozgrywała. Pies wyciągnął się jak długi obok Kellera i położył mu głowę na kolanach. Wydawało się, że śpi. — Co za piękny widok! Ale pan przecież upiera się przy tym, żebyśmy prowadzili rozmowę na jeden jedyny temat!

— Musimy tak robić — stwierdził z uśmiechem Keller — dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione! Dopiero potem możemy pójść naprzód... aż do śmierci Helgi, co jest, jak się wydaje, jedyną sprawą, która pana interesuje. Na razie wciąż zadaję sobie jedno pytanie, a jest to chyba to samo pytanie, jakie stawia sobie uparcie także Braun: co naprawdę widział pan tego wieczora piętnastego września

na ulicy V numer trzydzieści trzy. Widać wyraźnie, że nie chce pan wymienić jakiegoś nazwiska.

— Zostawmy to — powiedział Harald Fein.

— Sądzę, że pana rozumiem — powiedział Keller, głaszcząc automatycznie Antona po głowie i karku. — Pan wciąż jeszcze nie jest w stanie zastosować takich metod, jakich użyto przeciwko panu?

— Po prostu nie potrafię inaczej postępować!

— Nie ułatwia pan sobie życia. Przede wszystkim próbuje pan uchronić przed trudnościami swojego jedyne go przyjaciela Abendrotha, prawda? Ale cały pański altruizm musi przecież stać się bezsensowny w świecie takiego Plattnera.

— Wystarcza mi, że wiem, że próbowałem robić wszystko, żeby być przyjacielem mego przyjaciela. I wciąż zadaję sobie pytanie — wyznał cicho Harald Fein — co się stało z moją córką Helgą?

— Jeszcze tylko trochę cierpliwości, jeszcze nie zamknąłem całkowicie tego kryminalistycznego łańcucha.

Przedstawienie galowe w „Zirkus Krone”. Występ kłowna Rivela! Obecni prawie wszyscy, którzy w tym mieście mieli nazwisko i rangę — albo przynajmniej dążyli do tego, żeby ich wymieniano w artykułach z życia towarzyskiego, pisanych przez Huntera, Argusa, Susanne, Anatola lub Manfreda.

Potentaci ekranu — wśród nich wiele przedwczorajszych gwiazd filmowych, wiele gwiazd telewizyjnych, wujkowie udzielający dobrych rad i konferansjerzy, liczni współcześni dowcipnicy — do tego jeden z zastępców burmistrza; następnie pewien literat i pięciu sportowców, wśród tych ostatnich trzech piłkarzy: Franz, Gerd i Radi.

Obecne były także: oprócz księżniczki Brigitty, arcyksiężniczki Marii i baronowej Iriny — pani Hilda Fein i pani Melania Weber, w towarzystwie Joachima Jonassa. Zapytane przez Argusa, jak im się podobał król kłownów Charlie Rivel, oświadczyły:

„Hilda Fein: — Jeszcze wciąż jest wspaniała! Ale wprowadził mnie w bardzo smutny nastrój. Może to jednak świadczyć o tym, że ma specjalne zdolności.

Joachim Jonass: — Ten człowiek sprawia takie wrażenie, jakby był z ubiegłego stulecia, i prawdopodobnie właśnie dlatego osiąga takie sukcesy. Jest odzwierciedleniem tęsknoty do dzieciństwa, pragnienia tradycyjnych wartości, pięknych marzeń.

Melania Weber": — Jeszcze jedno wydarzenie towarzyskie w naszym kochanym, szeroko otwartym na świat, mającym pogodnie poczucie wolności mieście".

— Wydaje mi się — oświadczył nadkomisarzowi Dürrenmaierowi mecenas Messer — że obciążanie rzekomą winą mojego klienta Feina opiera się wyłącznie na przypuszczeniach, przekonaniu i wynikach dochodzeń pana Brauna, który śmiało stwierdza, że nie widać nikogo innego!

— Bo i któż by to miał być? — zapytał komisarz. — Nie ma pan chyba na myśli Feiningera?

— Według przedstawionych mi materiałów — włączył się ostrożnie nadkomisarz Dürrenmaier — pan Feininger przebywał wiadomego wieczoru w Bad Godesberg.

— Pozwoliłem sobie — panie nadkomisarzu — powiedział Messer — sprawdzić alibi pana Feiningera przez jednego z moich współpracowników.

— A cóż tu jest do sprawdzania — powiedział spokojnie Braun. — Morderstwo popełniono około godziny dwudziestej drugiej, a późnym wieczorem tego dnia widziano pana Feiningera w Bad Godesberg. Jego nazwisko widnieje nawet na pewnej liście obecności.

— Niech mi wolno będzie poinformować pana, panie nadkomisarzu, że Feininger sam wpisał swoje nazwisko na tę listę obecności.

— No więc — Braun nie okazał zdziwienia ani przez sekundę. — Jeśli był tam, to jak mógł być niemal w tym samym czasie tutaj! Wiem: można polecieć samolotem. Podróż z Monachium do Bonn trwa czterdzieści minut. Ale o tak późnej porze nie ma już żadnego samolotu.

— Nie ma samolotu kursującego w ramach normalnego ruchu — przyznał chętnie Messer. — W tym czasie nie wystartował też żaden samolot prywatny. Polecilem to sprawdzić, jak chyba i pan także. Ale — i tu Messer za czerpnął głęboko powietrza i oświadczył — z Fürstenfeldbruck wystartował samolot bundesweiry.

— Co to ma znaczyć? — powiedział Braun, początkowo jeszcze nie zbity z tropu. — Czy pan chce uwikłać w tę sprawę również ministerstwo obrony?

— Luftwaffe — wyjaśnił Messer, delektując się widokiem zdradzającego coraz większy niepokój komisarza — ma zwyczaj stawiać samoloty do dyspozycji rządu na jego żądanie. A rząd chętnie oferuje wolne jeszcze miejsca pracownikom ministerstw, deputowanych do Bundestagu oraz dziennikarzom. Taki samolot wyleciał z Fürstenfeldbruck piętnastego września na krótko przed godziną dwudziestą trzecią. Z panem Feiningerm na pokładzie.

— Czy ma pan listę pasażerów? — dopytywał się Braun.

— Czy są na to świadkowie?

— Są — zapewnił go Messer. — A ponadto mogę udowodnić, że listę obecności na naradzie w Bad Godesberg zamknięto dopiero po północy. Na ostatnim miejscu widnieje nazwisko Feiningera.

— Muszę odbyć krótką rozmowę telefoniczną — powiedział nadkomisarz Dürrenmaier. I szybko się oddalił.

Pozostali: adwokat Messer i komisarz Braun. Uśmiechnęli się do siebie nawzajem — i wyglądało niemal na to, że chcą na siebie porozumiewawczo mrugnąć.

— No i co pan na to powie? — zagadnął wreszcie Messer.

— Zróbmy z tego, co się da — zaproponował Braun.

— A co się da... pańskim zdaniem?

— Ach, mój drogi, pan widocznie nawet nie przypuszcza, jak naprawdę wygląda w praktyce nasza praca w policji kryminalnej — powiedział zadziwiająco szczerze Braun. — Bardzo prędko musieliśmy się nauczyć, jak sobie radzić z wszelkimi możliwymi trudnościami. Ale właśnie dlatego mamy zawsze w pogotowiu parę rzeczy naraz.

— I którą ma pan teraz zamiar wykorzystać?

Braun rozsiadł się wygodnie. — Mam chyba rację, panie Messer, zakładając, że chodzi panu wyłącznie, powiedzmy: przede wszystkim o to, żeby usunąć z linii strzału swojego klienta Feina, zapewnić mu bezpieczeństwo i możliwie oczyścić go ze wszystkich zarzutów. No cóż, właściwie czemu nie?

Messer nadstawił uszu jak pies myśliwski, który coś zwietrzył. W takich chwilach łączyło go jakieś odległe podobieństwo z Antonem. — Kogo może pan jeszcze zaoferować... oprócz Feiningera?

— Penatscha, dozorcę domu — oświadczył przyjaźnie Braun.

— Pan go też zauważył... i z nim można już coś począć.

— Czy są na to wystarczające dowody?

— Niech pan przeczyta tę notatkę.

Notatka „tylko do wewnętrznego użytku służbowego”, napisana na białozielonym papierze, sporządzona przez komisarza Brauna:

„...zwróciłem się do siedzącego w tym samym pokoju kolegi Kellera, zatrudnionego obecnie w charakterze funkcjonariusza do ustalania przyczyn śmierci. Ponieważ wiedziałem o jego powiązaniach z hiszpańską policją kryminalną, poprosiłem go o służbową pomoc, której mógłby udzielić przesłuchując siedzącego w Madrycie Kordesa.

Okazało się przy tym, że w sejfie bankowym — również i tym razem w Banku Niemieckim, ale w innym oddziale, a mianowicie na Lenbachplatz 2 — znajduje się swego rodzaju pamiętnik. Mówiąc ściślej: projekt powieści z kluczem; czysta pornografia. Ale zawiera on również wiele zupełnie wyraźnych aluzji do Penatscha, dozorcę domu. Na przykład:

«... węszył wokół mnie jak wyżeł tresowany do wyszukiwania w ziemi trufli... miał duplikaty kluczy do wszystkich mieszkań w całym domu... wtargnął do mnie, gdy leżałam w łóżku... nie sama...

...zawołał do mnie, sycząc: — Ty świnió! Nigdy nie masz tego dosyć, co? — i inne podobne rzeczy na tym poziomie...

...potem, gdy przyniósł mi pocztę: — Jeżeli, ty świnió, nie prześpisz się także ze mną, i to możliwie szybko, to cię załatwię. Całkowicie. W takich wypadkach jestem bezwzględny!»

— Czy to nie jest zupełnie jednoznaczne? — zapytał Braun.

— Bardzo obiecujące... ale nie stanowi w pełni wystarczającego dowodu — powiedział ostrożnie Messer. — Może jednak być użytecznym fundamentem, na którym da się niejedno zbudować.

— Tę paplaninę w dzienniku można w rzeczy samej interpretować jako wymysły prostytutki — zgodził się natychmiast Braun — bo podobne rzeczy produkuje dzisiaj każda dziewczyna publiczna ze Schwabingu. Ale żeby móc naprawdę schwytać tego Penatscha, musimy najpierw znać wszystkich podejrzanych, choćby tylko po to, żeby ich wyłączyć ze sprawy. Jestem absolutnie pewien, że Fein podczas swoich pobytów w pobliżu ulicy V trzydzieści trzy widział jeszcze kogoś, kogo jednak nie chce nazwać po imieniu. Ale upieram się przy tym, żeby wreszcie wyznał prawdę!

Tym razem wstał pośpiesznie Henri Messer i tak, jak kwadrans temu nadkomisarz, powiedział: — Muszę odbyć krótką rozmowę telefoniczną.

„Morgenzeitung” opublikowała na pierwszej stronie znowu pod sensacyjnym tytułem: „Jak się robi miliony”, wypowiedź przedsiębiorcy budowlanego Paula Plattnera, który oświadczył:

„— ...cały ten atak może być tylko dawno przygotowaną manipulacją, skierowaną wyraźnie przeciwko mojej cieszącej się powszechnym poważaniem firmie, wysmażoną

przez jakiejś wątpliwej sławy przedsiębiorstwo konkurencyjne... nie planowałem osobiście transakcji zakupu ziemi, które niestety, i do tego niesłuchanie niesłusznie, uznano za podejrzone, zwłaszcza w osiedlu Lisi Ogon. Nie doszło też do nich z mojej inicjatywy... Zdecydował o nich mój ówczesny zastępca, pan Fein, całkowicie samodzielnie, podczas gdy ja udałem się w podróż... nie chcę przy tym bynajmniej twierdzić, że sprawa ta może mieć jakiś związek z długoletnią przyjaźnią, która łączyła mojego ówczesnego zastępcę, pana Feina, z jednym z odpowiedzialnych i wpływowych urbanistów, panem Abendrothem... tym bardziej że chciałbym uniknąć wszelkich aluzji co do tego, że ewentualnie nawet pan burmistrz... z takimi niejasnymi sprawami..."

— Czy to — powiedział komisarz policji kryminalnej Keller, przyciągając do siebie Antona — też jeszcze panu nie wystarcza?

— On się myli. — Harald Fein przeczytał oświadczenie Plattnera w *Morgenzeitung* z uśmiechem niemal zadowolenia. — I nawet nie wie, jak się myli.

— Czy to też należy do pańskiego planu? — zapytał Keller.

— Nie mam żadnego planu. — Harald Fein spojrział Kellerowi prosto w oczy. — Ja tylko pozwałam na to, żeby wszystko uderzało we mnie... i wydaje się, że to już wystarcza. Naprawdę to interesuje mnie tylko jedno: śmierć Helgi. Ale to się także wyjaśni.

Keller popatrzył na Feina taksującym wzrokiem. — Źródłem pańskiej wprost hiobowej cierpliwości jest prawdopodobnie to, że pan coś wie, czego nie wie nikt z nas. A przynajmniej pan tak sądzi.

— Czy pan wie o tym także?

Keller skinął głową.

— Dziękuję Bogu — powiedział szczerze Fein — że pan nie należy do moich wrogów.

— Niech pan podziękuje przede wszystkim Antonowi.

Rozmowa telefoniczna między Messerem a Feinem, a następnie między Messerem a Kellerem:

Messer: — Panie Fein, mam dobrą nowinę! Jeśli nie popełni się już więcej błędów, to wydobędzie się pan z tego największego błota!

Fein: — Jakich błędów?

Messer: — Czy jest u pana Keller? Mam nadzieję, że jest. Jeśli tak, muszę z nim natychmiast mówić.

Keller zgłosił się niezwłocznie. W jego głosie dźwięczało zadowolenie i nadzieja. — No i co, czy handel wymienny się udał?

Messer: — Skąd pan wie...

Keller: — Ostatecznie znam mojego kolegę Brauna i jego metody. Jeśli rezygnuje, jeśli musi zrezygnować z Feina, to będzie próbował przynajmniej osiągnąć coś w zamian. Czego zatem oczekuje się od Haralda Feina?

Messer: — Tylko jednej wskazówki! Tylko tego, żeby powiedział, kogo widział i rozpoznał, gdy obserwował otoczenie domu przy ulicy V trzydzieści trzy... i może go zidentyfikować. Braun jest całkowicie pewien, że to prawda!

Keller: — To zupełnie możliwe. Ale niech pan się nie spodziewa, że pański klient da się namówić do drażliwych zeznań... i ja też jeszcze nie wiem, czy mam mu to radzić.

Messer: — Panie Keller, gorąco pana proszę: niech pan nie torpeduje tej niesłychanie pomyślnej okazji! Niech pan nie udziela Feinowi błędnych rad!

Keller: — Zdaje się, że on wie dużo więcej niż my, o co tu gra naprawdę idzie. Za kilka minut zadzwonię do pana. Ale może to także potrwać nieco dłużej. Niech pan się trenuje w cierpliwości, to nigdy nie zaszkodzi.

Tymczasem do mieszkania swojego ojca wszedł Heinz Fein — bez pukania. Nie przywitał się z nikim, oprócz Antona, którego poklepał przyjaźnie po grzbiecie.

Heinz Fein usiadł na najbliższym fotelu, rzucił na stół kilka gazet i podsunął je ojcu. Potem poczekał, aż Keller

skończy rozmowę telefoniczną, a następnie, wyraźnie zadowolony, przysiadł się do nich.

— Czy już podniosłeś się na duchu, czytając te śliczne bzdury?
— zapytał Heinz ojca, wskazując gazety.

— To mnie nie interesuje — odparł Harald Fein.

— To go nie interesuje! — zawołał ubawiony Heinz Fein, patrząc z nadzieją na Kellera. — Znowu oświniono mojego kochanego ojczulka. I tym razem wspólnie z jego przypuszczalnie jedynym przyjacielem Abendrothem, moim i Helgi ojcem chrzestnym. I co się dzieje? Szanownego tatuńcia to nie interesuje.

— Heinz — powiedział niemal surowo Harald Fein — przeszkadzasz nam.

— Ostatnio — orzekł spokojnie Keller — jest to jego ulubione zajęcie. I wcale pan nie przeczuwa, do jakiego stopnia.

— Czy czytaliście już *Morgenzeitung*? — Heinz Fein widział, że Keller skinął głową, ale jego ojciec patrzył niewzruszenie prosto przed siebie. — A czy znacie też to, co pisze *MAM*?

Artykuł wstępny w gazecie „München am Mittag”, napisany przez redaktora naczelnego Horsta Fahne:

.....czując się zobowiązani wobec społeczeństwa...
w trosce o nasz demokratyczny ład... musimy obecnie zażądać stworzenia jak najbardziej jasnej sytuacji...

...dlatego pytamy pana burmistrza:

1. Czy to prawda, że pana Feina, zastępcę dyrektora pewnej wielkiej firmy budowlanej, łączyła ścisła przyjaźń z panem Abendrothem z wydziału planowania miasta?

2. Czy istnieje możliwość, że pan Fein miał przedwcześnie wgląd w nie przeznaczone dla szerokiego ogółu dokumenty dotyczące planowania naszego miasta, a przede wszystkim w plany dotyczące dojazdu do terenów olimpijskich?

3. Czy pana burmistrza poinformowano o tym, a on w milczeniu tolerował ten stan rzeczy? A może po prostu

nie chciał tego przyjąć do wiadomości? W każdym razie zachodzi tu co najmniej możliwość niespełniania obowiązku nadzoru..."

— I ty przyjmujesz to po prostu do wiadomości! — powiedział Heinz Fein, zwracając się do ojca.

— Ty tego nie rozumiesz — odparł Harald Fein. — Nie znasz kontekstu.

— To mi wyjaśnij!

— Byłoby lepiej, Heinz, dla ciebie i dla mnie, żebyś się już nie mieszał w te sprawy. Mógłbyś sobie zaszkodzić, a tego nie chcą.

— Czy pan także tak myśli, panie Keller?

— Nie — powiedział zdecydowanie komisarz, trzymając rękę na głowie Antona. — Nie, ponieważ pański syn także już tkwi po uszy w tych sprawach. Wiem, że pan tego na pewno nie chciał, a ja go sobie nie wyszukałem. Ale on zdecydował się w pewnej mierze dobrowolnie.

— Na co się zdecydował? — z niedowierzaniem zapytał Harald Fein.

— Na pana!

— Ach, niech pan nie będzie znowu sentymentalny! — zawołał z miejsca Heinz Fein. — Zostańmy na ziemi! Poczulem smród i musiałem temu jakoś przeciwdziałać. Nie mogłem inaczej!

— Heinz, co ty zrobiłeś?

— Wyjaśnię to panu później — wmieszał się do rozmowy Keller. — Na razie jednak trzeba natychmiast narodzić się nad czymś innym. Mianowicie nad tym: pan Messer prosił, żeby panu powiedzieć, że obecnie jest pan praktycznie niemal poza wszelkim podejrzeniem. Pan Braun jest gotów skreślić pana definitywnie ze swojej listy. Pod pewnym warunkiem.

— Co to ma znowu znaczyć? — zawołał kłótliwie i czujnie Heinz. — Co to znaczy: praktycznie niemal? I co znaczy: pan Braun jest gotów? To znowu cuchnie na miłą jakims oszustwem. Może nie?

— Teraz oczekuje się od pana Feina tylko tego — powiedział poważnie Keller — żeby pomógł znaleźć winnego. Żeby wymienić pewne nazwisko... może nazwisko Penatscha.

— To świetnie! — zawołał Heinz Fein, zrywając się na równe nogi. Chodził niespokojnie po pokoju, myśląc intensywnie. — A więc, jak widać, musisz tylko obciążyć jakiegoś dozorcę domu, jakąś małą, biedną świnię, i od tego momentu będziesz mógł bez przeszkód projektować te swoje wspaniałe, oryginalne domy dla wielkich kapitalistów z milionami w kieszeni. Zrób coś dla nich! Obwiń jakiegoś tam proletariusza, a będziesz wolny! Wolny po co, dla kogo, od czego?

Zamiast Haralda Feina, który siedział zatopiony w myślach, odpowiedział Keller: — Bardzo dziwne widowisko! Jeden nie docenia drugiego!

— Kogo nie doceniam? — zawołał Heinz Fein. — Czy może człowieka, który przypadkowo jest moim ojcem? I który tylko się zastanawia, czy kogoś nie wydać? Jakiegoś dozorcę, kulisa kapitalistów, który sprząta brudy po innych ludziach?

— Tak wcale być nie musi — powiedział poważnie Keller — jeśli twój ojciec nie zechce. On ma inny problem.

— Zostawmy to! — powiedział z mocą Harald Fein. — Nie obciążajmy tym na dodatek jeszcze Heinza!

— Jeśli chodzi o obciążanie — powiedział ubawiony Keller — to czy pan wciąż jeszcze nie wie o tym, że po Heinzu można się spodziewać wielu rzeczy, i że trzeba mu też w wielu rzeczach zaufać?

— Wzniciłem mnóstwo kurzu — wyznał Heinz — ale to już też i wszystko.

— A ja — stwierdził Keller — zebrałem tymczasem różne informacje... dotyczące Helgi. I, muszę przyznać, są one straszne.

— Kto ma na sumieniu Helgę? — zapytał Heinz z naleganiem w głosie. — Czy pan wreszcie do tego doszedł?

— Czy pan naprawdę chce to wiedzieć? — zapytał bardzo cicho Keller. — Bez względu na to, jaka może być prawda?

— Ojciec i ja — zapewnił go Heinz Fein — myślimy podobnie... chociaż niejednakowo. Czy tak nie jest?

— Teraz tak jest — potwierdził Harald Fein.

— Czy odgaduje pan, panie Fein, do czego zmierzam? — Keller powiedział to w taki sposób, jak gdyby to było ostatnie ostrzeżenie. — Czy pan jest przygotowany na coś, co może się okazać jeszcze bardziej wstrętne niż pańskie dotychczasowe przypuszczenia?

— Tak — powiedział zdecydowanie Harald Fein. — Cokolwiek to jest, chcę o tym wiedzieć!

Niektóre wyniki dochodzenia przeprowadzonego przez Kellera i jego kolegów w sprawie Paula Plattnera i Helgi Fein.

Najpierw uwagi wstępne wygłoszone przez Kellera do Haralda Feina i jego syna Heinza:

— Możecie mi wierzyć, że długo się wahałem, czy powiedzieć wam to, czego teraz nie mogę już przemilczeć. Chcę przy tym od razu zwrócić waszą uwagę na to, że niewiele z tego będzie można wykorzystać pod względem prawnym. Są to w poważnym stopniu nasuwające się kombinacje, podejrzenia, poszlaki. Nie musicie ich w ogóle zaakceptować. Ale rezultaty naszych dochodzeń mogą bardzo poważnie wpłynąć na pewną niesłychanie osobistą decyzję. Od początku byłem pewien, podobnie zresztą jak Braun, że pan próbuje kogoś chronić. Że pan kogoś kryje. W danym stanie rzeczy mogły właściwie wchodzić w grę tylko trzy osoby: pański syn, pańska córka, pański przyjaciel. Tym trojgiem ludzi interesował się też żywo Plattner, chociaż z zupełnie innych powodów. Helga nie żyje. Podjęto już próbę skompromitowania publicznie Abendrotha, ale wydaje się, że nie wywarło to na panu specjalnego wrażenia. Pozostaje: pański syn Heinz. Przypuszczalnie ma on w przyszłości przejąć firmę, i zapewne właśnie temu nie chciał pan przeszkodzić. Z miłości do syna.

— Mam to w dupie! — oświadczył brutalnie Heinz.

— Nie tę tak zwaną ojcowską miłość, lecz tego rodzaju spekulacje firmy!

— Zastanów się, proszę, co mówisz! — upomniął go Harald Fein.

— Pański ojciec chce przez to powiedzieć, że w ten sposób naraża się pan na to, że nie otrzyma pan milionowego spadku. — Komisarz Keller popatrzył badawczo na Heinza. — Pański ojciec chce też powiedzieć, że dziś jeszcze może panu być bardzo łatwo tak postąpić. Ale co będzie za parę lat?

— Tak właśnie myślałem — potwierdził Harald Fein.

— Czy to znaczy, ojcze, że byłeś gotów kryć nawet starego? Czy wyłącznie ze względu na mnie?

— Tak, Heinz.

— Jeśli cię dobrze rozumiem, chciałeś mi zapewnić spadek. I to za wszelką cenę.

— Tak — przyznał się ojciec, patrząc synowi prosto w oczy. — Bo trzeba ci wiedzieć, że ja musiałem się w życiu wyrzekać wielu rzeczy. Wykorzystywano mnie. Byłem narażony na pogardę. A godziłem się na to... ostatnio ze względu na ciebie.

— Daruj to sobie! — zawołał Heinz. — Bo to przekroczyło wszelkie granice tolerancji, jeśli dobrze rozumiem aluzje pana Kellera... i gdy pomyślę sobie o Heldze.

— Takie jest też moje zdanie — wyznał Harald Fein, kiwnąwszy głową synowi. A potem powiedział, zwracając się do Kellera: — Proszę o zupełną szczerość. Nalegam na to.

Inspektor Feldmann podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku komisarza Brauna i zameldował się wyraźnie, podając swoje nazwisko i stopień.

Usłyszał ów przyzwyczajony do wydawania rozkazów głos prokuratora dr. Barthla, który teraz brzmiał niemal uprzejmie. Barthel chciał mówić z komisarzem Braunem. Feldmann oświadczył, że Braun jest niestety w tej chwili nieosiągalny.

Wówczas Barthel powiedział: — Z przedłożonych mi materiałów wynika, że pan jest najważniejszym referentem sprawy przy ulicy V numer trzydzieści trzy.

— To prawda — potwierdził Feldmann.

— Czy mógłby pan mnie odwiedzić, i to natychmiast? Jest u mnie pan Feininger. Mam podstawy przypuszczać, że mógłby nam udzielić paru ważnych wskazówek.

— Zaraz tam będę.

Rezultaty dochodzeń — w skrócie — dotyczących po pierwsze Paula Plattner a.

Dochodzenia przeprowadzili koledzy komisarza policji kryminalnej Kellera, który z kolei przedstawił ich rezultaty Haraldowi Feinowi i jego synowi Heinzowi:

„Po pierwsze: 1932 r. — śmierć pani Plattner w St. Paul de Vence, na zapleczu Riwiery francuskiej; akurat urodziła się Hilda. Był to rzekomo wypadek. Pani Plattner spadła ze skały. Funkcjonariusz policji kryminalnej Robert Grandier, urzędujący w Nicei, był zdania, że mogło to być zarówno samobójstwo, jak i morderstwo. Tym ostatnim należałoby ewentualnie obciążyć męża, Paula Plattnera. Grandier przypuszczał, że nie był on ojcem dziecka swojej żony. Grandier zakładał, że Plattner był bezpłodny. Nie mógł jednak przytoczyć wystarczających dowodów.

Po drugie: Według mglistych i niejasnych — niemożliwych do wykorzystania z punktu widzenia prawa — wypowiedzi osób, które niegdyś pracowały w willi nad Tegern-see, Paul Plattner miał w różnych okresach czasu stosunki fizyczne z Hildą, córką jego żony. Spostrzeżenia te dotyczyły głównie następujących lat: 1945, potem 1950/51 i wreszcie 1964.

Po trzecie: Paul Plattner miał stosunki seksualne z różnymi osobami, zarówno w firmie, jak i poza nią. Od 1950 roku do 1965 r., ale sporadycznie także jeszcze w 1969 r., z główną sekretarką Wagnersberger. A także: z pewną kreślarką oraz z inną pracownicą, która była architektem wnętrz, i jeszcze z dwoma siłami pomocniczymi z hali maszyn. Następnie ze stewardessą Lufthansy, z hostessą popieraną przez siebie partii, z sekretarką pewnego hotelu i wieloma innymi.

Po czwarte: Od jakiegoś pięćdziesiątego roku życia odwiedzał on prostytutki wszystkich warstw: przypadkowo

spotkane dziewczyny uliczne oraz cali girls wszelkiej rangi i ceny. Można mu udowodnić: Inę, Sendlingerstrasse; Petrę, Promenadeplatz; Erikę, Sonnenstrasse. Oprócz tego różne znajomości, zawierane przy lada okazji — na przykład podczas świąt październikowych i picia mocnego piwa. Adresy w załączeniu. Wiele razy powtarza się: Ungererstrasse, Gabelsbergerplatz, ulica V nr 33. Po piąte: Helgę Fein — córkę Haralda i Hildy Fein".

Inspektor Feldmann zastał w biurze prokuratora dr. Barthla. A obok niego — Feiningera.

— Drogi panie Feldmann — powiedział prokurator — pan Feininger zwierzył mi się! — Feininger potwierdził to skinieniem głowy.

— Z czego się zwierzył? — zapytał inspektor. Prokurator dr Barthel uśmiechnął się. — Pan Feininger jest osobistością oficjalną. Jako taki musi brać pod uwagę pewne rzeczy, musi zachowywać należytą ostrożność.

— Czy także wobec sprawy przy ulicy V trzydzieści trzy? — zapytał grzecznie Feldmann.

Prokurator skinął przyzwalająco głową w stronę Feiningera i ten powiedział: — Po prostu po ponownym, dokładnym przejrzeniu moich materiałów doszedłem do wniosku, że nie mogę wykluczyć możliwości, iż danego dnia, a nawet w danym czasie byłem w tym domu. Ale byłem tam bardzo krótko.

— Na szóstym piętrze? — zapytał inspektor, wcale nie zaskoczony. — W tym mieszkaniu?

— Pan Feininger wszedł do tego mieszkania — oświadczył Barthel — ponieważ drzwi były otwarte. Ale, jak powiedziano, był tam bardzo krótko. Natknął się tam bowiem na pewien nieporządek, który go zaalarmował.

— A więc — powiedział bez ogródek Feldmann — znalazł pan tam już martwą osobę. Czy dobrze pana zrozumiałem?

— Zrozumiał pan mnie dobrze — powiedział zdenerwowany Feininger. — Ale widziałem tylko tyle, że ta pani leży w łóżku. Myślałem, że jest kompletnie pijana... i natychmiast wyszedłem. To wszystko.

— To nie wystarczy, żeby pana definitywnie odciążyć — powiedział Feldmann cierpliwie. — Czy nie zdarzyło się coś jeszcze, co pozwoli nam posunąć się dalej?

Keller, siedząc naprzeciwko Haralda i Heinza Feinów, przedłożył dalsze szczegóły dochodzeń w sprawie punktu S, czyli dotyczące Helgi Fein:

— Przede wszystkim: wydaje się, że Helga Fein kochała tylko ojca. Jeśli jej krótkie życie wypełniało jakieś naprawdę gorące uczucie, to była nim miłość do ojca. Wszystkie dochodzenia, przeprowadzone w różnych lokalach, wśród przyjaciół, jak również wśród przypadkowych znajomych, dowiodły, że w decydujących sytuacjach Helga okazywała jednoznaczną niechęć. Uchodziła za osobę, która psuje za bawę. Badanie lekarskie, przeprowadzone po jej śmierci, dowiodło, że była jeszcze dziewczicą! Doznała nagłego szoku, gdy uwierzyła, że ojciec zadaje się z panią Weber. Według tego, co zanotowała w pamiętniku, uważała ją za zepsutą, zdemoralizowaną kobietę. Wyraźnie zdenerwowana, odjechała samochodem przyjaciółki w kierunku Tegernsee.

— To niemożliwe — powiedział bardzo cicho Harald Fein.

— Tylko dlatego, że pan nie chce w to uwierzyć? — zapytał bezlitośnie Keller.

A Heinz dodał: — Co jest jeszcze niemożliwe na tym zaszranym świecie? Czyż nie od każdego należy się spodziewać wszelkich możliwych rzeczy?

— Co mam jeszcze do powiedzenia? — zapytał ostrożnie Feininger. — Chyba tylko tyle, że mogę powtórzyć pewną rozmowę, która dzisiaj wydaje mi się dziwna.

— Z kim, proszę pana, i jakiej treści? — dopytywał się Feldmann. — I kiedy odbyła się ta rozmowa? Proszę podać czas możliwie dokładnie.

Feininger oświadczył: — Opuściłem to mieszkanie około godziny dwudziestej drugiej, może krótko potem. W korytarzu natknąłem się na Penatscha, który stanął przede mną, jakby wyrósł spod ziemi. Powiedział dosłownie: „Pan mnie nie widział, i ja pana nie widziałem!”

— A więc tak powiedział — stwierdził Feldmann — i pan się wcale nad tym nie zastanowił, co to może znaczyć?

— Początkowo nie — zapewnił go Feininger. — Pomyślałem tylko: ten facet bredzi! Bo też przecież na takiego wygląda!

Dalsze wypowiedzi komisarza policji kryminalnej Kellera na temat dochodzeń w sprawie śmierci Helgi Fein — odnośnie Paula Plattnera:

— Pewne jest, że w niedzielę po południu, około godziny piętnastej, Helga przybyła do willi Plattnera nad Tegernsee. Spotkanie pani Weber z panem Feinem, połączone z kolacją, odbyło się w piątek wieczorem. Noc z piątku na sobotę spędziła Helga w różnych lokalach na Schwabingu, a potem, zupełnie pijana, przespalała się w jakimś trzeciorzędnym hotelu: sama. Jadła — również sama — w pewnej piwiarni przy Occamstrasse. Po czym pojechała nad Tegernsee, gdzie przyjął ją serdecznie Plattner. Została tam mniej więcej do dwudziestej drugiej. Potem opuściła to miejsce, jakby z niego uciekała: z głośnym płaczem, niekompletnie ubrana. Na tę okoliczność dysponujemy trzema zgodnymi wypowiedziami świadków. Zdaje się, że popełniła samobójstwo jeszcze tego samego dnia koło północy. Odstawiła samochód pod dom przyjaciółki i około godziny dwudziestej trzeciej kazała się taksówkarzowi zawieźć do zamku Nymphenburg. Chyba niezupełnie przypadkowo, ponieważ w udostępnionym mi przez Heinza pamiętniku pisała wielokrotnie o spacerach z ojcem w tamtejszym parku i nad kanałem. Były to prawdopodobnie najszczęśliwsze godziny jej życia. Jej zwłoki znaleziono w środę, a zatem prawie trzy dni później. Zameldowano o tym mojej placówce, a ja je zidentyfikowałem. Przeprowadziłem bardzo dokładne badanie. Ściągnąłem nawet

najlepszego specjalistą w świecie zachodnim do wykrywania mikrośladów, pana Frisch-Galatisa z Zurychu, który przypadkowo przebywał w Monachium. Frisch-Galatis odkrył kilka nitek szarego wełnianego materiału na ubraniu oraz na bieliźnie zmarłej. Zdołano ustalić, że nitki te pochodzą z wełnianego materiału wyprodukowanego przez ekskluzywną szkocką firmę McDonald w Edynburgu. W południowych Niemczech materiałami tymi dysponuje jedynie krawiec Wichtl. A właśnie u niego szyje ubrania Paul Plattner.

— A więc mamy tę świnię! — stwierdził Heinz Fein.

— Niech mi wolno będzie zwrócić panu uwagę — powiedział Keller, drapiąc Antona po grzbiecie — że mówi pan o swoim dziadku.

— Świnia jest świnią.

— Ale może — powiedział z rozwagą Keller — jest w gruncie rzeczy tylko bezbronną świnią, przez całe życie zdaną na pastwę swoich popędów.

— Czy ty też tak myślisz? — zapytał syn ojca.

— Nie — odrzekł Harald Fein. — Skoro na dodatek ma on na sumieniu Helgę, to nie mam już żadnych skrupułów ani żadnych względów dla niego. Chcę, żeby go załatwiono. A może ty, Heinz, myślisz inaczej?

— Nie, ojcze! — powiedział zdecydowanie Heinz.

— Niech panowie nie robią sobie zbyt wielkich nadziei — ostrzegł ich Keller. — To, że się o czymś wie, nie oznacza jeszcze, że można to udowodnić. Ale wygląda na to, że nie boi się pan już żadnych komplikacji; a więc przynajmniej to ucieszy Brauna.

Przeprowadzona w chwilę później rozmowa telefoniczna komisarza policji kryminalnej Kellera z mecenasem Messerem, który wciąż jeszcze przebywał w prezydium policji:

Messer: — No, nareszcie, nareszcie! Siedzę tu jak na szpilkach. Wydaje się, że cierpliwość odnośnych panów

jest poważnie nadszarpnięta. Zwłaszcza Brauna. Cóż więc ma pan do zaferowania?

Keller: — Tego wieczoru, kiedy popełniono morderstwo, Harald Fein widział w krytycznym czasie w pobliżu domu przy ulicy V trzydzieści trzy pewną znaną mu osobę. Widział, jak wchodziła i jak wychodziła. Nie ulega wątpliwości, że Harald Fein ją poznał. Mimo to nie wymienił jej nazwiska. Chciałbym więc, żeby pan zwrócił uwagę na to, że ustalenie tej osoby jest przede wszystkim rezultatem naszych badań, badań policji kryminalnej.

Messer: — Ale niech pan wreszcie powie, kto to był?

Keller: — Paul Plattner.

— Paul Plattner — powiedział w parę minut później mecenas Messer do komisarza Brauna. Byli sami.

— A więc nareszcie! — zawołał Braun, wcale nie próbując ukryć uczucia triumfu. — Drogi panie Messer, właśnie tego się spodziewałem. A zatem, instynkt mnie nie zawiódł. I dlaczego nie od razu? Ale jeszcze nie jest za późno! Nareszcie mam go w sieci!

— Kogo? — zapytał adwokat.

— No, nie pańskiego Haralda Feina, jeśli o to panu chodzi. Daruję go panu. Z Feiningerem i Plattnerem zajadę znacznie dalej, jeśli publicznie oczyszczę tę stajnię. A tego właśnie pragnę, mój drogi. Jeśli mój instynkt mnie nie myli, to może być z tego prawdziwa zabawa dla ludu!

— No to życzę wiele przyjemności! — powiedział Messer z widoczną ulgą.

Po powrocie do biura Braun znalazł na swoim biurku notatkę od Feldmanna o naradzie z Feiningerem u Barthla.

Udał się więc niezwłocznie do biura prokuratora, poprosił o informację i energicznie przejął inicjatywę w prowadzeniu rozmowy — co mu sprawiało wyraźną przyjemność.

— Pańska gotowość do współpracy zostanie uznana — powiedział bez żenady do Feingera- — Co praktycznie

znaczy, że będzie pan przesłuchany w charakterze świadka i że w razie ewentualnego procesu przeciwko Penatschowi pańska wypowiedź będzie nieodzowna. — Braun delectował się błagalnym wprost spojrzeniem, jakie Feininger rzucił prokuratorowi. — Naturalnie będzie to załatwione możliwie dyskretnie, ale też z absolutną dokładnością.

— W stałym kontakcie ze mną, panie Braun — zażądał prokurator.

— Oczywiście — zapewnił go komisarz z zadowoleniem. — Zaczniemy natychmiast. — I Braun polecił Feldmannowi ściągnąć niezwłocznie Penatscha.

Konfrontacja odbyła się w niespełną godzinę później.

Feininger oświadczył, wskazując na Penatscha: — To ten człowiek! To on zaproponował mi, żebyśmy obydwaj zachowali milczenie.

W odpowiedzi na to Penatsch stwierdził: — Znam tego pana jedynie jako człowieka, który gorliwie odwiedzał zamordowaną. Ale nigdy z nim nie rozmawiałem.

— To cudownie! — zawołał wyraźnie ucieszony Braun, specjalnie nie dostrzegając ostrzegawczych spojrzeń prokuratora ani twarzy Feiningera, na której malowała się groźba, ani też rosnącego niepokoju Feldmanna. — A więc znowu zeznanie przeciwko zeznaniu! Zobaczmy, co z tego wyjdzie.

Notatka nadkomisarza Dürrenmaiera, przeznaczona dla prefekta policji:

„Nie ma już powodów do podejrzewania Haralda Feina. Trwają dalsze dochodzenia przeciwko Penatschowi, Feiningerowi i Plattnerowi. Odpowiedzialnego za nie urzędnika, komisarza Brauna, poproszono ponownie, żeby postępował z należytą dyskrecją i żeby codziennie informował o wynikach śledztwa”.

Notatka prefekta policji — przypięta do notatki nadkomisarza:

„Sprawa ta jest przewidziana jako pierwszy punkt porządku dziennego cotygodniowej narady generalnej z kadrą kierowniczą prezydium policji. Narada ta odbędzie się w przyszły wtorek. Należy wcześniej zawiadomić o tym wydział, z prośbą o przedłożenie ewentualnych materiałów dotyczących*tej sprawy. Najważniejsze materiały należy przy tym przekazywać niezwłocznie nadkomisarzowi Dürrenmaierowi.

O takim obrocie rzeczy należy zawiadomić:

Po pierwsze: — drogą służbową, ale jak najszybciej — odnośną prokuraturę. Po drugie: — przeze mnie osobiście, również niezwłocznie — burmistrza.

Następnie: prosi się referat prasowy prezydium, żeby poinformował o tych wydarzeniach pięć gazet codziennych o zasięgu miejskim. W następującym duchu: tylko do użytku wewnętrznego! Należy poprosić o konstruktywną współpracę.

Dalszych informacji na ten temat będzie na razie udzielał wyłącznie nadkomisarz Dürrenmaier, w bezpośrednim porozumieniu ze mną”.

— Moi panowie, a więc doszliśmy chyba do mety — oświadczył z dumą dr Henri Messer. — Osiągnęliśmy bowiem mnóstwo rzeczy, jeżeli nie wszystko!

Oświadczył on to w mieszkaniu Haralda Feina, samemu Feinowi, jego synowi Heinzowi, urlopowanemu komisarzowi policji kryminalnej Kellerowi i psu Antonowi. Wszyscy patrzyli na niego z największym sceptycyzmem — zwłaszcza pies Anton.

— I czegoż jeszcze chcecie? — zawołał sugestywnie, gdy spostrzegł, że nie udało mu się wywołać płomiennego entuzjazmu. — Czyż nie osiągnęliśmy wszystkiego, co tylko możliwe? Pan Fein jest poza podejrzeniem! Udało mi się wywikłać go ze sprawy o morderstwo przy ulicy V trzydzieści trzy! Dowiodłem, że wniesiona przeciwko niemu

skarga o cudzołóstwo jest bezpodstawna. Unieszkodliwiony został Jonass, a tym samym świadek na okoliczność rzekomego sprzeniewierzenia pieniędzy i uchylania się od płacenia podatków. Brygadzysta i portier powiedzieli wreszcie, co było im wiadome, czyli tym samym można spokojnie wnieść skargę o podżeganie do włamania i napadu rabunkowego. Wydaje się też, że Plattner i jego córka Hilda zrezygnowali z Jonassa, jeśli chodzi o sprawy prywatne, i wypuścili go z rąk jak gorący kartofel. Sądźcie, że to drobiazg?

— Czy pan wie, panie mecenasie, co znaczy ten pański „drobiazg”? — zawołał Heinz Fein, którego z uśmiechem obserwował Keller. — To oznacza: rozbitcie rodziny, firmę na skraju ruiny, spowodowanie śmierci mojej siostry, nadużycie jednej z niewielu prawdziwych przyjacieli. Piękny bilans. I nawet pies nie wie, kto jest jego panem!

— Wszystko to — oświadczył niewzruszenie Messer — może być godne ubolewania z ludzkiego punktu widzenia, ale z punktu widzenia prawa wygląda zupełnie inaczej. Wiem, wiem, że rany zadane ciału bywają często mniej groźne niż urazy psychiczne. Muszę się jednak trzymać faktów z punktu widzenia prawa. A pod tym względem odnieśliśmy zwycięstwo.

W odpowiedzi na to Keller orzekł: — Wydaje się, że to co wyszło na jaw, jest zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Co najmniej cztery piąte jest ukryte pod wodą.

— Ale nie może tam pozostać! — powiedział niemal twardo Heinz Fein. — Mój ojciec i ja nie chcemy tego.

Harald Fein skinął gorliwie głową, aby następnie zapaść szybko znowu w paraliżujące zamyślenie.

— Ależ proszę panów! — zawołał zaniepokojony adwokat. — Czego jeszcze chcecie? Wszczęć proces o morderstwo przeciwko Plattnerowi? Byłoby to przecież walka z wiatrakami!

— Niestety, ma pan rację — przyznał Keller. — Bo pewność i możliwość udowodnienia czegoś w sposób niezbity to dwie różne rzeczy. Byłoby już wielkim osiągnięciem, gdyby się udało oczyścić pana Abendrotha z największego brudu. Jeśli ktoś może tego dokonać, to tylko burmistrz.

Konferencja prasowa — tego samego dnia — w ratuszu, pokój 208. Na zaproszeniach napisano, że burmistrz stolicy Bawarii pragnie złożyć wyjaśnienia, a po jego złożeniu jest gotów odpowiedzieć na wszystkie pytania:

„Burmistrz: — Chodzi mi o pytania, które zadała mi bezpośrednio jedna z tutejszych gazet. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że należy udzielić na nie odpowiedzi. W teczkach, które leżą przed wami na stołach, znajdziecie pełny tekst wszystkich odnośnych dokumentów, moich wypowiedzi oraz powielone kopie wszystkich związanych z tą sprawą materiałów, znanych zarządowi miasta. A teraz do rzeczy. Przyjaźnie są rzeczą naturalną i oczywistą bez względu na to, kogo łączą — czy na przykład pana Feina z panem Abendrothem, czy pana Abendrotha ze mną, czy pana premiera z przewodniczącym jego partii, czy kardynała z jego wikariuszem generalnym, czy też Młodych Socjalistów z dziennikarzami. Tego rodzaju powiązań nie można kwestionować ani też uważać ich za wręcz niepożądane. Chodzi przy tym zawsze tylko o to, czy ktoś potrafi oddzielić swój urząd od swojego życia prywatnego. Następnie: decydujące prace nad wewnętrznymi planami naszego miasta, dotyczącymi zabudowy terenów olimpijskich, a zwłaszcza nad projektami dróg dojazdowych, rozpoczęto na początku 1967 roku. W tym samym i następnym roku firma *Plattner*, czy raczej związane z nią biuro maklerskie dokonało zakupu terenów budowlanych i działek, przede wszystkim w osiedlu Lisi Ogon, co stało się głównym przedmiotem krytyki. Między projektami naszego wydziału urbanistycznego a handlowymi posunięciami wspomnianej firmy nie ma i być nie może żadnego związku. Plan bowiem, sporządzony początkowo przez pana Abendrotha, a następnie w połowie 1967 roku przedłożony oficjalnie, przewidywał drogę okólną i drogi dojazdowe zbudowane na zasadzie gwiazdy, ale bynajmniej nie przewidywał owej bezpośredniej szerokiej drogi dojazdowej, na której rzekomo opierała swoje spekulacje firma *Plattner*. Ten pierwszy, podobny w pomysłach do gwiazdy, plan pana Abendrotha został — po dłuższych debatach — uznany za

niezadowolający. Taką decyzję podjęła odnośna komisja rady miejskiej, eksperci od spraw komunikacji i ja osobiście. Dlatego poprosiliśmy dwóch innych urbanistów — jednego z Frankfurtu nad Menem, a drugiego z Berlina — o przedłożenie projektów. Stało się to pod koniec 1967 roku. Projekty te wpłynęły dopiero na początku roku 1968, gdy wspomniana tu firma niemal już przestała dokonywać zakupów w obrębie osiedla Lisi Ogon. Większością głosów przyjęto projekt z Berlina. Rozpoczęta i po części już zrealizowana budowa dróg dojazdowych jest w swych istotnych punktach zgodna z tym planem. Siłą rzeczy wynika stąd następujący wniosek: nie można było w roku 1967 wiedzieć o tym, co zostało postanowione dopiero pod koniec roku 1968! Dlatego twierdzenie, jakoby nasze plany miejskie zostały na skutek niedyskrecji udostępnione przedwcześnie jakiemuś prywatnemu przedsiębiorstwu, jest absurdalne.

Oto moje oświadczenie. A teraz proszę o pytania".

Nie stawiano pytań.

— Panowie! — zawołał z polotem Henri Messer. — Drodzy przyjaciele! Wszystko kończy się wprost znakomicie!

— Tak się dzieje zawsze, gdy się do czegoś zabiera burmistrz.

— To spryciarz pierwszej rangi! — zapewnił Messer. — Wszyscy jeszcze możemy się od niego czegoś nauczyć, nawet pan, panie Keller!

— To prawda — przyznał ochoczo Keller. — A jakie jest pańskie zdanie, panie Fein?

Fein, budząc się ze swoich rozmyślań, powiedział: — Jeszcze jedna rzecz nie jest dla mnie całkiem jasna: rola czerwonej teczki! Bo ja jej nie mam. Może ją mieć tylko Plattner lub Jonass.

— Pomija pan przy tym — powiedział cierpliwie Keller — pańskiego syna Heinza.

— A co on ma z tym wspólnego?

W odpowiedzi na to Heinz oświadczył niemal dobrodusznie: — Pomyślałem sobie, że ktoś to musi przecież załat-

wić. Mój drogi ojciec wręczył mi klucze od szafy pancernej, które miałem przekazać kochanemu dziadkowi Plattnerowi. Zanim je jednak oddałem, zajrzałem do sejfu firmy. Wpadła mi przy tym w oko ta czerwona teczka, i zabrałem ją!

— Świetnie! — zareagował na to błyskawicznie Henri Messer. — Pomyślał pan zatem: ta teczka należy do mojego ojca, i zabrał pan ją, żeby mu ją oddać. Uległo to jednak zwłóce. Nie jest to wszakże ani kradzież, ani jakieś sprzeniewierzenie. Jest to raczej wewnętrzna sprawa rodzinna. A więc w żadnym wypadku karna.

— Jedno panu przyrzekam — zapewnił adwokata Messera ubawiony Keller — że jeśli mnie kiedyś przyłapią na przykład na kradzieży srebrnych łyżek, to wezmę pana na obrońcę.

— Heinz — powiedział wyraźnie poruszony Harald Fein — czy nigdy nie pomyślałeś o tym, że w ten sposób obciążylesz bardzo poważnie naszego przyjaciela, a twojego ojca chrzestnego, i mnie na dodatek?

— Nie! Gdybyście wtedy naprawdę zrobili wspólny interes, może bym nie podał tego materiału do wiadomości publicznej. Może. Ale przedtem zapytałem o to Abendrotha wprost, a on zareagował w zupełnie jednoznaczny sposób. To mi wystarczyło.

— Na tyle zaufania zasłużył Hermann — powiedział cicho Harald — ale ja... nie.

— Toteż ciebie o to nie pytałem.

— Proszę was, panowie! — zawołał wesoło Messer. — Zamiary się nie liczą. Decyduje jedynie rezultat! A rezultat jest taki, że Plattner jest zrujnowany, chociaż jeszcze nie pod względem materialnym, to pod względem moralnym. Posunął się stanowczo za daleko.

— Czy zastanawiał się pan także nad tym — zapytał Keller — dlaczego on to wszystko zrobił?

— Wszystko jedno dlaczego! — powiedział beztróska adwokat. — W każdym razie teraz osiągnął dno. Nikt tak prędko nie będzie chciał z nim robić interesów. Ale to właśnie, uważajcie, moi panowie, daje nam wyjątkową okazję! Panu, panie Fein, oraz Heinzowi. Bo teraz mogliby-

ście z całą pewnością przejąć firmą *Plattner* na bardzo korzystnych warunkach! Najpierw ojciec, a potem syn! Czy mam rozpocząć odpowiednie pertraktacje?

— Co o tym sądzisz? — zapytał ojca Heinz.

Ale ten oświadczył szorstko: — *Plattner* może mnie pocałować w dupę! On i ten cały nastawiony na zysk świat razem z nim. Obchodzi mnie jedynie Helga. Jej śmierć musi być pomszczona.

— Teraz czuję się całkowicie twoim synem!

— Czy otaczają mnie sami szaleńcy? — zawołał Messer.

— Tak, panie Messer — powiedział z uśmiechem Keller — sądzi prawdopodobnie wielu ludzi, którzy uważają się za choćby jako tako normalnych w tym nadgniłym świecie. Ale, proszę pana, któż jest normalny? Żyjemy w czasach, w których każdy człowiek okłamuje każdego, każdy każdego oszukuje, także samego siebie. Po to, żeby zrobić pieniądze! Wybiła godzina hien, godzina skazanych na sukces!

— Nie chcę do nich należeć! — oświadczył Harald Fein. Podniósł się nagle i wyszedł.

Najdziwniejsze było to, że Anton nie pobiegł za nim.

Rozmowa wyjaśniająca między komisarzem Braunem a inspektorem Feldmannem:

Braun: — Pan jest bardzo zdolny, ale wydaje mi się, że brak panu czegoś niesłychanie ważnego: węchu myśliwskiego psa. A to konieczne w naszym zawodzie.

Feldmann: — Próbuję się trzymać realiów. A te wyglądają dla mnie w tym wypadku tak: ani *Plattner*, ani *Feininger* nie wchodzi w rachubę jako bezpośredni sprawcy. Mają inne grupy krwi niż liczne pozostawione ślady.

Braun: — Musi się pan jeszcze wiele nauczyć, drogi Feldmann. Prawdziwym zbrodniarzem nie musi być ten, kto uderza nożem, naciska spust pistoletu albo dusi kogoś własnymi rękami. Tacy ludzie są najczęściej tylko biednymi narzędziami, wprowadzonymi w błąd, podrażnionymi lub namówionymi przez nieodpowiedzialne świnię. Słyszają

o łatwo zdobytych pieniądzech, o słodkim życiu i o jak najbardziej obłądnych pokusach. Marzą...

Feldmann: — A zatem, pańskim zdaniem, szumowiny?

Braun: — Produkty naszego zniewieściałego społeczeństwa. Zasługi przekształciły się w zarabianie pieniędzy. Uczciwy człowiek, altruista, stał się figurą komiczną. Kloaka nie świat! Położenie na łopatki jeszcze kilku tych kreatur może stać się wprost hobby.

Heinz Fein siedział przez dłuższy czas bez słowa w mieszkaniu Kellera, podczas gdy komisarz bawił się z Antonem. — Nie podoba mi się zachowanie mojego ojca.

— Wciąż jeszcze? — zapytał czujnie Keller.

— Początkowo się nie rozumieliśmy. Teraz, gdy jest inaczej, unika mnie. Jak wszystkich innych. Nie chciał też rozmawiać z Melanią Weber. Musiałem jej przekazać przez telefon jego słowa, że nie mają już sobie nic do powiedzenia. Przeważnie siedzi w milczeniu, jak gdyby się nad czymś głęboko namyślał.

— To nigdy nie może zaszkodzić.

— Ale jestem pewien, że on nie myśli o tym, co się stało, lecz zastanawia się nad tym, co powinien zrobić... ze względu na Helgę.

— W miarę możliwości nic — powiedział zmartwiony Keller, przygarniając do siebie Antona. — Powinien to pozostawić innym, którzy się lepiej na tym znają.

— Komu? — zapytał zaniepokojony Heinz. — Czy ma pan na myśli tego Brauna? A może samego siebie?

— Jeśli o mnie chodzi, to zbieram dalej materiał. Na to trzeba czasu.

— Ojciec nie ma czasu, nie chce go sobie dać. Dąży wyraźnie do tego, żeby zapadła decyzja. I obawiam się, że chce ją sam spowodować. Mam wrażenie, że oceniałem go zupełnie fałszywie.

— Mogę tylko mieć nadzieję, że pan się myli. Dla nas, specjalistów od kryminalistyki, ważna jest zawsze wytrwałość i energia. W poważnym stopniu ma je Braun.

Polecenie Brauna dla Feldmanna:

— Na moją prośbę Penatscha przejmie główny komisarz Bahr z krajowego urzędu kryminalnego. To najlepszy specjalista od śladów, jaki istnieje na południe od Menu, jeśli nie w całej Republice Federalnej. Pracuje wolno, ale też odpowiednio dokładnie. Feiningerem zajmę się sam: z przyjemnością. Niech się pan skoncentruje na Plattnerze i jego firmie, a zatem także na Jonassie, Rogalskim, Pollocku, na pannie Wagnersberger, na Wamslerze i na wszystkim, co się tam jeszcze wyłoni. Niech pan przy tym spróbuje uchwycić wszystko, co ma jakikolwiek związek z naszym kompleksem spraw. Niech pan zaangażuje ekspertów od spraw księgowości oraz materiałów budowlanych i konfidentów, wszystko zostanie zaaprobowane. Niech pan nie patrzy na mnie z takim powątpiewaniem. Tu chodzi także o pieniądze. Przestępcy chcą, żeby im płacić. Niech pan uwzględni każdą drobnostkę: koszta specjalne, rozliczenia z diet, nadzwyczajne gratyfikacje. I tak dalej. Niech pan się nie zniechęca, jeśli natknie się pan przy tym na świńskie łajno. Z pewnością będzie musiał pan pozyskać zaufanie paru średnich lub wyższych pracowników. Plattner wydawał im na pewno w cztery oczy rozkazy, a jego kulisi spełniali je. Może któryś z nich wygarnie prawdę tak że będzie można ją udowodnić. Decydujące jednak będzie podkopanie fundamentów Plattnera, i to do tego stopnia, żeby on sam odniósł wrażenie, że nie stoi już na pewnych nogach. Dopiero wówczas, mój drogi, gdy ujrzymy, że się chwieje, obalimy go.

— Ja wiem — powiedział Heinz, siedząc naprzeciwko Kellera — co trapi ojca, i mnie także. To męczące uczucie, że się nic nie stanie! Nic, na co choćby w połowie zasługiwało to, co się stało.

— A zatem pański ojciec i pan sądzicie, że Plattnerowi nie da się nic udowodnić? Że z punktu widzenia prawa pozostanie nietykalny? Że się tylko powie: no cóż, nie zachował się zbyt szlachetnie, ale któż postępuje szlachetnie?

— Właśnie! W naszym kraju ustawy wydają kapitaliści

i ich pomocnicy przeciwko biedocie. Wszędzie są denuncjatorzy, donosiciele polityczni!

— Ale są także funkcjonariusze policji kryminalnej, którzy nie są niczym innym poza tym. Sądzę, że nie powinno się ich także całkowicie pomijać.

Rozmowa telefoniczna:

Harald Fein: — Przepraszam, jeśli ci przeszkadzam...

Hermann Abendroth: — Cieszę się, że słyszę twój głos. Jak ci idzie, stary przyjacielu?

Fein: — Muszę cię gorąco prosić o wybaczenie tych wszystkich nieprzyjemności i zmartwień, które miałeś z mojego powodu. Ale mogę cię zapewnić, Hermann, że nie miałem z tym nic wspólnego!

Abendroth: — Nie trzeba w ogóle o tym mówić. Zapomnijmy o tym! Kiedy się zobaczymy?

Fein: — Zadzwońię do ciebie, żeby się pożegnać. I żeby ci raz jeszcze podziękować... za wszystko. Byłeś dobrym przyjacielem. Bądź nim nadal... dla mojego syna Heinza. Bądź zdrów.

— Nie — powiedziała szorstko Hilda Fein do Jonassa, który stał na środku salonu w willi Feinów. — Nie chcę mieć już z tobą nic wspólnego! Zawiodłeś tak samo, jak Harald.

— Proszę cię, Hildo, jak możesz mnie z nim porównywać?

— W gruncie rzeczy obaj jesteście jednakowi, mimo wszystkich różnic! On jest obojętny, a ty niezdolny. A poza tym zdradziłeś mnie... z tą Wagnersberger!

— To była konieczność, nieodzowne zabezpieczenie, nic poza tym! Proszę cię! Chcę się z tobą ożenić, Hildo! My obydwójce razem moglibyśmy...

— Niczego byśmy nie mogli — stwierdziła bezwzględnie Hilda. — Co chcesz ze mną począć? Ojciec cię zwolnił, a konsul Duhr, któremu się narzucałeś i który natychmiast zakomunikował o tym ojcu, nie przyjmie cię. Ani nikt inny

w Monachium. I gdzie indziej też nie. Mój ojciec już się o to postara!

— Jeśli tak — oświadczył szorstko Jonass — to oszczędź my sobie dalszych dyskusji. — Po czym odszedł.

Hilda Fein nie popatrzyła nawet za nim. Sięgnęła po telefon i nakreśliła znany jej numer. Był to numer Melanii Weber.

Keller postawił Antona na podłodze. Pies wyciągnął się u jego stóp, patrząc przed siebie. Komisarz policji zawołał z niepokojem: — Heinz, czego się pan obawia?

— Zdaje się, że mój ojciec jest zdecydowany doprowadzić do rozstrzygnięcia sprawy.

— Proszę pana, do jakiego rozstrzygnięcia? To brzmi tak, jakby chodziło o rozliczenie.

— Zapakował do teczki jakieś papiery i pistolet, zatankował pełny bak benzyny i pojechał. Prawdopodobnie w kierunku Tegernsee.

— Czy ma pan jakiś pojazd?

— Wypożyczyłem szybki samochód. Stoi pod pańskimi drzwiami.

— Chodź, Anton — powiedział Keller, podnosząc się szybko.

Sprawozdanie inspektora Feldmanna, sporządzone dla jego nauczyciela — komisarza Kellera, w formie notatki służbowej:

„1. Braun u Feingera — prawie całkowity sukces. Feingier bronił się — przy pomocy prokuratora Barthla, przy poparciu nadkomisarza Dürrenmaiera. Był to praktycznie daremny trud. Pewien magazyn ilustrowany o milionowym nakładzie grozi ingerencją. Wysłała na zwiady swoich najlepszych ludzi. Nicują życie Feingera: Czy usunięto jakieś dokumenty? Czy czerpano specjalne zyski ze zleceń zbrojeniowych? W jaki sposób finansowano bloki mieszkaniowe? Braun był wprost zachwycony.

2. Do obserwacji Penatscha wyznaczono Bahra z krajo-

wego urzędu kryminalnego. Istnieje co najmniej siedem dowodów poszlakowych: ślina, sperma, mocz — a nawet odciski palców. Ponadto zgadza się motyw i sposobność — w oparciu o notatki zamordowanej, różne wypowiedzi i analizy porównawcze. Ale Bahr twierdzi, że: aby zebrać ostateczne dowody, trzeba przeprowadzić wiele gruntownych badań, co może trwać wiele dni, jeśli nie tygodni. Ta informacja również ucieszyła Brauna. Na skutek tego może on prawie bez przeszkód przedłużać swoje dochodzenie.

3. Ja osobiście mam się skoncentrować na Plattnerze i jego firmie. Odkryłem budzące wątpliwości rozliczenia z diet i sposoby sporządzania bilansu. W wielu wypadkach niejasny sposób księgowania. Co najmniej czterech pracowników firmy uwikłało się w manipulacje budzące wątpliwości pod względem prawnym — prawdopodobnie można będzie to udowodnić. W każdym razie samego Plattnera nie można było pociągnąć bezpośrednio do odpowiedzialności — jeszcze nie!

Komentarz Brauna: — Feldmann, niech pan wykorzystuje wszystko, co się tylko nadarza. Resztę załatwię sam".

— Teraz się policzymy — powiedział zdecydowanym tonem Harald Fein, wchodząc do willi Paula Plattnera nad Tegernsee. Plattner siedział właśnie w hallu, u szczytu wielkiego stołu. Przed nim stała opróżniona do połowy butelka czerwonego południowotyrolskiego wina. Kieliszek był pusty.

— Czy wciąż jeszcze nie dość narozrabiałeś? — powiedział Paul Plattner. — Czego, na Boga, jeszcze chcesz?

— Chcę wiedzieć wszystko! — Harald Fein rzucił na stół teczkę. Przez skórę widać było wyraźnie kontury pistoletu. — Co się naprawdę stało?

Paul Plattner oparł się plecami o fotel, jak gdyby był wyczerpany, z półprzymkniętymi oczami. — Czyżbyś jeszcze nie wiedział, co się naprawdę stało? — I dorzucił twardo: — Zburzyłeś tak piękną niegdyś harmonię między mną a moją córką. Wcisnąłeś się do mojej firmy, i ja ci wspaniałomyślnie zaufałem. Nadużywałeś tego zaufania

bez skrupułów, z jednym jedynym wyjątkiem: w sprawie dróg dojazdowych do terenów olimpijskich. Poza tym twoje negatywne nastawienie zaczęło wkrótce powodować niebezpieczne szkody w interesach. Można powiedzieć, że wniosłeś mi miliony, ale też kosztowałeś mnie miliony. I nerwy!

— A na ile szacujesz ludzkie życie?

— Nie pleć głupstw, to są przecież urojenia. Nic z tych rzeczy mnie nie wzrusza. Z jednym wyjątkiem: Heinza! Miał zostać moim spadkobiercą. Ale i jego oddaliłeś ode mnie, zmobilizowałeś przeciwko mnie. Przyznaję, że to mnie dotknęło.

— To nie moja zasługa, raczej komisarza Kellera.

— Mniejsza o nazwisko. W każdym razie mobilizowałeś przeciwko mnie każdego, kogo tylko mogłeś. Przyznaję, że tych ludzi było niemało. Gdybym wziął sobie do pomocy kogoś w rodzaju Messera, tobym sobie poradził, w każdym razie z tobą na pewno. Ale te podstępne kryminalistyczne machinacje mają w sobie coś, co wprost zagraża ogółowi. W każdym razie zrobię unik... ale ja wrócę! Za parę miesięcy, za parę lat. Bez względu na to, co zburzyłeś... przy pomocy tego Kellera... to zniszczenie mnie nie musi być czymś definitywnym. Ostatecznie żyjemy w świecie, w którym kapitał może bardzo wiele!

— Mówisz o pieniądzach, a ja o człowieku. O Heldze!

— Helga! — powiedział Paul Plattner, zamykając oczy. Na jego ustach pojawił się uśmiech. — Co ludzie o mnie naprawdę wiedzą? Już we wczesnej młodości entuzjazmowałem się pięknem i harmonią, zarówno ludzi, jak i budynków. Wiem, że mało kto tego się po mnie spodziewa. Ostatnio byłem zawsze sam.

— Co było z Helgą? — dopytywał się Harald, pochylając się naprzód i kładąc prawą rękę na teczce. — Co jej zrobiłeś?

Uśmiechnięta twarz Plattnera aastygła jak maska. Prawie nie poruszał wargami, kiedy mówił: — Zawsze kogoś kochałem. Kochałem moją zmarłą żonę, potem promienną radość życia mojej córki, tę radość, którą ty unicestwiłeś, kochałem także Heinza, jego twórczy niepokój i energię.

— Helga! — wykrztusił Harald Fein. — Nadużyłeś jej zaufania! Spowodowałeś jej samobójstwo.

Paul Plattner podniósł się w obronnym geście. — Ty i ta twoja okropna fantazja, nigdy jej nie znosiłem. Nieprzypadkowo człowiek zostaje alkoholikiem. I akurat ty żądasz rozrachunku? To nie ja nadużyłem, jak mówisz, zaufania Helgi, to ty! Zaniedbałeś ją, rozczarowałeś, odtrąciłeś jej czułą ufnosć. Próbowałem dać jej miłość... miłość! A teraz wreszcie spróbuj powściągnąć te swoje brudne myśli.

— Tylko ty jesteś winien jej śmierci! — stwierdził niezruszenie Harald Fein, otwierając teczkę, w której widać było pistolet.

— Bądź rozsądny! Kto mi to może udowodnić?

— Ja — odezwał się w głębi chłodny, rzeczowy głos. Był to głos komisarza Kellera.

— Chodź ze mną — powiedział z naleganiem w głosie Joachim Jonass, udając optymizm. — Zabierz wszystkie osiągalne materiały, wszystkie, z którymi da się ewentualnie coś zrobić.

Mówił tak do Ewy-Marii Wagnersberger, głównej sekretarki firmy *Plattner*. Spojrzała na niego z pogardą. — Co mi możesz za zaoferować?

— Moją miłość! — oświadczył emfa tycznie Jonass. — Łącznie z małżeństwem. Jeśli ci na tym zależy, można to nawet potwierdzić na piśmie. Czy to nic nie znaczy?

— Tyle co nic — stwierdziła Wagnersberger — w porównaniu z tym, co mi zaoferował Plattner.

A oto, co zaoferował jej Plattner: nie podlegającą wymówieniu umowę na czas nieograniczony, gwarantującą jej pobory w wysokości 36000 marek rocznie. Umowa ta była sporządzona w oparciu o wykaz kosztów utrzymania. Panna Wagnersberger pomogła mu zdobyć miliony, za co miał się jej odpłacać aż do końca jej dni — wprawdzie tylko w niewielkim stopniu, ale w sposób gwarantujący pewne zabezpieczenie.

— A nasza miłość, Ewo?

— Prawdę mówiąc, cóż jest ona warta?

Do willi nad Tegernsee przybył Keller z Antonem; zawiózł ich tam Heinz Fein wypożyczonym samochodem.

Nie zwracali uwagi na doskonale piękno krajobrazu: na porośnięte lasem góry, ciemne jezioro, jaskrawozielone doliny.

Już podczas jazdy Keller poprosił, żeby Heinz opisał mu dokładnie położenie willi, sam budynek i jego najbliższe otoczenie. A potem zdecydował: — Pan, Heinz, obejdzie dom naokoło i wejdzie do niego od strony tarasu. Niech pan przy tym ma na oku teczkę ojca. Ja z Antonem wejdem normalną drogą. Jeśli będzie trzeba, posłużę się moim kluczem uniwersalnym, wypożyczonym w wydziale włamań. Miejmy nadzieję, że nie przyjdziemy za późno.

Nie przyszli za późno.

Heinz stał w drzwiach wiodących na taras, Keller z Antonem wszedł do hallu. Szli w kierunku Plattnera. Powoli, bardzo ostrożnie. Wydawało się niemal, że jest to rozgrywka szachowa z nadmiernie wielkimi figurami. Plattner wstał i wlepił wzrok w Kellera.

— To pan — powiedział z rezygnacją. — Znowu pan! I ten pies na dodatek! — Popatrzył przelotnie na Antona, który siedział, przyglądając się Plattnerowi z największą uwagą. — Widocznie nic mi nie zostanie zaoszczędzone.

Monolog komisarza Brauna przy jego stałym stoliku w „Burgerbraukeller”, wygłoszony w obecności inspektora Feldmanna i przez tegoż spisany — dla Kellera:

„Braun: — A więc mimo całej koleżeńskiej wyrozumiałości, drodzy przyjaciele, trzeba powiedzieć, że rezultaty działalności naszych strzelców wyborowych podczas napadu na bank przy Prinzregentenstrasse, podczas którego wzięto zakładników, nie były bardzo przekonujące. Zbyt długie zwlekanie świadczy o braku zdolności do podejmowania decyzji. Mnie by się to nie zdarzyło. Stanąłbym z lornetką obok głównego strzelca, obserwowałbym wejście i tak wcześnie, jak by to tylko było możliwe, dałbym rozkaz «ognia!» Żeby gangsterów uczynić niezdolnymi do walki, kazałbym celować dokładnie w łapy, w których

trzymali pistolety maszynowe. Gdyby przy tym trafili któregoś z bandziorów w brzuch albo w pierś, no to trudno, każdy z nich sam przecież zdecydował się na ryzyko. Chodzi o to, żeby kule trafiały w cel, żeby strzelać szybko i dokładnie. Tego rodzaju kryminalistów nie można traktować jak ludzi honoru, którzy natknęli się na jakieś przeszkody w życiu. Byłoby to dość zbliżone do pomocy w morderstwie. A jeśli ofiarą ingerencji — nie strażów oddanych przez policję — padnie niewinny człowiek, to jest to w najwyższym stopniu godne ubolewania i nie można tego po prostu uznać za «nie-udaną operację». Ale podobne rzeczy dzieją się bez przerwy, na bocznych ulicach nocą, za zaciągniętymi firankami, w zgiełku ulicznym — ale bez tysiąca widzów, bez jaskrawego światła reflektorów, nie w obecności przedstawicieli prasy. Bez przekazek dostarczonych przez naszą wypróbowaną firmę *Kafer* i nie w nastroju party. Trudno się dziwić, że woła się o «bezpieczeństwo». Ale bezpieczeństwo można osiągnąć tylko przy pomocy policji. Powinni to wreszcie zrozumieć także ci, którzy z zasady traktują policję jak kozła ofiarnego i uważają, że winę ponosi nie morderca, lecz zamordowany".

— Pan jest zdania — powiedział Keller z Antonem przy boku — że są zbrodnie wymykające się prawu i nie podlegające procedurze procesów karnych, jak gdyby nieuchwytnie. Ale to omyłka.

— Czy pan mi grozi?

— Chcę tylko panu wyjaśnić pewne rzeczy.

Keller siedział teraz — trzymając na smyczy warczącego Antona — za okrągłym stołem, który dominował w całym wnętrzu; siedział dokładnie naprzeciwko Plattnera, ale daleko od niego. Heinz Fein stał nadal w drzwiach od tarasu. Harald Fein opierał się o wspaniałą barokową szafę. Jego teczka z pistoletem leżała nadal na stole.

— Moje zapotrzebowanie na samowolę policji kryminalnej jest już w pełni zaspokojone! — krzyknął Plattner.

— Wiem o tym — zgodził się z nim Keller. — Znam metody mojego kolegi Brauna. Przysporzy panu poważnych trudności.

— Nie mam zamiaru się na nie narażać.
— Wiem też i o tym — powiedział z namysłem Keller.
— Wiadomo mi, że stara się pan rozwiązać, czyli sprzedać, swoją firmę. Pertraktuje pan z Duhrem. I zdaje się, że jest on gotów objąć pańską firmę. Ile daje? Trzydzieści milionów?
— Czterdzieści — powiedział nie bez dumy Plattner, spoglądając w stronę Haralda i Heinza, którzy jednak nie patrzyli na niego.
— No to wkrótce będzie pan miał do dyspozycji, razem z pańskim prywatnym majątkiem, który szacuje się na dwadzieścia milionów, co najmniej pięćdziesiąt milionów
— stwierdził Keller. — Z tym można żyć.
— Harald — powiedział nagle Plattner do swojego byłego zięcia — wiesz dobrze, że moja, nasza firma warta jest o wiele więcej. Jeśli chcesz, możesz ją przejąć. Podwoję ci pensję i zapewnię poważny udział.
— Co się stało z Helgą? — zapytał Harald Fein.
Paul Plattner podniósł prawą rękę niemal błagalnym gestem. Jak się zdawało, nie przyszło mu to łatwo. — Jestem gotów nawet ustalić notarialnie, że Heinz przejmie później firmę w spadku. Jest to wciąż jeszcze jedna z najpoważniejszych firm budowlanych w całym kraju! Co powiesz na to, Heinz?
— To samo, co ojciec — oświadczył Heinz. — Ja też chcę wiedzieć, co się stało z Helgą?
— W tę sprawę mogę wnieść co nieco — włączył się ponownie Keller.
— Pan! — krzyknął Plattner, tracąc panowanie nad sobą.
— Niech pan się nie wtrąca! Czy nie dość już pan zniszczył? Czy ma się to tak ciągnąć w nieskończoność?
— Nie w nieskończoność — powiedział cierpliwie Keller, głaszcząc warczącego z podniecenia Antona. — Można już przewidzieć, kiedy nastąpi pański koniec.
— Pan jest urzędnikiem! — krzyknął Plattner. — Żalonym rutyniarzem, który tylko spełnia rozkazy i polecenia służbowe. A ja zbudowałem w tym mieście całe imperium!
— Wszystko zależy od punktu widzenia — powiedział pobłażliwie Keller. — W każdym razie dla mnie jest pan

mężem żony, która umarła... podobno w wypadku; ojcem rzekomej córki, którą pan wykorzystywał; teściem zięcia, którego pan nienawidził i prześladował. Ostatecznie chciał pan zagarnąć dla siebie Heinza. Nadaremnie. Potem skoncentrował się pan na Heldze... z tym samym rezultatem.

— To nikczemne! — wykrztusił Plattner. — Równie nikczemne, co śmieszne. Co pan ma do szukania w moim życiu prywatnym?

— To, co powszechnie nazywa się życiem prywatnym — powiedział Keller — może być nie kończącym się łańcuchem udręczeń, połączonych z okaleczeniami duchowymi, z wieloma przypadkami śmierci. I do żadnej z tych rzeczy nie można się przyczepić z prawnego punktu widzenia. Tak było i tutaj... aż do tej sprawy z Helgą.

— Niech pan mi tak nieustannie nie grozi! — zawołał zdenerwowany Plattner. — Może pan sobie oszczędzić tych swoich banalnych teorii!

— Śmierć Helgi — powiedział poważnie Keller — poruszyła mnie. Widziałem wiele tysięcy zwłok, ale tych nigdy nie zapomnę, tego widoku przerażonej bezradności, która wreszcie znalazła swój kres.

Harald i Heinz Feinowie popatrzyli na niego tak, jak gdyby go ujrzeli po raz pierwszy. Plattner patrzył przed siebie. Otworzył usta, ale nie powiedział ani słowa. Anton szarpał zajadle smycz.

Komisarz ciągnął dalej, bez żadnego przejścia, z całą rzeczowością: — Miałem możliwość zaangażować specjalistę od mikrośladów. Znaleźli na bieliźnie zwłok wełniane nitki. Zdołano ustalić ich strukturę.

— I sądzi pan, że to można uznać za dowód? — Plattner wyraźnie się ożywił. — Są setki metrów materiałów o jednakowej strukturze.

— Choćby nawet, panie Plattner, to to nie ma decydującego znaczenia. Decydujące znaczenie ma raczej to, że temu specjalście od mikrośladów udała się także próba kontrolna, zresztą nie po raz pierwszy, jego system funkcjonuje prawidłowo. Znalazł on mianowicie małe kawałeczki materiału, z którego była zrobiona bielizna Helgi, na jednej parze pańskich spodni.

— Pan blefuje! — wykrztusił zaniepokojony Plattner. — Jakże pan mógł dostać się do mojego ubrania? Czy pan je może ukradł... albo kazał ukraść?

— Po mnie może się pan spodziewać niejednego — powiedział spokojnie Keller — także pod tym względem. I niech pan nie popełnia błędu i nie sądzi, że jestem jeszcze funkcjonariuszem policji kryminalnej. Jestem emerytem, a zatem człowiekiem prywatnym. Rozporządzam więc masą czasu, który chętnie poświęcę panu. Zwłaszcza że wciąż jeszcze przyjaźnię się z wieloma kolegami, którzy chętnie będą mi pomagali nadal. Żebym naprawdę mógł zarobić na moje wynagrodzenie emerytalne.

— Jeśli tak jest — stwierdził Harald Fein — to możemy stąd spokojnie odejść.

— Nie tylko spokojnie — potwierdził Heinz Fein — lecz także czym prędzej. Bo tu śmierdzi. Potrzeba mi gwałtem świeżego powietrza. Czy pan przyjdzie później, panie Keller?

— Gdy tylko tu wszystko wyjaśnię, za parę minut.

Sprawozdanie wewnętrzne, sporządzone na podstawie nieoficjalnych notatek przez nadkomisarza Dürrenmaiera dla prefekta policji:

„1. Sprzedaż firmy Plattnera Duhrowi jest rzeczą niemal dokonaną. Dokonano jej w willi nad Tegernsee, końcowe pertraktacje toczą się u Marbella — Plattner ma tam dość duże działki i polecił, żeby zaprojektowano budowę hoteli. Sprawy finansowe są załatwiane za pośrednictwem szwajcarskiego zrzeszenia banków w Lugano, gdzie główna sekretarka Wegnersberger nabyła dwupokojowe mieszkanie w pobliżu Plaža.

2. Jonass wyjechał z Monachium do Hamburga, a stamtąd do Frankfurtu. Nie dostał nowej pracy w branży budowlanej. Przeszkadza temu Duhr. Zdaje się, że zostało to uzgodnione w ramach jego prywatnego porozumienia z Plattnerem. We Frankfurcie Jonass próbował zdobyć pra-

cę w handlu nieruchomościami. Zwolniono go po tygodniu. Na razie stracono jego dalsze ślady.

3. Hilda Fein udała się z Melanią Weber w podróż naokoło świata; sprawę tę załatwiono za pośrednictwem SAS. Nic w tym dziwnego.

4. Do klientów adwokata Messera należy ostatnio także Feininger, który go zaangażował do prowadzenia ewentualnych procesów karnych. Wydaje się jednak, że Messer próbuje wpływać na Feiningera także pod względem politycznym. Nagle zaangażowanie się Feiningera na rzecz pokrzywdzonych lokatorów wzbudziło sensację. Wydaje się, że zaniepokoiło to nawet burmistrza.

5. Komisarzowi Braunowi — po poufnej rozmowie z Feldmannem — polecono, żeby skoncentrował się wyłącznie na Penatschu. Doprowadziło to ostatecznie do bezbłędnego udowodnienia winy sprawcy".

— Panie Keller, jak do tego doszło? — dopytywał się Paul Plattner, prostując się z trudem. — Ile panu za to zapłacono? Jak wysoka była cena za mnie?

— Bardzo wysoka — zapewnił go poważnie Keller. — Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Ceną był mianowicie pies Anton.

— Nie — powiedział z niedowierzaniem Paul Plattner. — Pan tego nie mówi poważnie. Akurat ta żalosna kreatura! A przecież chciałem kazać otruć to monstrum, które stale na mnie warczało, ale jakoś do tego nie doszło. A teraz wygląda na to, że potknąłem się właśnie o to bydlę. To po prostu nie może być prawdą!

Wypowiedź na temat psa Antona:

1. Puderma, handlarz zwierząt, MonMchium, Malt-haserpassage:

„...zaoferowano mi bardzo dziwnego psa nieokreślonej rasy, trochę mniejszego od pudła królewskiego... przyszedł na świat chyba w połowie 1966 roku... dostarczył go

stary człowiek z osiedla Lisi Ogon... twierdził, że nie może wyżywić tego zwierzęcia... żądał trzydzieści marek, dostał dziesięć... potem wystawiłem w pasażu tego psa, który naprawdę wyglądał bardzo dziwnie... nazwałem go Antonem... dwa dni później sprzedałem go niejakiemu panu Plattnerowi za dwieście marek..."

2. Z dziennika Helgi Fein:

.....dziadek podarował mi psa, bardzo miłe zwierzę. Matka była temu przeciwna, mówiła zawsze, że Anton cuchnie, a czasami, że nie jest rasowy i wstyd się z nim pokazać. Mój brat nazwał Antona monstrum. Ojcu zaś pies był zupełnie obojętny. Początkowo".

3. Harald Fein, w pewnej rozmowie:

„— Trudno mi powiedzieć, jak, kiedy i dlaczego tak się stało. W każdym razie pewnego dnia, po operacji przeprowadzonej przez dr. Róckena w Starnbergu, Anton wskoczył mi na kolana, przytulił się do mnie i leżał bez ruchu. Od tej chwili już mnie nie odstępował. Nawet wtedy, gdy skierowano mnie do luksusowego zakładu leczniczego dla alkoholików. Obstawałem przy tym, żeby Anton mi towarzyszył. Po dłuższych pertraktacjach wyrażono zgodę. W każdym razie ten pies okazywał mi sympatię jednoznacznie i wytrwale. Siedział i patrzył na mnie, sugerował mi spojrzeniem swoich ciemnych oczu, że winienem mu wiele miłości. Jednego jestem pewien: to nie ja wybrałem Antona, to Anton wybrał mnie. Ale nie na zawsze",

— Ten pies — powiedział do Kellera Paul Plattner — którego kupiłem niczego nie przeczuwając, okazał się po prostu narzędziem szatana. Jestem pewien, że ten straszny kundel przyczynił się poważnie do całkowitego zburzenia harmonii w rodzinie Feinów.

— Sądzę, że tylko ujawnił ten brak harmonii — powie-

dział Keller z uśmiechem. — A zatem i on ma swoje zadanie i spełnia je z rzadką konsekwencją, zupełnie instynktownie i w najwyższym stopniu skutecznie. Kocham go także dlatego i jestem pewien, że na niego zasłużyłem.

W restauracji na lotnisku Monachium-Riem, przed startem kursującego codziennie samolotu do Nowego Jorku, spotkali się urbanista Abendroth, Heinz Fein oraz emerytowany komisarz policji kryminalnej Keller ze swoim psem Antonem.

Przyszli, żeby pożegnać Haralda Feina. Zaproszono go na studia i odczyty do Kalifornii. Następnie miał pojechać w tym samym celu do Rio; później chciał się osiedlić w Tessinie. — Zbyt wiele w moim życiu zaniedbałem, muszę się jeszcze uczyć i nie czuję się na to za stary!

Mimo to był zaskoczony, gdy zobaczył ludzi, którzy spotkali się po to, żeby mu powiedzieć „do widzenia”.

— A ja — powiedział, uśmiechając się uszczęśliwiony — myślałem zawsze, że jestem sam na tym świecie.

— Przyjaciel ma przyjaciół — powiedział Hermann Abendroth.

— A ja sobie wcale ciebie nie wybierałem — oświadczył Heinz Fein. — Ale bądź co bądź jestem twoim synem. I to ostatnio nawet chętnie.

Harald Fein podszedł do Kellera, ujął jego rękę i uścisnął ją bez słowa. Potem przyklęknął, żeby pogłaskać Antona, objął go serdecznie, a pies przytulił się do niego, merdając ogonem.

— Mogę opuścić Antona tylko dlatego, że pan jest na świecie — wyznał z wdzięcznością. — Tylko my dwaj kochamy to wspaniałe zwierzę tak, jak na to zasługuje.

— Ponieważ znamy wszystkie możliwości natury ludzkiej — powiedział Keller z uśmiechem. — Psy to czują. Anton zawsze wiedział, czym może być życie psa: mianowicie stałą nadzieją na to, że mimo wszystko będzie się kochanym bez zastrzeżeń. Wiele ludzi nie zaznało tej nadziei, wiele musiało ją wcześniej pogrzebać. Jednakże i oni żyją — tylko jak?